Kobiety, które wiedzą, czego chcą, zawsze to osiągają.

Stephanie Laurens

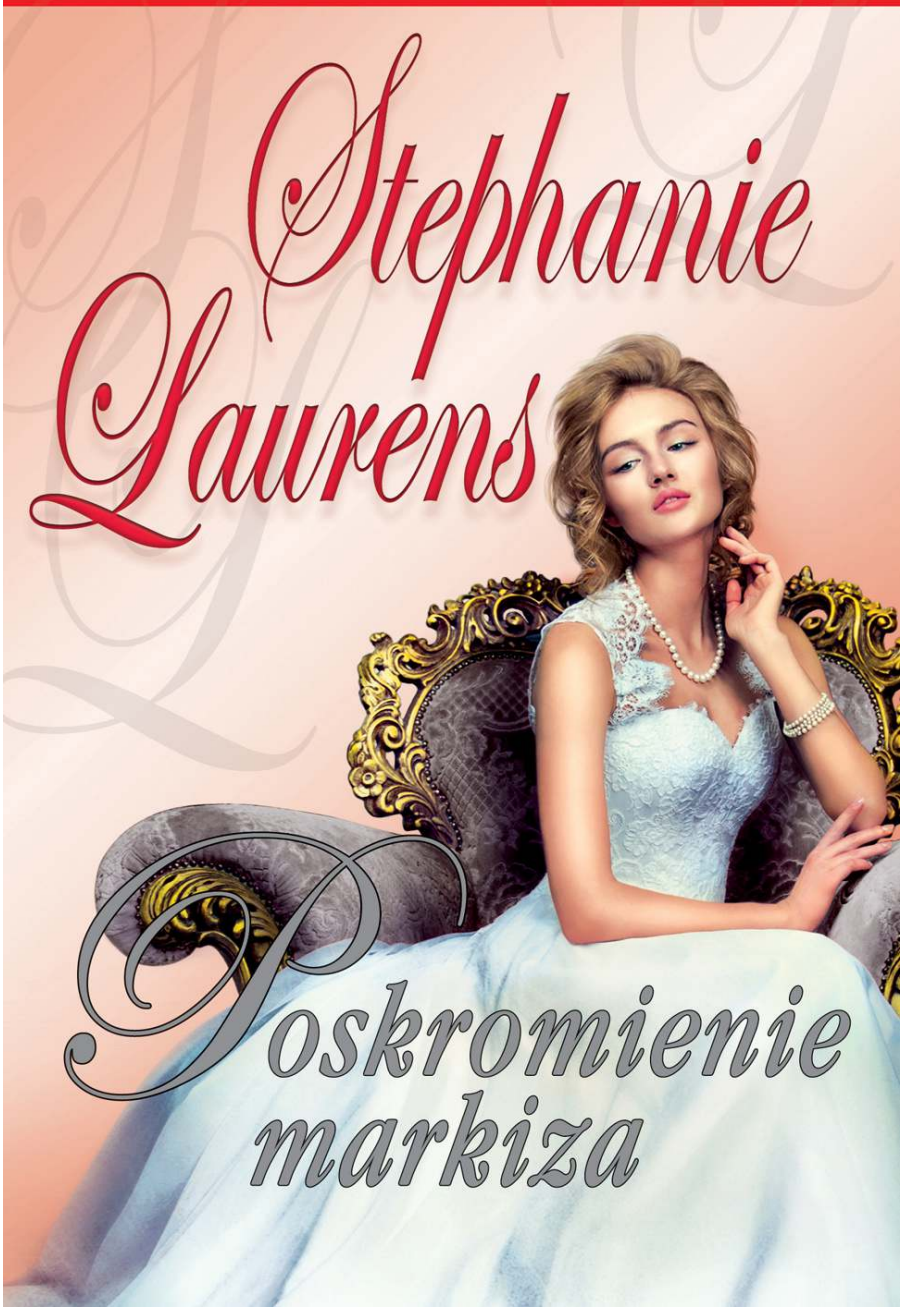

Poskromienie markiza

Stephanie Laurens

Poskromienie markiza

przełożyła
Magdalena Sikorska

bis
Warszawa 2015

Tytuł oryginału: The Taming of Ryder Cavanaugh

Projekt okładki: Karandasz

Copyright © 2013 by Savdek Management Proprietary Ltd.
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2015

ISBN 978-83-7551-446-9

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. (22) 877-27-05, 877-40-33; fax (22) 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Epilog

Rozdział 1

Maj 1837
Londyn

– To jego sobie upatrzyłaś?

Mary Alice Cynster podskoczyła na dobre trzydzieści centymetrów – a przynajmniej tak jej się zdawało. Kiedy po wstrząsie znów poczuła twardy grunt pod nogami, ogarnęła ją furia. Odwróciła się i spiorunowała wzrokiem swoją nemezis, tak niemożliwie irytującą i nieustępliwą. Dlaczego właściwie Ryder Cavanaugh przypisał sobie tę rolę, nie miała pojęcia, niemniej od czasu krótkiej potyczki na balu zaręczynowym jej siostry Henrietty, dwa wieczory temu, prześladował Mary, wytrwale zapracowując sobie na miano potwornego utrapienia.

Salę balową Felsham House wypełniała najznamienitsza śmietanka towarzyska. Jedwabie i atłasy sukien wytwornych dam żywymi plamami barw kontrastowały z czernią wieczorowych strojów dżentelmenów, lśniły ufryzowane głowy, połyskiwały klejnoty.

Mary wycofała się w cień pod galerią dla orkiestry, żeby lepiej widzieć swój cel. Obserwacja tak ją zaabsorbowała, że nie spostrzegła zbliżającego się Rydera; pomimo swych gabarytów poruszał się płynnie i cicho. Nieskazitelny strój wieczorowy o surowym kroju jak zwykle podkreślał siłę ujarzmioną w wysokiej, muskularnej sylwetce. Mężczyzna oparł się swobodnie ramieniem o ścianę obok Mary i przyglądał się jej spod półprzymkniętych powiek wzrokiem leniwego lwa.

Inni często dawali się zwieść prezentowanej przez Rydera postawie przyjaznego, łagodnego, apatycznego olbrzyma; Mary to nie dotyczyło. Pod tą powłoką krył się umysł równie przenikliwy, stanowczy i bezlitośnie niezawodny jak jej własny.

Choć zwodniczy czar leniwej obojętności sugerował co innego, ton jego głosu i fakt, że jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, wskazywały na to, iż Ryder zidentyfikował obiekt zainteresowania Mary – gdy ukradkiem zerknął ponad jej ramieniem.

Zaklęła w duchu – był ostatnią osobą, z którą chciałaby dzielić się tą informacją.

– Idź sobie.

Jak było do przewidzenia, rozkaz nie odniósł skutku; mogła sobie darować. Ryderowi – piątemu markizowi Raventhorne, który to tytuł odziedziczył po śmierci ojca przed sześciu laty – powszechnie przyznawano prawo do omijania zasad dobrego wychowania. Dostojne damy z towarzystwa aprobowały takie zachowanie w przypadku bardzo niewielu dżentelmenów – arystokratów na tyle potężnych, że gdy kroczyli przez wytworne sale balowe, salony i jadalnie, rozsądniej wydawało się nie stawać im na drodze, dopóki zachowywali resztki jakich takich manier. Był to jeden z owych niepisanych towarzyskich kompromisów.

Choć Mary nie ustąpiła mu pola – ani nie odwróciła wzroku – pozostawała doskonale świadoma przewag Rydera.

Nie mogło być inaczej.

Spoglądał na nią z góry, jakby kontemplował soczysty kąsek. Jako że była nie tylko

najmłodsza, ale i najniższa z dziewcząt w obecnym pokoleniu Cynsterów, Ryder zaś mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt, tego rodzaju „z góry" powinno ją onieśmielić. Mary wszakże nigdy nie czuła się onieśmielona w jego towarzystwie. Rozkojarzona, wytrącona z równowagi, nawet zbita z tropu do tego stopnia, że wręcz groził jej upadek, to tak, ale zastraszona – nie. Z drugiej strony, miewała z nim kontakt, odkąd sięgała pamięcią; ich rody zaliczały się do najstarszych w wytwornym towarzystwie, toteż dobrze się znały.

Orzechowe oczy mężczyzny nie odwracały się od jej twarzy.

– Nie możesz na poważnie wyobrażać sobie, że Rand będzie dla ciebie odpowiednim mężem.

Zadarła brodę.

– Wydaje mi się oczywiste, że o tym zadecyduję sama.

– Nie kłopocz się. Nie będziecie do siebie pasować.

– Ach tak? – Zawahała się, lecz jeśli ktokolwiek znał pragnienia Randa, to właśnie Ryder, jego przyrodni brat. Uniosła brwi i nasyciła swój głos pełną niedowierzania arogancją, by, jak na to liczyła, skusić go do podzielenia się szczegółowymi informacjami. – A czemuż to?

Podczas gdy on rozważał, czy wyświadczyć jej przysługę i opowiedzieć to i owo, Mary zastanawiała się, czy gdyby zaprzeczyła, że interesuje ją lord Randolph Cavanaugh, najstarszy z przyrodnich braci Rydera, nie postąpiłaby przypadkiem mądrzej… Kiedy jednak na balu zaręczynowym Henrietty i Jamesa prędko zbyła Rydera, odrzucając zaproszenie, dla którego większość dam z towarzystwa, młodych, w średnim wieku i całkiem wiekowych, byłaby gotowa zabić, nieumyślnie wzbudziła jego ciekawość, więc od tamtej pory prześladował ją z – na pozór – leniwym uporem.

Nawet jeśli dzisiejszy wieczór był dopiero drugim od czasu wspomnianego balu, Ryder miał więcej inteligencji niż trzeba, by odgadnąć cel Mary. Zatem doprawdy nie było sensu próbować go zwieść – stałby się jedynie bardziej diaboliczny.

– Pozwól, że wymienię powody – zamruczał. – Po pierwsze, niech wolno mi będzie zauważyć, że jako ostatnia niezamężna Cynsterówna ze swojego pokolenia uchodzisz za prawdziwą matrymonialną zdobycz.

Zmarszczyła brwi.

– Na pewno mi tego nie potrzeba, ale – zajrzała mu bacznie w oczy – nie rozumiem, czemu ktoś miałby mnie tak postrzegać. Jestem najmłodsza, a choć posag otrzymam niezgorszy, trudno uznać mnie za diament pierwszej wody lub wielką dziedziczkę.

Skinąwszy głową, Ryder powstrzymał chęć, by ją poinformować, że jakkolwiek nie myliła się, twierdząc, iż nie kwalifikuje się na diament pierwszej wody, wynikało to z nazbyt barwnej osobowości, nie zaś z braku urody. Była ogromnie atrakcyjna, ekscytowała i błyszczała, przyciągając męskie spojrzenia i pobudzając wyobraźnię, czego stał się nad wyraz świadom w trakcie owych kilku dni, kiedy to chodził za nią krok w krok, wiedziony ciekawością, podrażnioną dumą i jakąś trudniejszą do zidentyfikowania fascynacją.

– Pominęłaś jednak najważniejsze. Dla każdego z liczących się rodów jesteś ostatnią w tym pokoleniu szansą na przymierze z Cynsterami. Upłynie co najmniej dekada, nim dzieci twoich kuzynek wkroczą na matrymonialne targowisko. W konsekwencji, bez względu na to, czego sama sobie życzysz, istotnie uchodzisz za zdobycz. A, oczywiście, Rand nie dziedziczy ani tytułu, ani majątku.

W przeciwieństwie do niego.

– Spytaj którąkolwiek z dostojnych dam, każda powie ci to samo. Oczekuje się, Mary, że dobrze wyjdziesz za mąż.

Wydała z siebie odgłos podejrzanie zbliżony do parsknięcia.

– Gdyby tak się rzeczy miały, przeżywałabym oblężenie.

– Jeszcze nie teraz. – Nie widział powodu, by zachować tę informację dla siebie. – Ale czeka cię to w kolejnym sezonie. Masz dopiero dwadzieścia dwa lata, ponadto w tym roku twoją rodzinę absorbują zaręczyny Henrietty i jej zbliżający się ślub. Pod względem matrymonialnym nikt ci się w tej chwili nie przygląda.

Oprócz niego. I zależało mu na tym, by wyprzedzić na starcie potencjalnych konkurentów.

Zacisnęła wargi – barwy płatków róży, nadspodziewanie soczyste w tak młodej twarzy.

– Tak czy inaczej, w kwestii tego, kogo poślubię, liczy się wyłącznie moje zdanie. – Jej mina stała się jeszcze bardziej wojownicza. – A pod wszelkimi innymi względami…

– Rand się nie nadaje. Jest ode mnie o sześć lat młodszy, jedynie o dwa lata starszy od ciebie. – Kiedy wymieniał te liczby, uzmysłowił sobie jeden z powodów, dla których wybrała Randa na potencjalnego męża. – A na wypadek gdyby umknęło to twojej uwadze… Aczkolwiek postawiłbym znaczną kwotę, że nie umknęło… Podczas gdy w wieku dwudziestu czterech lat dżentelmen jest już dojrzały na ciele, rzadko oznacza to dojrzałość na umyśle. – Uśmiechnął się. – Daj mu trochę czasu, a wierz mi, stanie się dokładnie taki jak ja.

Właśnie tego rodzaju przemianie Mary planowała zapobiec. Odwróciła się i na nowo podjęła obserwację wzmiankowanego dżentelmena, który stał w grupie pośrodku długiej sali balowej.

– Wedle mojej oceny Randolph będzie dla mnie idealnym mężem.

Pomijając inne kwestie, Rand był łagodniejszą wersją Rydera. Gdyby go poślubiła, z pewnością zdołałaby wpłynąć na niego na tyle, by zagwarantować, że nie przekształci się w arystokratę choć w części tak zabójczo niebezpiecznego dla kobiet jak jego starszy brat. W rzeczy samej, wychodząc za Randolpha, oddałaby swojej płci ogromną przysługę. Żeńska połowa ludzkości stanowczo nie potrzebowała kolejnego Rydera. Nie dość, że był pociągający, to jeszcze nieokiełznany.

Wpatrzona w Randolpha, dokonała przeglądu jego atutów. Zamiast złotawej grzywy, jak u Rydera, Rand miał włosy ciemnobrązowe, przypominające ciemne pukle jego matki Lavinii. Podczas gdy Ryder miał na głowie intrygująco potargany gąszcz loków – wiele kobiet kusiło, by przeczesać je palcami – włosy Randolpha były przycięte zgodnie z najnowszą modą, ani długie, ani krótkie, podobnie jak u wielu obecnych na sali mężczyzn.

Rand był barczysty, choć nie tak jak Ryder, a przy tym smuklejszy od brata, lecz z drugiej strony, przerastał go o blisko dziesięć centymetrów, zatem imponujący ogrom jego klatki piersiowej robił wrażenie. Randolph także był zbudowany proporcjonalnie – tyle że według ziemskiej, a nie boskiej skali.

Jak przyznała w duchu Mary, mniej więcej do tego sprowadzała się różnica między przyrodnimi braćmi. Nie tylko między Ryderem i Randolphem, lecz także młodszymi z rodu – Christopherem, zwanym Kitem, i Godfreyem. Ryder był jedynym dzieckiem z pierwszego małżeństwa swego ojca; Randolpha, Kita i Godfreya urodziła druga żona zmarłego markiza, Lavinia. Mieli też siostrę, Eustację zwaną Stacie. Mary znała ich wszystkich na gruncie towarzyskim, ale niezbyt dobrze; musiała więc zebrać przydatne informacje, skoro poprzez ślub zamierzała wejść do tej rodziny.

Niecierpliwiła się, by prowadzić dalej kampanię, której celem było nakłonienie Randolpha do oświadczyn. Pierwsze miesiące sezonu towarzyskiego spędziła na pełnej determinacji analizie potencjalnych kandydatów. Kiedy uzmysłowiła sobie, że Rand idealnie odpowiada jej wymaganiom, skoncentrowała się na tym, by zmobilizować Henriettę do założenia naszyjnika, który szkocka bogini, zwana Lady, podarowała siostrom Cynster. Lady była powiązana z rodem przez Catrionę, żonę Richarda, kuzyna Mary. Catriona, główna kapłanka bogini, najwyraźniej cieszyła się też jej największymi względami. Za jej pośrednictwem Lady zarządziła, że kolejne Cynsterówny powinny nosić naszyjnik, aby pomógł im znaleźć „odpowiednich dżentelmenów". We własnym gronie dawno temu zdefiniowały ten typ jako mężczyznę, który każdej z nich zawróci w głowie, porywając ją w wir miłości i małżeńskiego szczęścia. Choć początkowo wszystkie okazywały sceptycyzm wobec mocy naszyjnika, jego magia podziałała, najpierw dla Heather, potem dla Elizy, następnie dla Angeliki i wreszcie, ostatnio, dla Henrietty, mimo że ta z uporem odmawiała wiary w skuteczność talizmanu.

Naszyjnik ze złotych ogniw przeplatanych ametystowymi koralikami, na którym dyndał stożkowaty wisior z różowego kwarcu, został przekazany Mary. Okalał teraz jej szyję; między piersiami czuła ciepło fasetowanego kryształu.

I wierzyła – wkładając w to całe serce i pokaźną siłę woli – że klejnot i dla niej zadziała. Chcąc jednak przyspieszyć sprawy, zawczasu dokonała rekonesansu i zidentyfikowała Randolpha Cavanaugha jako jedynego – idealnego męża dla siebie. Naszyjnika potrzebowała w zasadzie tylko do tego, by potwierdził jej wybór.

Otrzymała go dwa dni temu, tuż przed balem zaręczynowym Henrietty; siostra zapięła go na jej szyi i od tamtej pory Mary się z nim nie rozstawała. Minionego wieczoru po raz pierwszy miała okazję pomówić z Randolphem, będąc w posiadaniu naszyjnika. Oboje gościli na przyjęciu u lady Cornwallis, lecz choć spędziła ponad pół godziny w tej samej grupie co Randolph, konwersując i żartując, nie poczuła niczego szczególnego.

Nie była pewna, czego oczekiwała, jeżeli jednak dobrze zrozumiała swoje kuzynki i Henriettę, naszyjnik działał jak katalizator; noszenie go gwarantowało, że odpowiedni dżentelmen stanie na jej drodze, ale na większą pomoc nie można było liczyć. Nawet na żaden znak.

Będzie zatem musiała spędzić z Randolphem więcej czasu. Jeśli był jej mężczyzną, tym bezdyskusyjnie jedynym, wówczas... coś powinno się zdarzyć. Coś powinno zapłonąć.

Przesunęła się i omiotła wzrokiem większą część sali, szukając sposobu, by podejść do niego bliżej.

– Jak najlepiej to zrobić? – szepnęła.

Natychmiast uświadomiła sobie, że Ryder nachylił się ku niej, usiłując pochwycić jej słowa. Zdławiła impuls – niemal przemożne, naglące pragnienie – by na niego spojrzeć. Odbierała go jako ciepłe kuszące doznanie, gdy tak stał u jej prawego boku. Jego podstępnie zmysłowa obecność niosła nieuchwytną obietnicę, która przyciągała każdą kobietę.

Rzecz nie w tym, że na nią nie działał, że jej nie pociągał. Po prostu już dawno zdała sobie sprawę, iż okazując mężczyźnie względy – nieważne, w jaki sposób – przekazuje mu ster.

A jakiś czas temu postanowiła, że zawsze będzie pozostawać u steru.

Mając w rodzinie tylu przystojnych i dominujących mężczyzn, przez całe życie uczyła się, jak oni się zachowują, jak przyjmują oznaki uległości ze strony damy oraz jak one wyglądają.

Pracowała nad tym, by wyplenić je z repertuaru własnych instynktownych zachowań.

Dlatego też, chociaż dostrzegała atrakcyjność Rydera jak każda inna dama, nie dała mu podstaw do tego, by sądził, że zrobił na niej jakiekolwiek wrażenie.

Mary nie zależało na jego uwadze, lecz na uwadze Randolpha, i tego wieczoru była zdecydowana ją zdobyć. Założyła nową suknię z chabrowego jedwabiu, której kolor współgrał z barwą jej oczu.

Randolph. Skoncentrowała się na nim. Choć bez większego trudu utkwiła w nim wzrok, pozostałe zmysły zwlekały z wykonaniem rozkazu.

Przeklęty Ryder! Kiedy stał tak blisko, nawet jeśli Mary świetnie to ukrywała, jej krnąbrne zmysły pozostawały o wiele bardziej zainteresowane nim aniżeli Randolphem. Z punktu widzenia zmysłów Randolph, choć wysoce atrakcyjny, wypadał blado w porównaniu z przyrodnim bratem.

Jednakże przystojny jest ten, kto przystojnie czyni, a w prostych słowach, Ryder był zbyt przystojny, więcej, zbyt atrakcyjny pod każdym możliwym względem, by wyszło to na dobre jemu czy komukolwiek innemu.

A już zwłaszcza Mary. Nie łudziła się co do swej siły; Ryder miał silniejszą wolę niż ona. Nie dałaby sobie z nim rady, podobnie jak żadna inna kobieta.

Z drugiej strony, Randolph znajdował się w zasięgu jej możliwości; świetnie by do niej pasował.

– Zaryzykuję, że odgryziesz mi głowę – wymruczał Ryder – ale jak właściwie wyobrażasz sobie przekonanie Randa, że jesteś odpowiednią damą dla niego?

Ryder słyszał ruch na galerii nad ich głowami; muzycy już przybyli i wkrótce zaczną grać. Musiał jedynie do tego czasu zatrzymać Mary przy sobie.

Wolno odwróciła głowę i posłała mu spojrzenie, które w jej mniemaniu było zapewne zniechęcające. Musiała się jeszcze sporo nauczyć; bardziej by go zniechęciła słodkim uśmiechem.

Jej opór wabił Rydera jak mało co. Dla kogoś tak pewnego siebie jak on nowość miała fascynujący smak. Ponieważ jednak za cel obrał sobie opóźnienie momentu, kiedy Mary go opuści, nie rzekł nic więcej, tylko czekał na odpowiedź z bezgraniczną cierpliwością doświadczonego myśliwego.

– Nie pojmuję, dlaczego miałoby cię to obchodzić.

Otworzył szeroko oczy.

– Czyż to nie oczywiste? Rand jest wszak moim młodszym bratem.

– Przyrodnim. – Z dumnie uniesioną głową spojrzała znów przez salę na Randa. – Przyznaję, że w niczym cię nie przypomina, nie rozumiem jednak, dlaczego wydaje ci się, że potrzebuje twojej ochrony przed takimi jak ja.

Wargi mu drgnęły.

– Impertynenckie dziewczę.

Niemniej w dużym stopniu trafiła w sedno – upatrzyła sobie jego niewinnego młodszego brata i w Ryderze istotnie obudziły się instynkty opiekuńcze. Dama taka jak ona mogła przerazić Randa, w każdym razie dopóki był taki młody.

Okoliczność, że opiekuńcze odruchy Rydera sprzymierzyły się z jego planem działania, pozostawała pomocnym zrządzeniem losu.

Nadal wpatrzona w Randa, Mary nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Jestem jaka jestem, przy czym trudno mnie odbierać jako zagrożenie dla Randolpha.

– To mocno zależy od punktu widzenia.

Znów przeszyła go ostrym spojrzeniem, ale nim zdążyła się odezwać, nad ich głowami

rozległ się chropawy pisk, a zaraz po nim rozbrzmiały pierwsze nuty walca.

Doskonale.

Nie zostawiając jej czasu na reakcję, a tym bardziej ucieczkę, Ryder wystąpił z cienia pod galerią w jaskrawy blask kryształowych żyrandoli i wykonał przed Mary głęboki ukłon. Wyciągnął rękę i spojrzał w jej rozszerzające się oczy.

– Niechże wolno mi będzie błagać, byś zaszczyciła mnie tym tańcem.

Jej wzrok stał się odrobinę błędny i – tak – z lekka przerażony. Ryder obserwował ją bacznie, rozpoznał zatem moment, gdy zdała sobie sprawę, co się z nią stanie w jego ramionach; nie zdoła zdusić w sobie naturalnej reakcji, którą, po prostu to wiedział, dotąd tłumiła.

Opuściła wzrok na jego dłoń, po czym znów spojrzała mu w oczy.

– Nie.

Uśmiechnął się. Z determinacją.

– Na pewno rozumiesz, że nie ma sensu urządzać sceny, która skupi na nas uwagę wszystkich obecnych na sali dostojnych dam. Ostatecznie – uniósł brew – jakąż to wymówką mogłabyś się posłużyć, by odmówić mi tańca?

Patrząc na niego, zmrużyła oczy. Wargi, te soczyste wargi, na których temat zaczął już fantazjować, zacisnęły się w wąską kreskę. Po kolejnej sekundzie skinęła głową. Raz.

– W porządku.

Uniosła rękę, ale zamarła, gdyż jej palce dzieliły od dłoni Rydera zaledwie centymetry.

Oparł się impulsowi, by gwałtownie ująć jej rękę, znów pochwycił jej spojrzenie i uniósł brew.

– Jeden taniec. A potem zaprowadzisz mnie do przyjaciół Randolpha.

Nie wahał się.

– Zgoda.

Zamknął jej palce w swoich, przyciągnął ją do siebie i powiódł ku środkowej części sali, gdzie goście właśnie się rozstępowali, robiąc miejsce dla tancerzy.

Kiedy prowadził Mary, jego wargi wygięły się w spontanicznym uśmiechu. Ze sposobu, w jaki się poruszała, stąpając lekko i niemalże ochoczo u jego boku, wnioskował, że we własnym mniemaniu wygrała, a przynajmniej zremisowała w tej potyczce.

Jednak fechtowała się z mistrzem. Zapomniał na temat tej gry więcej, niż ona kiedykolwiek się nauczy; dopasowanie się do jej planów całkowicie mu odpowiadało. Najpierw wszakże czekała go nagroda – walc.

Gdy dotarli na parkiet, odwrócił się i pociągnął ją ku sobie. Nie poczuł się zaskoczony, kiedy płynnie za nim podążyła. Zamiast jednak podnieść wzrok na jego twarz, spojrzała na prawo od Rydera, tam gdzie Randolph nadal gawędził ze swymi kompanami.

Ryder delikatnie położył dłoń na jej plecach – i wtedy przeszył ją wielce wymowny dreszcz, mimo że sobie tego nie życzyła. Absolutnie.

Uśmiechając się na myśl o czekającej go przyjemności, porwał Mary do tańca – i rozkoszował się tym, że jej oczy rozbłysły, a soczyste wargi lekko się rozchyliły.

Od tego momentu zawładnął jej uwagą. Nie zamierzał dopuścić, by znów gdzieś uciekła myślami czy wzrokiem. Zawirował z nią na parkiecie. Dopasowała się do niego instynktownie, lecz zarazem czuł jej opór, który starała się mu komunikować spojrzeniem.

Trzymała się mocno, by nie okazać najmniejszej uległości.

Czyste wyzwanie.

On dla niej i ona dla niego.

Wirowali na parkiecie i, niczym niewidzialną rękawicę, rzucali sobie wyzwanie.

Przygodny obserwator zobaczyłby jedynie wpatrzoną w siebie parę, pochłoniętą tańcem.

Nikt z zewnątrz nie mógł dostrzec ich zmagań. Tej małej bitwy.

Tkwiący w nim drapieżnik rozkoszował się tym stanem. Ryder nauczył się już dawno, że w jego przypadku sukces był najczęściej efektem poddania się instynktowi. Teraz to także instynkt zaprowadził go do Mary Cynster.

Dziewczyna będzie jego.

Dzięki niej jego życie stanie się takie, jakiego pragnął.

Nieważne, że teraz Mary nim pogardzała. To się zmieni.

Tymczasem Mary z trudem mogła oddychać. Czuła ucisk w płucach.

Nie mogła udawać, że nie rozumie, co się dzieje. Ryder, niech go diabli, przejrzał jej metody.

Jeśli nie od razu, to z pewnością wtedy, gdy popatrzyła na Randolpha i na moment zapomniała, że o wiele większe niebezpieczeństwo, w każdym możliwym sensie, stoi tuż przed nią.

Tamta chwila, gdy dłoń Rydera, wielka i silna, dotknęła jej obleczonych w jedwab pleców…

Stłumiła tę myśl; samo wspomnienie wystarczyło, by zadrżała. Ponownie. A nie uważała za wskazane rzucać kolejnej przynęty lwu, który wywijał z nią na parkiecie.

Uważała za konieczne odzyskanie kontroli. Jeśli wyniosła z tego wieczoru jakąś naukę, to tę, że Ryder – z niepojętego powodu – wbił sobie do głowy, iż na nią zapoluje, w wytwornym towarzystwie zaś był jednym z nielicznych, którzy mieli dostatecznie dużo sprytu, talentu i umiejętności, by okiełznać Mary. Dowodził tego ich walc. Na samą myśl o tym, że ktoś miałby ją kontrolować, zaciskała zęby. Pojmowała, że w tym wypadku mądrość nakazuje nie walkę, lecz ucieczkę. Mądre damy nie podejmują się zadań, którym nie są w stanie podołać – a Mary nie podołałaby Ryderowi. Żadnej damie by się to nie udało.

Co gorsza, wystarczyła chwila zastanowienia i Mary się upewniła, że w jej świecie nie znajdzie się dziedzina, w której Ryder by nie dominował; wedle jej oceny był równie jak ona biegły w naginaniu konwenansów, tak by były dla niego korzystne i na coś się przydały.

Zatem tak, musiała uciekać – znaleźć się od niego tak daleko, jak to tylko możliwe, i trzymać go na dystans, przynajmniej dopóki on nie daruje sobie pościgu i nie zwróci się ku bardziej przychylnej mu zdobyczy.

Do jej świadomości zaczęła drążyć sobie drogę niepokojąca myśl. Nie sposób było zaprzeczyć, że ona – młoda, niezamężna, z wyjątkowo dobrej rodziny – nijak nie przystawała do kryteriów, wedle których Ryder dobierał zwykle partnerki do flirtu…

Przyzwoliła, by smutek, jaki ogarnął jej myśli, pojawił się w oczach. Między obojgiem utrzymywała się nadal pełna napięcia cisza. To dwie dominujące osobowości ścierały się zaciekle.

Nie zastanawiając się dłużej, Mary postanowiła to przerwać.

– Dlaczego to robisz? – spytała nagle.

– A jak ci się zdaje?

– Gdybym wiedziała, nie pytałabym. W twoim przypadku wolałabym niczego nie domniemywać.

Jego wargi drgnęły, po czym wygięły się w pełnym uznania uśmiechu.

– Bardzo mądrze.

Przyciągnął ją bliżej. Na tyle blisko, że ciepło jego ciała dotarło do niej przez ubranie, ona zaś zanurzyła się cała w głębi przejmująco fizycznego doznania, zdominowana przez jakże męskie ciało, znacznie potężniejsze, silniejsze i bardziej umięśnione, nieskończenie silniejsze od jej własnego…

To było obce, tak odmienne, lecz zarazem jakże pociągające.

Kiedy wykonali pełny obrót, utraciła zdolność oddychania. Nawet w myślach nie potrafiła go winić, gdy ramię na jej plecach naprężyło się i przygarnęło ją opiekuńczo jeszcze bliżej, twarde udo zaś wsunęło się na moment między jej nogi.

Gdy skończyli taniec, wydostali się z tłumu, Mary zaś walczyła, by znów odzyskać normalny spokojny oddech.

Kiedy tylko jej się to udało…

– Ryderze…

Muzyka ustała. Ryder z uśmiechem uniósł brew i przepisowo się ukłonił.

Dygnęła, zaciskając wargi. Nim zdążyła się odezwać i podjąć próbę uzyskania od niego odpowiedzi – jakiejkolwiek – uniósł głowę, lustrując gości.

– Gdzie ten Rand? – Spojrzał na nią. – Nadal chcesz, żebym utorował ci do niego drogę?

Wpatrywała się w jego orzechowe tęczówki i nie wiedziała, co myśleć.

– Tak, proszę.

– I…?

Wiedziała, o co mu chodzi, lecz zwlekała chwilę, nim ustąpiła.

– Dziękuję za walca.

Uśmiechnął się – a to było naprawdę nie w porządku. Pod wpływem tego uśmiechu serce Mary zgubiło rytm. Wystudiowanym gestem zaofiarował jej ramię. Kiedy wsparła na nim dłoń, Ryder nachylił ku niej głowę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – wymruczał.

Zmysłowość w jego głosie przyprawiła Mary o kolejny dreszcz. Zwalczyła impuls, by spojrzeć mu w oczy; zaczerpnęła tchu i się rozejrzała.

– Randolph jest tam.

Ruchem głowy wskazała miejsce, gdzie jego przyrodni brat stał w grupie innych młodych dżentelmenów i dam.

Ryder wahał się ledwie przez sekundę, a potem, zgodnie z ustaleniami, zaprowadził ją do Randolpha.

Wprowadziwszy Mary do grupki zgromadzonej wokół jego brata, zamienił z obecnymi kilka uprzejmych zdań, po czym się wycofał. Choć znał tu dość dobrze wszystkich mężczyzn – bez wyjątku przyjaciół Randa – oraz niektóre młode damy, był od nich na tyle starszy, by zaliczać się do innego pokolenia; niewiele go z tymi ludźmi łączyło.

Zmierzając w stronę bufetu, analizował poczynione tego wieczoru postępy i uznał, że czuje się usatysfakcjonowany. Kiedy już zdecydował się ożenić – raczej wcześniej niż później – pomyślał, że wykorzysta przymusowy udział w balu zaręczynowym Henrietty Cynster i Jamesa Glossupa, by zrobić pierwsze kroki w drodze do celu. Jego wzrok padł na Mary. Doceniwszy natychmiast potencjał dziewczyny, Ryder usiłował schwytać ją w potrzask jedynie po to, aby go oszacować, został jednak odprawiony.

Oczywiście, zaskoczyła go tym na tyle, że z większym zainteresowaniem skupił na niej

uwagę i w rezultacie dowiedział się, że Mary wyrusza właśnie na poszukiwanie „swojego dżentelmena" – którego zamierza poślubić. Oświadczyła nawet, że zidentyfikowała już owego szczęściarza, lecz Ryder nie miał pojęcia, kogo spotkało to wyróżnienie.

Fakt, że to na Randzie spoczęły jej oczy, mógłby być wystarczającą przesłanką, by odstąpić i pozwolić bratu samodzielnie podjąć decyzję. Jednak bardzo dobrze wiedział, że Rand nie jest na razie zainteresowany ożenkiem – miał dopiero dwadzieścia cztery lata. Brał udział w tego rodzaju wydarzeniach towarzyskich wyłącznie ze względu na podejmowane przez jego matkę, Lavinię, macochę Rydera, próby wyswatania go, gdyż w tak młodym wieku nadal wolał ulegać jej naleganiom, niż stanąć do bezpośredniej konfrontacji. Tak czy inaczej, związek z Mary okazałby się dla Randa nieporozumieniem. Dziewczyna była stanowczo zbyt… niezależna. Zdecydowana. Uparta. I lubiła manipulować ludźmi.

Zrobiłaby biedakowi wodę z mózgu, a potem kazałaby mu tańczyć, jak ona zagra.

Naturalnie, z Ryderem spróbuje tej samej taktyki, on jednak nie tylko był dla niej godnym przeciwnikiem, lecz także z niecierpliwością wyczekiwał tej bitwy. Zmagań.

Wyzwania.

Znał siebie na tyle dobrze, by przyznać, że taka perspektywa silnie go nęci. Podobnie jak związane z nią zjawisko, że w przeciwieństwie do większości młodych czy nawet nieco starszych dam Mary przez cały czas śmiało patrzyła mu w oczy. Kiedy rozmawiali, koncentrowała się na tej bliskości, przy czym jak we wszystkim, co robiła, jej skupienie było całkowite. Nie błądziła myślami Bóg wie gdzie, niełatwo było ją rozkojarzyć. Kiedy rozmawiali, absorbował całą jej uwagę.

Umiała go poskromić. Jego wewnętrzną bestię. Aż zamieniała się w małego mruczącego kotka.

Dotarłszy do bufetu, Ryder wziął z tacy szklaneczkę brandy, upił łyk, po czym odwrócił się i powiódł wzrokiem ponad głowami gości lady Felsham. Na dłużej zatrzymał spojrzenie na Randzie i Mary. Stali obok siebie, słuchając – jego brat chciwie, Mary z ledwie trzymanym w ryzach zniecierpliwieniem – jednego z przyjaciół Randa, który opowiadał, wnosząc z gestykulacji, jakąś historię związaną z jeździectwem.

Właśnie z tego powodu Ryder ją zostawił u boku swojego brata, w otoczeniu młodzieży, gdzie mogła jedynie udawać zainteresowanie poruszanymi tematami; co stanowiło doskonały kontrast z pełnym emocji walcem.

Zapewne Rand i jego przyjaciele zauważą brak zainteresowania ze strony Mary, zaczną więc odnosić się do niej ostrożnie – a to ją najpewniej zirytuje.

Ryder z uśmiechem pociągnął kolejny łyk brandy.

Jakiś ruch z prawej strony przyciągnął jego uwagę. Zbliżająca się doń ciemnooka szatynka, w której rysach nadal dostrzegało się ślady dawnej urody, kobieta po czterdziestce i, niestety, coraz bardziej przysadzista, czyli jego macocha, Lavinia, markiza Raventhorne, miała z Ryderem niewiele wspólnego – dbał o to, by jak najmniej.

– Lavinio.

Zmierzyła go poirytowanym spojrzeniem, na dłużej zatrzymując wzrok na dużym diamencie wpiętym w halsztuk, a należącym do ojca Rydera i wchodzącym w skład klejnotów rodowych. Żadnego z nich nie pozwolono Lavinii zatrzymać po śmierci męża. U jej boku stała jedna z jej przyjaciółek, lady Carmody, która teraz dygnęła sztywno, na co Ryder odpowiedział nieznacznym ukłonem. Dawno temu nauczył się, że niewzruszona lodowata uprzejmość najskuteczniej utrzymuje macochę i jej towarzystwo na dystans.

– Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczona, spotykając cię tutaj – oznajmiła Lavinia.

– Czyżby? Sądziłem, że wiesz, iż jest to mój zwyczajowy teren łowiecki. Jako że aktualnie narzekam na brak towarzystwa, postanowiłem zrobić przegląd stada.

Lavinia spłonęła rumieńcem.

– Doprawdy, Ryderze! Nie musisz być tak bezpośredni. – Wykonała gest pełen przesadnej wyższości. – Niewiele mnie obchodzi, gdzie szukasz swoich miłostek.

Lady Carmody zachichotała.

– No cóż, Lavinio, biedak musi gdzieś zapoznawać kochanki, a z pewnością wolisz, by robił to tutaj niż w jakimś teatrze.

Ryder nie miał dotąd powodu lubić lady Carmody, lecz w rewanżu za ten komentarz pospieszył jej z pomocą, by zatrzymać wzbierającą falę gniewu Lavinii, która lada moment załamałaby się nad głową nieszczęsnej przyjaciółki.

– Niedawno rozmawiałem z Randem. Stoi w tamtej grupie. – Ryder wskazał brata skinieniem głowy i zrobił przerwę, by dać Lavinii czas na zlokalizowanie pierworodnego. – Skoro już rozważamy powody obecności na balu różnych osób… Czy mam wnosić, że przywiodły go tu zainteresowania podobne do moich?

Lavinia aż poczerwieniała z oburzenia.

– Nie bądź głupi! W przeciwieństwie do ciebie Randolpha nie interesuje przygodny flirt. Nader stosownie szuka właściwej damy, z którą założy rodzinę, by kontynuować ród Cavanaughów. – Lavinia zerknęła na Rydera. – Ktoś musi to zrobić, tego by pragnął twój ojciec.

Bezsprzecznie była to prawda, z tą drobną różnicą, że ojciec poprosił Rydera, by się ożenił i spłodził potomka rodu. Zamiast jednak poinformować o tym szczególe Lavinię, postanowił się oddalić.

– I mając to na względzie, chyba się już pożegnam. – Skłonił głowę.

Lavinia ledwie raczyła przyjąć ukłon Rydera do wiadomości, ale lady Carmody posłała mu konspiracyjny uśmiech.

Odwrócił się, odstawił szklaneczkę po brandy i wmieszał się w tłum.

Ledwie Ryder znalazł się poza zasięgiem wzroku, Lavinia chwyciła przyjaciółkę za rękaw.

– Popatrz! – szepnęła. – Nie śmiałam żywić nadziei, ale wygląda na to, że moja subtelna intryga przyniosła owoce.

Lady Carmody podążyła za jej urzeczonym spojrzeniem.

– No, no. – Przez chwilę obserwowała grupę, w której stał Randolph. – Muszę przyznać, moja droga, że doprawdy nie wierzyłam, by ktokolwiek zdołał wpłynąć na dziewczynę taką jak Mary Cynster, ale proszę, istotnie, oto i ona. Gawędzi z twoim Randolphem.

– Tak! – Lavinia chłonęła ów widok całą sobą. – Mówiłam ci, trzeba jedynie zrozumieć, że sugerowanie czegokolwiek takim jak panna Cynster wymaga niesłychanej delikatności. Ani razu nie rozmawiałam z nią osobiście, zadbałam też, by żadna z kolportowanych przeze mnie wiadomości nie dotyczyła konkretnie Randolpha. Chodziło wyłącznie o to, by niby przypadkiem dowiedziała się o jego istnieniu. I moja strategia poskutkowała! – Rozpromieniona dama spojrzała na przyjaciółkę. – Teraz, jak sądzę, możemy pozostawić zdarzenia własnemu biegowi. Randolph nie jest głupcem, a panna Cynster prędko odkryje, że nie znajdzie nikogo lepszego.

– Hm. – Lady Carmody nadal uważnie przyglądała się parze. – Zakładam, że… ach, zasiałaś w głowie swego drogiego syna myśl o tym, że Mary Cynster jest ostatnią

niezamężną dziewczyną z rodu, a zatem ostatnią szansą na zbudowanie relacji z Cynsterami?

– Oczywiście! – Lavinia ujęła ją pod ramię. – Aczkolwiek bardzo ostrożnie, rozumiesz. Dżentelmeni w tym wieku są wszak tacy drażliwi na punkcie przyjmowania dobrych rad od swoich matek. Ale wierz mi. – Po raz ostatni spojrzawszy na Randolpha i Mary po drugiej stronie sali, Lavinia niespiesznie powiodła przyjaciółkę w przeciwnym kierunku. – Moje ziarna padły na podatny grunt i wszystko wskazuje na to, że wzejdą, tak jak powinny. – Unosząc głowę, dama się uśmiechnęła. – A to, przyznam, sprawia mi ogromną satysfakcję. Nie mogę się doczekać, kiedy poinformuję Rydera o zaręczynach.

*

– Jak ci się udał wieczór, kochanie?

Mary spojrzała na matkę usadowioną obok niej w karecie, która statecznie toczyła się po bruku, wiozący obie kobiety do domu.

– Znośny. Ale, niestety, nic ponadto.

Louise uśmiechnęła się w migotliwym blasku ulicznej lampy. Poklepała córkę po nadgarstku.

– Nie spiesz się tak, kochanie. Twój odpowiedni dżentelmen przybędzie po ciebie we właściwym czasie.

Mary stłumiła westchnienie. W półmroku opuściła wzrok na swój naszyjnik, a konkretnie na wisior z różowego kwarcu wtulony między piersi. Głupie cacko. Stała obok Randolpha przez ponad pół godziny i po raz kolejny… nic. Żadnej emocji, a w dodatku on i jego przyjaciele chcieli rozmawiać wyłącznie o koniach.

Nie odczuła rozkosznego wyczekiwania, jej nerwy ani na moment się nie napięły.

Z pewnością nie doświadczyła niczego choć trochę przypominającego doznania w trakcie wybornego walca z Ryderem.

Nie była na tyle głupia, by wyobrażać sobie, że to Ryder – on, któremu wywoływanie takich doznań przychodziło bez wysiłku – jest tym jedynym. Wykluczone. Żadna bogini nie połączyłaby damy pokroju Mary, tak wysoce ceniącej sobie możliwość sprawowania kontroli, z arystokratą, który, choć w skórze leniwego lwa, pozostaje wielkim panem i niemal dyktatorem.

Okoliczność, że rozpalił w niej tego rodzaju uczucia, nie miała tu nic do rzeczy; wzbudzał je, ostrożnie szacując, u co najmniej połowy żeńskiej populacji.

Taki po prostu miał styl, dar w pewnym sensie, i uciekał się do niego zupełnie odruchowo.

– A właśnie, rozmawiałam z twoimi ciotkami na temat ostatecznych przygotowań do ślubu. Zdumiewające, ale wszystko przebiega na tyle idealnie, że zdecydowałyśmy, iż kilka spokojnych dni na wsi wyśmienicie nas pokrzepi, dzięki czemu łatwiej zniesiemy trudy tego wielkiego wydarzenia. – Louise oparła głowę o zagłówek i kontynuowała: – Postanowiłyśmy wykorzystać ten okres względnego spokoju, tak więc jutro wyjeżdżamy na trzy dni do Somersham. – Odwróciła głowę, żeby przyjrzeć się Mary. – Naturalnie, będziesz tam mile widziana, ale sezon trwa w najlepsze, a twoje zamężne siostry i szwagierka są w mieście, jeśli więc wolisz zostać…?

Mary zmarszczyła brwi. Nie czuła się jeszcze gotowa, by choć rozważyć, czy on jest jej ukochanym – być może musiałaby spędzić z nim trochę czasu sam na sam, a

przynajmniej nie w grupie innych osób.

– Wolałabym zostać. – Popatrzyła na matkę. – Amanda i Amelia, Portia zresztą też, wybierają się na wszystkie bale, na które chciałabym pójść.

Louise skinęła głową.

– Wyślę do każdej z nich liścik, kiedy dotrzemy do domu. Zakładając, że z chęcią podejmą się roli przyzwoitek, nie widzę powodu, żebyś nie miała zostać i uczestniczyć we wszystkich balach z twojego terminarza.

Spoglądając przed siebie, Mary skoncentrowała się na obmyślaniu strategii, która pomogłaby odkryć w Randolphie Cavanaughu jej wybranka.

Rozdział 2

– Wypocznijcie i o nic się nie martwcie! – Mary uściskała matkę, a potem cofnęła się, by jej starsze siostry, Amanda i Amelia, także mogły ją wycałować.

– Bez obaw. – Odstępując o krok, Amanda spojrzała czule na Mary. – Przypilnujemy jej.

Louise ze śmiechem poklepała każdą z bliźniaczek po ramieniu.

– Wiem, że mogę polegać na was dwóch, i na Portii także.

Na ten sygnał Portia wystąpiła, by przytulić Louise, a potem do holu nadeszli szybkim krokiem Henrietta i podążający za nią James, którzy do tej pory zmagali się w bibliotece z pytaniem, w jaki sposób rozkwaterować przybyłych na ślub spoza miasta krewnych pana młodego.

– Do widzenia, mamo! Papo! – Henrietta cmoknęła w policzek najpierw Louise, a potem stojącego obok żony Arthura. – Cudownego wypoczynku.

Arthur oddał pocałunek i puścił córkę. On i jego bracia zdecydowali, że skorzystają z tej okazji i dołączą do małżonek, by spędzić na wsi kilka spokojnych dni – i trochę sobie postrzelać.

W czasie gdy Louise wdziewała płaszcz, z ojcem pożegnały się pozostałe dziewczęta. Śniadanie zjedzono godzinę temu, a później przybyli: Amanda, Amelia, Simon i Portia, żeby pożegnać Louise i Arthura, jak również rozwiać ich ewentualne obawy; jako że cała rodzina zebrała się w Londynie, by celebrować zbliżający się ślub, było wielu chętnych do pomocy.

Arthur spojrzał na syna, Simona, męża Portii, który wraz ze swym przyjacielem Jamesem stał życzliwie uśmiechnięty nieco z boku.

– Chłopcze! – huknął. – Pełnisz obowiązki głowy domu. Dopilnuj, żeby to stadko gęsi dobrze się sprawowało.

Simon się roześmiał. Inni mu zawtórowali.

– Na pewno wszystko przebiegnie gładko – oświadczyła Amanda tonem matrony. – No i, ostatecznie, wyjeżdżacie tylko na trzy dni.

– O nic się nie troskaj. – Amelia ścisnęła dłoń matki. – Po prostu wypoczywaj, ty i ciotki na to zasłużyłyście.

Hudson, kamerdyner, otworzył szeroko drzwi i uszu zebranych dobiegło pobrzękiwanie uprzęży. Louise wyjrzała na zewnątrz.

– Doskonale, powóz już zajechał. – Odwróciła się znów do swego potomstwa i zmierzyła je matczynym spojrzeniem. – Bądźcie grzeczni i uważajcie na siebie, w każdej sferze, do której można odnieść te zalecenia. – Uśmiechnęła się do niebieskich oczu Arthura, kiedy ujmował ją pod ramię.

– Chodźmy – rzekł Arthur, po czym, teatralnie ściszając głos, dodał: – Chyba nie nabroją.

Louise się roześmiała i w asyście męża zeszła po schodach. Reszta rodziny podążyła ich śladem i zebrała się na wąskim tarasie, by pomachać odjeżdżającym na pożegnanie.

Kiedy powóz zniknął za rogiem, Simon i Portia się pożegnali, Henrietta i James wrócili do biblioteki i swego zadania, a Amanda, Amelia i Mary wycofały się do holu, by

uzgodnić kwestie zobowiązań towarzyskich.

– Nie pójdę z tobą dziś wieczorem – oznajmiła Amanda. – Nudnawy obiad z krewnymi Martina, organizowany od wieków. Ale jeśli rzeczywiście masz ochotę na popołudniową przejażdżkę w parku, mogę zajechać po ciebie o czwartej.

Mary skinęła głową.

– Tak, bardzo chętnie. Zapowiada się piękny dzień. Ale – spojrzała z nadzieją na Amelię – co z dzisiejszym balem w Castlemaine House?

Minionego wieczoru w kręgu Randolpha stała obok niej Geraldine Carmody i potem razem opuściły grupkę. Geraldine słyszała z ust Randolpha oraz jego przyjaciół, że pojawią się u lady Castlemaine.

– Och, mogę być tam twoją przyzwoitką – odparła Amelia. – Portia także. Obie się tam wybieramy.

– Doskonale! – Mary się rozpromieniła.

Uzgodniły, że najlepiej będzie, jeśli Mary uda się na bal w karecie rodziców i w westybulu Castlemaine House spotka z Amelią i Portią, które przyjadą własnymi powozami.

– Na wszelki wypadek – powiedziała Amelia, zakładając rękawiczki.

Ona i Portia miały małe dzieci, toteż zawsze należało się liczyć z nagłym wezwaniem.

Kiedy poczyniono już satysfakcjonujące wszystkich ustalenia, bliźniaczki ruszyły pieszo do domów, pozostawiając Mary w niejakim kłopocie. Przez pełne dwie sekundy rozważała, czy nie pójść do Henrietty i Jamesa, uznała jednak, że powinni samodzielnie zmierzyć się z przeszkodami – gdyby się do nich przyłączyła, przejęłaby dowodzenie. Zwykle tak robiła.

A inni zwykle jej na to pozwalali.

Ponieważ tak było łatwiej.

Świetnie się sprawdzała jako organizatorka, zwłaszcza w sprawach związanych z ludźmi, ale Henrietcie doświadczenie w postępowaniu z rodziną Jamesa bardziej się przyda.

Czując się szlachetnie z powodu tego, że zrezygnowała z szansy, by się wmieszać i przejąć dowodzenie – przynajmniej zyskałaby zajęcie – podążyła korytarzem do saloniku na tyłach domu. Zamknęła za sobą drzwi i kontynuowała niespieszną wędrówkę, aż stanęła przy oknie. Splotła ręce na piersi, wyjrzała na tylny ogród i czekała, aż wątła myśl, która nękała ją przez cały ranek, nabierze nieco kształtów.

W końcu się doczekała.

– Ach! – Musiała przyznać, że pytanie jest trafne. – Co Ryder, u licha, tam robił?

Na balu u lady Felsham minionej nocy i na przyjęciu u lady Cornwallis dzień wcześniej.

Po kilku kolejnych minutach rozważań w umyśle Mary uformowało się najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

– Szuka kolejnej zdobyczy.

Następnej kochanki. Zgodnie z plotkarskimi doniesieniami Ryder nie gustował w długotrwałych związkach. Najwyraźniej szybko się nudził, skądinąd ku wielkiej konsternacji zaangażowanych dam. Z wiadomości, jakie Mary zebrała dotąd na temat dżentelmenów jego pokroju – salonowych drapieżników, takich jak jej brat i kuzyni przed ożenkiem, w których gronie Ryder był zaiste lwem – poszukiwali swych miłostek pośród znudzonych matron z towarzystwa, kobiet z własnej sfery, rozumiejących społeczne ograniczenia i zasady tyczące zakazanych romansów.

Gdzieś przecież musi je znajdować, a na tych dwóch wydarzeniach towarzyskich bez wątpienia mógł przebierać w znudzonych damach; jednakże dziś wieczorem u lady Castlemaine pojawi się inny zestaw gości, będzie to bowiem raczej spęd swatek – zastanawiała się Mary. – Zatem przy odrobinie szczęścia Ryder się tam nie pokaże, a ja bez problemu dopadnę Randolpha. Nierozpraszana przez jego przytłaczającego starszego brata. Przyrodniego brata. Bez względu na to, co sądzi Ryder, Rand w niczym go nie przypomina.

Zachęcona tymi wnioskami, przeanalizowała potencjalne sposobności, jakich mógł jej dostarczyć bal w Castlemaine House, jeśli chodzi o spędzenie czasu sam na sam z Randolphem.

*

– Szukaj nas gdzieś tam. – Portia przystanęła na schodach prowadzących w dół na salę balową w posiadłości lady Castlemaine i machnęła ręką ku odległemu krańcowi pomieszczenia, a potem obejrzała się na Mary stojącą na stopniu za nią. – W razie potrzeby nas odszukaj.

Zajęta już przeglądem gości Mary ograniczyła się do twierdzącego pomruku.

U boku Portii Amelia otworzyła wachlarz i żywiołowo wprawiła go w ruch.

– Tak, w rzeczy samej! Już tu panuje duchota, ale na tamtym końcu przynajmniej otwarto okna. – Ona również obejrzała się na Mary. – Znasz zasady. Nie rób niczego, czego my nie zrobiłybyśmy, gdy byłyśmy w twoim wieku. Odnajdziemy cię, kiedy będziemy gotowe do wyjścia.

Zlokalizowawszy Randolpha, który znów stał w kręgu złożonym z przyjaciół oraz kilku młodych dam, Mary skinęła głową.

– W porządku.

Podążyła za Amelią i Portią po schodach w dół, a następnie skręciła w przeciwnym niż one kierunku i zagłębiła się w tłum. Niedaleko grupy Randolpha przystanęła i rozejrzała się wokół. Zauważywszy inną młodą damę mierzącą wzrokiem rzeczone towarzystwo, podeszła i się przedstawiła. Po krótkiej wymianie zdań, która pozwoliła ustalić, że młode kobiety pochodzą z tej samej sfery i dzielą wspólny cel, wzięły się z niejaką panną Melchett pod ramię i niespiesznie podeszły, by przyłączyć się do konwersacji.

Zbliżyły się w taki sposób, że kiedy towarzystwo rozstąpiło się uczynnie, robiąc dla nich miejsce, Mary bez trudu znalazła się u boku Randolpha. Osiągnąwszy najpilniejszy cel, czekała cierpliwie, aż George Richards dotrze do końca swojej opowieści – kolejnej historyjki o koniach i polowaniu. Kiedy tylko otrzymał spodziewane wyrazy uznania od swych kompanów, jak również nieco słabszy aplauz ze strony młodych dam, Mary utkwiła wzrok w Colette Markham, która stała dokładnie na wprost niej i, na ile Mary potrafiła to ocenić, przejawiała zainteresowanie przyjacielem Randolpha, Graysonem Mannersem.

– Widział ktoś nową sztukę w Theatre Royal? – spytała.

Colette napotkała spojrzenie Mary i podchwyciła temat.

– Słyszałam, że to najlepsze wydarzenie teatralne tego sezonu. – Popatrzyła na stojącego obok niej Graysona. – Widział ją pan, panie Manners?

Szczęśliwym zrządzeniem losu Grayson sztukę widział. Zachęcany i naprowadzany przez Colette i Mary, zdał szczegółową relację z widowiska. Kiedy tylko skończył, panna

Melchett włączyła się do konwersacji, dzieląc się wrażeniami z konkurencyjnej propozycji w Haymarket Theatre.

Mary popatrzyła na Randolpha, pochwyciła jego spojrzenie i się uśmiechnęła. Pod osłoną prowadzonej przez pozostałych wymiany zdań spytała cicho:

– Lubi pan teatr, lordzie Randolphie?

– Aaa… no cóż. Nie jestem pewien, czy zgromadziłem dość doświadczeń, by wydać osąd… Większość przedstawień oglądałem z parteru, więc to nie to samo, prawda? Przypuszczam, że za kilka lat to polubię, to znaczy bardziej oficjalne wizyty w teatrze.

Mary utrzymała uśmiech na twarzy.

– Ale co ze sztukami jako takimi? Woli pan Szekspira czy bardziej współczesnych dramatopisarzy?

Brwi Randolpha uniosły się w wyrazie zmieszania.

– Jaaa…

Z odległego punktu sali Lavinia, markiza Raventhorne, obserwowała, jak jej syn prowadzi na pół prywatną rozmowę z Mary Cynster, i uśmiechnęła się z aprobatą. Spostrzegłszy ten uśmiech, lady Eccles, obok której Lavinia akurat stała, podążyła za wzrokiem przyjaciółki.

– No, moja droga, to doprawdy postęp.

– W istocie. – Lavinia zerknęła na rozmówczynię, odnotowując, że ta jest pod wrażeniem. – Rzeczywiście wielce to satysfakcjonujące. Spędzili razem trochę czasu minionego wieczoru i najwyraźniej sprawy rozwijają się pomyślnie. Wspaniała z nich para, czyż nie?

– I, mówiąc bez ogródek, taki alians znacząco poprawi pozycję twojego Randolpha. – Lady Eccles spojrzała pytająco na przyjaciółkę. – Nie przypuszczam, że jakoś się do niego przyczyniłaś?

Lavinia zachichotała.

– Mogłabym się przyznać do niewielkiego szturchnięcia tu czy prawie niezauważalnego pchnięcia ówdzie. Ale chodziło raczej o to, by szepnąć słówko we właściwe ucho w stosownym czasie, aby nie przegapili sposobności. Znasz młodych: nigdy nie dostrzegają tego, co leży w ich najlepszym interesie.

– O tak. Wiele razy rozmawiałam na ten temat z synami. – Lady Eccles otuliła się szalem. – Jednakowoż, choć z niechęcią cię stąd odciągam, moja droga, muszę ruszać dalej. Obiecałam Elvirze, że zajrzę na jej przyjęcie. – Popatrzyła na Randolpha i Mary. – Idziesz czy wolisz zostać i zadbać, żeby sprawy rozwijały się po twojej myśli?

– Nie, nie. – Lavinia niechętnie oderwała spojrzenie od syna. Przybyła na bal w powozie lady Eccles. – Z pewnością doskonale sobie poradzą bez mojej interwencji, a ja także obiecałam Elvirze, że się u niej pokażę.

– Zatem w porządku. – Lady Eccles zwróciła się w stronę schodów. – Chodźmy.

Po raz ostatni zerknąwszy z zadowoleniem na obraz w odległej części sali, Lavinia podążyła za przyjaciółką.

Tymczasem Mary napotkała pierwszą poważną przeszkodę na drodze do małżeńskiego szczęścia, a mianowicie brak konwersacyjnych głębi u Randolpha i jego przyjaciół. Była świetną amazonką, uwielbiała jeździectwo, niemniej w życiu liczyły się też inne sprawy niż wyścigi konne, kłusaki czy polowania. Kiedy panna Melchett zakończyła relację z przedstawienia w Haymarket Theatre, wodze konwersacji na powrót przejął George Richards, dość bezceremonialnie odrywając Randolpha od dyskusji z Mary na temat sztuk teatralnych, by zapytać go o klacz, która wygrała ostatni

wyścig w Newmarket przed dwoma tygodniami. Randolph odpowiedział na pytanie George'a znacznie bardziej skwapliwie – i szczegółowo – niż wcześniej na dociekania Mary. Następnie zaś skierował rozmowę na ostatnią aukcję u Tattersalla.

– Czy odwiedzał ktoś niedawno Kew Gardens? – odezwała się wyprowadzona z równowagi panna Fotheringay, kiedy tylko Randolph i Julius Gatling zakończyli wymianę opinii na temat sprzedanych kuców i zapłaconych za nie sum. – Nowa oranżeria jest wyjątkowo wspaniała.

Mimo oczywistej desperacji i wynikłej z niej słabości zagajenia Mary, panna Melchett i Colette dołożyły starań, by utrzymać rozmowę przy temacie roślin, ziół i ogólnie wszystkiego poza końmi. Mary żywiła podejrzenie, że Julius doskonale wiedział, co robi, kiedy uchwycił się wzmianki o złocieniu marunie, i skierował rozmowę na gorące kompresy, jakie jego stajenny zalecił w przypadku stłuczenia stawu skokowego. Zaciskając zęby, Mary potoczyła wzrokiem po zebranych. Pełna irytacji rozpacz – lub może rozpaczliwa irytacja – pojawiła się oczach także pozostałych młodych dam. Czy naprawdę wszyscy młodzi mężczyźni są tacy… młodzi?

Tacy niedojrzali?

Randolph z pewnością taki nie był – nie mógł być – ale dotąd Mary przestawała z nim jedynie w obecności jego kompanów.

Musiała koniecznie odseparować go od grupy.

Jakby w odpowiedzi na jej zapotrzebowanie przez salę popłynęły dźwięki pierwszego walca. Rozpromieniona, zwróciła się wyczekująco w stronę Randolpha, lecz jedynie po to, by zobaczyć, jak przez jego twarz przemyka wyraz zniechęcenia. Popatrzył na drugą stronę grupy przyjaciół, gdzie Colette spoglądała na Graysona, również czekając, aby zaprosił ją do tańca.

Grayson zerknął na Randolpha, a potem na George'a, jakby żaden z nich nie tańczył wcześniej walca, co zakrawało na nonsens.

Mary zauważyła w wyrazie twarzy Randolpha coś na kształt kapitulacji, że „jak mus to mus". Nim wszakże zdążyła choćby mrugnąć, Rand ukłonił się jej z uśmiechem.

– Czy uczyni mi pani ten honor i zatańczy ze mną, panno Cynster?

Jakkolwiek jego ukłon stanowił zaledwie marną imitację ukłonu Rydera, a ton głosu nie zawierał żadnych subtelnych podtekstów, przynajmniej poprosił ją do tańca. Mary z uśmiechem wyciągnęła rękę.

– Dziękuję, lordzie Randolphie. Z przyjemnością zatańczę.

– Proszę, po prostu Randolphie.

Mówiąc sobie, że nierealistycznie było z jej strony oczekiwać, iż przeszyje ją jakaś iskra, gdy Rand doskonale poprawnie trzymał jej dłoń, Mary podążyła za nim na parkiet. Czekała w jego objęciach, a niecierpliwość buzowała w jej żyłach.

To się stanie teraz. Cokolwiek musiało zaiskrzyć, z pewnością obudzi się do życia w trakcie walca.

Randolph zawirował z nią na parkiecie, wprowadzając między pozostałe pary. Był znakomitym tancerzem, czego się zresztą spodziewała.

Gdy wszakże sunęli przez salę, obracając się statecznie, zgodnie z wymogami konwencji, Mary zdała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy oczekiwała czegoś więcej. Ale to była sprawka Rydera. Musiała przestać porównywać Randolpha z jego wspaniałym starszym bratem. Sama myśl o nim wystarczyła, by przywołać aż nazbyt żywe wspomnienia z ich wyjątkowo intensywnego walca minionej nocy… Wreszcie dostała to, na czym jej zależało – Randolpha prawie sam na sam – a tymczasem z powodu Rydera

nie mogła się skupić.

Z determinacją skoncentrowała wzrok na twarzy swego partnera – oblicza o przyjemnych rysach, na razie jeszcze nie tak mocnych czy wyrazistych, jak staną się pewnego dnia.

– A więc już maj. Ma pan jakieś specjalne oczekiwania w związku z tym sezonem? – spytała. A kiedy zrobił zdziwioną minę, rozwinęła myśl. – Jakiś cel, który chciałby pan osiągnąć, zanim przyjdzie lato i wszyscy opuścimy stolicę?

– Aaa… No cóż, miałem nadzieję znaleźć nową parę kłusaków.

– Oprócz koni.

W reakcji na jej ton oczy Randolpha nieco się rozszerzyły, nadal jednak spoglądał ponad głową Mary, używając konieczności nawigowania w tłumie tancerzy jako wymówki, by na nią nie patrzeć.

A Ryder prawie nie odwracał od niej wzroku podczas walca.

– Właściwie… to nie. – Randolph odchrząknął i wreszcie na nią zerknął. – Wiem… zdaję sobie sprawę, że niektórzy mogą postrzegać moje, jak i moich przyjaciół, uczestnictwo w balach i tym podobnych sprawach jako sugestię pewnych… konkretnych zainteresowań, niezwiązanych z końmi. – Zaczerpnął tchu, przelotnie podniósł wzrok, kiedy wykonywali obrót, po czym znów spojrzał na Mary. – Prawda wygląda jednak tak, że przychodzimy w takie miejsca wyłącznie dlatego, by zadowolić nasze matki i inne dostojne starsze damy. Dlatego – uśmiechnął się szelmowsko, a w jego oczach na moment pojawił się uroczy błysk – oraz, ma się rozumieć, żeby zapewnić młodym damom partnerów do tańca.

Mary lustrowała jego twarz, analizowała ten błysk i ten uśmiech. Czyżby została jeszcze nadzieja? Później jednak przypomniała sobie jego słowa, marną próbę galanterii… I nie potrafiła do końca przekonać samej siebie.

To było niesprawiedliwe. Albo coś tu się nie zgadzało.

Zdławiła impuls, by wydobyć wisior z różowego kwarcu z zagłębienia między piersiami i spojrzeć na ten przeklęty talizman – potrzymać go między nimi i sprawdzić, czy cokolwiek się wydarzy.

Nim zdążyła obmyślić, jak dalej pokierować rozmową, muzyka ucichła i walc dobiegł końca. Jednakże za jego sprawą znaleźli się z Randolphem na drugim końcu sali i Mary uzmysłowiła sobie, że otwarte okna, do których nawiązała Amelia, to w istocie drzwi tarasowe, aktualnie zablokowane, tak że dało się swobodnie wyjść na brukowany taras.

Podnosząc się z dygu, odnotowała, że kilka par przechadza się w blasku księżyca.

– Tam to pani siostra, nieprawdaż? – Randolph skinął głową w stronę siedzącej na pobliskim szezlongu Amelii. – Życzy pani sobie wrócić ze mną czy…?

– Szczerze mówiąc… – Mary lekko powachlowała się dłonią. – Może wyszlibyśmy na kilka minut na taras odetchnąć świeżym powietrzem? Trochę tu duszno, nie uważa pan?

Duszno, jak również coraz bardziej hałaśliwie i tłoczno; taras w takiej sytuacji każdemu zdałby się oazą.

Randolph ominął ją wzrokiem i wyjrzał przez drzwi tarasowe, nie wykonał jednak żadnego ruchu, by zastosować się do sugestii.

– Aaa… naprawdę nie sądzę…

Pohamowała się przed zmarszczeniem brwi.

– Są tam inne osoby, nie ma w tym nic niestosownego. – Zrobiła krok do przodu, chcąc zmusić Randolpha, by do niej dołączył.

– Tak, ale… – Zachwiał się, a potem cofnął. Odstąpił o krok, byle dalej od Mary i tarasu.

Popatrzył jej w oczy, gdy obejrzała się nań ze zdumieniem. – To same pary, nieco starsze od nas.

Zbita z tropu, znów spojrzała na spacerujących w blasku księżyca, doskonale widocznych przez wysokie okna.

– Nie aż tak starsze.

– Ale w ich przypadku to… zaloty. – Ostatnie słowo Rand wypowiedział, tak jakby chodziło o czynność, o której nie mówi się w dobrze wychowanym towarzystwie.

Mary nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nie zliczyłaby, ile razy dżentelmeni – aczkolwiek, owszem, nie tak młodzi jak Randolph – usiłowali wywabić ją z sal balowych na zacienione tarasy. A gdy sama zaaranżowała takie, w tym wypadku w pełni akceptowalne interludium i zaoferowała je Randolphowi – swemu wybrankowi – on się opierał?

Nie – gorzej – rejterował!

– Ja, eee… – Randolph wskazał za siebie, na drugi koniec sali. – Powinienem wracać, bo inaczej przyślą kawalerię. Rozumie pani, co mam na myśli.

Istotnie, coś zaczynało jej świtać. Randolph i jemu podobni bali się młodych dam.

Młodych dam polujących na męża.

Jakby uzmysłowiwszy sobie, że pozostawienie jej na parkiecie, kiedy dopiero co wyraziła chęć spaceru, nie było chyba zbyt eleganckim zachowaniem, Rand porzucił próbę ucieczki, lecz w rezultacie na jego twarzy pojawił się wyraz jeszcze większego zaszczucia. – Przypuszczam… jeśli naprawdę chce pani… potrzebuje… zaczerpnąć świeżego powietrza, wobec tego…

Rozkwitła w niej nadzieja.

Rand rozejrzał się wokół.

– Może znajdziemy kogoś, kto dotrzyma pani towarzystwa.

Zaczerpnęła powietrza. Przytrzymała je w płucach.

– Randolphie…

– Aha! – Oczy lorda rozbłysły. – Oto właściwa osoba! – Nie musiał głośno dodawać płynącego z głębi serca „dzięki Bogu". Jego twarz się rozluźniła. Spoglądał gdzieś poza Mary. – Pannie Cynster zrobiło się słabo, musi zaczerpnąć świeżego powietrza.

Oczy Mary się rozszerzyły, kiedy rozedrgane nagle zmysły poinformowały ją, kto taki zmaterializował się za jej lewym ramieniem.

– Ach tak? – zadudnił głos, który rozpoznała aż nazbyt łatwo. – Może ja zdołam pomóc?

Odwróciwszy głowę, popatrzyła w górę, i jeszcze wyżej, na przystojną twarz Rydera. Zajrzała mu w oczy, wyczytała w nich rozbawienie i uczepiła się swego gniewu.

– Dobry wieczór, Ryderze.

– Mary.

Jego oczy wytrzymały jej wzrok i podobnie jak minionego wieczoru, zdawało się, że bez wysiłku schwytał w sidła jej zmysły, przez co wszystko wokół straciło znaczenie.

Zamrugała gwałtownie.

– Randolph i ja właśnie… – zaczęła cierpko i spojrzała na Randa tylko po to, by odkryć, że już się oddalił. Widziała tył jego głowy, gdy spiesznie przedzierał się przez gęstniejący tłum w drodze do bezpiecznego kręgu przyjaciół na drugim końcu sali balowej.

– Ostrzegałem cię – mruknął Ryder.

Nadal spoglądała w ślad za Randem, ale Ryder usłyszał wyraźne westchnienie.

Dał jej chwilę na przeżycie porażki. Do Castlemaine House przybył późno jak na

dżentelmena jego pokroju; nie życzył sobie, by ktokolwiek odnotował jego nowe zainteresowania. Jeśli będzie się trzymał swoich zwykłych praktyk, wszyscy, podobnie jak minionej nocy Lavinia, założą – lub łatwo dadzą się przekonać – że szuka jedynie kolejnej kochanki.

A nie żony dla siebie.

Ponieważ już wiedział, że potrafi grać na zmysłach Mary, że ona jest podatna, lecz zarazem, co jeszcze bardziej nęcące, chce udawać oporną, pragnął jak najrychlej znów wejść z nią w relację, jednakże mądrość zalecała strategiczną zwłokę. Nie kusiło go, by natychmiast ją zawłaszczyć. Takie zachowanie zaalarmowałoby bowiem zbyt wielu obserwatorów, przynajmniej na tyle, aby sprowokować niepożądane pytania.

Jeśli starsze damy nabiorą podejrzeń co do prawdziwych zamiarów Rydera… Cóż, jako że upatrzył sobie Mary, przypuszczalnie nie będą ingerować, niemniej jego pierwotną motywację do tego, by poszukiwania żony rozpocząć w nieoczekiwanie młodym, w każdym razie dla takich jak on, wieku trzydziestu lat, stanowiła chęć zachowania swobody w trakcie zabiegów o względy wybranki. Nie życzył sobie, by cała żeńska część londyńskiej socjety asystowała mu w owych działaniach.

Według obowiązującej powszechnie opinii jako trzydziestolatek nadal był za młody, aby pogodzić się z koniecznością ożenku i spłodzenia dziedzica, za kilka lat wszakże dostojne damy zgodnie zwróciłyby na niego swe lorniony. Ze względu na złożoną ojcu obietnicę małżeństwo i tak było mu pisane. Rezygnacja z kilku lat kawalerskiej egzystencji – która skądinąd ostatnio coraz bardziej go nużyła – wydawała się niewygórowaną ceną za wolność wyboru i swobodę polowania.

Zwłaszcza że chodziło o upolowanie jego żony, którą postrzegał jako krytycznie nastawioną do tego, co może przynieść przyszłość.

Ta upragniona przyszłość.

Mary – jako jego zwierzyna łowna – stała się ośrodkiem zainteresowania jego zmysłów. Poznał, że była już gotowa odwrócić się od Randa i ruszyć dalej. Przynajmniej dosłownie.

Jej twarz wyrażała dogłębne rozczarowanie.

– Chodź. – Zaofiarował jej ramię. – Przypuszczam, że istotnie przydałby ci się łyk świeżego powietrza.

Sapnęła, ale raczej z chmurną rezygnacją, niż by okazać niezgodę, po czym łaskawie wsparła dłoń na jego ramieniu. Nawet ów lekki dotyk przeszył Rydera do szpiku kości.

– Prawdę mówiąc – rzekła, kiedy zaprowadził ją w stronę drzwi tarasowych – naprawdę miałam ochotę na spacer. Tutaj panuje zaduch.

– Nie wzięłaś wachlarza? – Odgarnął na bok cienkie, niemal przezroczyste zasłony i wyprowadził Mary na taras.

Pokręciła głową.

– Zbyt kłopotliwy.

Zauważył już wcześniej, że przejawiała niezbyt wielki pociąg do ozdóbek. Nosiła torebkę, lecz nawet ta zdawała się raczej praktyczna niż wymyślna.

Oparł się pragnieniu, by nakryć jej dłoń swoją, i powiódł ją niespiesznie wzdłuż tarasu, dopasowując się do jej tempa. Usiłował odgadnąć, jak Mary aktualnie postrzega swój pościg za jego młodszym bratem.

– Co typowe, nie musiał za długo łamać sobie tym głowy – powiedziała.

– To po prostu niesprawiedliwe. – Zacisnęła buntowniczo wargi i gestem ogarnęła taras. – Dlaczego, u licha, Randolph nie mógł mi towarzyszyć w tej przechadzce?

Ryder westchnął teatralnie.

– Ujmując rzecz krótko, ponieważ go przerażasz. Jesteś zbyt wyrafinowaną potrawą dla jego niewyrobionego podniebienia.

Popatrzyła nań zwężonymi oczami.

– Ty mnie w ten sposób nie postrzegasz.

Uśmiechnął się – cóż za nonsensowny koncept.

– Oczywiście, że nie.

– Wobec tego, skoro ty bez problemu ze mną przestajesz, czemu nie on?

– Ryzykując, że się powtórzę, przypominam ci, że mam trzydzieści lat, a on dwadzieścia cztery. W przypadku mężczyzn to bardzo znacząca różnica wieku.

– Czy czmychnąłbyś tak jak on, mając dwadzieścia cztery lata?

Poddał zagadnienie stosownej rozwadze.

– Szczerze mówiąc, chyba już nie pamiętam, jaki byłem w jego wieku, ale… przypuszczalnie nie.

Aż fuknęła; potrafiła nasycić ten prosty dźwięk bogactwem emocji.

Rand przypuszczalnie popadł u niej w niełaskę, ale doprawdy trudno było go winić. Wyglądało na to, że Mary nie docenia swej siły – czystej mocy swojej osobowości, którą wprost emanowała. Ryder uważał ów szczegół – brak pozorów – za atrakcyjny, ale mężczyźni tacy jak Rand, bez względu na wiek, uciekali; w rzeczy samej, Rand zademonstrował jedynie, że ma sprawny instynkt samozachowawczy.

Dotarli na skraj tarasu. Mary zdjęła dłoń z rękawa towarzysza spaceru i wykonała w tył zwrot.

– No dobrze. Chyba lepiej wrócę do pracy.

Ruszyła ku drzwiom tarasowym, krocząc ze znacznie większym zdecydowaniem.

Ryder, ubawiony, stał chwilę przy balustradzie, nim odwrócił się i dogonił Mary w kilku szybkich krokach.

– Pracy?

– Nad znalezieniem sposobu, by porozmawiać z twoim bratem na osobności.

– Ach, rozumiem.

Dotarli do drzwi tarasowych i Ryder odchylił przejrzyste zasłony, żeby mogła bez przeszkód wejść do środka.

Kiedy w ślad za nią zanurzał się w gwar sali balowej, zastanawiał się, czy powinien pozwolić jej ścigać Randa.

Zerknął na podest, na którym rozlokowali się muzycy – akurat gdy zaczęli grać.

– Mary.

Zatrzymała się i obejrzała, a wyraz jej twarzy jasno obwieszczał, że nie ceni sobie zwłoki w realizacji swego karkołomnego przedsięwzięcia.

– Tak?

– Zatańcz ze mną.

Nie popełnił tego błędu, by prosić o zgodę, lecz po prostu chwycił Mary za rękę, pociągnął w stronę parkietu, porwał w ramiona i od razu z nią zawirował.

Nie zostawił jej czasu na protest. Kiedy sunęli płynnie między wirującymi parami, popatrzył na jej twarz; jej spojrzenie cięło bezlitośnie.

Uśmiechnął się do niej.

Zaczerpnęła potężnie powietrza, przez co jej piersi wezbrały pod jedwabnym stanikiem sukni – interesujący i nader absorbujący widok. Widok, za sprawą którego Ryder uzmysłowił sobie, że, co w jego przypadku zaskakujące, mimo ciągłej koncentracji

na Mary w gruncie rzeczy nie skupiał się dotąd zanadto na jej fizycznych atrybutach. To jej charakter, emocje i poczynania przykuły jego uwagę i to one nadal najbardziej go hipnotyzowały, choć nie dało się zaprzeczyć, że figurę również miała pociągającą.

– To było… było… – Zabrakło jej słów i ta okoliczność wyraźnie zbiła ją z tropu.

– Nie do przyjęcia? – podsunął. – Największy przejaw impertynencji, jakiego kiedykolwiek padłaś ofiarą?

– Tak! Właśnie tak. A skoro zdajesz sobie z tego sprawę…

– Musiałem odwrócić twoją uwagę.

– Co takiego?

– Nie ma najmniejszego sensu, żebyś goniła Randa. Tylko bardziej go przestraszysz, aż umknie na dobre. – Obdarzył ją leniwym uśmiechem, w pełni świadomy, jak to na nią podziała. – Lepiej ostrz szpony na mnie: ja zniosę wszystko.

Zamrugała. Zawahała się, ewidentnie walcząc z impulsem, lecz w końcu uległa.

– Dlaczego szpony? – spytała.

– Orzeł. Imperator. – Patrzył jej w oczy. – No wiesz, jesteś trochę apodyktyczna.

Prychnęła i odwróciła wzrok. Po chwili – w trakcie której wyczuł, za sprawą napięcia w jej gibkiej sylwetce, że kojące kołysanie tańca wreszcie na nią wpłynęło – rzekła:

– Mówić to ty potrafisz.

– W istocie. – Przyciągnął ją nieco bliżej, gdyż zaczynali obrót. – Swój pozna swego.

Reszta walca upłynęła bez incydentów, słownych czy innych.

Zastanawiał się, na ile zdawała sobie sprawę, jak łatwo można wyczytać z jej twarzy, co knuła i planowała.

Gdy taniec dobiegł końca, Ryder ukłonił się, a potem czekał, by się przekonać, jaki będzie jej kolejny ruch.

– Dziękuję. – Rozejrzała się. – Jeśli mi wybaczysz…?

Poczekał, aż odwróci się do niego, nim zapytał:

– Opadłaś z sił, kwiatuszku?

Zarówno pytanie, jak i epitet przyniosły mu w zamian mroczne spojrzenie.

– Idę się odświeżyć, jeśli musisz wiedzieć.

Skłonił głowę.

– Do zobaczenia później.

Usłyszał jeszcze, jak mamrocze:

– Nie, jeśli zdołam temu zapobiec.

Uśmiechnął się kierowany zadowoleniem i niecierpliwym wyczekiwaniem.

Mary istotnie poszła do gotowalni dla gości, którą uznała za jedyne miejsce, w którym na pewno znajdzie kilka minut prywatności, żeby pomyśleć.

Myślenie, w czasie gdy wirowała na parkiecie w objęciach Rydera, graniczyło z niemożliwością. Bez względu na to, jak silnie się koncentrowała, zmysły nieustannie nakłaniały jej myśli do złego, prowadząc do mało pomocnych rozważań o tym, jak oczarowana tańcem czuła się w ramionach Rydera oraz, przeciwnie, jak nudnym przeżyciem okazał się walc z Randolphem.

Takie dywagacje były niestosowne; Ryder dysponował nieskończenie większym doświadczeniem niż brat, co stanowiło potężny punkt na korzyść Randa. Usiadłszy przed lustrem, udała, że poprawia doskonale ułożone ciemne loki, i z determinacją skupiła się na najpilniejszym celu: jak uzyskać więcej czasu sam na sam z Randolphem – najlepiej w otoczeniu, w którym on poczuje się swobodnie – jednocześnie unikając Rydera.

Z tych dwóch powiązanych ze sobą celów unikanie Rydera było ważniejsze; bez względu na to, co otwarcie przyznawała, a tym bardziej, czego by sobie życzyła, naprawdę rozpraszał ją do tego stopnia, że zapominała o swoich zamiarach.

Zamarudziła w odosobnieniu na tyle długo, że wedle jej oceny Ryder już się znudził i zajął kim innym. Opuściła gotowalnię i ruszyła korytarzem do sali balowej.

Na jej łokciu zacisnęły się silne palce. Nim zdążyła zaprotestować, Ryder powiedział:

– Tam dalej toczy się właśnie zagorzała dyskusja na temat książki The Yellowplush Papers tego jegomościa Thackeraya. Pomyślałem, że cię to zainteresuje.

Czym, naturalnie, natychmiast zbił ją z tropu. Kiedy prowadził ją do sporej grupy, w skład której wchodziło kilka lepiej wykształconych osobistości w wytwornym towarzystwie, Mary mówiła sobie, że jest to tylko przerwa w jej kampanii – i to wartościowa. Słyszała już o rzeczonym dziele, fikcyjnych wspomnieniach, i poczuła się zaintrygowana.

Powitano ich cichymi pozdrowieniami i uprzejmymi skinieniami głowy, choć główni dyskutanci, lord Henessey i pan Carlton Fitzsmythe, ledwie na moment przerwali wymianę argumentów, by przyjąć ich przybycie do wiadomości. Debata, krążąca wokół znaczenia takich książek, w którym jak w lustrze odbija się społeczeństwo, raz po raz zmieniała kierunek, jednakże, przynajmniej według Mary, u jej podstaw nie legła żadna teza, jak również nie zmierzała ona do jakiejkolwiek konkluzji.

– Zdaje się – po pewnym czasie rzekł Ryder – że to fakt, iż owa praca udaje wspomnienia tego całego pana Charlesa J. Yellowplusha, wzbudza największe zainteresowanie.

– Istotnie – oparła równie cicho Mary. – Ale to fikcja, rzecz zmyślona, przyznam więc, że nie rozumiem, po co tak się ekscytować.

Podniosła wzrok na Rydera i w jego oczach dostrzegła odbicie własnego cynizmu.

– Ruszamy dalej? – spytał.

Przytaknęła.

Wziął to za przyzwolenie, by ująć ją pod ramię. W kilku cichych słowach przeprosił i wyprowadził Mary z kręgu dyskutujących w tłum na sali.

– Thackeray… Czy to ten sam Thackeray, który pisuje recenzje literackie w „Timesie"?

– Chyba tak. – Próbowała powstrzymać cisnące się na usta pytanie, ale… Podniosła wzrok na Rydera. – Czy to znaczy, że czytujesz recenzje literackie?

Przeczesując wzrokiem salę, niedbale wzruszył ramionami.

– Sporadycznie.

Dla niej było to nie lada odkrycie; zastanowiła się, czy Randolph… Prędko ucięła tę myśl. Jak zauważył sam Ryder, jego i Randolpha dzieliło sześć lat dorosłego życia; porównania wydawały się nie na miejscu.

Tyle że…

Otrząsnęła się z rozkojarzenia – tak, sama przechadzka przez salę balową u boku Rydera je wywoływała – po czym raz jeszcze zmusiła umysł, by działał wedle jej planu i zamysłu.

Zerknąwszy na Mary, Ryder odnotował wyraz jej twarzy i natychmiast zaczął się rozglądać za czymś, co znów odwróciłoby jej uwagę.

– Ach, wzywają nas.

Mary zmarszczyła brwi i rozejrzała się, ale w gęstym tłumie nie sięgała wzrokiem daleko.

– Kto taki?

– Moja ciotka. No, nazywam ją ciotką. Ciebie na pewno też spostrzegła, pozostaje nam więc zacisnąć zęby i jakoś to przetrwać.

Nie dając Mary szansy na wygłoszenie kontrargumentów, zaczął torować dla nich drogę ku szezlongowi w kącie sali, na którym zauważył kuzynkę swego ojca, lady Maude Folliwell. Miała fatalny wzrok, widziała ledwie na cztery kroki, ale zawsze lubiła rozmawiać z Ryderem, toteż bez skrupułów wykorzystał jej osobę, by zrealizować swój aktualny cel. Pomijając inne kwestie, gdyby Maude poznała ów cel, nie tylko by go zaaprobowała, lecz wręcz entuzjastycznie mu przyklasnęła.

Mary znalazła się przed dobrze jej znanym typem damy, choć lady Maude nie przypominała jej nieżyjącej już ciotki Clary. Wypowiadała się nadal w pełni przytomnie, tak że bez trudu nadążało się za jej tokiem rozumowania, niemniej odnotowawszy grubość szkieł w jej lornionie, Mary złośliwie pomyślała, jakim cudem dostojna dama wypatrzyła ich niemal przez długość połowy sali. Tak czy owak, uśmiechnęła się słodko, kiedy Ryder ją przedstawiał, a później odpowiedziała lady Maude na pytania dotyczące jej rodziny.

– Nie zauważyłam tu twojej matki ani ciotek, kochanie. – Lady Maude powiodła wzmocnionym przez lornion wzrokiem wzdłuż ściany, przy której siedziała na krzesłach lub szezlongach większość dojrzałych dam.

– Moi rodzice i wujostwo udali się na kilka dni na wieś.

– No tak, bez wątpienia nabrać sił przed ślubem twojej siostry. Doprawdy urocza niespodzianka, wiem, że Glossupowie nie posiadają się z zachwytu. Proszę, przekaż szczęśliwej parze moje gratulacje.

Kiedy Mary podjęła się tego zadania, lady Maude zwróciła lornion na Rydera. Mary spodziewała się, że usłyszy typowe napomnienia, jakimi damy w tym wieku zasypują zwykle dżentelmenów w jego wieku, tymczasem jednak wyglądało na to, że starsza pani przepada za swym krewniakiem i, nawet jeśli z jej odrobinę ciętych komentarzy wynikało, iż bynajmniej nie jest ślepa, w pełni go aprobuje, aczkolwiek bez wnikania w szczegóły.

Ryder odpowiadał ciotce z podobną sympatią i wkrótce rozmowa zanurzyła się głęboko w tematy rodzinne, Mary zaś dostrzegła dla siebie szansę, z której postanowiła skorzystać. Planowała wycofać się dyskretnie, uprzejmie dygnąć starszej pani na pożegnanie, po czym wślizgnąć się w tłum – Ryder utknąłby tutaj, a ona uciekłaby i odnalazła Randolpha. Gdy wszakże zaczęła wprowadzać swój plan w życie, przekonała się, że Ryder znowu ją ubiegł.

Nie, żeby choć na moment przerwał wymianę zdań z lady Maude lub w jakikolwiek sposób zasygnalizował, że przejrzał zamysł Mary.

Jednakże smukłe palce, które już wcześniej miał czelność zanurzyć w fałdach jej jedwabnej spódnicy, zacisnęły się skutecznie, zakotwiczając Mary u jego boku. Dłoń, w której więził spódnicę, skrywał za udem, tak że lady Maude niczego nie widziała, a przy panującym wokół ścisku wydawało się mało prawdopodobne, by ktokolwiek za ich plecami coś zauważył. Mary pozostało tylko nadal słodko się uśmiechać. Teraz wszakże czuła się jeszcze bardziej zdeterminowana, by ścigać Randolpha; w ten lub inny sposób odniesie zwycięstwo.

Okazja pojawiła się zaraz po tym, jak pożegnali się z lady Maude. Kiedy ponownie weszli w tłum, na Rydera przypuściły jednocześnie atak lady Heskett i lady Argyle, dwie modne, eleganckie damy mniej więcej w jego wieku.

– Kochany, nie widziałam cię od stuleci! – Lady Heskett z gracją dopadła Rydera,

prawie że odpychając Mary.

Jako że Mary bardzo chciała zostać odepchnięta, zsunęła dłoń z rękawa Rydera, ustępując miejsca szacownej matronie.

– Markiz Raventhorne. – Głos lady Argyle zabrzmiał odrobinę ostrzej, zawierał też wyraźnie zaborczą nutę, kiedy zuchwale zawłaszczyła drugie ramię Rydera. – Gdzie się pan ukrywał, milordzie?

Przez chwilę Ryder znalazł się pod okupacją. Szeroko uśmiechnięta Mary cofnęła się o krok, okręciła na pięcie i czmychnęła. Zanurkowała w tłum, kluczyła jak lis umykający przed ogarami, aż wreszcie zawróciła i schroniła się niedaleko łukowego przejścia do gotowalni. Przeczesała wzrokiem zebranych, ale nigdzie nie dostrzegła złotej grzywy Rydera. Odetchnęła z ulgą.

– Dobrze. Teraz poszukamy Randolpha.

Okrążyła salę balową. Zgodnie z jej przewidywaniami grupa Randolpha znajdowała się mniej więcej w tym samym miejscu co wcześniej. Mary już miała wynurzyć się z tłumu, aby ponownie dołączyć do wybranka i jego kompanii, kiedy niedaleko spostrzegła Rydera. Nonszalancko oparty o ścianę, najwyraźniej uwolnił się od oblegających go dam i teraz na pozór leniwie gawędził z innym dżentelmenem, podczas gdy w rzeczywistości obserwował i czekał.

Cofnęła się, ale ten ruch przyciągnął jego wzrok.

Zaowocowało to wyrafinowaną zabawą w kotka i myszkę. Mary z niejakim zaskoczeniem odkryła, że Ryderowi nie chodzi jedynie o to, by utrzymać ją z dala od Randolpha; ścigał ją, kiedy kluczyła i skręcała, usiłując go zgubić. Był na tyle wysoki, że z łatwością pozostawał na jej tropie. Osaczył ją aż nazbyt szybko – a Mary poczuła dreszcz paniki, rozkosznej i pełnej wyczekiwania.

Nie dała sobie czasu na analizę tego dziwacznego odczucia. Dostrzegała tylko jedną drogę ucieczki. Pospieszyła w stronę przejścia na korytarz; przystanąwszy pod łukiem, zerknęła za siebie – Rydera dzieliło od niej zaledwie kilka kroków. Trzy osoby.

Ich spojrzenia się spotkały.

To, co zobaczyła w jego wzroku, zaparło jej dech w piersiach.

Część jej uważała, że zachowuje się niedorzecznie, lecz cała reszta skupiała się wyłącznie na jednym: ucieczce.

Przed czym konkretnie uciekała, a tym bardziej dlaczego, tego nie wiedziała. Po prostu musiała uciec.

Bez tchu odwróciła się i zanurkowała w korytarz, minęła jednak gotowalnię dla gości i pospieszyła dalej. Korytarz ciągnął się przez całą długość sali balowej, po czym skręcał za jej narożnik; Mary pomknęła tam i dotarła do drzwi znanych jej z wcześniejszych wizyt w tej rezydencji. Zaczerpnęła powietrza, uspokoiła tłukące się w piersi serce, wyprostowała się, unosząc głowę, otworzyła drzwi i wyszła na taras.

Wedle jej oceny powinno to być ostatnie miejsce, w którym Ryder postanowiłby jej szukać. Nie miała doprawdy powodu tu wracać, zwłaszcza sama.

Cicho zamknęła za sobą drzwi, przystanęła w prostokącie rzucanego przez ściany cienia i przyjrzała się kilku parom, które przechadzały się po tarasie. Jej samotny spacer przyciągnąłby uwagę.

Teraz nie była widoczna dla gości na sali, ale to się zmieni, jeśli ruszy przed siebie. Młoda dama bez towarzystwa to był zaś na tyle dziwaczny widok, że nawet osoby pochłonięte rozmową by się nią zainteresowały.

A cóż dopiero pary na tarasie; przynajmniej trzy z nich znały Mary i bez wątpienia

któraś wzięłaby ją pod swoje skrzydła, żeby odeskortować z powrotem na salę… gdzie czekałby już Ryder.

Spojrzała w lewo. Strome kamienne stopnie, szczęśliwie skryte w cieniu, wiodły w dół na brukowaną ogrodową ścieżkę. Mary czekała nieruchomo w mroku, a potem wykorzystała moment, w którym przechadzające się pary akurat były zajęte rozmową i wydawało się mało prawdopodobne, że ją zauważą, cicho zeszła po schodach i przemknęła za róg budynku.

Przed nią rozciągał się prostokąt ogrodu przylegającego do prywatnych pokoi wielkiej rezydencji, a naprzeciw Mary, w rogu trawnika, stał niewielki ozdobny pawilon z białego marmuru, który połyskiwał blado w blasku księżyca. Przy ładnej pogodzie lady Castlemaine często urządzała popołudniowe „herbatki na trawie". Nie przewidziano bezpośredniego dostępu do tego miejsca z sali balowej, a w nocy teren był nieoświetlony.

W tej chwili w altanie nie będzie nikogo – pomyślała Mary. Postanowiła posiedzieć chwilę w ciemności, by uciszyć serce nadal tłukące się w piersi, i na nowo zaprząc umysł do pracy. Nie pojmowała, dlaczego zabiegi Rydera – to jego nagłe skupienie na niej – do tego stopnia na nią podziałały, musiała jednak ukoić nerwy, odzyskać władzę nad zmysłami, następnie zaś opracować sensowny plan, dzięki któremu znajdzie się sam na sam z Randolphem, aby móc należycie ocenić, czy on istotnie jest jej pisany.

Drażniło ją, że zmaga się z wątpliwościami. Wcześniej była tak pewna. I poniekąd się to nie zmieniło. Według wszelkich logicznych kryteriów lord Randolph Cavanaugh wydawał się idealnym mężem dla niej.

Ruszyła wolno skrajem trawnika, a potem skręciła w węższą ścieżkę wiodącą do altany między szerokimi rabatami. Niewielkie krzewy i kwiaty, w blasku księżyca wyzute z kolorów, wypełniały noc intensywnymi woniami.

Dziwna panika stopniowo słabła; wędrując niespiesznie, ze wzrokiem wbitym w ścieżkę, Mary poczuła, jak budzi się w niej gniew, gdy niedawne zdarzenia połączyły się w jej umyśle w całość.

Została najzwyczajniej w świecie wypędzona z sali balowej – swego pola działania – przez Rydera. Przez tego wtykającego nos w nie swoje sprawy aroganckiego despotę; bez względu na to, jak bardzo starał się ukryć swą prawdziwą naturę pod maską uprzejmości, taki właśnie był. Władczy i zarozumiały.

Myślała o Ryderze. Tej nocy ją pokonał. Ją, która zawsze pozostawała u steru. Co więcej, dokonał tego na arenie, którą uważała za swój żywioł.

Wmaszerowała po trzech stopniach w głębszy cień altany. Zatrzymała się u szczytu schodów, nagle świadoma czyjejś obecności.

Cisza.

Niebezpieczny drapieżnik znajdował się blisko. Zbyt blisko.

Zamrugała. Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do głębokiego mroku panującego w altanie, wolno odwróciła się w lewo.

Przysiadł na ławce, która tworzyła niepełny okrąg wewnątrz budyneczku i obserwował Mary. Nieruchomy.

Gdy tak siedział z odchyloną w tył głową, w nonszalanckiej pozie, wydawał się jeszcze przystojniejszy niż na sali balowej.

Mary przekrzywiła głowę, skonsultowała się ze swymi już nieszalejącymi zmysłami i stwierdziła, że nie ma w sobie ani krztyny strachu, ba, nawet niepokoju. Nie, gdy chodziło o niego.

Gniew, a także swego rodzaju respekt, wzmacniane przez narastający szacunek wobec

tego, jak umiejętnie krzyżował jej plany, spychał ją z wybranej ścieżki, mimo że kroczyła nią z taką determinacją.

Nie miała cienia wątpliwości, że Ryder byłby nieugiętym przeciwnikiem i jeszcze groźniejszym wrogiem.

Przy czym jasno dał do zrozumienia, że nie spogląda przychylnym okiem na pogoń Mary za jego młodszym bratem.

O tak, potrafił ją rozkojarzyć, mistrzowsko grał jej na nerwach. I zmysłach.

Musiała to przyznać.

Ryder.

Uważnie zmierzyła go wzrokiem.

– Jakim cudem znalazłeś się tu przede mną?

Wskazał dom.

– Ogród zimowy na końcu korytarza. Drzwi zewnętrzne prowadzą bezpośrednio na tamtą ścieżkę.

Spojrzała na wzmiankowane drzwi, a potem na Rydera.

– Skąd wiedziałeś, że tu przyjdę?

– Zapominasz – odparł po dłuższej chwili – że dżentelmeni mojego pokroju znają zwykle wszelkie potencjalne miejsca schadzek we wszystkich ważniejszych domach, jak również rozmaite sposoby na to, by do nich dotrzeć.

– Ale nie mogłeś wiedzieć, że przyjdę akurat tutaj.

– Najwyraźniej – skonstatował po kolejnej pauzie – poznałem twój sposób rozumowania na tyle dobrze, by przewidzieć, jak się zachowasz.

Ta wiadomość bynajmniej nie podniosła Mary na duchu. Ani tym bardziej nie uspokoiła; wprawdzie jej serce nie łomotało już wściekle, ale nadal nie powróciło do zwykłego rytmu. Tak czy inaczej, najwyższa pora, by wyraziła sprzeciw.

– Dlaczego za mną chodzisz?

Ryder przyglądał się bacznie twarzy Mary i rozważał, czy powinien wyjawić prawdę.

Nie wstał, kiedy się zjawiła, a ten fakt – gdyby była bardziej skupiona – zapewne wzbudziłby w niej podejrzenia co do jego motywów. Tymczasem jednak chyba umknęło jej uwagi, że przyznał sobie przywilej zarezerwowany przeważnie dla osób pozostających w bliskich relacjach. A może raczej dała mu na to przyzwolenie właściwie mimowolnie.

I bardzo dobrze; tym samym wykonał kolejny skuteczny krok.

Nie podniósł się z miejsca również z tego powodu, że w zaistniałych okolicznościach, kiedy to znajdowali się sami w mroku nocy na dość ograniczonej przestrzeni, gdyby wstał, przytłoczyłby ją swoją osobą, emanującą z niego męską siłą. Wydawało się to właściwie niemożliwe, by było inaczej. I choć jakaś jego część czuła się zaintrygowana taką perspektywą i chętnie przekonałaby się, co by z tego wynikło, inna, bardziej racjonalna, wiedziała, że Mary nie jest jeszcze na takie eksperymenty gotowa.

Nie sądził, że jest w stanie jej odpowiedzieć. Przynajmniej dopóki nie musiał.

– A jak ci się zdaje? – odrzekł.

Jej odpowiedź da mu chociaż pewne wyobrażenie o tym, na ile trafnie Mary interpretuje jego poczynania.

– Uważam, że jesteś znudzony i dotąd nie znalazłeś nowej zdobyczy. Z niejasnego powodu wpadłam ci w oko na balu zaręczynowym Henrietty i Jamesa i z jakiejś jeszcze bardziej nieodgadnionej przyczyny uznałeś chodzenie za mną za niezłą rozrywkę. Kiedy zaś odkryłeś moje zainteresowanie Randolphem, postanowiłeś się zabawić moim kosztem, nie tylko wchodząc mi w drogę, ale wręcz starając się zmienić kierunek moich

dążeń. – W miarę jak mówiła, jej głos nabierał pewności. – Mam rację?

– Wszystko, co powiedziałaś, jest bezsprzecznie prawdą.

Tyle że nie była to cała prawda.

– Ha! – Przespacerowała po marmurowej posadzce, dwa kroki w tę i dwa z powrotem, po czym zatrzymała się i zaatakowała znowu, jeszcze bardziej wojowniczo. – Zatem dlaczego? Powiedz mi, dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, by przeszkodzić mi w zabiegach o uwagę Randolpha.

– Już ci mówiłem: Rand nie jest mężczyzną dla ciebie.

Ja nim jestem – dopowiedział w myślach.

Ale tę prawdę będzie musiała uzmysłowić sobie sama. W stosownym dla siebie czasie. Ani on, ani ona nie dadzą się nikomu prowadzić na sznurku. Nie chodziło tu o kwestię zaufania, lecz raczej swobody decydowania o sobie. Pod tym względem Ryder doskonale rozumiał Mary, dlatego postanowił, że da jej czas.

– Nie tobie o tym decydować! – zakrzyknęła.

– Chyba jednak się mylisz.

Wstał. Jedynie tak mógł położyć kres temu sporowi. Należało zaprowadzić Mary z powrotem na salę, nim ktokolwiek zacznie jej szukać.

Poza tym nie mógł oznajmić wprost, że zamierza ją poślubić. Nie tu. I nie teraz. Nie uważał się za pyszałka, lecz przecież każdy w towarzystwie zgodziłby się co do tego, że był więcej niż doskonałą partią. Gdyby odkrył przed nią karty, a Mary ostatecznie zdecydowała się przyjąć oświadczyny, niewykluczone, że nigdy by się nie dowiedział, co nią kierowało – dlaczego wyraziła zgodę. Nie miał pojęcia, czy jej uczucia wobec niego wykraczają poza irytację, czy mogłaby kiedykolwiek poczuć do niego coś więcej niż krótkotrwałe pożądanie, które z pewnością potrafił w niej obudzić.

A co by począł, gdyby wyjawił jej swe zamiary i napotkał opór?

Nie – o wiele rozsądniej i znacznie bezpieczniej będzie najpierw Mary do siebie przekonać.

A skoro o tym mowa… Wyprostował się na całą wysokość, zrobił pół kroku, żeby znaleźć się bliżej – na tyle blisko, że musiała odchylić głowę, chcąc na niego spojrzeć, co zapewniało mu pewną przewagę.

Znalazł się w pozycji dogodnej do tego, by ją wręcz przestraszyć, lecz stojąc tak blisko, akurat nie o tym myślał.

Ona także nie; uniosła ku niemu pokrytą srebrzystym blaskiem księżyca twarz, na której malował się specyficzny wyraz, aż nazbyt dobrze znany Ryderowi.

Nie była na niego odporna, na tę zmysłową aurę, którą roztaczał.

Na wdzięk, którym posługiwał się po mistrzowsku.

Świerzbiły go koniuszki palców. Podszedł bliżej i musnął palcem alabastrowy policzek Mary.

Obserwował rozbłysk w jej oczach, słyszał, że wstrzymała oddech. Jej wargi, różane i pełne, rozchyliły się. W instynktownym zaproszeniu. Mógł ją teraz pocałować – mógł rozpocząć uwodzenie tutaj, w tej chwili. Pokusa była potężniejsza, niż się spodziewał. Jednakże nie zostałby zaliczony do grona najwspanialszych kochanków, gdyby nie wiedział, na czym tak naprawdę polega uwodzenie.

Nie chodzi o skuszenie damy, by uległa pożądaniu kochanka.

Chodzi o to, by uległa własnemu pożądaniu.

Mary musiała go pragnąć. Musiała sama do niego przyjść.

I zrobi to.

Nie istniała inna droga.

Zaczerpnąwszy tchu, cofnął się znad krawędzi, dokąd przywiódł ich oboje.

Opuścił rękę i zamknął palce na jej łokciu.

– Chodź. – Delikatnie odwrócił Mary w stronę schodów. – Odprowadzę cię.

Przez chwilę przyglądała się Ryderowi – bez wątpienia rozważając, czy powinna udać, że nic się nie wydarzyło. Nie zdziwił się, kiedy wybrała takie rozwiązanie. Skorzystała z jego pomocy.

Ruszyli z powrotem w stronę domu.

– Przez taras – mruknął, wskazując jej drogę.

Bez oporu obrała tę samą trasę, którą tu dotarła, ale po kilku krokach spytała:

– Dlaczego?

– Gdyby zobaczono nas, jak wychodzimy z ogrodu zimowego, sprowokowalibyśmy komentarze: to oczywiste miejsce na schadzkę.

– Natomiast jeśli wejdziemy z tarasu, nikt nawet tego nie zauważy? – spytała.

– Zupełnie nikt. To korzyść z posiadania reputacji takiej jak moja. Jeśli tylko nie zrobimy czegoś nazbyt rażącego, jak na przykład wspólna wizyta w ogrodzie zimowym, wówczas, biorąc pod uwagę moje powszechnie znane upodobania, każdy, kto zobaczy, że odprowadzam cię przez taras, założy, iż wyświadczyłem ci uprzejmość i dotrzymałem towarzystwa, bo chciałaś zaczerpnąć świeżego powietrza, co, w rzeczy samej, zrobiłem wcześniej.

Minęli narożnik domu i wspięli się po schodach na taras, gdzie ujrzeli dwie pary zmierzające właśnie w kierunku budynku. Podążyli za nimi.

Kiedy Mary zatrzymała się, czekając, aż Ryder odsunie dla niej przezroczystą zasłonę w drzwiach, on sięgnął ramieniem zza jej pleców, ale znieruchomiał w tej pozycji, blokując jej przejście, podczas gdy przejrzysta materia odgradzała ich od osób zgromadzonych na sali.

Popatrzyła nań pytająco.

Uwięził jej spojrzenie. Nachylił ku niej głowę.

– Zatem, jak widzisz, nikt nawet nie wyobrażałby sobie, że mógłbym cię uwieść – rzekł cicho, uprzejmym, lecz zarazem poufałym tonem. Spoglądał w jej rozszerzone napięciem oczy. – Poza tym… Jesteś stanowczo zbyt zdeterminowana, by wyjść za mąż. Z całą pewnością nie w typie moich dotychczasowych kochanek.

Chwilę patrzyła mu w oczy, omiotła wzrokiem jego twarz, na dłużej zatrzymując się na ustach, po czym odwróciła się ku sali i, kiedy odsunął zasłonę w przeszklonych drzwiach, spokojnie weszła do środka.

Podążył za nią wpatrzony w jej szczupłe plecy.

Z rozmysłem nie wspominał o tym, że nabiera coraz większej pewności, iż Mary jest w typie jego przyszłej żony.

Rozdział 3

– Nie miałam pojęcia, że będziemy musieli pilnie jechać do Wiltshire, a Simon i Portia chcą wybrać się z nami, głównie ze względu na dzieci, żeby odpoczęły trochę od miasta. – Henrietta spojrzała na Mary ponad stołem, przy którym jadły śniadanie. – Tylko że wówczas zostaniesz w domu całkiem sama.

– Jedynie w tym sensie, że nie będzie tutaj nikogo z rodziny. – Mary wskazała stojącego przy kredensie Hudsona. – Będę miała do dyspozycji służbę, a Amanda i Martin oraz Amelia i Luc mieszkają zaledwie kilka ulic dalej.

– Mimo to… – Henrietta westchnęła. – Nie jechałabym, ale James musi, a naprawdę wskazane jest, żebym zapoznała się z sytuacją w Whitestone Hall, zanim przybędę tam jako nowa pani domu.

– Nie możesz przepuścić tak dobrej okazji – zapewniła ją Mary. Przeżuła kęs grzanki i dodała: – Doprawdy nie pojmuję, czym tak się niepokoisz. Mama i papa wrócą pojutrze. Amanda dotrzyma mi dzisiaj towarzystwa na wieczorku muzycznym u lady Hopetoun, Amelia jutro u lady Bracewell, a potem będzie już mama i wszystko potoczy się stałym trybem. Nie ma absolutnie żadnego powodu, żebyś nie jechała, podobnie jak Simon i Portia.

Henrietta bacznie przyjrzała się siostrze.

– No cóż, skoro tak mówisz.

Mary uśmiechnęła się szeroko.

– Kiedy wyjeżdżacie?

– W ciągu godziny. – Henrietta zerknęła na zegar. – A niech to! – Rzuciła serwetę na stół i wstała. – Muszę się pospieszyć. – Popatrzyła Mary prosto w oczy. – Bądź grzeczna i uważaj na siebie.

– Idź już! – Mary ze śmiechem przepędziła siostrę machnięciem ręki.

Henrietta okręciła się na pięcie i szybko wyszła z pokoju.

Pozostawiona samej sobie, Mary leniwie delektowała się herbatą, a potem zjadła drugą grzankę z dżemem.

I jednocześnie dumała nad tym, na jakim etapie znajduje się aktualnie jej plan znalezienia męża.

Gdyby na ingerencję Rydera zareagowała instynktownie, podwoiłaby wysiłki i jeszcze bardziej nieugięcie parła naprzód z góry wytyczoną ścieżką. Jednakże może była już za stara na to, by na każdą przeszkodę reagować ślepym uporem. Niekiedy mądrość nakazywała uznać, że poczynione założenia mogą okazać się nie w pełni trafne. No i, mówiąc szczerze, minionej nocy to nie zachowanie Rydera wzbudziło w niej wątpliwości co do dokonanego wyboru, lecz Randolph. Właściwie wepchnął Mary w ramiona brata i uciekł.

Stanowczo nie tego oczekiwała po swym wybranku.

Im dłużej analizowała tamten moment, tym mniej było jej do śmiechu.

Odstawiła filiżankę i spojrzała w dół – na naszyjnik widoczny ponad linią dekoltu jasnoniebieskiej sukni. Wisior z różowego kryształu spoczywał między jej piersiami, a ona czuła jego ciężar.

Jeśli teraz, gdy nosisz naszyjnik, nie poczujesz czegoś wyjątkowego do tego twojego dżentelmena, jeśli on nie zawróci ci w głowie, nie zagnieździ się w twoich myślach, tak że nie zdołasz się go stamtąd pozbyć, wówczas, proszę, obiecaj mi, że posłuchasz rady Lady.

Były to słowa jej kuzynki Angeliki, wypowiedziane na balu zaręczynowym Henrietty i Jamesa – pierwszego wieczoru, kiedy Mary miała na sobie naszyjnik. Ze wszystkich kuzynek to właśnie Angelica, również najmłodsza w swojej gałęzi rodu, była najbardziej podobna do Mary pod względem temperamentu; każdy to przyznawał. Naszyjnik dla Angeliki zadziałał, a Mary nadal wierzyła, że tak samo stanie się w jej przypadku.

Jednakże przy Randolphie nie poczuła dotąd niczego poza rozdrażnieniem wynikłym z zawiedzionych oczekiwań. Nie równało się to zaraz stwierdzeniu, że Randolph nie jest tym jedynym, z pewnością jednak nie postrzegała go tak w tej chwili.

– Nie zamierzam czekać latami, w dodatku bez żadnej gwarancji – szepnęła sama do siebie, przesuwając palcami po naszyjniku. – Czas pogodzić się z tym, że Randolph może nie być moim wymarzonym dżentelmenem. Wykorzystam dzisiejszy wieczorek muzyczny, na którym Ryder, dzięki Bogu, z całą pewnością się nie pojawi, żeby po raz ostatni przetestować Randa, jeśli zaś, co prawdopodobne, nie spełni on moich oczekiwań, zacznę się rozglądać za właściwym kandydatem.

Jeśli on nie zawróci ci w głowie, nie zagnieździ się w twoich myślach, tak że nie zdołasz się go stamtąd pozbyć…

To ostatnie mogłoby odnosić się do Rydera, pierwszego dżentelmena, na którego się natknęła przystrojona w naszyjnik. Jednak nie trzeba było zbyt wysilać wyobraźni, by stwierdzić, że mógł posunąć się do czarowania jej jedynie z chęci ochronienia Randolpha. Ryder był głową rodu równie starego jak Cynsterowie, Mary zaś rozumiała opiekuńcze odruchy przynależne do takiej pozycji w rodzinie. W końcu to był jego młodszy przyrodni brat.

Nie miała zatem podstaw, by wyobrażać sobie, że Ryder może być jej wybrankiem – dostrzegała za to wiele argumentów przemawiających za tym, iż nim nie jest. Jak choćby fakt, że wydawali się tak do siebie podobni pod względem charakteru i temperamentu, a główne różnice, pomijając płeć, sprowadzały się do tego, iż on był starszy, nieskończenie bardziej doświadczony i w konsekwencji miał nad nią przewagę. Popełniłaby głupi błąd, gdyby tego nie zaakceptowała. Jednak dla damy, która zamierza pozostać u steru własnego życia, Ryder z pewnością stanowił przeciwieństwo dobrego męża.

Co oznaczało, że ten przeklęty „jeden jedyny" jeszcze się w jej życiu nie zjawił.

Przynajmniej dzisiejszego wieczoru nie groziło jej rozkojarzenie wywołane ingerencją Rydera. Wieczorki muzyczne, takie jak ten u lady Hopetoun, stanowiły domenę swatek, ich podopiecznych oraz młodzieńców z dobrych rodzin w wieku stosownym do ożenku, a tym samym należały do wydarzeń towarzyskich, na których dżentelmeni pokroju Rydera nigdy się nie pokazywali.

Dziś będzie miała otwarte pole do działania.

Dziś podejmie decyzję co do Randolpha Cavanaugha.

*

Mary podążyła za najstarszą siostrą do saloniku muzycznego lady Hopetoun. Podczas gdy Amanda, hrabina Dexter, ruszyła naprzód, żeby przywitać się ze znajomymi, Mary

przystanęła tuż za progiem i się rozejrzała. Przybyły z opóźnieniem, ponieważ Amanda musiała zajrzeć do swojego maleństwa, któremu dokuczał kaszel. Teraz już doświadczona w macierzyństwie, oznajmiła, że czuje się dostatecznie uspokojona, by udać się na Hill Street na wieczorek muzyczny, jednakże na wszelki wypadek posłała siostrę przodem w karecie rodziców, którą Mary przyjechała do Dexter House przy Park Lane, a sama podążyła za nią własnym powozem.

Do tej pory wszyscy inni goście najpewniej już przybyli. Członkowie występującego dziś zespołu kameralnego stroili instrumenty, a większość zaproszonych nadal krążyła po saloniku i gawędziła w grupkach na wolnej przestrzeni bliżej drzwi. Część osób przeszła w głąb pokoju, by zająć obite aksamitem krzesła ustawione w rzędach przed podwyższeniem.

Randolph. Gdzież on się ukrył?

Mary ogarnęła obecnych wzrokiem, po czym, nieznacznie marszcząc brwi, przeszła pod ścianę, by zrobić to ponownie z większą uwagą.

– Nie ma ich tutaj.

Pogratulowała sobie, że udało jej się nie krzyknąć. Obrzuciła Rydera krótkim spojrzeniem, kiedy stanął u jej boku. Błyskawicznie rozważyła, czy chce wdawać się z nim w potyczkę, po czym skapitulowała.

– Ich, czyli kogo? – zapytała.

Przy swoim wzroście mógł dokonać przeglądu gości znacznie skuteczniej niż Mary.

– Randa i jego kompanii. Chyba się przestraszyli.

– Przestraszyli czego? – spytała mimo to, z rezygnacją odwracając się do Rydera.

Z charakterystyczną dlań miną leniwego lwa popatrzył Mary w oczy i lekko uniósł brew.

– Powszechnie wiadomo, że tego rodzaju wydarzenie, zwłaszcza gdy odbywa się o tej porze roku, ma tak naprawdę jeden cel, skądinąd nijak niezwiązany z muzyką.

Nie spierała się z tym twierdzeniem, przecież właśnie dlatego tutaj przyszła. Powiedziała natomiast:

– Randolph i jego przyjaciele pojawili się na wczorajszym balu. Przy czym twój brat sam mi powiedział, że uczestniczą w imprezach takich jak ta dzisiejsza, żeby nie narazić się matkom i szacownym starszym damom.

– Przyznał to? – Ryder się uśmiechnął. – Więc ciągle jest dla niego nadzieja.

Posłała mu pogardliwe spojrzenie.

– Być może wedle twoich kryteriów. Niemniej przyjmując, że mówił prawdę, dlaczego nie ma go tu dzisiaj, podobnie jak jego przyjaciół? – Raz jeszcze szybko, acz wnikliwie omiotła wzrokiem przybyłych. – Matki bez wątpienia życzyłyby sobie ich obecności. Popatrz tylko na wszystkie te młode damy, ich mamy i ciotki… Młodych dżentelmenów także pokazało się dziś sporo.

– Przyjrzyj się baczniej, a zobaczysz, że większość z nich jest co najmniej o rok młodsza od Randa i jego kompanów.

Owszem, zauważyła to. Kiedy, z delikatnym marsem na czole ponownie patrzyła na gości, Ryder odezwał się znowu, odpowiadając na pytanie, które zaczynało powstawać w jej głowie:

– Podejrzewam, że minionej nocy Rand i jego kompania odkryli, iż spoglądają w przepaść.

– A ich nieobecność tutaj stanowi krok w tył?

– Można chyba przyjąć ich nieobecność za swego rodzaju deklarację.

Nieco zdziwiona skonstatowała, że z rezygnacją akceptuje ów stan rzeczy.

– No cóż, poniekąd daje mi to jasność w kwestii moich dalszych poczynań. – Spojrzała na Rydera. – Jakkolwiek z bólem przyznaję ci rację, twój brat najwyraźniej nie jest mężczyzną dla mnie.

Ryder walczył ze sobą, by głośno się nie roześmiać.

– Cieszę się, że udało nam się to ustalić.

– Tak, cóż. Pora ruszać dalej.

Ryder podążył za nią, kiedy słowa wcieliła w czyn.

– A... dokąd właściwie? – rzucił.

– Kontynuować przegląd dżentelmenów, aby znaleźć tego właściwego, oczywiście.

– Rozumiem.

Podszedł z nią do najbliższego rzędu krzeseł, gdy zaś usiadła na jednym z nich, przysiadł na drugim obok. Kiedy muzycy zaczęli grać pierwszy utwór, Mary spojrzała na Rydera z ukosa.

– Nadal mnie pilnujesz?

Przeważająca część przybyłych zajęła miejsca, rozmowy ucichły, a on skinął głową.

– Można to tak ująć.

Po drugiej stronie pokoju lady Carmody usiadła w rzędzie obok Lavinii. Pod osłoną coraz głośniejszej muzyki nachyliła się do przyjaciółki i powiedziała:

– No, no! Co robi tutaj twój pasierb? I dlaczego rozmawia z Mary Cynster? I gdzie jest Randolph?

Lavinia, która teraz, podobnie jak wiele innych dam, także bacznie przyglądała się konwersującej parze, przez zaciśnięte zęby, by nie zacząć krzyczeć, odparła:

– Doskonałe pytania. Na żadne niestety nie znam odpowiedzi. – Po chwili Lavinia spojrzała przed siebie, nachyliła głowę i syknęła do lady Carmody: – A mówiłam Randolphowi, żeby się tu pojawił!

– Tak, cóż. – Lady Carmody starała się załagodzić sytuację. – Chłopcy muszą się wyszumieć.

Wzrok Lavinii raz po raz biegł ku płowej grzywie pasierba i jego szerokim plecom, które poruszały się, kiedy on i Mary Cynster wymieniali komentarze.

– Ostatnie, czego mi trzeba – wycedziła tak cicho, że usłyszała ją tylko lady Carmody – to żeby Ryder zawrócił tej głupiej trzpiotce w głowie.

– Wątpię – odparła po chwili zastanowienia lady Carmody – żeby nawet jemu udało się zepchnąć pannę Cynster z obranej przez nią drogi. Doprawdy, nie zamierza jej chyba uwieść? Pomijając już fakt, że ma za dużo oleju w głowie, by wywołać tak potężny skandal, ona w ogóle nie jest w jego typie.

– To prawda. – Lavinia zmarszczyła brwi. Rzuciła kolejne spojrzenie na swego diabolicznego pasierba. – Ale co on tutaj właściwie robi?

– Być może po prostu doskwiera mu nuda i lubi muzykę. – Lady Carmody wzruszyła ramionami i usiadła wygodniej, aby nacieszyć się koncertem.

Zapewne doskwiera mu nuda i lubi muzykę – jak również moje towarzystwo, zwłaszcza że wie, iż nie planuję go usidlić. – Mary uznała, że to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie obecności Rydera u jej boku. Za sprawą tego rozumowania uśmiechnęła się w duchu.

Koncept, że jeden z najbardziej niebezpiecznych dżentelmenów w towarzystwie szuka schronienia u jej boku przed natarczywymi damami, był wielce pociągający. W miarę trwania koncertu Mary odkryła, że przyjemność sprawiają jej nie tylko muzyka, lecz

także dyskusja z Ryderem na jej temat – inteligentna wymiana zdań obejmująca takie kwestie jak najodpowiedniejszy zestaw instrumentów do wykonania danego utworu, dobór repertuaru, akustyka pomieszczenia czy okoliczność, że wzrost temperatury ani chybi skłoni wkrótce muzyków do ponownego strojenia instrumentów.

Choć Mary orientowała się dość dobrze w pozostałych zagadnieniach, nigdy nie rozumiała, o co chodzi z tym przestrajaniem instrumentów, okazało się jednak, że Ryder miał rację.

Im dłużej gawędzili, tym większą czerpała przyjemność z rozmowy.

Wyglądało na to, że Ryderowi nie chodzi o nic więcej aniżeli delektowanie się muzyką i dzielenie tej przyjemności z Mary w całkowicie niewinny sposób. W trakcie przerwy przeszli do bawialni z bufetem, nadal pogrążeni w rozmowie – z ożywieniem spierali się o przewagi waltorni nad pozostałymi instrumentami dętymi – potem zaś, na wezwanie, wrócili do saloniku muzycznego, by wysłuchać drugiej, dłuższej części koncertu.

Mary była do tego stopnia zaabsorbowana chwilą – tak zaplątana w sieć niespodziewanie miłych słów konwersacji z Ryderem splecioną z zaiste doskonałą muzyką – że dopiero pod sam koniec koncertu odnotowała ukradkowe, wścibskie spojrzenia, jakie kierowano na Rydera ze wszystkich stron. Raptem dotarło do niej, dlaczego część pań – głównie wiekowych dam oraz starszych matron – spogląda na Rydera z zaintrygowaniem, jakby pytały: co on tutaj robi? I czemu nie wyszedł przed końcem koncertu?

Pierwotnie założyła, że przyszedł, aby chronić przed nią Randolpha, kiedy zaś przekonał się, że brata tu nie ma, podążył za Mary, ponieważ chciał posłuchać muzyki, unikając nagabywań ze strony innych osób. Zwłaszcza kobiet.

Nie było rzeczą niesłychaną, żeby dżentelmen jego pokroju interesował się muzyką, jednakże do tej pory, o ile się orientowała, to nie wystarczyło, by skłonić Rydera do udziału w tego typu imprezach. Inni, sądząc po ciekawości, jaką wzbudzał, również nie widywali go chyba wcześniej na takich wydarzeniach.

Poczuła mrowienie na karku, które ześlizgnęło się wzdłuż kręgosłupa.

Jak zauważył sam Ryder, wieczorek muzyczny w szczycie sezonu towarzyskiego z założenia miał sprzyjać pogłębianiu więzi między osobami rozważającymi małżeństwo, czego dowodziła znaczna liczba rozsianych po pokoju młodych par, które rozmawiały pod czujnym okiem przyzwoitek. W konsekwencji, jeśli dżentelmen o statusie Rydera pojawiał się w takim miejscu, należało interpretować to jako deklarację, że wyruszył na łowy – nie na poszukiwanie miłostki, lecz… żony.

Muzyka przybrała na sile. Podobnie jak ucisk w piersi Mary. Dyskretnie spojrzała na Rydera. Zdawał się w pełni zaabsorbowany koncertem.

Przyjrzała się jego twarzy – regularnym rysom, niezaprzeczalnej urodzie, która nie maskowała jednak skrytej za tą fasadą siły – po czym znów popatrzyła przed siebie i z trudem zaczerpnęła powietrza.

Pojawił się tutaj, i został, dla muzyki.

Jakiż miałby inny powód?

Surowo pouczyła samą siebie, że nie ma podstaw do niepokoju, który odczuwała już w całym ciele; Ryder nie zrobił nic, co by sugerowało…

Odrzuciła groteskowy koncept, który za sprawą taksujących spojrzeń różnych dam zagnieździł się w jej głowie.

Mary zmusiła się do wysłuchania ostatniej sonaty; kiedy jej dźwięki wybrzmiały, biła brawo równie żywiołowo jak inni, a potem, uśmiechając się z zachwytem, wraz z resztą

słuchaczy wstała, by zgotować muzykom owację na stojąco, w czym bardzo chętnie wzięła udział. Kiedy aplauz przygasł, lady Hopetoun podziękowała artystom, po czym goście rozeszli się po pokoju, oddając się konwersacji. Nadal z uśmiechem zachwytu Mary pożegnała się z Ryderem, dziękując mu za towarzystwo, potem zaś, szybciej niż kiedykolwiek, ruszyła do swojej przyzwoitki.

*

Oparty plecami o ostatnią kolumnę portyku Hopetoun House, Ryder czaił się w ciemności, przysłuchując się rozmowie Mary i Amandy. Damy wyszły głównymi drzwiami, przecięły portyk i zatrzymały się u szczytu schodów wiodących na ulicę. Obok nich przepływał strumień innych gości, którzy tłumnie opuszczali rezydencję.

Mary strzepnęła jedwabny szal i okryła nim obnażone ramiona.

– Skoro przyjechałyśmy osobno, nie ma potrzeby, żebyś odprowadzała mnie na Upper Brook Street. Stangret John i nasz lokaj zadbają o moje bezpieczeństwo.

– No dobrze – zgodziła się Amanda. – Zapewne masz rację, a poza tym to niedaleko.

– A ty na Park Lane masz stąd jeszcze bliżej. – Mary nachyliła się i cmoknęła siostrę w policzek. – Dziękuję, że przyszłaś mnie popilnować; wiem, że inaczej byś się tu nie zjawiła. I nie martw się o Rydera. Jak mówiłam, po prostu interesowała go muzyka. Nie spodziewam się, że raptem zacznie mi nadskakiwać.

– Być może, ale pamiętaj, co ci powiedziałam. Nie lekceważ go.

Otulony mrokiem, Ryder się uśmiechnął.

Siostry rozstały się i zeszły po schodach, każda do swojego powozu. Przyglądał się, jak lokaje pomagają im wsiąść, a potem drzwi pojazdów się zamknęły i najpierw ten Amandy, a następnie ten z Mary włączyły się w strumień eleganckich karet toczących się wolno na zachód.

Kiedy kareta Mary zniknęła za zakrętem Hill Street, Ryder włożył cylinder i, kołysząc niesioną w ręku laską, wyłonił się z cienia. Dołączywszy do niesłabnącego pochodu wychodzących gości, zszedł na trotuar i, kłaniając się uprzejmie to tej, to innej damie, pieszo udał się do domu.

W Mayfair rzadko korzystał z transportu; cisza nocy, jakkolwiek zakłócana znajomym stukotem kół powozów, działała nań kojąco. Zwłaszcza po wieczorze spędzonym w większym gronie, pośród typowej dla spędów towarzyskich kakofonii.

Skręcił na północ, w górę mniej uczęszczanej Hayes Mews; szedł swobodnie, ani się nie spiesząc, ani też nie zwlekając. Nie skierował myśli na żaden konkretny tor, lecz pozwolił im wędrować po wspomnieniach z minionych godzin.

Impuls, który kazał mu poczekać na portyku, by się upewnić, że Mary ruszyła bezpiecznie w drogę powrotną, był dla niego samego godny uwagi. Ryder nigdy wcześniej nie odczuwał takiej potrzeby, nawet w odniesieniu do dam, z którymi dzielił łoże. Przypuszczalnie był to przejaw związany z tym, jak postrzegał Mary, skutek roli, w jakiej ją obsadził.

Przeanalizował tę kwestię, ale nie dostrzegł niczego alarmującego; skoro widział w Mary swoją markizę, należało się spodziewać tego rodzaju odruchów.

Intrygowała go także fala zrozumienia, jaka spłynęła na nią pod sam koniec wieczoru. Rozmawiała z nim swobodnie, nie poddając sytuacji analizie, lecz raptem uzmysłowiła sobie – w czym zapewne pomogły jej spekulatywne spojrzenia, jakimi obrzucały go inne

damy – że obecność Rydera u jej boku wymaga wyjaśnienia.

Zastanawiał się wówczas, do jakich Mary dojdzie wniosków. W rozmowie z Amandą wyłożyła je całkiem jasno, ale czy naprawdę wierzyła, że pozostał u jej boku jedynie ze względu na swoje – skądinąd autentyczne – upodobanie do muzyki?

Przy końcu Hayes Mews skręcił w lewo w Farm Street. Uśmiechając się do siebie, przeciął brukowaną ulicę i podążył do wylotu zaułka, którym zwykle skracał sobie drogę do domu przy Mount Street, kiedy wracał z południowej części Mayfair. O tak późnej porze większość praworządnych obywateli unikałaby ciemnych zaułków, Ryder jednakże kroczył beztrosko. Nie dość, że jego postura odstraszała potencjalnych napastników, to gdyby mimo wszystko spróbowano go zaatakować, ukryta w lasce szpada podziałałaby jeszcze bardziej zniechęcająco. Potrafił nią władać. Poza tym nie przetrwałby Eton, gdyby nie opanował tajników walki na pięści, w tym z kilkoma przeciwnikami naraz. Szczerze mówiąc, niewielu rzeczy się obawiał. W sensie fizycznym mało co mogło skutecznie mu zagrażać, zrozumiał już wszakże, że w życiu pojawiają się też inne niebezpieczeństwa, potencjalnie nawet bardziej groźne, bo niosące znacznie większe ryzyko prawdziwej straty. Z natury nie czuł się komfortowo, roztrząsając tego typu kwestie, niemniej w przeważającej mierze wiązały się one z problemami, którymi, gdy skończył trzydzieści lat, musiał wreszcie się zająć.

Nim zaatakują go pierwsze.

Zaułek zwężał się na ostatnich dziesięciu metrach; między ścianami budynków było zaledwie tyle przestrzeni, by Ryder zdołał w miarę swobodnie przejść. Wyłoniwszy się z mroku na zamożniejszą i, co za tym idzie, lepiej oświetloną Mount Street, skręcił w lewo, pokonał niewielki dystans, a potem pod skosem przeciął brukowaną ulicę i wszedł na trotuar zaledwie kilka kroków od schodów wiodących do drzwi frontowych swojego domu. Otworzył je własnym kluczem. Kiedy przekroczył próg i znalazł się w oświetlonym, eleganckim holu, nie zdziwił go widok kamerdynera, Pemberly'ego, nadchodzącego od strony sutereny, by odebrać od niego cylinder i laskę. Pemberly służył u jego ojca i, podobnie jak gospodyni, pani Perkins, oraz kilka innych osób ze służby, był niezachwianą stałą w życiu Rydera.

– Witam w domu, milordzie. Ufam, że wieczór się udał?

– O tak. – Ryder sumiennie przekazał mu cylinder i laskę. – Wręcz bardziej, niż na to liczyłem.

Wybrał się do lady Hopetoun, zakładając, że pojawi się tam jego brat; nieobecność Randa oraz wynikły z niej fakt, iż Mary pogodziła się z myślą, że musi skreślić jego kandydaturę, uprościły sprawy, a wskutek tego, że spędził z Mary nieco czasu, jego kampania posunęła się dalej, niż przewidywał.

– Będzie pan jeszcze dziś wychodził, milordzie? – spytał Pemberly.

– Nie. Możesz pozamykać. – Skierował się w stronę korytarza, który prowadził w głąb ogromnego domu. – Posiedzę trochę w bibliotece, a potem udam się na spoczynek.

– Dobrze, milordzie. Przekażę Collierowi.

Ryder przytaknął. Collier był pokojowym jego ojca, w chwili śmierci swego pana zbyt jeszcze młodym na emeryturę. Chociaż Ryder nie potrzebował pomocy przy ubieraniu się, tym bardziej zaś przy rozbieraniu, zezwalał Collierowi pełnić obowiązki; mężczyzna był oddany jego ojcu i niezwykle pomocny w ostatnich dniach życia starego markiza. Ryder starał się, by domownicy zarzucili niemodne określenie „pokojowiec" na rzecz bardziej nowoczesnego „osobisty lokaj". Jak dotąd, bitwa okazywała się niemal daremna, ale był zdeterminowany ją wygrać.

Wszedł do biblioteki. Zamknąwszy za sobą drzwi, przystanął, chłonąc serdeczną, kojącą atmosferę tego miejsca – pokoju, w którym najczęściej przebywał, zarazem najsilniej kojarzącego mu się z ojcem, jako że spędzili tu wspólnie wiele godzin – a potem westchnął z zadowoleniem i podszedł do masywnego kominka.

Wzdłuż wszystkich ścian ciągnęły się, sięgające od podłogi do sufitu, półki pełne oprawnych w skórę tomów, robiąc ustępstwo wyłącznie na rzecz dwuskrzydłowych drzwi, kominka i trzech podłużnych okien naprzeciw niego. Jako że długie aksamitne zasłony zaciągnięto na noc, jedynymi źródłami światła były lampa na niskim stoliku obok jednej z dwóch bliźniaczych sof, ustawionych pod kątem przed paleniskiem, oraz niewielki ogień na kominku. Rozedrgany blask płomieni połyskiwał na polerowanym drewnie, mrugał łagodnie ze złotych liter na grzbietach książek i delikatnie pieścił ciemnobrązową skórę sof oraz foteli.

Ryder przystanął przed kominkiem. Z końca marmurowego obramowania wziął plik kart – zaproszeń, jakie otrzymał na najbliższe dni.

Zgodnie ze swoim zwyczajem usunął z wierzchu zaproszenia na dzisiejszy wieczór i cisnął je w ogień. Oddzielił od pozostałych te na jutro, które odłożył z powrotem na kominek, a następnie podszedł do lampy. Rozłożył karty w wachlarz i zaczął je przeglądać.

Tego wieczoru Mary zadała sobie pytanie na temat jego motywów. Zastanawiała się. Nawet jeśli zdoła przekonać samą siebie, że pozostał u lady Hopetoun z powodu muzyki, przeświadczenie to nie przetrwa długo. Prędko zbliżała się chwila, kiedy Mary doprowadzi do konfrontacji, by poznać jego intencje. A wtedy czeka ich rozmowa.

Wypatrywał jej z niecierpliwością.

Nie mógł narzucić terminu owej – nieuniknionej – wymiany zdań, nie wątpił jednak, że Mary w końcu ją zainicjuje. Poruszy temat, kiedy będzie gotowa, Ryderowi zaś odpowiadało takie rozwiązanie; przynajmniej nie musiał zachodzić w głowę, czy nastał już stosowny czas – ona na pewno go o tym poinformuje.

Uśmiechając się, przeanalizował rozrywki przewidziane na kolejny wieczór w kręgach wytwornego towarzystwa. W obecnej sytuacji musiał jedynie skrupulatnie pojawiać się u boku Mary na każdym wieczornym wydarzeniu, w jakim ona weźmie udział. Aby pchnąć kampanię na kolejny etap, wystarczy, że będzie na miejscu, a Mary zrobi resztę – stworzy mu wyśmienitą sposobność do tego, by krystalicznie jasno wyłożył swoje intencje.

Z siedmiu trzymanych w dłoni kart barwy kości słoniowej wybrał jedną, ponownie przeczytał jej treść i skinął głową.

– Ta – rzekł cicho, postukując kartą o kciuk. – Tam jutro będzie. Na balu u lady Bracewell.

Rozdział 4

Co, na wszystkie świętości, knuje Ryder?

Nazajutrz rano, przy herbacie i grzankach, Mary zmagała się z tym pytaniem coraz bardziej zatroskana.

Po raz nie wiadomo który odtwarzała treść rozmów, jakie odbyli przez trzy ostatnie wieczory. Zapytała go, dwukrotnie, o co mu chodzi, i przy obu okazjach właściwie jej nie odpowiedział.

Jednakże, kiedy sprowokowana przez niego, zwięźle wyliczyła, jakie według niej powodują nim motywy, przyznał jej rację – choć zarazem spędził miniony wieczór u boku Mary w miejscu, gdzie dżentelmeni w jego wieku nie powinni się pokazywać, chyba że w zamiarach matrymonialnych. Jego obecność dało się początkowo wyjaśnić troską o Randolpha, dlaczego jednak, kiedy uzmysłowił sobie, że brata tam nie ma, mimo wszystko pozostał na wieczorku?

Z powodu koncertu?

Czy pragnienie posłuchania, jak dobry, lecz z pewnością niezbyt sławny zespół kameralny gra znane kompozycje, było aż tak silne?

Mary spojrzała na puste krzesło przy końcu stołu, na co dzień zajmowane przez jej matkę. Gdyby Louise tu była, poprosiłaby ją o radę; ona na pewno błyskawicznie rozwikłałaby zawiłości motywów Rydera.

– Wrócą jutro rano, panienko.

Podniósłszy wzrok, Mary uzmysłowiła sobie, że wpatrywała się cokolwiek tęsknie w puste krzesło, i uśmiechnęła się do Hudsona.

– Tak, wiem. Wrócą, zanim się obejrzę.

– Czy służba może coś dla panienki do tego czasu zrobić?

– Nie, nie. – Gestem zasygnalizowała Hudsonowi, żeby postawił na stole dzbanek z herbatą, który właśnie przyniósł, po czym ponownie napełniła sobie filiżankę. – Potrzebuję porady mamy, ale nie ma z tym pośpiechu. – Raz jeszcze uśmiechnęła się uspokajająco do kamerdynera.

Ukłoniwszy się, Hudson wyszedł, żeby odnieść do kuchni brudne naczynia po śniadaniu, a ona oparła się wygodnie i upiła łyk herbaty. Przez jej głowę przetoczyło się wspomnienie rozmowy z Ryderem z minionego wieczoru. Z filiżanką zawieszoną w pół drogi do ust wyprostowała się na krześle. Raz jeszcze odtworzyła krytyczne fragmenty. Zmarszczyła brwi, a niepokój, którego przez cały czas uparcie starała się nie nazywać, nabrał kształtu i gwałtownie wzrósł.

Biorąc pod uwagę, że ostatnimi czasy często konwersowali, a także wywodzili się z tej samej sfery i znali od lat, mogła zrozumieć, że darował sobie tytułowanie jej „panną Cynster". Jednakże minionego wieczoru, a nawet poprzedniego, pomijając sytuacje, kiedy chciał przyciągnąć jej uwagę, w ogóle nijak się do niej nie zwracał.

Mówił do niej – a ona mu odpowiadała – jakby osiągnęli już pewien poziom porozumienia.

– Nie! – Protest zabrzmiał słabo, toteż go powtórzyła. – Nie. I jeszcze raz nie! – Zacisnęła wargi, odstawiła filiżankę i pokręciła głową. – Wykluczone, nie zgadzam się!

Ryder nie był, żadną miarą nie mógł być, kandydatem na jej męża.

Nie był mężczyzną dla niej. Co jednak, jeśli on uznał, że Mary jest kobietą dla niego?

– Co pocznę, jeśli tak właśnie uważa? – wyszeptała.

*

Gdy tego wieczoru u boku Amelii weszła z wdziękiem na salę balową w domu lady Bracewell, Mary zdążyła zyskać pewność, że wróciła na właściwą drogę.

Swoją własną – do ukochanego mężczyzny, który zawróci jej w głowie i zapewni szczęśliwe życie.

Musiała jedynie go dopaść. Naszyjnik zapewni całą resztę.

Rozpoczęła kampanię na nowo, towarzysząc Penelope, siostrze Portii, w porannej wyprawie do parku. Zabrały małego Olivera, pierworodnego Penelope, na spacer w łagodnych promieniach słońca. Idąc obok niej, Mary przyglądała się dżentelmenom przejeżdżającym w kariolkach i przechadzającym się alejkami, ale żaden nie wpadł jej w oko. Żaden nie przyciągnął jej uwagi, nie wspominając o przykuciu tejże na dłużej.

Gdyby towarzyszył jej ktoś inny, Mary może by poruszyła temat Rydera, ale Penelope analizowała głównie zachowania dżentelmenów sprzed tysiącleci, względnie osobników o kryminalnych inklinacjach, toteż wszelkie spostrzeżenia, jakimi mogłaby się podzielić, siłą rzeczy byłyby dyskusyjne.

Mary zaś z pewnością nie chciała pogłębiać swych wątpliwości.

Z parku udała się do Dexter House, do Amandy, i razem pojechały na lunch do lady Holland, w którym wszakże uczestniczyły wyłącznie panie. Choć jazda tam i z powrotem dostarczyła jej okazji, by poradzić się najstarszej siostry w kwestii niepokojąco natrętnego markiza, Mary, ku swemu zdziwieniu, czuła opór przed poruszeniem tego tematu. Wytłumaczyła to sobie faktem, że ze wszystkich sił starała się o tym człowieku zapomnieć.

Łatwiej zadeklarować, niż zrobić.

W niebieskiej sukni z mory, z linią dekoltu i rękawami obrębionymi chabrową taśmą, Mary, w ślad za Amelią, ze zwykłą pewnością siebie przywitała się z lady Bracewell, a potem wraz z siostrą ruszyła po schodach w dół na salę – i z irytacją odkryła w sobie nerwowe rozedrganie.

Musiała pozostać skupiona na zadaniu, wmieszać się w tłum i poddać ocenie każdego potencjalnego kandydata, w tym zwłaszcza dżentelmenów, którzy zajmowali wysokie pozycje na jej liście, nim zdecydowała się na Randolpha Cavanaugha. Oczywiście, tamtych ocen dokonywała bez pomocy naszyjnika, może więc dżentelmen, który poprzednio nie zdobył u niej tak wielu punktów jak Randolph, okaże się bardziej atrakcyjny teraz, gdy Mary spojrzy nań przez pryzmat talizmanu Lady.

Schodząc po białych marmurowych stopniach, omiatała wzrokiem gości, świadoma narastającego w niej napięcia. Oczekiwała na wydarzenie niemiłe, lecz chyba nieuniknione. Lecz, o dziwo, nigdzie na sali nie dostrzegała płowej grzywy Rydera. Nie chciała, żeby tu był, nie chciała, by zabiegał o jej uwagę, pobudzał zmysły w trakcie walca. Bóg jej świadkiem, że gotowa była nawet przyznać, iż nie ma siły i doświadczenia, żeby stawić mu opór. Jaki los by ją czekał?

Jednak Ryder nie miał dłużej powodu jej ścigać, nie tutaj, nie tej nocy, w ogóle nigdy.

– Dobry wieczór, Amelio.

Mary gwałtownie odwróciła głowę i zdusiła przekleństwo. Popatrzyła na Rydera, który wyłonił się z cienia rzucanego przez łuk schodów, co tłumaczyło, dlaczego wcześniej go nie spostrzegła, i właśnie z uśmiechem pochylał się nad dłonią Amelii.

– Ryderze. – Amelia odwzajemniła uśmiech i spojrzała na Mary. – Ty i Mary zapewne się znacie?

– W rzeczy samej. – Uśmiechnął się do Mary.

Przypomniawszy sobie, że Amelia się nie zorientowała, kogo jej siostra unikała przez większą część balu u lady Castlemaine, podobnie jak nie wiedziała, kto czarował ją przez cały miniony wieczór, Mary odwołała się do swego towarzyskiego obycia i obdarzyła Rydera uśmiechem.

– Tak, już się spotkaliśmy.

Ryder przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem spojrzał na Amelię.

– Lady Coxton napomknęła, że na ciebie czeka. Stoi w tamtym miejscu. – Wskazał odległą część pomieszczenia.

– Ach, dziękuję. Wiesz, gdzie mnie szukać, Mary? Ryderze. – Pożegnawszy się z markizem skinieniem głowy, oddaliła się i zniknęła w tłumie.

Mary popatrzyła mu prosto w oczy. Celowo nie omiotła wzrokiem całej jego imponującej sylwetki – jak zwykle mógłby stanowić wzór eleganckiego, wyrafinowanego, obytego arystokraty.

– Zamierzam przyjrzeć się kolejnym kandydatom do mojej ręki – oświadczyła chłodno. – Teraz, kiedy skreśliłam z tej listy Randolpha, nie masz powodu za mną chodzić.

Przez kilka uderzeń serca odpowiadał na jej wyzywające spojrzenie, a potem wygiął wargi w grymasie, który nie do końca był uśmiechem.

– Być może. Zobaczymy.

– A cóż to niby za odpowiedź?

– Jedyna, jaką otrzymasz.

Znów sobie z nią pogrywał.

– Ryderze, proszę, idź sobie.

Wyglądało na to, że poważnie rozważa jej apel. Prawie obudziła się w niej nadzieja, lecz po chwili pokręcił głową.

– Nie sądzę, żebym mógł spełnić tę prośbę.

– Dobrze, ale skoro już musisz kręcić się w pobliżu, bądź przynajmniej na tyle uprzejmy, by nie wchodzić mi w drogę.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i z determinacją wmieszała się w tłum gości.

Ryder uśmiechnął się szeroko i, w każdym razie na początku, zostawił jej pełną swobodę.

Pięć minut później nie czuł się już tak ubawiony.

– Nie możesz przecież uważać, że Rigby albo Cantwell to odpowiedni kandydaci do twojej ręki. Twoja rodzina… a z pewnością kuzyni… byliby wstrząśnięci – powiedział do niej, kiedy ich drogi przecięły się kilka minut później.

– Dlaczego? – Mary popatrzyła nań z ukosa.

– Długi. Jak również kilka innych przypadłości, o których nie wypada mówić.

– Och. – Odrobinę się stropiła. Przez chwilę przyglądała się rzeczonym mężczyznom, stojącym w kręgu ich rówieśników, bez wyjątku utracjuszy. – Jesteś pewien?

– Rigby wkrótce znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, a ziemie Cantwella są obciążone co do akra. – Zawahał się. – Nie jest to jeszcze powszechna wiedza, ale wiele osób zna

fakty.

– Starsze damy powinny prowadzić stosowny spis. Rejestr dżentelmenów, którzy nadają się na mężów.

– Wydawało mi się, że tę funkcję pełni lista wstępu do Almacka.

Przytaknęła.

– Kawalerowie dopuszczeni do Almacka zapewne by się kwalifikowali, lecz mnie akurat bardziej interesują ci nieżonaci, niemniej jak najbardziej godni zaufania dżentelmeni, których za próg Almacka dałoby się zaciągnąć tylko dzikimi końmi.

Dżentelmeni tacy jak on.

Milczał więc i niespiesznie podążał za nią. Niechże tego wieczoru Mary działa swobodnie, poddaje ocenie, kogo zechce, dzięki czemu on będzie mógł wyliczyć wady kolejnych potencjalnych kandydatów do jej ręki. A gdyby przypadkiem trafił się osobnik bez wad… Cóż, w przeciwieństwie do pewnych dam większość panów doskonale rozumiała, jak interpretować okoliczność, że Ryder Cavanaugh, markiz Raventhorne, nie odstępuje Mary Cynster na krok. Znał swoją wartość jako kawalera do wzięcia; niewielu dżentelmenów zawracałoby sobie głowę próbami podjęcia z nim współzawodnictwa. A ci akurat zaliczali się do grona jego znajomych, często wręcz przyjaciół. Przypuszczalnie żaden z nich, nawet dla czystej rozrywki, nie kusiłby losu, zabiegając o rękę Mary.

Była typem kobiety, przed którym większość tych mężczyzn by czmychnęła. W rzeczy samej, nie potrafił wyjaśnić, dlaczego sam nie podziela tych obaw. A jednak nie podzielał, Mary zaś niezaprzeczalnie miała moc zaskakiwania go i, co nawet ważniejsze, prowokowała go do śmiechu, nawet jeśli dawał temu wyraz tylko w duchu.

Była właśnie zaabsorbowana George'em Cruikshankiem, którego zdołała osaczyć, kiedy ponad salą popłynęły pierwsze dźwięki walca. George podniósł wzrok na Rydera w niemym błaganiu; łagodny i miły z natury, wyglądał jak schwytany królik, drżący z chęci natychmiastowej ucieczki. Nim Ryder zdążył zainterweniować i poprosić Mary do tańca – co i tak od początku zamierzał zrobić – zuchwale wsparła dłoń na ramieniu George'a i uśmiechnęła się doń słodko.

– Jeśli wolno mi być tak śmiałą, sir, uwielbiam walca.

– Aaa… – George wyglądał na przerażonego. – Aaa…. chroma noga.

Mary zamrugała.

– O? – Spojrzała na, do tej pory całkowicie sprawne, kończyny George'a.

Mężczyzna złapał się za udo z grymasem na twarzy.

– Nie lubię chodzić o lasce, rozumie pani, chyba jestem na to zbyt próżny. Obawiam się jednak, że walcowi bym nie podołał.

– Och. – Z Mary, nadal wpatrzonej w nogi George'a, niemal zauważalnie uleciało powietrze.

Nim zdążyła pchnąć go w coraz głębszą czeluść kłamstw, wypytując o szczegóły wyimaginowanej ułomności, Ryder chwycił ją za łokieć.

– Zatańcz ze mną, a biednemu George'owi pozwólmy cierpieć w spokoju.

Podniosła nań wzrok. Przez chwilę jej chabrowe spojrzenie pozostawało odległe – jakby pochłaniały ją inne sprawy – lecz nagle zamrugała i skupiła uwagę na Ryderze.

– No… dobrze. – Popatrzyła na George'a. – Dziękuję za rozmowę, sir. Mam nadzieję, że noga wkrótce przestanie panu dokuczać.

Nie pozwalając sobie na uśmiech, Ryder skinął George'owi głową. Ogrom płynących prosto z serca podziękowań, jakie mężczyzna zdołał zawrzeć w pozbawionej słów

odpowiedzi, zagroził powadze Rydera, który zrozumiał, że Mary kompletnie nie zdaje sobie sprawy, w jaki popłoch wprawia co łagodniejszych dżentelmenów z towarzystwa. Zaprowadził ją na parkiet i wziął w ramiona.

– Obawiam się, że George też odpada.

– Najwyraźniej.

Ryder porwał ją do tańca. A potem mężnie walczyła, by utrzymać koncentrację na wyznaczonym sobie zadaniu. Wystarczyły jednak dwa zamaszyste obroty, by jej myśli pobiegły ku zagadce, dlaczego walc z Ryderem wydaje się tak odpowiedni i… doskonały. Owszem, tańczył wyśmienicie. Był od niej wszakże o tyle wyższy i potężniejszy, że sądziłaby, iż ją przytłoczy, a tymczasem czuła się bezpiecznie. Nie jak zniewolona, za to z pewnością osłaniana przed innymi osobami na parkiecie.

Podczas tańca oni dwoje tworzyli jedność, byli całkowicie odseparowani od innych i całego świata.

Pokonali całą długość sali i zmierzali z powrotem, kiedy jej myśli wreszcie dogoniły rzeczywistość i odkryła, że rozkoszuje się tą chwilą, uśmiechając się swobodnie – beztrosko i szczerze – do Rydera. On zaś uśmiechał się do niej z niejaką satysfakcją.

Rozważała, czy mu powiedzieć, że zaczyna nabierać przekonania, iż nie powinna więcej z nim tańczyć; czynił ją nieosiągalną dla innych mężczyzn. Z drugiej strony, może potraktuje to jak swego rodzaju punkt odniesienia; kiedy wreszcie znajdzie swojego dżentelmena, taniec z nim z pewnością przebije nawet to doświadczenie.

To wspaniałe, rozkoszne, szalone doświadczenie.

Jako że chodziło o Rydera – który nie potrzebował dalszej zachęty, a tym bardziej kolejnych wyzwań – oczywiście trzymała język na wodzy i po prostu cieszyła się tańcem.

Kiedy taniec dobiegł końca, szczerze podziękowała swemu partnerowi, po czym utkwiła wzrok w panu Warwicku Hadfieldzie, który po tańcu ze swoją kuzynką, panną Manners, zatrzymał się o kilka kroków od nich.

Warwick znajdował się na wstępnej liście Mary i pod wszelkimi liczącymi się w towarzystwie względami był dla niej przypuszczalnie lepszym kandydatem na męża niż Randolph. Jako syn wicehrabiego Moorfielda miał odziedziczyć spory majątek ziemski. Nie, żeby dla Mary czy jej rodziny grało to wielką rolę, ale, jak zauważył Ryder, socjeta miała swoje oczekiwania.

Teraz, gdy nosiła naszyjnik, powinna na nowo rozważyć kandydaturę Warwicka.

Bez trudu nawiązała z nim kontakt, jako że większość gości krążyła między poszczególnymi grupkami. Jednakże choć Warwick mówił inteligentnie i okazał się dostatecznie czarujący, nie poczuła nic. Po prostu nic. Najwyraźniej sama także nie zrobiła na nim wrażenia; wedle jej oceny był zauroczony swą piękną kuzynką. Skreśliwszy Warwicka z listy, wytrwale ruszyła dalej. Ryder pozostał u jej boku, poniekąd w charakterze jej eskorty – a ponieważ ścisk robił się coraz większy, cieszyła się, że narzucił jej swoje towarzystwo, gdyż dzięki swej imponującej posturze torował jej drogę. Jakkolwiek pozwalał sobie na komentarze, to przeważnie ogólne, zabawne, w najmniejszym stopniu niezłośliwe; miał dość rozumu, by nie podważać jej wyborów, chyba że znał istotne i pomocne fakty, którymi mógł się z Mary podzielić.

W każdym razie do czasu gdy – trochę z desperacji, prawdę mówiąc – dołączyła do grupy, w której skład wchodziło kilku początkujących kobieciarzy oraz jeden doświadczony rozpustnik. Jaspera Helfortha i Joselina Filliwella dało się jeszcze, wedle jej osądu, ocalić; pod wszelkimi względami, prócz swej drobnej słabości, stanowili świetny materiał na mężów. Tym samym warto było poddać ich ocenie. Rozmowa z nimi

sprawiła jej autentyczną przyjemność, aczkolwiek Mary odnotowała, że bardzo się pilnowali, by włączać do przekomarzanek starszego od nich markiza. Mimo to nadal nie poczuła żadnej iskry, żadnego pobudzenia zmysłów, niczego, co wywarłoby na niej wrażenie na tyle duże, aby odwrócić jej uwagę od Rydera. Zaczęła nawet wykorzystywać ten fakt jako barometr, by oszacować potencjał innych mężczyzn.

Skoro Ryder uparł się tkwić przy jej boku.

Nie miała pojęcia, co on czerpie z tego doświadczenia, poza dobrą zabawą, co niespecjalnie starał się ukryć.

Muzycy zaintonowali kolejnego walca, a Joselin Filliwell z uśmiechem poprosił Mary do tańca. Skwapliwie przyjęła zaproszenie; wydawał się bliższy jej ideałowi niż Jasper czy którykolwiek z poddanych dotąd ocenie mężczyzn.

Joselin tańczył zaiste doskonale. Próbowała, naprawdę starała się pochwycić tę samą ulotną magię, jaką czuła, wirując w ramionach Rydera, ale…

Z przyklejonym do twarzy uśmiechem zdusiła westchnienie, gdy Joselin odprowadzał ją po zakończeniu na wskroś nudnego walca. Kiedy dołączyli do grupy, okazało się, że w międzyczasie zmieniła ona skład. Przyłączyło się do niej dwóch młodych, umiarkowanie dobrze rokujących dżentelmenów, jak również Cassie Michaels i Rosalind Phillips. Z Ryderem u boku, Mary spędziła następne dwadzieścia minut na pogawędce z nowymi dżentelmenami. W przeciwieństwie do nich widziała jasno, że Cassie i Rosalind realizują cele zbliżone do jej własnego.

Jakkolwiek przyjemni i ogólnie bez zarzutu, młodsi mężczyźni nie zdołali wzbudzić jej zainteresowania. Byli po prostu zbyt niedojrzali.

Miała właśnie odwrócić się do Rydera z sugestią, by iść dalej, gdy znów rozbrzmiały dźwięki walca.

– Panno Cynster, sprawiłaby mi pani bezmierną przyjemność, gdyby zechciała podarować mi ten taniec.

Mary spojrzała na dżentelmena, który stał nieco dalej. Odrobinę starszy od pozostałych w kręgu Claude Legarde miał reputację rozpustnika co się zowie. Ubrany elegancko, choć zarazem jakby nazbyt modnie, z falbanami przy kołnierzu i mankietach, roztaczał mdłą woń mirry. Mary nie chciała z nim tańczyć. Jednak jak miała mu odmówić, żeby nie uznał tego za obrazę, skoro była gotowa tańczyć z innymi? Legarde słynął z ciętego języka.

– Z wielkim smutkiem muszę poinformować pana, panie Legarde, że panna Cynster obiecała już tego walca mnie. – Ryder przeciągał zgłoski równie leniwie jak Legarde, a jednak coś w jego tonie zniechęcało do konfrontacji.

Mary poczuła taką ulgę, że z chęcią by Rydera pocałowała. Kiedy ten odwrócił się ku niej, uśmiechnęła się i ochoczo podała mu rękę.

– Dziękuję, nie zapomniałam o obietnicy.

– Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłabyś.

Skinął głową zebranym, a później powiódł Mary na parkiet.

Kiedy odchodzili, mignęła jej jeszcze twarz Legarde'a. Dostrzegła zachwyt w jego oczach. Dlaczego zareagował w ten sposób?

Ryder wziął ją w ramiona i zawirowali, a wtedy wyrzuciła z myśli Legarde'a i poddała się chwili.

– Dziękuję za ratunek. Pan Legarde stanowczo nie zagości na mojej liście – rzekła do Rydera.

– Dzięki Bogu.

Zajrzał jej w oczy, przyglądał się, jak Mary uśmiecha się z pewnością siebie, po czym poskromił odzywające się w nim naturalne impulsy, w sprawach tyczących Mary znacznie silniejsze, niżby się tego spodziewał na tym etapie znajomości.

Niemniej ona jakimś sposobem, właściwie już na samym początku, nawiązała bezpośrednią więź z pierwotną częścią jego „ja", kierującą się instynktem. W trakcie ich ostatnich spotkań owa więź jedynie się umocniła.

Stała się wyraźniejsza, bardziej sprecyzowana, zwłaszcza gdy Ryder poznał powód, który przywiódł dziś Mary na bal.

Mimo to jak dotąd stawiał czoło wyzwaniu. Wyzwaniu, jakim było pozostawienie jej swobody działania, choć najchętniej chwyciłby ją w ramiona i stąd porwał. Uważał, że jak na razie może pogratulować sobie nienagannego występu, istnego popisu zdystansowania i powściągliwości.

Walc przebiegł spokojnie; Ryder tego właśnie chciał. Nie widział potrzeby, by już teraz podkreślać swoją przewagę. Lepiej aby Mary sama zdała sobie sprawę – bo w końcu to nastąpi – że żaden inny dżentelmen nie będzie pasował do niej tak jak on. I żeby doszła do tego wniosku nierozpraszana przez rodzącą się między nimi więź. Właściwie ona już istniała, na razie w zalążku, jednak potencjalnie bardzo silna; mógłby się do niej odwołać, gdyby tylko zechciał, wyczuwał wszakże, że na Mary bardziej przekonująco wpływało jej własne rozumowanie. Po prostu musiała przekonać samą siebie.

Gdy taniec dobiegł końca, oboje się uśmiechali, całkowicie zgodni. Nie zaprotestowała, gdy pokierował ją do grupki dam i dżentelmenów bliższych mu wiekiem. Wszystkich z tego grona najwyraźniej znał.

Lady Juliet Paynesville, dawna kochanka Rydera, odwróciła się ku niemu z uśmiechem.

– Milordzie, brat interesował się, czy pana zobaczę, chciał bowiem zapytać, czy miałby pan chęć pojechać tego lata na polowanie do Szkocji?

Patrząc jej w oczy, Ryder doskonale rozumiał, że zwierzyna łowna nie będzie jedyną dostępną zdobyczą, jeśli zdecyduje się przyjąć jej – oraz jej brata – zaproszenie. Jednak to właśnie tego rodzaju przygody – przyjemne, lecz zasadniczo pozbawione znaczenia, nieprzynoszące żadnych długofalowych korzyści – zaczynały go nużyć; jego instynkty myśliwego zawyrokowały, że szkoda na nie czasu.

– Podziękuj, pani, Johnowi w moim imieniu, ale jeszcze nie sprecyzowałem planów na lato.

Juliet przyjęła odmowę bez urazy.

– Ach, cóż. – Uśmiechnęła się i przeniosła spojrzenie z niego na Mary. – Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

Ryder także się uśmiechnął i podążył za jej wzrokiem – po czym natychmiast musiał zapanować nad marsem na czole. Grymasem niezadowolenia. Pełnym irytacji warknięciem.

Kiedy na kilka chwil zaprzątnęły go inne kwestie, do ich kręgu dołączył kolejny dżentelmen, który utorował sobie drogę w pobliże Mary. Jack Francome, przystojny, ujmujący, na pozór równie niefrasobliwy jak Ryder, dzięki doskonałemu urodzeniu zyskał wstęp do wytwornego towarzystwa i przyjmowano go w większości domów, od dawna jednak miał reputację człowieka o wątpliwym charakterze i mętnej moralności. Hazardzista, przegrał ojcowiznę, nim jeszcze osiągnął wiek dwudziestu pięciu lat, a potem utrzymywały go kolejne dobrze sytuowane kochanki.

Choć przeważnie na cel obierał wdowy znacząco starsze od Mary, w pogoni za

majątkiem nie wzbraniałby się przed uwiedzeniem niewinnej dziewczyny. Niemniej musiał znajdować się w zaiste rozpaczliwej sytuacji, skoro próbował swych gierek z Cynsterówną. Francome znał wszystkie sztuczki. Wciągnął ją w rozmowę, tak że wkrótce gawędzili na pół prywatnie, mimo iż nadal stali w grupie znajomych. Trzymając się blisko, Ryder przysłuchiwał się ich wymianie zdań. Francome bardzo się pilnował, unikając tematów czy sugestii, które mogłyby wzbudzić w Mary podejrzenia.

A ci przeklęci muzycy znowu zaczęli grać.

Mary uniosła głowę i spojrzała zachęcająco na intrygującego pana Francome'a. Spotkała go już wcześniej na kilku balach, lecz tylko przelotnie; nie miała dotąd okazji z nim porozmawiać, a tymczasem okazał się znacznie bardziej interesujący niż młodsi od niego dżentelmeni, których do tej pory brała pod lupę. Być może powinna zarzucić sieć szerzej?

Francome się uśmiechnął.

– Poprosiłbym panią do tańca, panno Cynster, ale zrobił się tu taki ścisk, że zastanawiam się, czy nie wolałaby pani zamiast tego przespacerować się po tarasie?

Stali zaledwie kilka kroków od dwojga szklonych drzwi otwartych na brukowany, zabezpieczony balustradami taras i letnią noc. Mary spojrzała na pary, które już przechadzały się w blasku księżyca, i raptownie zatęskniła za świeżym powietrzem.

– Dziękuję. Bardzo chętnie.

Z entuzjazmem popatrzyła na Francome'a, on zaś elegancko zaofiarował jej ramię. Wyciągnęła ku niemu rękę. Na której zamknęła się potężna męska dłoń. Bynajmniej nie Francome'a.

Zaskoczona – a wręcz wstrząśnięta – Mery podniosła wzrok na Rydera. Jej słabe „Co to ma znaczyć?" zostało zagłuszone jego groźnym „Nie wydaje mi się". Wpatrywała się w niego oszołomiona; nie zwracał się do niej, lecz do jej towarzysza. Nie widziała do tej pory u Rydera tak twardego wyrazu twarzy.

Gdyby wzrok Rydera mógł zabijać, Francome już byłby trupem.

Francome zbladł, przełknął ślinę i opuścił ramię.

– Nie zdawałem sobie sprawy… – powiedział ciszej, głosem już nie tak czarującym jak wcześniej. Spojrzał na Mary.

– Radzę się zastanowić – rzekł tonem groźby Ryder. – Zwłaszcza nad tym, jakie ma pan szczęście, że nie jestem jednym z jej kuzynów.

Francome lustrował oblicze Rydera.

– Pan by przecież nie…

Mary przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

– Ryderze…

– Proszę mi wybaczyć, panno Cynster – przerwał jej Francome – ale wzywają mnie gdzie indziej.

Zamrugała.

– Ach tak.

Mężczyzna skłonił się, nie patrząc jej w oczy, a kiedy się wyprostował, wymienił przeciągłe spojrzenia z Ryderem. Po czym prędko znikł w tłumie.

Wszyscy wokół nich słyszeli albo przynajmniej widzieli rozmowę. Nawet jeśli udawali, że jest inaczej, co jednakże nikt nie wydawał się zaskoczony. Ich akceptacja dla poczynań Rydera nią wstrząsnęła; niczym w kalejdoskopie pewne sformułowania, spojrzenia, fragmenty wspomnień przemieściły się, zakołysały, uszeregowały – i wskoczyły na swoje miejsce.

Nagle dostrzegła, co się działo.

Przez ostatnie trzy noce, tuż pod jej nosem, podczas gdy ona niczego nie podejrzewała.

Podniosła oczy na Rydera. Uprzejmie odwzajemnił spojrzenie, a jego rysy złagodniały jeszcze odrobinę, przybierając znów typowy dlań przyjazny wyraz.

W niczym niepodobny do tego sprzed zaledwie kilku chwil.

Opuścił wzrok na jej dłoń, którą nadal trzymał w mocnym, choć niemiażdżącym uścisku. Wolno, jakby zmuszał każdy palec, aby się wyprostował, poluzował uścisk i uwolnił rękę Mary.

I to jego zachowanie, bardziej nawet niż wcześniejszy pokaz, umocniło jej pogląd – zarazem rozpalając w niej gniew.

Zmrużyła oczy i zacisnęła palce na jego rękawie. Dyskretnie szarpnęła jego ramieniem, a potem zdobyła się na słodki, niewiele mówiący uśmiech.

– Jeśli państwo wybaczą, udamy się na przechadzkę.

– Dobrze, ale rozegrajmy to chociaż w sposób cywilizowany – szepnął jej do ucha. Łagodnie uwolnił ramię z jej uchwytu, a następnie ulokował sobie jej dłoń w zagięciu łokcia. – Pójdźmy tedy, nim zemdlejesz.

Z chęcią by go udusiła.

Poprowadził ją na długi taras. Gdy się tam znaleźli, rozejrzeli się, dostrzegli puste miejsce przy jego od-

ległym krańcu i zgodnie ruszyli w tamtą stronę. Ryder wymusił na Mary spacerowe tempo – takie, które nie zwracało niczyjej uwagi. Gniew dawno osiągnął w niej stan wrzenia i niewiele jej brakowało do wybuchu. Teraz już rozumiała, co się działo – Ryder zarzucał na nią niewidzialną sieć zaborczej troski. Wyczuwali to inni mężczyźni, a także bez wątpienia te damy, które dostatecznie często obcowały z dżentelmenami jego pokroju.

Oznaczył Mary jako swoją.

Troskę potrafiłaby jeszcze zrozumieć; znała ten typ mężczyzn, wiedziała, że w ich przypadku jest to głęboko zakorzeniona cecha. Jednakże zaborczość… O nie. Na to ani myślała pozwolić.

Miejsce, ku któremu zmierzali, znajdowało się poza zasięgiem wzroku gości zgromadzonych na sali balowej, ale nieprzechadzających się po tarasie par. Kiedy zwolnili, zbliżając się do celu, Mary wysunęła dłoń z uścisku Rydera i stanęła plecami do balustrady, a twarzą do niego. Gdy skutecznie zasłonił ją przed ciekawskimi spojrzeniami, wycelowała palec w jego twarz.

Rozumiejąc, że ma pełnić funkcję parawanu, Ryder zatrzymał się bezpośrednio przed nią, w odległości niespełna pół kroku. Kiedy tylko to zrobił, jej oczy zwęziły się w szparki.

– Pytałam cię już dwukrotnie, co sobie wyobrażasz, depcząc mi po piętach, i nie umknęło mojej uwadze, że właściwie mi nie odpowiedziałeś. A po tym drobnym epizodzie sprzed chwili pragnę ci wyjaśnić jedną kwestię: nie jestem twoją własnością!

Oczekiwała jakiejś reakcji. Nadaremnie.

– Co teraz? Zamurowało cię?

– Nie. Usiłuję zdecydować, jak ci wyjaśnić, że jesteś w błędzie.

– Nie jestem w błędzie – oświadczyła, patrząc mu w oczy.

– Pozwól, że się z tobą nie zgodzę.

– Nie! Nie możesz się nie zgodzić! – Dobry Boże, nie, to wykluczone. Nie on. Raptem zawirowało jej w głowie. – To nie dzieje się naprawdę.

Ryder jedynie szerzej otworzył oczy, jakby nadal świetnie się bawił.

Dźgnęła go palcem w pierś. Równie dobrze mogłaby szturchać skałę.

– Odpowiedz mi, tym razem jak należy. Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? – Rozpostarła ramiona. – Co niby zamierzasz zyskać, prowadząc tę swoją dziwaczną grę?

– Ciebie. Jako moją żonę. Moją markizę.

Ryder z chęcią odrzucił pozory. Pomijając inne kwestie, za dużo wyczytała z jego napiętej wymiany zdań z Francome'em; nie widział sensu w dalszym zatajaniu prawdy.

Powoli opuściła ramiona i patrzyła na niego dogłębnie wstrząśnięta. I bardzo wolno pokręciła głową.

– Nie. To się nie zdarzy.

Westchnął, jakby powątpiewał w jej zdolność oceny sytuacji.

– A niby dlaczego? – spytał tonem osoby, która pobłaża czyjemuś dziwactwu.

– Ponieważ nie chcę za ciebie wychodzić.

– Oznacza to jedynie, że będę musiał się wysilić, byś zmieniła zdanie.

Wpatrywała się weń przez kilka sekund, a potem, naśladując jego styl, spytała tonem pobłażania:

– Zdajesz sobie sprawę, ile osób próbowało nakłonić mnie do zmiany zdania i poniosło sromotną klęskę?

– Słyszałem. Krążą o tobie legendy.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Skoro tyle o mnie wiesz, o moim trudnym charakterze, dlaczego chcesz mnie za żonę?

Było to zaiste kluczowe pytanie. Pytanie, na które nie mógł jej odpowiedzieć z tej prostej przyczyny, że sam nie znał prawdy.

– Ponieważ będziemy do siebie pasować wprost idealnie. – Popatrzył jej w oczy. – Moim zdaniem opierasz się bez sensu, wszelako honor zobowiązuje mnie do tego, by cię uprzedzić, że w tym wypadku opór mnie nie zniechęci. Znam cię już zbyt dobrze.

– Nie znasz mnie ani trochę, jeżeli sądzisz, że tego rodzaju słowa wpłyną na zmianę moich zapatrywań.

Mógłby polemizować z tym twierdzeniem, lecz zamiast tego skorzystał ze sposobności, by zapytać:

– Co wobec tego jest dla ciebie ważne?

– Niezależność. Bycie u steru własnego życia, to oczywiste, ale chcę także przewodzić ludziom wokół mnie. Swoboda postępowania wedle woli, bez konieczności ciągłego pytania męża o zgodę.

Odpowiedź nadeszła tak szybko, że, uwzględniając żar w jej głosie oraz wyzywający sposób, w jaki zadarła brodę, Ryder nie mógł wątpić, iż te kwestie są dla niej absolutnie zasadnicze.

– Nie zapominaj, że cokolwiek spróbujesz mi wmówić, znam takich jak ty. Jesteś despotą. Może i miłym, uprzejmym, troskliwym, ale tak czy owak despotą.

Nie mógł się z tym spierać.

– Czy nigdy nie przyszło ci na myśl – odezwał się – że nawet despota może być skłonny… powiedzmy, zechce… znaleźć sposób, by dostosować się do damy, tej konkretnej, niezależnej, silnej, inteligentnej i zdecydowanej damy, którą chciałby pojąć za żonę?

Mary poczuła się nagle tak, jak bez wątpienia czuli się Randolph i jego przyjaciele, kiedy u ich stóp nieoczekiwanie pojawiła się przepaść. Zajrzała w orzechowe oczy Rydera

i zawirowało jej w głowie, jakby dopadł ją lęk wysokości.

– Ja…

– Nie wiesz, co odpowiedzieć? – Wzruszył ramionami. – W tej chwili nie musisz nic mówić.

Inne pary na tarasie ruszyły z powrotem na salę balową, co przyciągnęło uwagę ich obojga; bal najwyraźniej dobiegał końca.

– Powinniśmy wejść do środka – stwierdziła Mary, godząc się z tym, że tchórzliwie pragnie zakończyć tę zdumiewającą rozmowę, nim zrobi coś naprawdę głupiego, jak na przykład zapyta Rydera o szczegóły owego dostosowania się.

Nie. Ta droga prowadziła do pokusy, której nie była jeszcze gotowa stawić czoła. Rozszyfrowała go, on zaś nie próbował zaprzeczać. Zamiast tego zaproponował rozwiązanie, którego istnienia nie podejrzewała. Nowe podejście, szansę na pochwycenie czegoś, o czym dotąd nie wiedziała, że w ogóle może znaleźć się w jej zasięgu.

Nabrała tchu. Zaiste była to pokusa, Ryder zaś dzięki swej inteligencji i przenikliwości odgadł, jak ona na Mary podziała.

Co czyniło go jedynie bardziej niebezpiecznym – dla niej, dla jej przyszłości i spokoju.

Tymczasem Ryder przyglądał się przez okna rzednącemu tłumowi na sali. W końcu skinął głową, odstąpił i zaofiarował Mary ramię.

– Niestety tak. Nie możemy tu dłużej zostać – odparł.

Po drugiej stronie okna zauważył zdumioną twarz – twarz, której właścicielki najchętniej wcale by tu dziś nie oglądał, tym bardziej zaś nie życzyłby sobie, aby zobaczyła to, co zobaczyła, jakkolwiek niewiele było do oglądania.

Tylko tego brakowało, żeby Lavinia pochopnie wysnuła wnioski na temat obranego przezeń ostatnio kierunku. Zwłaszcza gdyby miały to być wnioski prawidłowe.

Mary wsparła dłoń na jego ramieniu i, zachowując dbałość o konwenanse, ruszyli niespiesznie przez taras. Kiedy zbliżali się do drzwi prowadzących na salę, podniosła wzrok na Rydera.

– Nie dopuszczę, żebyś mnie uwiódł – oświadczyła.

Nierozważne wyzwanie. Ale rzekł jedynie:

– Nie próbuj mnie unikać: wierz mi, to na nic.

Z niechęcią zaakceptowała prawdziwość tej deklaracji.

Wedle jej życzenia odprowadził ją do szezlonga, z którego właśnie wstała, gotowa do wyjścia, Amelia, strzepując spódnice i sięgając po szal. Zostawiwszy Mary z siostrą, szybko opuścił salę. Wolał, by potencjalni obserwatorzy uznali, że spacer nie zaowocował niczym szczególnym, a Ryder opuszcza bal kompletnie niezainteresowany tym, jak Mary wróci do domu.

Z Amelią nic jej nie groziło.

Z drugiego krańca sali Lavinia obserwowała, jak jej pasierb wychodzi, ani razu nie oglądając się za siebie. Po czym skupiła uwagę na Mary Cynster.

– Nie wierzę! Jak ten niegodziwiec śmie polować na młodą damę, którą wybrałam dla Randolpha?

Stojący obok Lavinii Claude Potherby, jej wieloletni przyjaciel i tego wieczoru towarzysz, składał koronkową chusteczkę.

– No, no, słodyczy moja. Doprawdy, nie ma powodu tak się denerwować. Jako że nie poinformowałaś pasierba o swych planach względem Randolpha, nie sposób go oskarżać, że celowo wchodzi ci w drogę, natomiast jego zainteresowanie młodą damą

można uznać za potwierdzenie, iż wykazałaś się wielką wnikliwością, wybierając ją dla swego syna.

Lavinia spojrzała na Potherby'ego niemal rozbawiona.

– Nie wygaduj bzdur. Nic mnie nie obchodzi zdanie Rydera.

Potherby popatrzył na Mary idącą u boku Amelii w stronę schodów.

– Tak czy owak – odparł mężczyzna – jego zabiegi najwyraźniej nie zakończyły się sukcesem. Młoda dama nie wygląda na zauroczoną.

– Mary Cynster ma za dużo rozsądku, żeby wplątywać się w cokolwiek z Ryderem. Dla każdej zdrowej na umyśle kobiety jest zbyt wielkim hedonistą. – Lavinia lekceważąco machnęła ręką i poprawiła opadający szal, by dołączyć do strumienia wychodzących gości. Potherby z galanterią podsunął jej ramię. Przyjęła je, a potem nachyliła się ku niemu i szepnęła: – Ale masz rację. Po co przejmować się Ryderem. To nie on stanie wkrótce przed ołtarzem, a w każdym razie nie z Mary Cynster u boku.

– Oczywiście, że nie, moja droga – rzekł z cynicznym uśmiechem Potherby. – Odpukaj w niemalowane. Twoje plany bez wątpienia przyniosą cudowny rezultat. Jakżeby mogło być inaczej?

*

Podobnie jak minionego wieczoru z Amandą, Mary rozstała się z Amelią na schodach rezydencji lady Bracewell i wsiadła do karety rodziców. Kiedy lokaj, Peter, zamknął drzwi, opuściła okno, wyjrzała na zewnątrz i pomachała siostrze, która miała właśnie wejść do swego powozu stojącego nieco dalej w rzędzie zaparkowanych przy krawężniku pojazdów, ale obejrzała się jeszcze, żeby sprawdzić, co z Mary. Usatysfakcjonowana Amelia pomachała jej w odpowiedzi i wspięła się po schodkach.

Kareta Mary szarpnęła i potoczyła się wolno po bruku. Bracewell House stał przy Berkley Street, niedaleko Berkley Square. Sezon towarzyski trwał w najlepsze, toteż w Mayfair odbywały się tego wieczoru niezliczone bale, przyjęcia, wieczorki i proszone kolacje, a wnosząc z nagromadzenia pojazdów wokół placu, wiele z nich zakończyło się mniej więcej o tej samej porze. Kareta zdołała dołączyć do ciągu pojazdów wzdłuż południowego skraju Berkley Square, zaraz jednak się zatrzymała. Wyjrzawszy przez okno, Mary zauważyła, że powóz jej siostry wyrwał się z tego zatłoczonego miejsca i potoczył żwawo wzdłuż zachodniej krawędzi placu.

Mary z radością powitała chwilę spokoju, wzięła głębszy oddech i zagłębiła się w myślach.

Ryder właśnie zmienił zasady rządzące jej światem. Musiała sobie poradzić z konsekwencjami tego faktu, z pytaniem, dokąd powinna teraz zmierzać, przy czym należało zająć się tym jak najszybciej. Bez względu na zdanie czy poczynania Rydera sama podejmie decyzje, które zdecydują o jej przyszłości.

Ponownie przeanalizowała wszystko, co mówili na tarasie – oraz wszystko, co przemilczeli. Obwieścił jej swoje intencje, prosto i jednoznacznie, i ani myślał przyjąć jej odprawę.

Och, co za oszałamiająca pokusa.

Żeby dżentelmen o jego pozycji, jego cechach wysuwał taką propozycję – iż zrobi wszystko, co trzeba, aby zrobić dla niej miejsce w swoim życiu.

– No cóż! – Wypuściła powietrze z płuc. – To co najmniej imponujące.

I jakże nęcące, zwłaszcza dla niej. Nie tylko dlatego że wywodziła się z rodu Cynsterów, lecz również ze względu na wyzwanie, któremu prawie nie mogła się oprzeć, związane z poskromieniem mężczyzny takiego jak Ryder Cavanaugh.

Wyraził zgodę na to, by przynajmniej podjęła taką próbę.

Czy zadanie jej się powiedzie, to stanowiło odrębną kwestię.

– A gdybym pominęła oczywiste defekty jego osobowości i na spokojnie poddała go ocenie jako kandydata do mojej ręki, stosując te same kryteria, co zawsze, czy znalazłby się na mojej liście? – wyszeptała w mrok.

Bez wahania odpowiedziała na to pytanie twierdząco. Tytuł Rydera, jego pozycja społeczna, ród, majątki ziemskie – wszystko to wyznaczało szczyt dążeń damy takiej jak ona, najmłodszej córki z wielce szanowanej rodziny.

– Socjeta i dostojne starsze damy na pewno pochwaliłyby takie połączenie. Ale ich opinia w gruncie rzeczy niewiele mnie obchodzi. Rodzina zaś zgodzi się z każdym moim wyborem.

Czy pozycja markizy Raventhorne by ją zadowoliła? Usatysfakcjonowała?

– Nie tak łatwo na to odpowiedzieć.

Wyjrzała przez okno – nadal znajdowali się na południowym skraju Berkley Square. Uznawszy, że miło móc głośno myśleć bez ryzyka, że ktoś ją podsłucha, kontynuowała rozważania.

– Być żoną Rydera. Oto istota sprawy. Czy jako jego żona będę taką osobą, jaką chcę...? Będę musiała przyjąć jego oświadczyny lub je odrzucić... A odrzucenie będzie się równało bitwie, gdyż on nie zaakceptuje porażki.

Czy mogła wierzyć jego słowom?

– Na pewno mówił szczerze: że spróbuje znaleźć sposób, by dostosować się do moich życzeń, co jednak, jeśli mu się to nie uda? Ma dość chęci, ale czy istotnie podoła?

Czy lew może się zmienić, nawet kiedy bardzo tego chce?

Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego zdecydował się na mnie?

Wielce istotne pytanie, ale podał jej już przynajmniej jeden powód. Była ostatnią niezamężną Cynsterówną; biorąc wzgląd na jego wiek, stanowiła dlań ostatnią szansę na alians z jej rodziną. Ponadto musiała przyznać, że, ku jej niejakiemu zaskoczeniu, całkiem dobrze się dogadywali. Wywodzili się z podobnych środowisk, Mary nie ustępowała mu więc w niczym na gruncie towarzyskim, a jej dalece wykraczające poza standard obeznanie i doświadczenie z mężczyznami jego pokroju – mianowicie wszystkimi mężczyznami z jej rodziny – bez wątpienia bardzo jej pomagały go zrozumieć. Oraz, do pewnego stopnia, pobłażać zachowaniom, które innym damom mogłyby się wydać nieznośnie dokuczliwe.

Nie w tym rzecz, że jej owe cechy nie będą irytowały, ale raczej, iż pojmowała, że w pewnych sytuacjach on po prostu nie jest w stanie nad nimi zapanować.

– Przykładem Francome.

Zadumała się nad tym, co poczuła w trakcie wspomnianego incydentu, ale zaraz odrzuciła tę kwestię jako poboczną.

– Na czym stanęłam? A, tak. Jest bardziej niż umiarkowanie zajmujący, no i świetnie tańczy. Co do reszty...

Tego, jak się przy nim czuła, jaki wywierał na nią wpływ...

– Hm... Założyłabym się o perły babki, że tak samo działa na każdą kobietę, więc z tego nic nie wydedukuję.

Do tej pory kareta wolno posuwała się naprzód, teraz jednak zakołysała się i przechyliła nieco, gdyż stangret skierował konie na północ, zachodnim skrajem placu. Stopniowo osiągnęli spacerowe tempo jazdy.

Wpatrzona znów w tonące w cieniu miejsce naprzeciw, Mary podsumowała dotychczasowe przemyślenia. Wedle wszelkich miar zwyczajowych, towarzyskich i rodzinnych ona i Ryder dobrze do siebie pasowali.

– Ale do tej pory nie padło ani jedno słowo o miłości – rzuciła w ciemność.

Choćby nie wiadomo jak wysilała wyobraźnię, nie potrafiła uwierzyć, że Ryder jest w niej zakochany. Nie w tej chwili. Zasadnicze pytanie brzmiało więc: czy to może się zmienić?

Czy mogliby się w sobie zakochać?

Czy to możliwe, że on, Ryder Cavanaugh, markiz Raventhorne, był przeznaczonym jej mężczyzną?

Kiedy stangret wstrzymał konie, żeby wjechać w Davies Street, Mary wyjęła spomiędzy piersi wisior.

W bladym świetle latarni ulicznej przyjrzała się kryształowi, obracając go w palcach. Sądziła, że to będzie proste. Że kiedy tylko założy naszyjnik, znajdzie tego jedynego.

Zamrugała, cofając się myślami do wieczoru, kiedy po raz pierwszy miała na sobie naszyjnik. Pierwszym dżentelmenem, z którym weszła w jakąkolwiek prawdziwą relację, był… Ryder.

Odprawiła go, wyminęła i odeszła.

Jeśli zagnieździ się w twoich myślach, tak że nie zdołasz się go stamtąd pozbyć…

To by się zgadzało.

Wpatrywała się w wisior, aż wreszcie zacisnęła wargi i upchnęła go z powrotem pod stanikiem. Wierzyła – szczerze – w moc talizmanu Lady, ale nie oczekiwała, że przy poszukiwaniu miłości i mężczyzny z marzeń będzie zmuszona igrać z ryzykiem, jakie pociągało za sobą wejście do jaskini lwa – co prawda salonowego, ale zawsze jednak drapieżnika.

Kiedy pojazd skręcał w Mount Street, Mary się skrzywiła i rzekła:

– Zapewne wszystko sprowadza się do tego, na ile jestem przekonana, że nigdzie tam nie czeka na mnie ktoś inny.

Jej uwagę przyciągnął nagły ruch na ulicy.

Z wylotu zaułka wyszedł Ryder.

Nie, nie wyszedł – wytoczył się.

Kiedy kareta się z nim zrównała, Mary zauważyła, jak Ryder się chwieje, obraca powoli wokół własnej osi, po czym pada twarzą na trotuar.

Czyżby był pijany? Wiedziała jednak, że na balu nie pił aż tak dużo.

Przerażona załomotała pięścią w ścianę karety od strony stangreta.

– John! Stój! Zatrzymaj się!!!

Rozdział 5

Wyskoczyła z powozu, nim jeszcze na dobre się zatrzymał. Z sercem podchodzącym do gardła popędziła w stronę Rydera. Krzyki Johna i Petera, żeby zaczekała, zdawały się dobiegać z bardzo daleka.

Czuła, że stało się coś potwornego.

Na boku Rydera połyskiwała plama krwi. Świeżej, rubinowej.

Mary osunęła się na kolana.

– O Boże…

Był nieprzytomny. W dłoni zaciskał szpadę z zakrwawionym ostrzem. Mary gorączkowo próbowała obrócić go na plecy. Ale okazał się za ciężki.

Kiedy Peter znalazł się przy niej, nawet na niego nie spojrzała. Krzyknęła tylko:

– Szybko! Pomóż mi!

Wspólnymi siłami dźwignęli Rydera i ułożyli na plecach.

Z paskudnego rozcięcia w lewym boku, mniej więcej na wysokości biodra, miarowo wypływała krew.

Serce w Mary zamarło.

– Nie…

Przycisnęła dłoń do rany, ale krew natychmiast przesączyła się jej między palcami, toteż nacisnęła to miejsce drugą ręką, desperacko próbując zatamować krwawienie.

Peter tymczasem ostrożnie zajrzał w zaułek. Wrócił niemal natychmiast, popielaty na twarzy.

– Dwóch opryszków, panienko. Na oko martwi. Pewnikiem zasadzili się na markiza. – Zaczerpnąwszy tchu, skinieniem głowy wskazał Rydera. – Dobrze się sprawił, ale i tak go dziabli.

– Tak, cóż, ale nie stercz tak tutaj! Jeszcze nie umarł!

Ciepłe pulsowanie krwi wypływającej spod jej dłoni upewniało Mary, że to nadal prawda. Ale na jak długo?

– Na litość boską!

Owładnęła nią panika. Rozejrzawszy się, zobaczyła stangreta, Johna, który musiał najpierw zabezpieczyć pojazd i znaleźć jakiegoś chłopca do popilnowania koni, ale teraz szybko biegł już ku niej.

– Dzięki Bogu. Johnie – powiedziała głośniej – to markiz Raventhorne. Został poważnie ranny, ale jego dom jest tu niedaleko.

Nie odrywając dłoni od boku Rydera, zaczerpnęła powietrza, pokonała strach i skinęła głową ku budynkom po drugiej stronie ulicy.

– To ten z żelaznym ogrodzeniem. Idź i wezwij tu natychmiast służbę markiza!

– Tak, panienko! – John pędem przebiegł ulicę.

Pomimo dużego ruchu na Berkley Square, jak również skupiska pojazdów nieco dalej, akurat tym odcinkiem nikt aktualnie nie przejeżdżał. Mary nie wiedziała, czy dziękować za to, że nic jej nie rozprasza, czy się irytować, że nie może liczyć na pomoc.

W półmroku nie potrafiła ocenić, czy ta rana jest jedyną, jaką odniósł.

– Peter, widzisz inne cięcia? Krwawi gdzieś jeszcze?

– Nie wydaje mi się, panienko. – Peter przyniósł z zaułka cylinder Rydera oraz jego laskę, a raczej część służącą za pochwę szpady.

Trzymając emocje na wodzy, Mary uczepiła się myśli o tym, co należało zrobić.

– Idź i powiedz ludziom markiza, że jest nieprzytomny i będą potrzebne jakieś drzwi lub cokolwiek innego, co nada się na nosze. I niech natychmiast poślą po doktora.

– Aaa… chyba nie powinienem tak panienki zostawiać…

– Nikogo tu nie ma. Biegnij! – poleciła tonem, któremu niewielu śmiało się przeciwstawić.

Peter nie stanowił wyjątku. Skłonił głowę i ruszył.

Nie chciała myśleć o tym, jak wiele krwi pokrywa chodnik obok Rydera, nie mówiąc o tym, ile wsiąkło w jego ubranie i oblepiało jej dłonie. Kiedy zarejestrowała kleiste ciepło wokół palców, instynkt nakazał jej cofnąć ręce, lecz szybko zdławiła ów impuls. Wpatrzona w klatkę piersiową Rydera, która wznosiła się i opadała, podążała za tym rytmem, aż połączył się z biciem jej własnego serca…

Jego serce znajdowało się powyżej miejsca, które uciskała; pod palcami czuła słabe pulsowanie.

Z drżeniem zaczerpnęła tchu i przeniosła wzrok na twarz Rydera, w blasku księżyca bladą i nieruchomą, pozbawioną tego, co dodawało jej wyrazu.

Coś poruszyło się w piersi Mary, oczy zaszły jej mgłą.

– Nie waż mi się tu umrzeć, Ryderze – szepnęła cicho, lecz z mocą. – Słyszysz?

Było mu zimno, drżał, chyba nawet stracił czucie. Wszystko zdawało się odległe. Jednakże obok siebie wyczuwał ciepło. Chętnie przysunąłby się do niego bliżej.

Pamiętał, że został dźgnięty, i zastanawiał się, dlaczego fortuna, która dotąd nie bywała wobec niego kapryśna, raptem się odeń odwróciła.

Spróbował unieść powieki. A kiedy udało mu się je odrobinę rozewrzeć, zobaczył, że pochyla się nad nim anioł o ciemnych włosach.

Rozpoznał Mary.

Jej alabastrowa skóra wydawała się bledsza niż zwykle. Wyglądała na zatroskaną, niespokojną…

Dlaczego? Wargi miał dziwnie suche, język jak z ołowiu.

– Co…?

Spojrzała na niego, drgnęła, ale jej ramiona pozostały nieruchome. Na jej twarzy odmalował się zacięty wyraz, a niebieskie oczy zapłonęły.

– Zostań ze mną!

Powiedziałby jej, że taki właśnie miał zamiar, lecz powieki znów mu zaciążyły, wszystko wokół przygasło i ogarnęła go ciemność.

Mary wpatrywała się w twarz Rydera, zaklinając go, by znów otworzył oczy, dał jej nadzieję, ale na powrót stracił przytomność.

Usłyszała pospieszny tupot stóp i otoczyła ją gromada mężczyzn, niespokojnych i zatroskanych, lecz zarazem zdezorientowanych, toteż musiała się skoncentrować, żeby pokierować ich działaniami.

– Nie, nie odstąpię go. Nie mogę zabrać rąk, jeszcze nie teraz. – Rozejrzała się. – Dobrze. Jeden przy głowie markiza, po jednym przy każdym barku i biodrze, i kolejny przy stopach. Pozostali trzej wsuną pod niego drzwi, kiedy my go podniesiemy.

Zajęli pozycje i, pod jej komendą, wspólnymi siłami ułożyli Rydera na drzwiach, a potem sześciu mężczyzn dźwignęło prowizoryczne nosze, podczas gdy kamerdyner – przedstawił się jako Pemberly – pomógł Mary wstać, tak by nie musiała odrywać dłoni od

zranienia.

Mimo to wywierany przez nią nacisk siłą rzeczy nieco osłabł, nim znów mogła z całej siły uciskać ranę; krew wezbrała, ale w mniejszej ilości, mniej gwałtownie.

Zmówiwszy w duchu krótką modlitwę, dała głową znak i ruszyli, a John i Peter wstrzymywali ruch, by umożliwić szybkie przetransportowanie rannego na drugą stronę brukowanej ulicy i dalej po schodach do Raventhorne House.

Kiedy, wolno i nieporadnie, wspinali się po stromych stopniach, Mary powiedziała:

– Na moment odzyskał przytomność i przemówił, wyrzekł tylko jedno słowo, ale… – Urwała, żeby zapanować nad głosem. – Jeszcze nie umarł.

Nie wiedziała, czy stara się uspokoić pozostałych, czy siebie, niemniej kamerdyner głośno odetchnął, a potem przyspieszył kroku, przeciął wąski ganek i przytrzymał drzwi.

– Żyje – powiedział do osób zgromadzonych w środku.

– Och, dzięki Bogu!

Przestąpiwszy próg, Mary przekonała się, że damski głos, który wykrzyknął te słowa, należy do kobiety, która była chyba jego gospodynią. W holu zebrała się cała służba, wszyscy zatroskani, ogromnie chętni do pomocy, lecz zarazem kompletnie zagubieni. Mary się nie wahała – nie mieli czasu na towarzyskie subtelności.

– Panie Pemberly, musimy wnieść markiza na piętro.

Popędzony biczem jej głosu, Pemberly zamknął drzwi wejściowe i przedstawił gospodynię, panią Perkins, oraz Colliera, mężczyznę, którego Mary uznała za osobistego lokaja Rydera.

– Dobrze. Pani Perkins, gdyby mogła pani pójść na górę i upewnić się, czy łóżko markiza jest posłane, ale na razie proszę nie rozpalać kominka w jego sypialni, niech najpierw obejrzy go doktor.

– Tak, proszę pani. – Pani Perkins, z oczami jak spodki, dygnęła i pospieszyła ku schodom.

Mary popatrzyła na Colliera, który dygotał w poczuciu bezradności.

– Proszę przynieść nożyczki do rozcięcia ubrania. Inaczej nie zdołamy go rozebrać. Oraz bandaże i miskę. Może się pan też zająć szpadą i laską markiza. – Rozejrzała się. – Mój lokaj je ma.

Collier łapczywie nabrał tchu i się wyprostował.

– Już się robi, proszę pani.

Nadal dociskając ręce do boku Rydera, Mary odwróciła się do Pemberly'ego.

– Posłał pan po doktora?

– Tak, proszę pani. Chłopak już pobiegł.

– Doskonale. – Zmierzyła wzrokiem długi ciąg schodów. – Wobec tego zanieśmy markiza do sypialni.

– Naturalnie, panno… – Pemberly usiłował pochwycić jej wzrok.

– Cynster. Mary Cynster. – Przemieszczając się wraz z drzwiami, na których spoczywał nieruchomo Ryder, Mary przestrzegła: – A teraz bardzo ostrożnie. Nie ma potrzeby się spieszyć.

Sześciu krzepkich mężczyzn – lokajów i stajennych – wolno wspinało się na piętro, stopień po stopniu.

Kolejna godzina była nieprzerwanym ciągiem zdarzeń. Choć zadanie nie było łatwe, zdołali przenieść Rydera na szerokie łoże w taki sposób, że nie musiała odrywać rąk od jego boku; ostatecznie uklękła obok niego, ciągle mocno uciskając ranę. Collier i pani Perkins krzątali się, zdejmując ubranie z górnej części ciała Rydera, a potem gospodyni

zmyła większość krwi z jego bladej skóry.

Jego wyraźnie zarysowane mięśnie, oliwkowa skóra, gładka i napięta, przyciągnęły wzrok Mary i wzbudziły w niej fascynację, lecz jakby odległą, oderwaną od rzeczywistości. Z wielkiego dystansu podziwiała jego potężne bicepsy i imponujący tors, który zwężał się w okolicach żeber i przechodził w rzeźbiony brzuch, a dalej w jeszcze węższe biodra. Jej dłonie dotykały nagiej skóry Rydera, lecz krew unieważniała zmysłową cielesność tego kontaktu.

Nie w takich okolicznościach powinna oglądać go nago po raz pierwszy…

Myślała zatem, że kiedy pierwszy raz dotknie nagiego torsu Rydera, poczuje coś innego niż lepką śliskość krwi.

Zauważyła osobliwość owych przemyśleń, ale nie miała czasu nad tym dumać.

– Gotowe, panno Cynster. – Pani Perkins nachyliła się, żeby pochwycić spojrzenie Mary. – Wydaje mi się, że możemy przyjrzeć się bliżej ranie. Nie wygląda na to, żeby nadal krwawiła.

Widząc, że gospodyni trzyma w dłoni kawałek czystego mokrego płótna, Mary zaczerpnęła tchu, skinęła głową i wolno – gotowa w każdej chwili docisnąć je z powrotem – oderwała najpierw jedną, potem drugą rękę.

Obok niej pojawił się Collier z wilgotnymi ścierkami. Widoczne teraz rozcięcie na skórze Rydera miało niespełna pięć centymetrów długości – rana kłuta, wąska, lecz, co oczywiste, sięgająca głęboko. Wpatrzeni w bok rannego, czekali z zapartym tchem, ale nie pojawiła się już nawet jedna kropla krwi.

– Czy mam to przemyć, panno Cynster? – Pani Perkins potrząsnęła kawałkiem płótna.

– Nie. – Marszcząc brwi, Mary odwróciła się, kiedy Collier przyniósł miskę z wodą, aby mogła umyć ręce. – Chyba powinniśmy zaczekać na doktora. – Spojrzała na Pemberly'ego, który obserwował ich poczynania, stojąc u stóp łoża. – Kiedy, pańskim zdaniem, się zjawi?

– Doktor Sanderson mieszka na Harley Street, panno Cynster, zatem powinien wkrótce przybyć.

Mary spojrzała na brzydkie krwawe zranienie na – poza tym doskonałym – ciele Rydera; w jej odczuciu był to wstrząsający widok.

– Wobec tego sugeruję, żebyśmy zrobili opatrunek z czystego płótna… najpierw gaza, jeśli macie… i delikatnie go umocowali. – Zerknęła na twarz Rydera. – Na wypadek gdyby odzyskał przytomność i się poruszył.

Wspólnymi siłami zdołali opatrzyć ranę, a potem Mary i pani Perkins wycofały się z pokoju, aby Collier, wspomagany przez Pemberly'ego, mógł do końca rozebrać Rydera.

Kiedy Mary wróciła, sypialnię miękko oświetlały osłonięte lampy. Ryder leżał nieruchomo, zakryty po szyję, a złocisty brąz jego włosów odcinał się od nieskazitelnych poduszek barwy kości słoniowej. Jednakże widoczna pod ową grzywą twarz była nadal blada, wargi pozostawały sinawe, rysy zaś pozbawione wszelkiego życia. Można by go wziąć za kukłę, gdyby nie to, że jego pierś zauważalnie wznosiła się i opadała – oddychał płytko, lecz regularnie.

Pemberly zszedł na dół, żeby poczekać na doktora. Pani Perkins oddaliła się, zabierając zakrwawione płótna. W sypialni pozostał Collier, siedzący cicho w kącie z dłońmi między kolanami i ze wzrokiem utkwionym w Rydera.

Godząc się w duchu z tym, że jej nadzieje na odzyskanie przez Rydera przytomności okazały się płonne, Mary poszła po stojące bliżej ściany krzesło. Collier zaczął się podnosić, chcąc jej pomóc, ale gestem zasygnalizowała, żeby pozostał na miejscu, a

później ustawiła krzesło przy łóżku, usiadła i podobnie jak lokaj, przygotowała się na długie czuwanie. Oparła łokcie o wysoki materac, splotła dłonie i wbiła spojrzenie w twarz Rydera. Teraz, kiedy dobiegły końca pierwsze gorączkowe działania, kiedy zrobili wszystko, co było możliwe na tym etapie, skorzystała z okazji, by na nowo nawiązać kontakt z rzeczywistością.

– Panie Collier – odezwała się cicho po kilku minutach – czy poprawnie zakładam, że nie ma damy, która zarządzałaby tym domem?

– Owszem, panno Cynster. – Collier poruszył się na krześle. – To znaczy nie ma. – Zawahał się. – Markiza i jego lordowska mość niezbyt się dogadują. Pan kupił dla niej dom przy Chapel Street.

– A jego przyrodnia siostra, lady Eustacia?

– Mieszka z matką.

– Przyrodni bracia?

– Lord Randolph i lord Christopher wynajmują osobne mieszkania, a lord Godfrey nadal rezyduje przy Chapel Street. – Po chwili Collier odkaszlnął i ostrożnie, trochę niepewnie, dodał: – Gdyby uznała to pani za konieczne, moglibyśmy posłać po lorda Randolpha.

Pomijając spore prawdopodobieństwo, że Randolph nadal przebywał gdzieś na mieście i wróci do swojej kwatery dopiero przed świtem, posłanie po niego – skoro nijak nie mógł pomóc Ryderowi w tej sytuacji – byłoby bezzasadne.

Zaczerpnęła powietrza i przytrzymywała je w płucach tak długo, aż zyskała pewność, że głos jej nie zadrży, a ton będzie tak mocny, jak sobie życzyła.

– Jako że jego lordowska mość nie umiera, wątpię, żeby wzywanie lorda Randolpha w czymkolwiek teraz pomogło.

Collier wypuścił wstrzymywane powietrze.

– W rzeczy samej, panno Cynster. Jeśli zaś idzie o wzajemną pomoc, zwykle odbywa się to w drugą stronę, żeby tak rzec.

Z cynicznym uśmiechem – ani trochę nie zdziwiła jej ta informacja – Mary usadowiła się wygodniej na krześle.

– Zostanie tu pani, panno Cynster? – spytał Collier po kilku minutach. I dodał spiesznie: – To pani twarz widział jako ostatnią. Może nie zaszkodziłoby, gdyby pani tu była, kiedy mój pan się obudzi.

Wymówka dobra jak każda inna.

– Tak, zostanę. Przynajmniej do czasu gdy przybędzie doktor.

Zostanie, dopóki nie zyska pewności, że Ryder przeżyje. Nie musiała się zastanawiać, odwoływać do racjonalnej części umysłu, żeby poznać swoją decyzję, taką, od której nie dałaby się odwieść.

Sama myśl o jego śmierci…

Dlaczego właściwie wyobrażała sobie, że swoją obecnością może powstrzymać śmierć przed zabraniem Rydera, to nie grało roli; gdyby wróciła do domu, a on by umarł, nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Obejrzała się, słysząc w holu jakieś hałasy. Aż do tej pory w zasadzie nie zwracała uwagi na pokój – za bardzo skupiała się na Ryderze – teraz jednak, kiedy nadchodził doktor, odruchowo dokonała swego rodzaju inspekcji i bez zaskoczenia odkryła, że choć niewątpliwie nieco surowy i męski, wystrój tego wnętrza był również luksusowy.

Ciężkie aksamitne zasłony ogromnego łoża o elegancko toczonych kolumnach oraz nieprzesadnie rzeźbionym wezgłowiu miały odcień starego złota, który podkreślał

wspaniałą patynę dębu, z jakiego wykonano zarówno ten mebel, jak i stojące w pokoju komody. Na szerokie okna po obu stronach pokoju zaciągnięto story z tego samego złotego aksamitu, użytego także do obicia dwóch krzeseł oraz dwóch foteli z uszakami na dębowych ramach.

Łoże przykrywała jedwabna narzuta haftowana wieloma odcieniami złota, a uszyte z najprzedniejszego płótna prześcieradła i poszewki barwy kości słoniowej, surowe w swej prostocie, stanowiły idealną przeciwwagę dla subtelnego przepychu.

Wtem otworzyły się drzwi i Mary ujrzała mężczyznę, który wszedł do środka. Sądząc po ubiorze – dżentelmena. Wysokiego, szczupłego, o trójkątnej twarzy i dobrotliwym, choć zmęczonym wyrazie piwnych oczu. Czarna torba w jego ręku wyjaśniła wszystko. Jakie nazwisko podał Pemberly?

Doktor natychmiast utkwił spojrzenie w Ryderze. Zatrzymał się u stóp łoża, prawie jakby się spodziewał, że Ryder zaraz otworzy oczy i powie, że to żart, lecz potem się otrząsnął i z marsem na czole szybko okrążył łoże.

Postawił czarną torbę na materacu i popatrzył Mary w oczy.

– Dobry wieczór. Jestem David Sanderson.

– Mary Cynster. Widziałam, jak Ryder upadł na ulicy, tu niedaleko. Pospieszyłam mu na pomoc i posłałam swoich ludzi po jego służbę.

Sanderson zamrugał nerwowo kilka razy, lecz ostatecznie rzekł tylko:

– Rozumiem.

Chwycił narzutę. Mary wstała i pomogła mu odkryć Rydera aż do pasa.

Sanderson ujął nadgarstek rannego.

– Tętno stabilne, lecz słabe – wymamrotał po chwili.

Mary wskazała opatrunek.

– Tutaj go dźgnięto. Stracił mnóstwo krwi.

Doktor sapnął. Uniósł powiekę Rydera i zajrzał w oko.

– Był nieprzytomny przez cały czas, odkąd go pani znalazła?

– Odzyskał przytomność na bardzo krótko, jeszcze na ulicy.

– Powiedział coś?

Przytaknęła.

– Do mnie.

– Poznał panią?

Już miała skinąć głową, lecz się zawahała, odtwarzając w myślach tamtą sytuację.

– Tak mi się wydaje, ale powiedział za mało, żebym miała pewność.

– Lecz był z nim kontakt, zareagował na coś, co pani mówiła?

– Tak sądzę, ale pewna nie jestem.

Sanderson, który już rozwiązywał prowizoryczny bandaż, posłał Mary zaciekawione spojrzenie.

– No dobrze. – Podniósł płócienny opatrunek, a potem zaczął ostrożnie odklejać gazę od rany. – Nie ma znaczenia, że teraz jest nieprzytomny, to mu akurat wyjdzie na zdrowie, jeśli stracił dużo krwi. – Zamilkł na moment. – A sądząc po tym, jaki jest chłodny i blady, stracił jej znacznie więcej, niżbym sobie życzył.

– Zakładałabym – rzekła Mary, marszcząc brwi – że jako jego doktor wolałby pan, żeby w ogóle nie tracił krwi.

Usunąwszy wreszcie gazę, Sanderson zaśmiał się krótko.

– Znamy się z Ryderem od czasów Eton. Proszę mi wierzyć, w jego przypadku utrata krwi to nic wyjątkowego. – Patrząc na ranę, Sanderson spoważniał. Po chwili, już bez

uśmiechu, dodał: – Zwykle jednak miał dość rozsądku, by nie tracić jej aż tyle.

Nachylił się nad rannym i delikatnie ucisnął ranę, a potem spojrzał na Colliera.

– Będzie mi potrzebna gorąca woda, żeby to oczyścić. Niech ją w tej chwili zagotują, a następnie przyniosą tutaj w czajniku, w którym się gotowała, razem z metalową misą i mniejszą miską, również metalową, jeśli taką macie, a jeśli nie, to z porcelany.

Kiedy doktor wszedł do pokoju, Collier wstał i od tamtej pory cicho czekał w pobliżu na polecenia. Teraz skinął głową.

– Tak, sir. Natychmiast.

Pemberly, który wszedł do sypialni w ślad za doktorem i stanął plecami do zamkniętych drzwi, otworzył je dla Colliera i zaraz ponownie zamknął.

Mary nie odrywała oczu od Sandersona, który tymczasem powrócił do oglądania rany.

– Jest bardzo źle? – spytała po chwili, niezdolna się powstrzymać.

Przerywając badanie, Sanderson podniósł na nią wzrok.

– Jeszcze nie wiem. Orientuje się pani, jak to się stało?

– Zdaje się, że zaczaili się na niego w zaułku, kiedy wracał do domu. Wiemy tyle, że leży tam dwóch martwych rzezimieszków, a Ryder upadł ze szpadą w ręku.

– Dwa trupy? – Sanderson popatrzył na Pemberly'ego.

– W rzeczy samej, sir.

– Nadal tam są?

– Tak przypuszczam, sir.

Zaciskając usta, Sanderson wyprostował się, wbił wzrok w kamerdynera i wyraźnie coś kalkulował. Mary pojęła, co takiego, gdy się odezwał.

– Sugeruję przynieść tu oba ciała. Markiz zechce się dowiedzieć, kto go zaatakował, kiedy się obudzi i zbierze myśli.

Pemberly wyglądał na wstrząśniętego. Wolno skinął głową.

– Rzeczywiście, sir. Słuszna uwaga. Wyślę kilku ludzi i...

– Nie chcę o niczym wiedzieć, panie Pemberly.

Na ustach kamerdynera zaigrał blady uśmiech.

– Oczywiście, sir. Trupy znikające z zaułków nie mają z panem nic wspólnego.

– No właśnie. – Sanderson uśmiechnął się krzywo.

Nachylił się znowu nad rannym, kontynuując badanie, podczas gdy Pemberly opuścił sypialnię.

Mary przyglądała się ciemnej głowie doktora.

– O ile rozumiem, podjął pan właśnie spore ryzyko.

Nie podnosząc wzroku, Sanderson wzruszył ramionami.

– Jeśli chodzi o podejmowanie ryzyka, Ryder robił to dla mnie aż nazbyt często.

Wyprostował się z westchnieniem. Kiedy spostrzegł pełne nieskrywanej ciekawości spojrzenie Mary, wskazał na nieprzytomnego.

– Najstarszy syn markiza, w tamtym czasie wicehrabia. – Potem wskazał na siebie. – Najmłodszy syn z całkowicie przeciętnej rodziny, uczęszczający do Eton dzięki stypendium. Ja byłem mózgiem. On mięśniami. Sprawdzało się to dla nas obu, i to zadziwiająco dobrze.

Mary zerknęła na Sandersona, a potem wróciła spojrzeniem do Rydera. Sanderson był zbyt surowy. On sam, chociaż wysoki i szczupły, w najmniejszym stopniu nie sprawiał wrażenia słabeusza, wiadomo też, jak wymagająca fizycznie jest praca medyka. Co do Rydera, za sprawą rzucających się w oczy mięśni odwracał uwagę od swojej inteligencji, lecz Mary nigdy nie dała się zwieść tym pozorom.

Podczas gdy ona patrzyła na Rydera, Sanderson przyglądał się jej.

– Mógłbym dociekać, co, u diaska, robi pani w domu Rydera, przy jego łóżku, ale… – Sanderson najwyraźniej ponownie stoczył wewnętrzną bitwę ze skrupułami, przy czym i teraz, jak poprzednio, zwyciężył w nim zdrowy rozsądek. – Zamiast tego zapytam, czy nie zemdleje pani na widok krwi.

– Kiedy wnoszono tutaj Rydera, moje ręce znajdowały się tam, gdzie później opatrunek. Były unurzane we krwi. Krzepła mi między palcami. – Zrobiła krótką pauzę. – Jeśli koniecznie chce pan wiedzieć, nie przeszło mi nawet przez myśl, że mogłoby mi się zrobić słabo.

– To bardzo dobrze. – Sanderson uśmiechnął się szeroko. – Wyśmienicie. Do zrobienia tego, co wydaje mi się konieczne, przyda mi się druga para pewnych rąk.

– Nie sprawia pan wrażenia przekonanego o słuszności swoich zamiarów.

– Sprawa przedstawia się tak – rzekł doktor. – Ryder ma organizm wołu i serce lwa. Przy tego rodzaju ranie to pierwsze jest bardzo korzystne, natomiast to drugie… może nie okazać się takim dobrodziejstwem.

– Dlaczego? – Zmarszczyła brwi.

– Jego serce ciężko pracowało w reakcji na atak, z gniewu, bo się bronił i walczył o życie. A serce ma bardzo silne. To dlatego stracił tyle krwi w tak krótkim czasie. Szczerze mówiąc, gdyby nie znalazła się pani przy nim i nie zaczęła uciskać rany, prawie na pewno by umarł. Wykrwawiłby się w ciągu kilku minut.

Mars na czole Mary się pogłębił.

– Ale nie umarł, zatem…

– Nie umarł, ponieważ nacisk pani dłoni spowolnił wypływ krwi na tyle, że rany nieco się zasklepiły. To dobrze, lecz dopóki nie przekonam się, co zostało uszkodzone i na ile wymaga szycia, nie będziemy wiedzieli, czy po przebudzeniu, kiedy zacznie się ruszać, jakieś paskudne cięcie nie otworzy się ponownie. Gdybym po prostu od razu zaszył skórę, a później otworzyłaby się jakaś poważna rana wewnętrzna, mógłby się wykrwawić. – Sanderson zerknął w stronę holu, skąd dobiegły odgłosy kroków. – Zmycie zakrzepłej krwi na tyle, by przeprowadzić oględziny, niesie ze sobą niebezpieczeństwo, że Ryder ponownie zacznie mocno krwawić. Ale nie mogę nie zaryzykować i nie sprawdzić, jak to wygląda, a jeśli pani będzie skłonna mi pomóc, przytrzymując ranę otwartą… pokażę pani jak… wówczas będę miał większe szanse wykonać zadanie, nie powodując nowego krwawienia. – Spojrzał na twarz Rydera. – Tego bowiem, mówiąc szczerze, mógłby nie przetrwać.

– Oczywiście, że pomogę. I tak nie zamierzałam zostawić go panu na pożarcie.

Sanderson się uśmiechnął, przez co z jego twarzy na moment zniknęło zmęczenie.

– Wygląda na to, że Ryder ma przynajmniej nas dwoje po swojej stronie.

Otworzyły się drzwi i weszli przez nie pani Perkins, Pemberly oraz Collier, niosąc dwa parujące czajniki, zestaw metalowych mis i miseczek oraz stos czystego pociętego na szmatki płótna.

– Jeśli mu to w czymkolwiek pomoże, na moje oko ma po swojej stronie wszystkich w tym domu – powiedziała Mary.

Sanderson przyjął informację skinieniem głowy, po czym zaczął przygotowania do operacji.

Nigdy wcześniej nie asystowała przy zabiegu medycznym. Oprócz niej w pokoju pozostało także troje służących, którzy trzymali lampy, dolewali gorącej wody i podawali Sandersonowi czyste płótna. W końcu doktor rzekł cicho:

– Zawsze dopisywało mu piekielne szczęście. Nie śmiałem żywić nadziei, lecz widzę rozcięcie tylko na wątrobie, a choć ono wystarczy aż nadto, żeby wyjaśnić tak dużą utratę krwi, rana zagoi się sama, nie ma potrzeby podrażniać jej szyciem.

Mary nie miała pojęcia, jak to rozumieć.

– Czy to znaczy, że kiedy się obudzi, wszystko będzie z nim w porządku?

– Jako że żadne z głównych naczyń krwionośnych nie zostało nawet draśnięte, to… tak. – Sanderson zamknął oczy i wolno rozprostował plecy. Uniósłszy powieki, pochwycił jej wzrok i uśmiechnął się blado. – Kiedy go zszyję, skóra i głębsze tkanki po pewnym czasie się zrosną i to będzie wszystko, w każdym razie jeśli chodzi o krwawienie. Jednakże – kontynuował, nagle poważniejąc – zanim damy się ponieść euforii i poczujemy ulgę, spieszę dodać, że ranny musi najpierw przeżyć wstrząs związany z utratą tak dużej ilości krwi.

– Co to znaczy? – Mary zmrużyła oczy.

– To znaczy, że go zszyję, a później poczekamy. Jeśli się obudzi, będziemy nieco spokojniejsi, ale czy się obudzi… Z żalem informuję, że pozostaje tylko czekać.

Sanderson zakończył badanie, przemył okolice rany i chwycił za igłę.

Wreszcie procedura została zakończona, rana zabandażowana, a Ryder na powrót okryty po szyję. Myjąc ręce, Sanderson polecił, żeby napalono w kominku.

– Tylko bez przesady, nie chcemy tu łaźni parowej. – Spojrzał na zebraną służbę. – Nie wolno dopuścić, żeby się przegrzał. To mu nie posłuży.

– Tak, panie doktorze – odpowiedziała chórem cała trójka.

Doktor wrócił do rannego, zbadał mu puls, a potem spojrzał na Mary, która znów usiadła przy łóżku.

– Tętno ma równe, ale o wiele za słabe. Prawda jest taka, że ryzyko kryzysu nadal istnieje.

Wpatrzona w twarz Rydera Mary skinęła głową.

– Zostanę tutaj – powiedziała. – Do czasu gdy się obudzi.

Jeśli Ryder miał umrzeć, nie mogła dopuścić, by umierał w samotności.

Przez kilka chwil Sanderson w milczeniu bacznie jej się przyglądał; czuła na sobie jego wzrok, ale nie odpowiedziała na to spojrzenie, aż wreszcie kątem oka dostrzegła, że doktor zbiera się do wyjścia.

– Muszę jechać do porodu – oznajmił. – Wezwano mnie już wcześniej. Wrócę, kiedy tylko będę mógł, ale najprawdopodobniej oznacza to późny ranek. Tak czy owak, gdyby mu się pogorszyło, proszę przesłać mi wiadomość, adres zostawię panu Pemberly'emu.

Mary skinęła głową na pożegnanie. Nie było jej rolą dziękować Sandersonowi, co więcej, ktoś tak szczerze oddany Ryderowi podziękowań nie oczekiwał.

Pożegnawszy się cicho z pozostałymi, doktor wyszedł.

Wtedy Mary uświadomiła sobie, że na parterze czekają John i Peter, a Hudson i reszta służby na Upper Brook Street wkrótce zaczną się o nią martwić.

– Panie Pemberly – rzekła, podnosząc wzrok – gdyby mógł mi pan przynieść papier, pióro i atrament. Chciałabym napisać liścik, który mój stangret dostarczy do domu.

– Oczywiście, panno Cynster. Już się robi.

Zanim Pemberly zdążył wyjść, odezwał się Collier:

– Podróżny sekretarzyk jego lordowskiej mości znajduje się tu zaraz obok, w gotowalni, panno Cynster. Może by się pani nadał?

– Dziękuję, przyda się wyśmienicie.

Musiała napisać dwie wiadomości. Jedną dla Hudsona, żeby nie niepokoił się o jej

bezpieczeństwo, a drugą do rodziców, z poleceniem, by im ją przekazano, kiedy tylko wejdą rano do domu. Na wypadek gdyby do tej pory nie wróciła.

Oba liściki były proste i rzeczowe – w pierwszym informowała Hudsona, że wszystko jest w porządku, żeby się nie martwił, w drugim bardziej szczegółowo wyjaśniała powody swej nieobecności i prosiła rodziców, by jak najszybciej przyjechali do domu Rydera.

Ich przybycie zapewni Mary wszelką wymaganą aprobatę, a jeśli Ryder do tej pory się nie przebudzi, również wsparcie, które w takim wypadku zapewne bardzo jej się przyda.

Pani Perkins krzątała się po pokoju, zbierając rzeczy po zabiegu, aż wreszcie, po raz ostatni spojrzawszy na łoże, wyszła. Pemberly, nadal na stanowisku przy drzwiach, cicho omówił z Collierem kwestię czuwania nad rannym.

Mary złożyła korespondencję do rodziców, zanotowała na kopercie imiona adresatów i instrukcję doręczenia i dołączyła do listu dla Hudsona. Tak powstały pakiecik podpisała jego nazwiskiem. Wachlując przesyłką, żeby wysuszyć atrament, zwróciła się do Pemberly'ego:

– Proszę przekazać list Johnowi, mojemu stangretowi, wraz z poleceniem, by on i Peter wrócili na Upper Brook Street i doręczyli go Hudsonowi, kamerdynerowi moich rodziców.

– Oczywiście, panno Cynster. – Pemberly z ukłonem przyjął od niej przesyłkę. Wyprostował się, poczekał, aż Collier uprzątnie sekretarzyk podróżny, po czym rzekł: – Jeśli możemy coś jeszcze dla pani zrobić, proszę powiedzieć.

Mary zdobyła się na blady uśmiech; twarze obu mężczyzn jaśniały wdzięcznością za jej pomoc, za to, że pospieszyła Ryderowi na ratunek, a jeszcze bardziej, iż została i pomogła im się zorganizować.

– Dziękuję. Jeśli będzie mi czegoś trzeba, zadzwonię albo poproszę pana Colliera. – Nie wątpiła, że drobny człowieczek zamierza pozostać u boku swego pana.

Pemberly odchrząknął.

– Czy w obliczu wydanej przez doktora Sandersona diagnozy uważa pani, że powinniśmy posłać po lorda Randolpha?

Po krótkim zastanowieniu Mary pokręciła głową.

– Nie w tej chwili. Jeśli markiz nie obudzi się do dziesiątej, może wtedy.

Nie kryjąc ulgi, Pemberly ukłonił się i wyszedł, by przekazać liścik jej stangretowi. Collier poprawił pościel na łóżku, a potem wycofał się na swoje krzesło w kącie.

Stopniowo pokój wypełniła pełna wyczekiwania cisza, zakłócana jedynie przez ledwie słyszalny oddech Rydera. W nieruchomym powietrzu unosiła się woń środków odkażających. Rozpalony na kominku niewielki ogień zmienił się już w żar, w sypialni było ciepło, lecz, zgodnie z instrukcją doktora, nie gorąco.

Mary spróbowała rozluźnić napięte mięśnie i usadowiła się wygodniej na krześle, aby czekać. Mieć nadzieję, modlić się i zobaczyć, co się zdarzy.

Wpatrzona w nieruchomą twarz Rydera, dała odpocząć umysłowi, w ostatnich godzinach tak mocno skoncentrowanym na ważnych zadaniach.

Dawno minęła północ; zerknąwszy na zegar na kominku, Mary stwierdziła, że jest już po drugiej.

Miała pełną świadomość, jak niestosowne jest to, że została przy łożu Rydera – w jego domu, w jego sypialni, obok niego. Co prawda był nieprzytomny, Collier dotrzymywał im towarzystwa, a poza tym nie dbała o to. Jej rodzice, jej rodzina zrozumieją; oczekiwaliby po niej takiego właśnie zachowania. Czekania, czuwania, na wypadek gdyby Ryder

umarł.

Ktoś musiał być obok, kiedy gasło takie życie. Życie głowy rodu bardzo przypominającego jej własny – starego, zamożnego, utytułowanego, z licznymi majątkami ziemskimi i dumnym dziedzictwem.

Bezsprzecznie była to prawda i w razie czego Mary mogła się posłużyć taką wymówką, wiedziała jednak, że to nie tego rodzaju względy ją tutaj trzymają.

Zakotwiczają przy jego łożu.

Nie mogła pozwolić mu umrzeć w samotności.

Odkrył przed nią magię walca.

Zaledwie kilka godzin wcześniej arogancko złożył jej śmiałą propozycję.

I mógł być tym jedynym.

A ona nie dała mu jeszcze szansy, żeby ją o tym przekonał.

Nie miała dotąd okazji zdecydować, czy istotnie znalazła w nim swego ukochanego.

Chciała być na miejscu, kiedy Ryder się przebudzi, aby powiedzieć mu, że może otrzymać tę szansę – że jest gotowa poddać ocenie jego kandydaturę.

Ale niczego nie zdoła mu rzec, jeśli on nie odzyska przytomności.

Cała jej przyszłość, za którą tęskniła i ku której wreszcie z determinacją wyruszyła – być może pisana im dwojgu – zależała teraz od tego, czy uda mu się wykaraskać i nie umrzeć z powodu rany, za sprawą której już raz znalazł się o włos od śmierci.

Siedziała zatem przy łóżku Rydera i zaklinała go, żeby oddychał, trzymał się życia przez kolejne upływające godziny.

I w mroku nocy przysięgła Lady, że jeśli on przeżyje, jeśli o poranku przebudzi się i spojrzy na nią, ona podaruje mu szansę, o którą prosił – na przekonanie jej, że byłby idealnym mężem.

Rozdział 6

Ryder dryfował między przytomnością a jej utratą, a może budził się ze snu i zasypiał.

Jakaś część jego umysłu zastanawiała się, czy potrafiłby to rozróżnić.

Tego rodzaju, raczej błahe, myśli snuły mu się po głowie i rozpraszały go. Prowadziły na manowce, z dala od istotnych kwestii.

Takich jak Mary i jej obecność tutaj, na krześle przy jego łożu, jak również znaczenie tego faktu.

Zostań ze mną!

Słowa Mary nadal rozbrzmiewały echem w jego głowie, przedzierając się przez mrok, jaki osnuwał niedawne wydarzenia. Nadal słyszał jej głos, wypowiadający tamto żądanie – tamten rozkaz.

Najwyraźniej jednak zagwarantowała sobie pożądany rezultat, zostając z nim, co, biorąc pod uwagę okoliczności, wydawało się niewłaściwe.

Nie takie jak należy.

Lecz jej obecność działała kojąco, podnosiła go na duchu.

Jakiś czas później ból w boku przypomniał mu o tym, co się wydarzyło, o dwóch martwych opryszkach w zaułku. Czekali w ukryciu w ustronnym miejscu. Dobrze zaplanowali zasadzkę. Pochłonięty rozmyślaniami o Mary i pytaniem, co dalej, minął pierwszego łotra, ani chybi ukrytego w bramie, a wtedy drugi natarł na niego od strony Mount Street, tak że zanim Ryder zdał sobie sprawę z zagrożenia, pierwszy napastnik niezauważenie podkradł się od tyłu i dźgnął go nożem.

Gdyby był przeciętnego wzrostu, już by nie żył.

Teraz czuł się bardzo osłabiony, bardziej niż kiedykolwiek, nawet w czasach gdy chorował jako dziecko. Nie starczyło mu sił, żeby choć należycie unieść powieki i się rozejrzeć.

Gdy wziął nieco głębszy oddech, poczuł ucisk opasującego mu biodra bandaża. Zatem w którymś momencie przyszedł Sanderson. Ale Mary też tu była.

Pomimo pory – musiało być bardzo późno – nie spała. Wpatrywała się w niego, w półmroku niezdolna zauważyć, że się obudził i obserwował ją spod opuszczonych powiek.

Na jej twarzy malowały się powaga i troska; z dłonią przy staniku sukni obracała w palcach – chyba nieobecna myślami – coś, co znajdowało się na końcu jej naszyjnika.

Ten widok go uspokoił; ciężar jej spojrzenia podziałał kojąco.

Przymknął powieki i znów zanurzył się w otchłań ciemności.

*

Mary zamieniła krzesło na fotel z uszakami i do tego samego nakłoniła Colliera, argumentując, że jeśli któreś z nich zaśnie i spadnie z krzesła, niczemu to nie posłuży.

Dlatego obudziła się zwinięta w kłębek w fotelu, z nogami podkulonymi pod spódnicą i policzkiem wspartym na dłoni. Uniósłszy powieki, natychmiast spojrzała na

rekonwalescenta.

Zamrugała, popatrzyła ponownie.

Patrzył na nią.

Zalała ją fala ulgi.

– Jesteś przytomny! Dzięki Bogu!

– Nie wiem, czy aż tyle zawdzięczam Bogu. Jeśli dobrze pamiętam, to tobie należą się podziękowania.

– No tak. – Skinęła głową, wstając z fotela. – Mnie również.

Pochrapywanie dobiegające do tej pory z kąta pokoju przeszło raptownie w serię parsknięć. Nie zwracając uwagi na Colliera, Mary zbliżyła się do wezgłowia łoża, nachyliła i położyła dłoń na czole Rydera.

Spod jej stanika wysunął się wisior z różowego kwarcu.

Ryder go pochwycił.

– Czyli to mnie zaintrygowało. – Obrócił w palcach fasetowany kryształ. – W nocy zauważyłem, że ściskasz go w dłoni, i zastanawiałem się, co to takiego. – Pogładził płaskie powierzchnie i nieznacznie zmarszczył brwi. – Dziwne, wydaje się dość gorący.

Pamiętając, gdzie do niedawna się znajdował, Mary przyjęła tę informację bez zaskoczenia.

– Tak, cóż. – Nie protestował, gdy wyjęła mu wisior spomiędzy palców i upchnęła go na powrót w staniku. – Wydaje się zatrzymywać ciepło.

Cofnęła dłoń z czoła Rydera.

– Jesteś rozgrzany, ale chyba nie masz gorączki.

– Domyślam się, że wezwano Sandersona.

– Tak. Przyszedł i zbadał twoją ranę, a potem ją zszył. – Mary zawahała się, patrząc mu w oczy, nim dodała ciszej: – Powiedział, że jeśli odzyskasz przytomność, wszystko powinno być w porządku.

– Dziękuję, że zostałaś. – Gdyby był w stanie poruszyć ramieniem, ująłby jej dłoń i złożył na niej pocałunek. – Ukłoniłbym ci się głęboko, lecz aktualnie nie podołam nawet skinieniu głową. Uwierz jednak, że jestem ci uniżenie wdzięczny.

W jej chabrowych oczach znów pojawiła się troska.

– Czujesz się bardzo słaby?

Uznał, że nic mu się nie stanie, jeśli wyzna prawdę – jeśli wyzna ją jej.

– Ogromnie.

– Straciłeś mnóstwo krwi, więc to chyba żadna niespodzianka. Sanderson obiecał, że wróci, kiedy tylko pomoże jakiemuś dziecku przyjść na świat, lecz do tej pory nie będę nawet wiedziała, czy powinniśmy cię nakarmić.

– Nie jestem pewien, czy zdołałbym coś przełknąć.

– Może spróbujemy napoić cię wodą, a jeśli nie będzie z tym problemu, pani Perkins ugotuje rosół. – Mary zerknęła na zegar kominkowy. – Dobry Boże! Już jedenasta!

W tejże chwili Collier obudził się z parsknięciem. Popatrzył na drugą stronę pokoju – i poderwał się z fotela z wysoce nieprofesjonalnym okrzykiem zachwytu. Opamiętał się jednak natychmiast, ukłonił i wylewnie przeprosił, choć jego promienny uśmiech nie przybladł ani odrobinę.

– Tak się bardzo cieszę, widząc pana przytomnym, milordzie – wyznał.

– Oraz w pełni władz umysłowych – dodała z przekąsem Mary.

Ryder się uśmiechnął.

– Czy mogę coś dla pana zrobić, milordzie? Coś przynieść? – Collier czekał na

polecenia u stóp łoża.

– Wodę – odparła Mary. Wskazała dzbanek na stoliku. – Przydałaby się świeża.

– Tak, oczywiście. – Collier pochwycił naczynie i ruszył do wyjścia, zadowolony, że znalazł zajęcie.

– I powiadom pozostałych, że wróciłem z zaświatów! – zawołał za nim Ryder. – A kiedy przyjdzie Sanderson, niech Pemberly od razu przyśle go na górę.

– Tak, milordzie! – Collier wyszedł dziarskim krokiem.

Ryder pokręcił głową.

– Nikt by się nie domyślił, że spędził tę noc w fotelu.

Kiedy podniósł wzrok, przekonał się, że Mary mu się przygląda.

– Wszyscy są ci bardzo oddani – rzekła Mary.

– Towarzyszą mi od lat. – Teraz, gdy Collier wyszedł, Ryder mógł zadać część z męczących go pytań. – Ci dwaj, którzy mnie zaatakowali… zostali w zaułku.

– Sanderson pomyślał, że po przebudzeniu zechcesz przeprowadzić śledztwo, toteż polecił Pemberly'emu, żeby zabrał ciała i gdzieś je przechował.

– Zuch! Jakieś ustalenia…?

Dotarł do nich dźwięk dzwonka w holu.

– To na pewno moi rodzice. Wyjechali z miasta na kilka dni, ale mieli wrócić dziś rano. Wysłałam im liścik, tłumacząc, gdzie jestem i dlaczego, poprosiłam też, żeby przybyli tu jak najszybciej i – dotarłszy do drzwi, zatoczyła ręką krąg – wsparli moje poczynania, że tak powiem.

– Nie, poczekaj! – zawołał Ryder, otwierając szeroko oczy, ale już zniknęła.

Zaklął, zły głównie na własne osłabienie, przez które nie mógł za nią pomknąć, by ją powstrzymać przed tym, czego powinna wystrzegać się każda dama, a mianowicie zbieganiem po schodach w domu nieżonatego dżentelmena, kiedy nie ma się pewności, kto za moment wejdzie przez frontowe drzwi.

Wycieńczony nawet tak niewielkim wysiłkiem, osunął się z powrotem na poduszki i skrzywił twarz w grymasie.

Pemberly znajdzie się przy drzwiach pierwszy. Zobaczy Mary i nakaże jej, żeby się wycofała – pomyślał.

Spróbował wyobrazić sobie tę scenę, ale jakoś nie wydawało mu się, by ktokolwiek – a już zwłaszcza jego lojalna, oddana i aktualnie bez wątpienia ogromnie jej wdzięczna służba – zdołał coś Mary nakazać.

Westchnąwszy z rezygnacją, zapadł się głębiej w poduszki, wypowiadając w myślach słowa, których nigdy by się po sobie nie spodziewał.

Daj Boże, żeby to byli jej rodzice.

*

Raventhorne House pod każdym względem dorównywał wielkiemu i imponującemu St. Ives House, stojącemu ledwie przecznicę dalej na północ, przy Grosvenor Square. Mary pospieszyła holem prowadzącym do galerii wokół głównych schodów, z aprobatą odnotowując luksusowe detale, na które w zamieszaniu minionej nocy nie zwróciła uwagi. Grube wielobarwne orientalne dywany tłumiły jej kroki, na obitych wspaniałą ciemną boazerią ścianach wisiały różnych rozmiarów obrazy w ozdobnych złoconych ramach. Przepastny główny hol rozjaśniały promienie słońca wpadające przez okrągły

świetlik wysoko w górze. Znalazłszy się na galerii, wychyliła się przez drewnianą balustradę i zobaczyła, jak Pemberly z godnością zmierza po biało-czarnej posadzce w stronę okazałych drzwi wejściowych.

Cieszyła się, że zobaczy rodziców, zwłaszcza matkę; z promiennym uśmiechem zebrała spódnice i pomknęła ku szczytowi schodów.

W chwili gdy zaczęła po nich zbiegać, Pemberly otworzył drzwi.

– Tak?

– Dzień dobry, panie Pemberly. Przyszłyśmy zobaczyć się z moim pasierbem.

Mary zamarła. Chwiejąc się na stopniu tuż za podestem w połowie długości schodów, poczuła przerażenie, kiedy markiza Raventhorne zignorowała Pemberly'ego, mężnie starającego się zagrodzić jej wejście, i z poirytowanym „Z drogi, człowieku!" przepchnęła się obok niego do holu.

W ślad za nią do środka wmaszerowały, z determinacją ściskając torebki, dwie damy w średnim wieku, sztywno wyprostowane, z zaciętymi minami.

Wszystkie trzy kobiety natychmiast dostrzegły Mary. Zwolniły, potem się zatrzymały. Na ich twarzach odmalowało się najwyższe zdumienie, kiedy dotarło do nich, kim ona jest i gdzie ją zastały.

Otrząsnąwszy się z szoku, Mary okręciła się na pięcie i pomknęła schodami z powrotem na górę. Nie zważając na dobre maniery, ruszyła galerią i dalej korytarzem do sypialni Rydera. Wpadła do środka, czym przestraszyła Colliera, który właśnie skończył pomagać swemu panu, teraz przyzwoicie odzianemu w koszulę nocną, napić się wody ze szklanki, odwróciła się i zatrzasnęła drzwi.

Wpatrywała się w nie przez sekundę, po czym szybko podeszła do łóżka.

– Ryderze…

– Domyślam się, że to nie byli twoi rodzice. – Na jego twarzy zamiast wzburzenia malowała się cyniczna obojętność.

– To twoja macocha. – Mary wskazała drzwi. – Idzie tutaj.

Uciekając, słyszała okrzyk, gdy zaś wypadła do holu, na schodach rozbrzmiewały już pełne determinacji kroki.

Ryder z westchnieniem udręki wbił oczy w sufit.

– Cudownie.

– Nie, jest nawet gorzej. Przyprowadziła ze sobą lady Jerome i panią Framlingham!

Mężczyzna wpatrywał się w Mary przez dwie sekundy, a potem rzucił ostro:

– Panie Collier, proszę mi pomóc usiąść.

Mary chciała zaoponować, lecz nim się obejrzała, klęczała na posłaniu, pomagając Ryderowi wesprzeć się na poduszkach. Na jego polecenie Collier pomógł mu unieść i założyć za głowę lewe ramię. Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego to robimy?

– Inscenizacja.

– Ale po co?

– Ponieważ Lavinia jest jedną z tych osób, przy których nigdy nie wolno okazywać słabości.

Niewiele z tego rozumiała, ufała jednak, że Ryder wie, co robi.

– Pomóż mi unieść drugie ramię – zwrócił się do Mary. – Panie Collier, proszę się ukryć.

– Tak, milordzie.

Ryder planował, że wspólnymi siłami ulokują jego prawe ramię w podobnej pozycji jak

lewe, jak gdyby spoczywał zrelaksowany z rękami za głową, ale był nadal zbyt słaby, Mary zaś ledwie dawała radę podźwignąć tak przytłaczający ciężar – a potem z korytarza dobiegły odgłosy zbliżających się kroków oraz protesty Pemberly'ego, zbywane z rozdrażnieniem przez Lavinię, toteż zmienił plan.

– Nie, zostaw moje ramię, tak jak jest, wzdłuż poduszek. Usiądź przy mnie, twarzą do drzwi. Teraz!

Mary rzuciła mu zdumione spojrzenie, ale posłuchała.

I w ten sposób znalazła się obok niego na łóżku, nadal ubrana w suknię z mory, którą nosiła poprzedniego wieczoru, z nieco potarganą fryzurą i uroczo zaczerwienionymi policzkami, siedząc w zagięciu jego ramienia, podczas gdy Ryder leżał zrelaksowany i swobodny.

O jedenastej rano.

W ostatniej chwili zmobilizował jeszcze siły na tyle, by ułożyć palce na jej prawym przedramieniu.

Pierwszy wszedł do pokoju Pemberly, prawie że wepchnięty siłą.

– Milordzie! Próbowałem…

Bezradnie wskazał Lavinię, która wtargnęła do pokoju z oczami płonącymi niedowierzaniem i narastającą furią.

Lady Jerome i pani Framlingham, arcyplotkarki, jedne z najaktywniejszych w towarzystwie, pozostały w mrokach holu, najwyraźniej lepiej niż jego macocha wyczuwając, że wejście do sypialni Rydera bez zaproszenia to może być o ten jeden krok za daleko.

Rad, że dzięki poduszkom jest w stanie trzymać głowę prosto, nie próbował wykonywać nią żadnego ruchu.

– Dziękuję, panie Pemberly. – Ryder przeniósł wzrok na Lavinię i znacząco chłodniejszym tonem podjął: – Dzień dobry, Lavinio. Nie wydaje mi się, żebyśmy byli umówieni. Czemu zawdzięczam tę nieuprawnioną inwazję?

Jak było do przewidzenia, Lavinia prześlizgnęła się po nim spojrzeniem i wbiła je w Mary. Kilka razy otwierała i zamykała usta – co w innych okolicznościach wielce by go ubawiło – w końcu jednak zdołała przenieść wzrok na Rydera i obcesowo machnęła ręką w stronę Mary.

– Co ona, u diabła, tutaj robi?

Ryder westchnął potężnie i delikatnie, ostrzegawczo zacisnął palce na ręce Mary.

– Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, minionego wieczoru panna Cynster uczyniła mi ten honor, że przyjęła moje oświadczyny.

Z ukosa, spod na wpół opuszczonych powiek spojrzał na swą przyszłą żonę. Mary wyczuwalnie drgnęła, słysząc jego słowa, co skądinąd nie dziwiło, choć jednak widział ją tylko z profilu, nie sądził, by z jej twarzy dało się wyczytać zdumienie; jeśli już, to spoglądała na Lavinię ze stosowną, cokolwiek lodowatą wyniosłością. Ponownie zerknął na macochę.

– Jej obecność tutaj – kontynuował tym samym zimnym aroganckim tonem – nie powinna przeto nikogo dziwić ani też, w rzeczy samej, interesować. Dotąd natomiast nie usłyszałem wyjaśnienia faktu twojej tu obecności.

Lavinia znalazła się w stanie najwyższego osłupienia. Próbowała trzy razy, nim wreszcie udało jej się zmusić język do posłuszeństwa.

– Ty… – Przeniosła wściekły wzrok na Mary i zacisnęła pięści. – Ty głupia dziewucho! Mogłaś mieć mojego Randolpha… – mówiła coraz ciszej, aż umilkła, bez wątpienia

uzmysłowiwszy sobie, jak niedorzecznie, z punktu widzenia stosowanych w wytwornym towarzystwie kryteriów, brzmi ta sugestia.

Ku niejakiemu zaskoczeniu Rydera Lavinia zbladła, zaraz jednak na jej policzki wypłynął gwałtowny rumieniec.

– Lavinio! – krzyknął Ryder. – Ty, jak również twoje przyjaciółki, bez uzasadnienia wtargnęłyście do mojego domu i moich prywatnych pokoi. Sugeruję, byście się czym prędzej oddaliły. Natychmiast! Panie Pemberly, proszę wskazać markizie drogę do wyjścia.

– Tak jest, milordzie.

Choć Pemberly nie wypowiedział tych słów, niemalże słyszało się zawieszone w powietrzu: „Z ogromną przyjemnością".

Lavinia spiorunowała kamerdynera wzrokiem, a ten, wspierany autorytetem Rydera, podszedł, żeby ująć ją za ramię. Wyszarpnęła mu je ze zduszonym przekleństwem, rzuciła ostatnie wściekłe spojrzenie w stronę łóżka i wymaszerowała z pokoju. Pemberly podążył jej śladem, zamykając za sobą drzwi.

Wyczerpany, Ryder osunął się na poduszki; powieki same mu się zamknęły.

Słyszał, jak Collier wyłania się z gotowalni.

Chwilę później Mary, która nadal siedziała obok niego na posłaniu, spytała cicho:

– Chcesz opuścić lewe ramię?

– Tak, będę wdzięczny.

Wspólnymi siłami wyciągnęli mu rękę zza głowy i ułożyli z powrotem na materacu.

Mary odwróciła się twarzą do niego. Jej mina, wyraz oczu, kiedy na nim spoczęły, były w jego odczuciu całkowicie nieprzeniknione.

To go zaskoczyło; aż do tej pory czytał w niej niemal jak w otwartej księdze. Nie przyszło mu do głowy, że nie zawsze będzie mu się to udawało, że Mary może okazać się zdolna skryć przed nim swoje myśli i emocje.

Pomiędzy brwiami zarysowała jej się delikatna zmarszczka. Przyglądała się Ryderowi jak okazowi znanego jej gatunku, który wszakże nieco wyłamał się z powszechnie przyjętej formy.

Bez względu na to, jakie myśli snuły się jej teraz po głowie, dla niego istniała tylko jedna droga.

Poczekał, aż za służbą zamkną się drzwi, zaczerpnął powietrza i powiedział:

– Przepraszam. Bezgranicznie. Zupełnie nie tak pragnąłbym ci się oświadczyć.

Uniosła brwi.

– Na ile rozumiem sytuację – rzekła po krótkim wahaniu – już mi się oświadczyłeś, a ja cię przyjęłam.

Pojmując, jakie pytanie chciała zawrzeć w tych słowach, skrzywił się.

– Nie było innego sposobu.

Nadal bacznie mu się przyglądała – a on wciąż nie miał pojęcia, co się dzieje w jej głowie.

– Czy mógłbym coś zauważyć? – spytał.

Uniesieniem brwi zachęciła go, żeby kontynuował.

– Spodziewałem się, że będziesz się na mnie wściekać albo przynajmniej wygłaszać tyrady. Przechadzać się gniewnie. – Pochwycił jej spojrzenie.

Uśmiechnęła się leciutko, lecz zaraz spoważniała.

– Wygłaszanie tyrad w niczym nam nie pomoże.

Obserwował ją z narastającą nieufnością.

– Wielce racjonalnie z twojej strony.

Te słowa sprowokowały kolejny przelotny uśmiech.

– Jakkolwiek kusi mnie, żeby cię zwymyślać, nie potrafię zdobyć się na tak irracjonalną postawę, by winić cię za to, co właśnie zaszło. Nie miałeś wyboru, nie zapraszałeś tutaj przecież swojej macochy i jej popleczniczek.

– Dziękuję. Zapewniam cię, że absolutnie nie to drobne przedstawienie miałem na myśli, kiedy deklarowałem, że popracuję nad tym, byś zmieniła zdanie.

Ponieważ dalej przyglądała mu się w milczeniu, w nim zaś narastał niepokój co do tego, jakie knowania się za tym kryją, postanowił wydobyć z niej tę informację.

– Przypuszczam, że gdybym był nieco inny, zadeklarowałbym rycersko, iż znajdę sposób, aby zwolnić cię z małżeńskiego kontraktu, który został nam narzucony.

– Ale tego nie zrobisz, zgadza się?

– Nie. Nie miałem pojęcia, że minionej nocy zostanę dźgnięty ani że akurat wtedy będziesz przejeżdżać obok i pospieszysz mi z pomocą, ani że zostaniesz przy mnie na noc, nijak też nie przyczyniłem się do tego, że Lavinia i jej przyjaciółki raczyły mnie odwiedzić. Natomiast już dawno nauczyłem się korzystać z każdego błogosławieństwa, jakie zsyła mi los. – Umilkł na chwilę, po czym dodał ciszej: – Zatem nie, nie będę szukał sposobu na rozwiązanie tego, co los związał. – Kiedy nie doczekał się jej reakcji, dorzucił jeszcze: – Jeśli więc chcesz znaleźć wyjście z tej sytuacji, będziesz musiała poszukać go sama.

– Hm – mruknęła jedynie, patrząc mu w oczy.

Wpatrzony w sufit, zapytał wprost:

– Co na ten temat myślisz?

Upłynęło dobre pół minuty, nim odpowiedziała:

– Mówiąc całkowicie szczerze, nie jestem pewna.

Ściągnął brwi i uważnie na nią spojrzał.

– Zawsze jesteś pewna. W każdej sprawie.

– Tak. – Zacisnęła wargi, wyraźnie zdegustowana nietypowym u niej stanem, a później przecząco pokręciła głową. – Ale nie w tym przypadku.

W oddali rozbrzmiał dzwonek u drzwi wejściowych.

– A to już na pewno moi rodzice – powiedziała. Strzepnęła spódnice i popatrzyła na Rydera. – Zejdę na dół, wszystko im wyjaśnię i poproszę o radę. Później tutaj wrócę i przedyskutujemy naszą sytuację. W międzyczasie odpoczywaj. Doktor Sanderson powinien wkrótce przybyć.

Ryder przyglądał się, jak poprawia włosy i zbiera się w sobie, a potem, wysoko unosząc głowę, z gracją opuszcza pokój.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Ryder wymamrotał kilka przekleństw. Bezsilność nieznośnie działała mu na nerwy.

*

Zanim Mary dotarła na galerię, Pemberly zdążył wpuścić jej rodziców do holu. Spiesząc w dół po schodach, skonstatowała, że chyba jeszcze nigdy aż tak się nie cieszyła na ich widok.

– Mamo! Papo!

Louise i Arthur odwrócili się ku niej.

– Jesteś, kochanie – powiedziała z uśmiechem matka.

Oboje uśmiechnęli się pokrzepiająco i otworzyli ramiona na powitanie. Przytuliła ich z radością.

– Kochanie. – Louise odsunęła się, poważniejąc. – Jak się miewa Ryder?

– Odzyskuje siły, dzięki Bogu. Obawiam się jednak, że pojawiła się innego rodzaju komplikacja.

– O? To znaczy? – Arthur od razu spochmurniał.

Mary spojrzała na Pemberly'ego.

– Panie Pemberly, czy moglibyśmy gdzieś...?

Kamerdyner natychmiast wskazał jedne z drzwi i podszedł je otworzyć.

– W salonie, panno Cynster.

– Dziękuję. – Mary ruszyła przodem.

Duży, długi pokój był modnie umeblowany, choć raczej w męskim stylu. Miękko wyścielane fotele, podobnie jak sofy, obito zieloną skórą. Mary przystanęła na moment, żeby zorientować się w otoczeniu, a następnie poprowadziła rodziców do sofy naprzeciw wielkiego kominka, z dużymi fotelami z uszakami po bokach i niskim stolikiem pośrodku.

– Czy podać herbatę, panno Cynster? – zapytał Pemberly.

– O tak, dziękuję. – Mary popatrzyła nań z wdzięcznością.

Znając rodziców, wiedziała, że przeczytali jej liścik od razu po powrocie do domu i z miejsca udali się na Mount Street. A jej również przyda się filiżanka herbaty, śniadanie bowiem przespała.

– Natychmiast, panno Cynster.

Louise i Arthur wymienili krótkie spojrzenia, a potem, zachęceni przez Mary, usiedli na sofie, ich córka zaś zajęła miejsce w jednym z foteli.

– Po pierwsze, powinnam wam powiedzieć, że Ryder... nagabywał mnie, jeśli wiecie, co mam na myśli, odkąd wpadliśmy na siebie na balu zaręczynowym Henrietty i Jamesa.

– Nagabywał? – Arthur się obruszył.

– Ciii... kochanie. – Louise poklepała go po udzie. – Doskonale wiesz, o co chodzi.

– No właśnie. – Mary, jak wiele razy wcześniej, podziękowała w duchu za przenikliwość matki. – Dokładnie w ten sposób: całkowicie akceptowalny, nawet minimalnie nie przekraczając dopuszczalnych granic. Pojawiał się na każdym balu, w którym ostatnio uczestniczyłam, a dwa wieczory temu także na wieczorku muzycznym u lady Hopetoun, gdzie przez cały czas dotrzymywał mi towarzystwa.

Louise zaczerpnęła tchu.

– Wielkie nieba! Zatem ma poważne zamiary i nie ociągał się z ich zadeklarowaniem.

Mary pominęła cisnący się jej na usta komentarz, że Ryder po prostu nie umiałby się ociągać w żadnej sprawie, i przytaknęła.

– W rzeczy samej. Lecz aż do tamtego wieczoru sądziłam, że jedynie... cóż, szuka rozrywki, ponieważ czuje się znudzony, a potem, że zdał sobie sprawę, iż zainteresowałam się jego przyrodnim bratem Randolphem, czego nie pochwalał. I rzeczywiście nie pochwalał, tyle że nie uganiał się za mną wyłącznie po to, by mnie odciągnąć od Randolpha, jak pierwotnie zakładałam.

Arthur pokiwał głową.

– Wpadłaś mu w oko. Nigdy nie miałem Rydera za głupca.

– Tak, no cóż, kiedy po owym wieczorku muzycznym oraz na podstawie jego zachowania sama nabrałam takich podejrzeń i skonfrontowałam go z nimi, Ryder... –

Urwała, wracając pamięcią do ich rozmowy na tarasie u lady Bracewell. – Otwarcie zadeklarował, że chce, bym została jego żoną.

– Kochanie – rzekła z uśmiechem Louise – to wspaniała wiadomość. Tylko dlaczego się obawiam, że zaraz usłyszę „ale"?

Arthur miał skonfundowaną minę.

– Jakież tu może być „ale"? Co mu odpowiedziałaś?

Mary popatrzyła w oczy ojca, o odcień jaśniejsze niż jej własne.

– Wytknęłam mu, że jest niemożliwym do okiełznania despotą, a ponieważ ja wolę pozostać u steru własnego życia, moim zdaniem nie pasowalibyśmy do siebie.

Mary zerknęła na matkę i przekonała się, że na jej twarzy rozkwitł pełen zachwytu uśmiech.

Louise próbowała zapanować nad tą reakcją, ale jej się nie udało.

– Och, kochanie. Jeśli naprawdę chcesz zniechęcić takiego mężczyznę jak Ryder, zdecydowanie nie była to właściwa odpowiedź.

– Nie rozumiem, czemu w ogóle miałaby go zniechęcać – zauważył Arthur. – Niemniej spostrzeżenie jest słuszne. A co on na to?

Mary popatrzyła w pełne entuzjazmu oczy ojca, dostrzegła nieco głębsze zrozumienie w spojrzeniu matki, po czym wzięła głęboki oddech.

– Oprócz tego, że ślubował, iż nakłoni mnie do zmiany zdania, obstawał przy tym, że pasowalibyśmy do siebie, jak również zasugerował, iż jest gotów znaleźć sposób, by dostosować się do moich… wymagań.

Nawet Louise wyglądała na zaskoczoną.

– Zatem… co mu odpowiedziałaś?

– Nie wiedziałam, co rzec. Rozstaliśmy się minionego wieczoru. A później, kiedy wracałam karetą do domu…

– Czyli na razie tak tę sprawę zostawiłaś? – przerwał jej Arthur.

Przytaknęła, rzeczowo i zwięźle relacjonując wydarzenia z ubiegłej nocy.

Pojawił się Pemberly z suto zastawioną tacą; umieścił ją na stoliku i odszedł. Mary nalała wszystkim herbaty; upiła łyk i podjęła opowieść.

Arthura i Louise dogłębnie poruszył fakt, że Ryder otarł się o śmierć, i w pełni poparli działania córki.

– Zrobiłaś, co leżało w twojej mocy – stwierdziła Louise. – Nie martw się, kochanie, nikt nie będzie cię za to potępiał. Zwłaszcza że Ryder mieszka w tym domu sam. W takich okolicznościach nawet czekanie na doktora było właściwe.

– Tak, ale to jeszcze nie wszystko. – Mary zastanawiała się, jak wytłumaczyć całą sytuację, aż w końcu uznała, że po prostu chwyci byka za rogi. – Nawet potem, jak się domyślacie, zostałam. Zwyczajnie nie potrafiłam go zostawić samego, skoro nie było wiadomo, czy przeżyje.

– To w pełni zrozumiałe – wtrącił Arthur.

– Naturalnie. – Louise pokiwała głową. – Poza tym, pomijając kwestię twoich uczuć wobec niego, gdybyś sobie poszła, a on by umarł… Sama wiesz, jakiego rodzaju pytania się rodzą, kiedy człowiek o jego pozycji odchodzi bez świadków.

– W dodatku wiedziałaś, że rano wrócimy do domu i przyjedziemy tutaj, żeby cię kryć. Dlatego wysłałaś nam wiadomość. – Arthur odstawił pustą filiżankę i zmierzył córkę przenikliwym spojrzeniem. – Czemu więc jesteś taka roztrzęsiona?

Miała nadzieję, że nie będzie to tak oczywiste.

– Collier, osobisty lokaj Rydera, został ze mną w jego sypialni na całą noc. Ale zarówno

Collier, jak i ja w końcu zasnęliśmy i obudziliśmy się dopiero… – Zerknęła na zegar stojący dostojnie na masywnej obudowie kominka. – …jakąś godzinę temu. Wtedy też odkryliśmy, że Ryder odzyskał przytomność, a chociaż jest bardzo osłabiony, zważając na okoliczności, myślę, że trzyma się nieźle. – Dopiła herbatę i odstawiła filiżankę na spodek. – No i wówczas zadzwoniono do drzwi, a ja, przekonana, że to wy, zbiegłam po schodach… – Mary popatrzyła na matkę. – Tylko że to była macocha Rydera, która w dodatku przyprowadziła ze sobą lady Jerome i panią Framlingham.

– Istotnie, bardzo dziwne – stwierdziła Louise, marszcząc brwi. – Dlaczegóż, na Boga, Lavinia zabrała ze sobą te dwie damy?

Mary zamrugała. Aż do tej pory takie pytanie nie przyszło jej do głowy. Niemniej matka miała rację, to było dziwne.

– Jakikolwiek miała powód, zobaczyły mnie tutaj. – Wskazała na swoją suknię balową. – W tym stroju. Zbiegającą po schodach w domu Rydera o jedenastej rano.

– Och! – Wpatrzona w twarz córki Louise opadła na oparcie sofy.

– Nie rozumiem, w czym problem – wtrącił Arthur. – Chłopak znalazł się o włos od śmierci, jego lokaj przez cały czas był w sypialni, a doktor wytłumaczy…

– Nie, kochany – przerwała mu Louise i pokręciła głową. – Zapominasz o jednym. Mówimy o Ryderze Cavanaugh. Tutaj żadne rany czy osłabienie nie wystarczą jako wymówka. – Popatrzyła na męża. – Wierz mi, musiałby zostać oficjalnie uznany za zmarłego, żeby w towarzystwie zaakceptowano takie tłumaczenie. Przy czym nawet wtedy pojawiłyby się plotki.

– Ale doktor…

– …przyjaźni się z Ryderem od czasów Eton. – Mary pokręciła głową. – Mama ma rację, tłumaczenia zdałyby się na nic, i trzeba Ryderowi przyznać, że zrozumiał to natychmiast.

Louise przyjrzała się Mary z zaciekawieniem.

– Zatem, jak się wszystko potoczyło?

Mary zaczerpnęła powietrza.

– Popędziłam z powrotem, żeby ostrzec Rydera, a choć ledwie był w stanie się ruszać, nalegał, abyśmy stosownie zaaranżowali scenę, ukryli jego ranę, gdyż ujawnienie jej nie przyniosłoby żadnego pożytku, a zamiast tego stworzyli wrażenie, że… No cóż, robiliśmy dokładnie to, o co owe trzy damy i tak by nas podejrzewały. Kiedy więc wtargnęły do jego sypialni…

– Nie zrobiły tego! – wykrzyknęła zgorszona Louise.

Mary smętnie pokiwała głową.

– Ależ zrobiły, w każdym razie macocha Rydera. Jej towarzyszki przyczaiły się w holu.

– A wtedy? – warknął Arthur.

Czując, że zaczyna jej się kręcić w głowie, Mary znów wzięła głęboki oddech.

– A wtedy Ryder oznajmił, że minionego wieczoru poprosił mnie o rękę, ja zaś przyjęłam oświadczyny, oraz że w związku z tym moja obecność w jego domu, w jego sypialni, na łóżku obok niego nie powinna nikogo interesować.

– No, no! – zakrzyknęła cicho Louise.

Marszcząc brwi, Arthur wpatrywał się w córkę, ale tak, jakby starał się rozwikłać jakąś zagadkę.

Na moment zapadła cisza, aż wreszcie Mary wzruszyła ramionami.

– Musiałam podjąć te grę.

Arthur poruszył się na sofie.

– Sprawdźmy, czy dobrze wszystko zrozumiałem. Minionego wieczoru Ryder oznajmił, że pragnie cię poślubić. Dyskutowaliście na ten temat, ale kwestia pozostała nierozstrzygnięta. Po czym, w następstwie ciągu niefortunnych zdarzeń, kiedy to każde z was zachowało się wyłącznie, tak jak powinno, tego ranka wy dwoje skończyliście jako narzeczeni.

Po krótkim zastanowieniu Mary skinęła głową.

– Można to tak podsumować.

– Słyszałem, że chłopak ma piekielne szczęście – wymamrotał Arthur.

Mary ugryzła się w język. Jej ojciec był Cynsterem, jakiej innej reakcji się po nim spodziewała?

Upłynęło kilka sekund, nim matka Mary spytała:

– I co o tym sądzisz, dziecko?

Mary szukała właściwych słów.

– Nie wiem. Kiedy przed tamtą rozmową wychodziłam na taras u lady Bracewell, wydawało mi się, że wiem, ale teraz? – Wolno pokręciła głową. – Nie, po prostu nie mam pojęcia.

I nie rozumiała, jak do tego doszło – jakim sposobem tak bardzo narosły w niej emocje, na tyle silne i niezdyscyplinowane, by zepchnąć ją z trasy, którą sobie wytyczyła.

Znała cel swojej wędrówki – a tymczasem skończyła zaręczona z Ryderem Cavanaughem.

Ostatnim mężczyzną, którego wybrałaby sobie na męża.

Jednakże w ostatnich dniach jej emocje – zwykle nieodmiennie podporządkowane woli – zaczęły przybierać na sile. Narastały do wtóru coraz większego chaosu wokół niej i w niej samej.

Irytacja przeszła w oczarowanie, a potem w zmysłową magię rozbudzoną przez magię tańca w jego ramionach, która z kolei ustąpiła miejsca wściekłości wobec zaborczości Rydera, całkowicie zrozumiałej, aczkolwiek gwałtowniejszej niż wobec kogokolwiek dotąd, wszystko to zaś zwieńczyła reakcja Mary, tak złożona i nieoczekiwana, kiedy zadeklarował jej swoje zamiary, dodatkowo komplikując sprawy niebezpiecznie przebiegłą propozycją, iż się do niej dostosuje – po czym ponad cały ten galimatias wybiło się nieopisane przerażenie, gdy znalazła go umierającego.

Mimo to żadne z owych doznań nie przygotowało Mary na lawinę uczuć, pod którą została nieomal pogrzebana na myśl o tym, że mogłaby go stracić. Że mógłby zniknąć z jej życia.

Odkąd Ryder stanął jej na drodze, doświadczyła wielu różnych uczuć.

A wrodzona pewność, z jaką podejmowała wszelkie decyzje, ulotniła się.

Sądziła, że rozumie samą siebie, że wie, czego chce, dokąd zmierza i dlaczego – ale co miała powiedzieć teraz?

Błąkała się bez celu.

Och, mamo, co powinnam zrobić?

Po kilku sekundach Louise odpowiedziała na to niewyartykułowane pytanie córki.

– Znając cię, kochanie, nie wątpię, że stawisz czoło wyzwaniu.

Arthur pokręcił głową.

– Nie będę udawał, że cokolwiek z tego rozumiem, chyba jednak pora, żebym uciął sobie z Ryderem pogawędkę.

Jakby wezwany tymi słowami, zapukał i wszedł do salonu Pemberly.

– Milordzie, milady, gdyby państwo zechcieli, markiz prosi o możliwość zajęcia im

kilku minut. Jako że jego lordowska mość nie jest aktualnie w stanie dołączyć do państwa tutaj, prosi, by okazali się państwo tak wyrozumiali i weszli na górę do jego sypialni.

– Doskonale! – Arthur wstał z sofy. – Świetne wyczucie chwili.

Podziękowawszy Pemberly'emu, Mary zaprowadziła rodziców na piętro i korytarzem do sypialni Rydera. Zapukała do drzwi i usłyszawszy „proszę!", wpuściła rodziców do środka.

Umyty, ogolony, z wyszczotkowanymi do połysku włosami, Ryder, nadal śmiertelnie blady, miał na sobie koszulę, halsztuk i aksamitną bonżurkę barwy burgunda. Choć musiał siedzieć wsparty o poduszki, od pasa w dół okryty kapą ze złotego jedwabiu, zdołał roztoczyć wokół siebie aurę możnowładcy udzielającego audiencji.

Prześlizgnął się spojrzeniem po Mary i popatrzył na jej rodziców.

– Lordzie Arthurze, lady Cynster, przepraszam, że nie witam państwa jak należy, zakładam jednak, że Mary wspomniała, iż zostałem ranny. – Oszczędnym gestem wskazał starszej damie krzesło przy łóżku.

Louise skorzystała z zaproszenia.

– Tak, Mary naświetliła nam sytuację. – Siadając, zerknęła na córkę. – Bardzo dokładnie, jak sądzę.

Na dany przez Rydera znak Collier wyszedł z pokoju. Kiedy za lokajem cicho zamknęły się drzwi, Ryder popatrzył na lorda Arthura, który podszedł, żeby stanąć za krzesłem żony.

– Żałuję – zaczął Ryder – że okoliczności naszego spotkania nie są takie, jakich bym sobie życzył. Jednakowoż wyznaję, że zamierzałem doprowadzić do podobnego spotkania, tyle że w sposób bardziej konwencjonalny i w nieco późniejszym terminie. Tak czy inaczej, sprawa, którą musimy przedyskutować, jest prosta, sądzę też, że rozumie pan powody, dla których zabieram głos już teraz. Chciałbym zatem prosić pana o pozwolenie, bym mógł spytać pańską córkę, czy uczyni mi ten honor i zostanie moją żoną.

Arthur przyglądał mu się przez kilka chwil spod krzaczastych brwi, nim rzekł:

– Ładnie powiedziane. – Popatrzył na żonę. – Co ty na to, moja droga?

Louise także mierzyła Rydera wzrokiem. W reakcji na pytanie męża zerknęła na Mary, która w międzyczasie stanęła po drugiej stronie łóżka, a następnie przeniosła wzrok na Rydera, popatrzyła mu w oczy i skinęła głową.

– Tak. Sądzę, że udzielenie takiego pozwolenia będzie w najlepszym interesie wszystkich zaangażowanych.

Delikatny nacisk na „wszystkich" spowodował u Rydera moment wahania. Wiele słyszał o damach z rodu Cynsterów i do tej pory w miarę możliwości trzymał się od nich z daleka. Jednakże od znajomych mężczyzn, krążących w ich orbicie, dowiedział się dosyć, by popatrywać na nie ze zdrowym respektem.

Skłonił głowę przed rodzicami Mary.

– Dziękuję.

Ryder popatrzył na Mary i wyciągnął ku niej rękę, starając się zamaskować związany z tym wysiłek. Wahała się zaledwie przez jedno uderzenie serca, a później podeszła i podała mu dłoń. Zamknął jej palce w swoich, spojrzał w te cudowne oczy i spróbował ukryć odruch zaborczości, która raptownie w nim wezbrała, był jednak pewien, że mu się to nie powiodło.

Mary wszakże spokojnie patrzyła mu w oczy; pomimo tego – co, jak podejrzewał, z tak

bliska ani chybi dostrzegała – nie wyczuł najlżejszego drżenia w jej uwięzionych przez niego palcach.

Tradycyjne konwencjonalne słowa czekały na wybrzmienie; przećwiczył mowę, kiedy Collier go ubierał. Jednakże pozostawił je niewypowiedziane. Chciał czegoś więcej…

– Oczywiste, że nie w ten sposób miało to wyglądać – zwrócił się do Mary. – Niemniej, jak wiesz, takiego właśnie finału chciałem, takie pytanie zamierzałem ci w pewnym momencie zadać. Los wziął sprawy w swoje ręce i przywiódł nas do tego etapu, nie pozostawiając nam zwyczajowego czasu na bliższe poznanie się. Na wzajemne zrozumienie. Zatem przy podejmowaniu tej jednej z najważniejszych w życiu decyzji musimy po prostu sobie zaufać. Nie mamy wyboru. W zamian za zaufanie, którym, na co liczę, mnie obdarzysz, przysięgam, że sam będę pokładał ufność w tobie, że wraz z tobą będę pracował nad tym, by nasze przyszłe życie, wspólne życie, zbliżyło się do ideału. – Zrobił przerwę, po czym, wpatrzony w jej chabrowe oczy, zaczerpnął tchu i spytał: – Co ty na to, Mary? Czy weźmiesz mnie za rękę, by kroczyć dalej u mego boku, jako moja markiza, moja żona, czy połączysz swoje życie z moim, abyśmy urzeczywistnili nasze pragnienia?

Mary nie czuła się zagubiona ani przytłoczona. Widziała zamysł Rydera, jasny i otwarcie wyrażony. Chciał, żeby została jego żoną; tak było od samego początku. Wiedziała też ponad wszelką wątpliwość, że mówił szczerze, zarówno dzisiaj, jak i w minionych dniach.

– Tak. – Usłyszała, jak to słowo pada z jej ust, i pojęła, że wypłynęło z głębi duszy. Zaakceptowawszy to, skinęła głową, po czym potwierdziła: – Tak, zostanę twoją markizą. Zostanę twoją żoną.

Jego wargi, te niecne, grzeszne, kuszące wargi, wolno wygięły się w uśmiechu.

Przypieczętował pakt, wyciskając pocałunek na dłoni Mary.

Miał minę zdobywcy.

Upewniła się co do tego, zaglądając mu w oczy.

*

– To absolutna katastrofa! – Lavinia, markiza Raventhorne, z furią krążyła po swym buduarze.

Oprócz niej w pokoju przebywał tylko Claude Potherby, który siedział rozparty w fotelu z uszakami ustawionym w pobliżu kominka, i obserwował miotającą się damę. Zbyt dobrze ją znał, żeby zabierać głos na tym etapie. Zahartowany długim obcowaniem z jej teatralnymi popisami, nie zakłócał potoku narzekań. Od lat zajmował stanowisko jej cichego wielbiciela i powiernika, choć akurat nie kochanka. Kiedyś, to prawda, aspirował do bardziej intymnych relacji, ale to było dawno temu – zanim Lavinia odwróciła się od niego, by ochoczo wskoczyć w zaaranżowane małżeństwo i na pozycję markizy, którą zajmowała do dzisiaj.

Jednakże, ku swemu zaskoczeniu, pozostał jej oddany. Mimo że od lat traktowała jego obecność jako coś oczywistego, nadal był przy niej, nadal wysłuchiwał utyskiwań – sekretnie ubawiony jej nieustającymi zabiegami o własny interes.

– Mówię ci, to nie do zniesienia! – Zaciskając pięści, Lavinia odwróciła się do Claude'a. Jej oczy miotały gromy. – Jak ta lafirynda śmie uwodzić Rydera?

– Czy nie chodzi o tę samą lafiryndę, z którą chciałaś ożenić Randolpha?

– Tak, o nią! Żeby wpakować się Ryderowi do łóżka… a potem…

– Wiesz, skarbie, nie nadążam za kilkoma aspektami twego rozumowania. Na przykład wszystko, co nam, i w istocie całemu towarzystwu, wiadomo na temat Mary Cynster, każe uznać za wysoce nieprawdopodobne, aby uciekała się do uwodzenia, chcąc zabezpieczyć sobie przyszłość. Jako ostatnia z Cynsterówien w tym pokoleniu nie ma nawet powodu się wysilać: każdy kawaler do wzięcia już wkrótce ustawiałby się w kolejce do jej ręki.

Lavinia zamierzała coś wtrącić, ale nie dopuścił jej do głosu.

– A choć przyznaję, że twój pasierb nigdy nie wzdragał się przed uwodzeniem dam, jego łupem ani razu nie padła panna na wydaniu, zwłaszcza pokroju panny Cynster. – Zaintrygowany skąpymi informacjami, jakie uzyskał dotąd od Lavinii, Claude wbił w nią niewinnie zaciekawione spojrzenie. – Jesteś pewna, moja droga, że w sytuacji, której ty i twoje przyjaciółki byłyście świadkami, nie chodziło o coś zupełnie innego? Że nie wysnułyście wniosków zbyt pochopnie?

Kobieta spojrzała nań spode łba.

– Niby jak inaczej można by rozumieć taką scenę? Do diabła, siedziała na jego łóżku, nadal w sukni balowej, a on wyglądał jak kot, który dopiero co schrupał smakowitą mysz!

– Prawdę mówiąc – Claude zmarszczył brwi – umyka mi także i to, czego ty i twoje przyjaciółki w ogóle szukałyście u Rydera.

Unikała jego spojrzenia. Przemierzyła kolejnych kilkanaście metrów pokoju, nim rzuciła:

– Jeśli musisz wiedzieć, po tym jak Ryder pojawił się na wieczorku muzycznym u lady Hopetoun i spędził cały wieczór u boku Mary, uzmysłowiłam sobie, że najwyraźniej szuka żony, a ponieważ oczywiście głupi nie jest, wziął na cel Cynsterównę…

– Ach. – Claude pokiwał głową. – Teraz rozumiem. Chciałaś Mary dla Randolpha, zatem ty i twoje przyjaciółki… – Spojrzał na Lavinię z kpiącym niedowierzaniem. – Wy trzy poszłyście do domu Rydera, żeby zaproponować mu pomoc w znalezieniu odpowiedniej żony?

– Czemu nie? Jestem jego macochą. Aktualną markizą. Jeśli ktokolwiek miałby wiedzieć, jakie wymagania wiążą się z tą pozycją oraz które młode damy najlepiej by je spełniały, to właśnie ja. A Joyce Jerome i Kate Framlingham znają wszystkie panny na wydaniu.

– Niech zgadnę… – Głos Claude'a ociekał cynizmem. – Gdyby Ryder okazał się skłonny do współpracy, ty i twoje przyjaciółki przez długie lata kazałybyście mu się uganiać za niewłaściwymi kandydatkami.

– Bo tak naprawdę on wcale nie musi się żenić. Randolph wkrótce to zrobi, a po Ryderze to jemu, następnie zaś jego synowi przypadnie tytuł. Mój drogi zmarły mąż z pewnością byłby w pełni zadowolony z takiego rozwiązania. Ostatecznie, Randolph jest jego synem dokładnie tak samo jak Ryder.

– Och. – Zachowanie powagi kosztowało Claude'a wiele wysiłku.

– Co znowu? – Lavinia popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Cóż, moja droga, jeśli jednak weźmiemy pod uwagę możliwość, że dziewczyna przebywała w domu Rydera z zupełnie innego powodu… – Odchyliwszy się na oparcie, by lepiej widzieć Lavinię, Claude nie przerywał swojego wywodu: – …wówczas nie da się wykluczyć, że to właśnie twoja, podjęta w tak zwanej dobrej wierze próba ingerencji w życie Rydera wymusiła na nim ślub z Mary Cynster.

Lavinia przez kilka sekund wpatrywała się w Claude'a, a później, zaciskając pięści,

odchyliła głowę w tył i głośno wrzasnęła z bezsilnej rozpaczy.

Rozdział 7

– Wyglądasz jak siedem nieszczęść. – Ryder przyjrzał się Davidowi Sandersonowi, kiedy ten podkręcał knot lampy przy łóżku.

David omiótł spojrzeniem jego twarz.

– Wnoszę z tego, że nikt nie podał ci lustra.

– Ja mam wymówkę. A tobie co się przydarzyło?

– Ciężki poród. Wszystko dobrze się skończyło, ale przez chwilę wyglądało groźnie.

– Poród… – Mimo że ciągle wyzuty z sił, Ryder zdołał się wzdrygnąć. – Ten jeden temat niezawodnie przyprawia mężczyzn o drżenie kolan, a ja czuję się dostatecznie słaby i bez tego.

– Chcę rzucić okiem na ranę.

Ryder usiłował odsunąć przykrycia, ale doktor zaprotestował:

– Leż spokojnie i pozwól, że sam to zrobię. Jeśli się nie mylę, nie masz nawet tyle sił, co nowo narodzone kocię.

– Gdyby przyszło do siłowania się na rękę, kocię by wygrało.

David chrząknął. Odwinął bandaż, a potem uniósł opatrunek chroniący ranę.

– Zadziwiające.

– Tak, wiem.

Te słowa sprowokowały u obu krótki wybuch śmiechu.

– Przekonajmy się, jak bardzo zadziwiające. – David zaczął delikatnie uciskać skórę wokół rany. Kiedy jego pacjent ze świstem zaczerpnął tchu, spytał: – Jaki to ból?

– Nieprzeszywający – odparł Ryder po chwili zastanowienia. – Raczej umiarkowany.

– Lepiej, kiedy zabieram ręce?

– Prędko znika.

– Czyli to głównie stłuczenia. Zrozumiałe. W nocy musiałem cię trochę pougniatać, żeby się upewnić, że żaden ważny organ nie został uszkodzony.

– Ta wiedza chyba też nie jest mi niezbędna. Żyję i, na marginesie, właśnie się zaręczyłem.

David spojrzał na niego zaskoczony.

– Ale nie z tą młodą damą, która tu była?

– Właśnie z nią. – Ryder uśmiechnął się szeroko i opowiedział Davidowi, co się wydarzyło.

Gdy zakończył relację, przyjaciel chwilę mierzył go badawczym wzrokiem.

– To dobrze czy źle?

Czując się jak kot, który dobierze się wkrótce do wyśmienitej śmietanki, Ryder się rozpromienił.

– Doskonale!

David ze śmiechem pokręcił głową

– Nie spotkałem jeszcze drugiego z twoim szczęściem. – Umilkł na moment, po czym dodał z większą powagą: – Zdajesz sobie sprawę, że otarłeś się o śmierć? Że gdyby nie zdecydowane i skuteczne działania panny Cynster, oglądałbym cię w trumnie, a nie na łożu boleści?

Także poważniejąc, Ryder przytaknął.

– Zdążyłem się zorientować. Niemniej ona zadziałała, ja przeżyłem, powiedz mi zatem, kiedy będę mógł wstać i… eee, zacząć się cieszyć dopisującym mi szczęściem?

David obdarzył go stosownym grymasem.

– Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, rzekłbym, że najwcześniej za kilka tygodni, ale znając ciebie i twoją zdolność regeneracji, zalecałbym, żebyś jadł wszystko, co zechcesz, w jak największych ilościach, a za kilka dni będziesz mógł zejść na parter: chodzenie po schodach pomoże ci odbudować siły. Jeśli jednak mowa o cieszeniu się towarzystwem twojej panny Cynster, to, na litość boską, odczekaj co najmniej tydzień.

– Bez obaw, to nie nastąpi tak szybko.

– O? Czyżbyś tracił pazur?

– Skądże znowu. Ale to Cynsterówna i zarazem moja przyszła żona, nasz związek będzie się więc rozwijał jak należy.

*

Kolejnego ranka, czując się zdecydowanie lepiej, Ryder zasiadł w fotelu obok łóżka i napisał kilka listów, które polecił następnie wysłać do różnych rezydencji w Mayfair.

Niedługo później przybyła Mary i zagoniła go z powrotem do łóżka. Ponieważ obiecała nakarmić go wzmacniającym rosołem, ustąpił. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek jakaś kobieta, pomijając piastunkę w dzieciństwie, tak się koło niego krzątała; uznał, że w ograniczonych dawkach sprawia mu to przyjemność.

Wytyczył jednak granicę między zupą a pozostałymi czterema daniami przyniesionymi przez Colliera. Kiedy Mary pojęła, że posługiwanie się nożem i widelcem nie sprawia mu najmniejszych trudności, popatrzyła nań uważnie, po czym zasiadła do posiłku przy stoliku, który Pemberly ustawił dla niej obok łóżka.

Po posiłku Ryder zrobił się senny jak syty kot. Mary przyglądała się, jak opadają mu powieki; kiedy uznała, że zasnął, podeszła do łóżka i przez chwilę wpatrywała się w niego, później zaś się nachyliła, musnęła pocałunkiem jego czoło i wyszła.

Odebrał to tak, jakby wypaliła na nim piętno. W najrozkoszniejszym znaczeniu tego słowa.

Przez całe popołudnie drzemał, czytał i znów drzemał, a potem wróciła Mary, żeby zjeść z nim wczesną kolację. Przyniosła wieści o pierwszych reakcjach wytwornego towarzystwa na nieuniknione plotki o ich zaręczynach, następnie zaś przedyskutowali treść notki, którą miał wysłać do „Gazette", kiedy już omówi z jej ojcem kwestie finansowe.

Był zdeterminowany, aby zrobić wszystko jak należy.

Wyszła, zanim zasnął, nie otrzymał więc kolejnego pocałunku.

Nazajutrz, zgodnie z przewidywaniami Davida, Ryder samodzielnie pokonał schody, żeby spotkać się z lordem Arthurem oraz człowiekiem odpowiedzialnym za interesy ich obu, Heathcote'em Montagiem, w celu przeprowadzenia negocjacji i sfinalizowania ustaleń. Kiedy goście wyszli, Ryder z niecierpliwością wyczekiwał na lunch z narzeczoną, która przez ojca przesłała wiadomość, że przybędzie w porze posiłku.

Mary wpadła do jadalni, zobaczyła go stojącego u szczytu stołu i z furkotem spódnic ruszyła ku niemu, mierząc go piorunującym wzrokiem i wołając:

– Co ty tu, u licha, wyczyniasz?!

Uśmiechnął się i odsunął dla niej krzesło obok swojego.

– Czekam na ciebie. Spocznij, moja droga.

– Jesteś koszmarnym pacjentem – oświadczyła, po czym zgarnęła spódnice i usiadła.

Ryder zajął swoje miejsce.

– Dziwię się, że David Sanderson nie wspomniał, iż rany szybko się na mnie goją.

– Napomknął, a i owszem, że masz organizm wołu. – Uśmiechnęła się do Pemberly'ego, kiedy strzepywał dla niej serwetę, a potem znów spojrzała ostro na Rydera. – Zapomniał natomiast dodać, że rozum masz muła.

Ryder wybuchnął śmiechem. Pemberly się uśmiechnął. Nawet on miał problem z zachowaniem zwykłej powagi.

– Pax. – Ryder uniósł dłoń w geście poddania. – Obiecuję, że oprę się pokusie i nie będę się nadwyrężał. – Kiedy popatrzyła nań nieufnie, dodał ciszej: – Nie sądzisz chyba, że nie zależy mi na tym, bym jak najszybciej odzyskał siły.

Dość sprawnie odszyfrowała sens jego wypowiedzi. Na policzki wypłynął jej delikatny rozkoszny rumieniec, ale nie odwróciła wzroku. Przeciwnie – ku niejakiemu zaskoczeniu Rydera – popatrzyła mu w oczy o jeden moment za długo, by nie dało się tego zinterpretować inaczej niż jako wyzwania, potem zaś przeniosła spojrzenie na półmiski, które ustawiał przed nimi Pemberly.

– Bylebyś nie przeholował.

Pozostawiając Rydera w niepewności, jak odczytać te słowa, poinstruowała kamerdynera, z czego ma skomponować jej danie.

Po posiłku przeszli do biblioteki. Kiedy Mary się z nią zapoznawała, przechadzając się wzdłuż półek i oglądając oprawne w skórę tomy, Ryder zasiadł przy biurku, żeby zająć się zaniedbaną podczas choroby korespondencją. W miarę upływu popołudnia zastanawiał się, czy nie zasugerować Mary delikatnie, że powinna już pójść, ale nie potrafił się na to zdobyć. Tym sposobem, kiedy o trzeciej zadzwoniono do drzwi, była na miejscu, witając swoich trzech kuzynów – oraz ich żony – których Pemberly wprowadził do biblioteki.

Ryder zaprosił Diabła Cynstera, księcia St. Ives i zarazem głowę rodu, jak również Vane'a i Gabriela, kolejnych pod względem starszeństwa kuzynów Mary; nie zaskoczyło go, że damy zdecydowały się im towarzyszyć. Wstał zza biurka i ruszył przez pokój, świadom tego, że Mary, która wcześniej przeglądała książki, otrząsnęła się już ze zdumienia, wbiła mu między łopatki jedno z tych swoich charakterystycznych spojrzeń, po czym także podążyła w stronę drzwi, aby dołączyć do grupy.

Znalazłszy się naprzeciw Honorii, księżnej St. Ives, Ryder z uśmiechem ujął jej dłoń i właśnie miał się ukłonić, kiedy Mary klepnęła go w ramię.

– Nie! – zawołała, gdy zerknął na nią zaskoczony. Popatrzyła na żony kuzynów i wyjaśniła: – Dźgnięto go nożem. Żadnych ukłonów i innych tego typu wygibasów – wyjaśniła.

– Ach. – Honoria uścisnęła dłoń Rydera. Kiedy na nią spojrzał, uśmiechnęła się wielce ubawiona. – W takim razie jest pan usprawiedliwiony.

Mary dokonała prezentacji; choć znał mężczyzn, a ich towarzyszki poznał niedawno na balu zaręczynowym Henrietty i Jamesa, cieszył się, że przypomniała mu ich imiona.

Jak się spodziewał, do wszystkich dotarły już wieści o zaręczynach. On i Mary z wdzięcznością przyjęli gratulacje. Gestem zapraszając gości na fotele i sofy przy kominku, Ryder dodał:

– Lord Arthur i ja podpisaliśmy rano stosowne dokumenty. Oficjalne powiadomienie ukaże się jutro w „Gazette".

Diabeł usiadł na krześle obok sofy, gdzie ulokowała się jego żona, a potem przyjrzał się badawczo gospodarzowi.

– Ale nie zaprosił nas pan tutaj, żeby przekazać tę właśnie wiadomość?

Zagłębiwszy się w fotelu ustawionym frontem do całej grupy, Ryder skinął głową.

– Istotnie. – Omiótł wzrokiem obecnych. – Zaprosiłem państwa, by wytłumaczyć, że napaść, podczas której odniosłem ranę, nie była, jak można by domniemywać, przypadkowym aktem grabieży o niefortunnym finale.

Przez kilka chwil panowała cisza, gdyż goście – oraz siedząca na sofie obok Rydera Mary – w zdumieniu przetrawiali tę informację.

– A zastanawiałem się właśnie – odezwał się wreszcie Vane – jaki złodziej przy zdrowych zmysłach szukałby z panem zaczepki.

– Przecież to bez względu na mrok w zaułku – dodał Gabriel – musieli zauważyć pańską posturę.

Ryder przytaknął.

– Poza tym nie kryłem, że mam przy sobie laskę z ukrytą szpadą. Każdy zapuszczający się w te okolice łachudra wie, że lepiej ze mną nie zadzierać.

– Ale ci dwaj, którzy pana zaatakowali… bo było ich dwóch? …najwyraźniej o tym nie wiedzieli.

– Nie. Wiedzieli za to, którędy zwykłem wracać z południowej części dzielnicy do domu. Z Mayfair niemal zawsze idę pieszo.

– Jak my wszyscy – zauważył Vane. – Czy zatem chce nam pan powiedzieć, że się na niego zaczaili?

– Nie tylko zaczaili, ale wybrali najlepsze miejsce na atak: odcinek, nie dłuższy niż dziesięć metrów, gdzie zaułek zwęża się na tyle, że ledwie swobodnie mieszczę się między ścianami budynków.

– Rzeczywiście, to jedyne miejsce, gdzie trudno było panu się bronić. – Gabriel się skrzywił.

– Sugeruje pan więc, że to on konkretnie był ich celem. – Diabeł zmrużył zielone oczy. – Z czyjego polecenia?

– To właśnie pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

– A ci dwaj napastnicy?

– Niestety, nie żyją. Zabiłem ich, nim przyszło mi na myśl, że nie zaszkodziłoby ich przesłuchać. Zatrudniłem jednak prywatnego detektywa, który obejrzał ciała, nim kazałem je przewieźć na policję. Przeprowadził śledztwo, ale ustalił jedynie to, że ci dwaj byli zabójcami do wynajęcia, pracującymi zwykle w sąsiedztwie portu, oraz że zaangażował ich anonimowy mężczyzna w nieokreślonym wieku, o nieznanej pozycji społecznej. Na tym trop się urywa.

– Zatem pytanie brzmi: kto mógłby chcieć pańskiej śmierci? – rzekł Gabriel

Ryder nieznacznie wzruszył ramionami.

– No właśnie. Nie mam pojęcia.

Na moment zapadła cisza, przerwana w końcu przez Patience, żonę Vane'a.

– Z wahaniem o tym wspominam, podejrzewam jednak, że znalazłoby się kilku dżentelmenów, których ucieszyłyby pańska śmierć lub przynajmniej poważna niedyspozycja.

– Prawdę mówiąc, nie aż tylu, jeśli w ogóle ktokolwiek. W tym aspekcie moja reputacja jest nieco przesadzona.

Honoria sapnęła.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – oświadczyła, kiedy Ryder na nią spojrzał. – Jednakowoż, przychodzi mi na myśl jeden przypadek, który może się okazać związany ze sprawą. Lady Fitzhugh.

Ryder popatrzył na Honorię niezmiernie zaskoczony, a później zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie przypominam sobie, żebym w ogóle kiedyś poznał lady Fitzhugh.

– Tak też sądziłam. – Honoria pokiwała głową. – To dama nie w pańskim typie. Większej histeryczki jeszcze nie spotkałam. Jednakowoż wiem na pewno, że poprzez domniemany romans z panem chciała wzbudzić zazdrość w mężu, a należy pamiętać, że Fitzhugh to rudowłosy Szkot o adekwatnie ognistym temperamencie.

– Na własne uszy słyszałam, jak na pana wyrzekał – dodała Alathea, żona Gabriela. – Był bliski apopleksji.

– To prawda – zgodził się Gabriel – ale oddając Fitzhughowi sprawiedliwość, gdyby postanowił pana dopaść, zrobiłby to osobiście.

– Nie byłbym tego taki pewien – stwierdził po chwili Diabeł. – Wczoraj wieczorem słyszałem opowieść, jak to w ubiegłym tygodniu toczył pianę w związku z jakąś nową drwiną żony, po czym zapakował ją do powozu i wywiózł na północ, do swojego zamku na wyżynach. Jakkolwiek wzdragam się nieco przed wyrażaniem na głos tego rodzaju przypuszczeń, nie da się wykluczyć, że Fitzhugh wpadł w tak wielką wściekłość, świadom zarazem, iż sam pana nie pokona, że najął dwóch opryszków, by dokonali zemsty w jego imieniu.

– Ale ja nawet nie znam tej kobiety – powtórzył Ryder.

– Niestety, Fitzhugh o tym nie wie. – Vane spojrzał mu w oczy. – Tak czy inaczej, możemy się tym zająć. Co więcej, jeśli to on stoi za owym atakiem, raczej nie będzie kolejnego.

– Słusznie. – Ryder zerknął na Mary. – Herbata?

Mary przytaknęła i wstała.

– Zadzwonię na służbę.

Pemberly i kuchnia mieli już wszystko gotowe; kamerdyner wniósł tacę i postawił na niskim stoliku przed sofą.

Mary spojrzała pytająco na Honorię. Ta się uśmiechnęła.

– Wkrótce będziesz tu panią domu. Ty nalewaj.

Mary posłuchała. Gabriel pomógł jej podać gościom filiżanki i rozmowa przybrała bardziej towarzyski charakter.

Żony kuzynów miały do Mary wiele pytań, których nie mogły jednak zadać, dopóki Ryder i ich mężowie przebywali w pobliżu. W końcu Gabriel przeszedł w głąb pokoju, aby obejrzeć zabytkowy globus stojący na biurku. Ryder niespiesznie podążył za nim, a wkrótce to samo zrobili Vane i Diabeł.

Damy skorzystały z okazji.

– Jak rozumiem – zagaiła Honoria – jesteś zadowolona z zaistniałej sytuacji?

– Ja… – Mary zacisnęła wargi i skinęła głową. – Tak. Jestem.

– Podejrzanie skąpa odpowiedź, jak na ciebie. – Patience przyglądała się jej badawczo.

– Spadło to na mnie tak nieoczekiwanie… – Mary zmarszczyła brwi. – Ale, jak powiedziała mama, mogę i z pewnością stawię czoło wyzwaniu.

– No tak. – Alathea powędrowała wzrokiem ku szerokim plecom Rydera. – Ryder Cavanaugh z pewnością stanowi nie lada wyzwanie, nawet dla ciebie.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę – powiedziała Patience – że będzie się po tobie

oczekiwać, iż rzucisz go na kolana?

– W rzeczy samej – zgodziła się ze śmiechem Alathea. – Bezwzględnie musi wyznać ci miłość.

Patience pokiwała głową.

– Bez żadnych uników.

– Nie sądzę – odparła po zastanowieniu Mary – żeby uniki stanowiły problem, nie w przypadku Rydera. Co do reszty… cóż, to właśnie moje wyzwanie, czyż nie?

Pozostałe damy roześmiały się cicho, przyznając jej rację.

– Ale co się stało z naszyjnikiem, w którym wszystkie pokładałyście taką nadzieję? – spytała Honoria.

Mary spuściła wzrok, a potem wydobyła wisior spomiędzy piersi i uzmysłowiła sobie, że nie jest przesadnie rozgrzany.

Cofnęła się myślami do tych chwil, gdy stawał się wręcz gorący.

– Wydaje mi się – wymamrotała – że naszyjnik doskonale spełnił swoje zadanie.

Trzy damy przyjrzały się jej uważnie.

– W takim razie – powiedziała Honoria – możemy chyba wierzyć, że wszystko jest dokładnie takie, jakie być powinno.

W odległym końcu pokoju Gabriel odwrócił się do Rydera.

– Ewidentnie ma pan wątpliwości co do udziału Fitz-hugha. Zastanawiałem się więc, czy incydentu nie mogła sprowokować kwestia związana z pańskimi finansami, inwestycjami, posiadłościami ziemskimi czy nawet jakimś ostatnim nabytkiem. – Gabriel skinieniem głowy wskazał zabytkowy globus.

– Nic, czego byłbym świadom. – Ryder westchnął. – Nie dokonywaliśmy tego rodzaju zakupów od lat, większość dzieł sztuki i antyków pochodzi jeszcze z czasów mego ojca i dziadka. Jeśli zaś chodzi o finanse, prowadzi je Montague, podobnie jak sprawy Cynsterów. – Spojrzał na Diabła, który opierał się teraz biodrem o biurko. – Jakie więc istnieje prawdopodobieństwo, że tutaj tkwi przyczyna?

– Żadne. – Vane popatrzył mu prosto w oczy. – A teraz, skoro damy nas nie słyszą, proszę powiedzieć, dlaczego naprawdę nas pan tu wezwał.

Ryder się uśmiechnął.

– Rzeczywiście, miałem w tym swój cel. Napaść została wymierzona konkretnie we mnie i niemal zakończyła się moją śmiercią. Gdyby nóż wszedł kilka centymetrów wyżej, byłoby po mnie. A teraz pojawiła się Mary. Jeśli w najbliższej przyszłości coś by mi się stało…

– Wkroczymy i zaopiekujemy się nią – dokończył za niego Diabeł. – To chciał pan od nas usłyszeć?

Ryder przytaknął.

– Moim dziedzicem jest brat Randolph… Przyrodni brat, gwoli ścisłości… Ale ze względu na młody wiek nie zapewniłby Mary stosownej opieki. Wolałbym zaś, żeby ona nigdy, mówiąc oględnie, nie pozostała na łasce mojej macochy Lavinii. Choć nie podejrzewam, by Lavinia posunęła się do czegoś naprawdę strasznego, jest zdolna do podłych zachowań, a przy tym darzy mnie wyjątkową antypatią, która, jak się spodziewam, obejmie też Mary.

Diabeł stanowczo skinął głową.

– Jeśli cokolwiek by się panu stało, dopilnujemy, żeby Mary wróciła pod skrzydła Cynsterów.

– Dziękuję. – Ryder skłonił głowę.

– Zatem pańska macocha pana nie lubi. – Gabriel pochwycił spojrzenie Rydera. – Czy możliwe, że to ona stoi za tym atakiem?

Ryder rozważył tę sugestię.

– Doprawdy, nie wydaje mi się. Uwielbia dramatyzować i rzucać oskarżenia. Należy do kobiet, które zawsze uważają się za pokrzywdzone lub źle potraktowane, lecz trudno mi sobie wyobrazić, by mogła faktycznie podjąć przeciw mnie jakieś działanie… Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Pomijając inne kwestie, gdyby się mnie pozbyła, kogo obwiniałaby za wszystkie doznawane w życiu rozczarowania? Jeśli zaś idzie o opłacenie zabójców, poważnie wątpię, by miała choć cień pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Wobec tego Fitzhugh pozostaje najbardziej prawdopodobnym podejrzanym. – Diabeł odsunął się od biurka i zwrócił w kierunku dam. – Sprawdzę, czy uda się przesłać mu wiadomość, że opowieści jego żony nie znajdują pokrycia w rzeczywistości. Jeśli nie, może zdołamy z nim porozmawiać, kiedy wróci do stolicy.

Ryder ruszył wraz z pozostałymi ku damom – po raz pierwszy jedna z nich należała do niego.

*

Kwadrans później, ignorując rzucone mu przez Mary spojrzenie, które wyraźnie mówiło, że jej zdaniem powinien zostać w bibliotece i oszczędzać siły, podczas gdy ona będzie pełnić honory gospodyni, Ryder podążył do holu, żeby pożegnać gości. Damy szły przodem, za nimi Vane i Gabriel, a on i Diabeł zostali nieco z tyłu.

Wykorzystując tę chwilę względnej prywatności, Ryder zagadnął cicho:

– Trochę mnie zaskoczyło, że przyjęli panowie tę sytuację tak, hm, pozytywnie. Przewidywałem bardziej chłodną reakcję.

W surowej twarzy wpatrzonego przed siebie Diabła na moment błysnęły bielą zęby.

– Ach, cieszy się pan określoną reputacją, my zaś znamy Mary na tyle dobrze, że jesteśmy w stanie docenić, jak bardzo pan na nią zasługuje.

Ryder zamrugał.

– To nie zabrzmiało zbyt pokrzepiająco.

– Bo też nie miało. – Diabeł uśmiechnął się pod nosem. – Powiedzmy, że wszyscy mężczyźni z rodu są panu niezmiernie wdzięczni, iż zgłosił się pan na ochotnika, by ją od nas… przejąć. Od tej pory cały ból głowy wywoływany jej poczynaniami formalnie przechodzi na pana.

Ryder zamyślił się nad słowami księcia oraz tym, w jakim świetle ukazywały jego narzeczoną. Mary tymczasem pomachała krewnym na pożegnanie, a potem odwróciła się i, pozostawiając zamknięcie drzwi wejściowych Pemberly'emu, natychmiast podeszła do Rydera z pełnym irytacji niepokojem w oczach.

Uśmiechnął się i uznał, że z wielką chęcią zmierzy się z wyzwaniem, jakie sobą przedstawiała.

– Na pewno opadłeś z sił – zauważyła.

Nieznacznie wzruszył ramionami.

– Może odrobinę.

– Mężczyźni! Wszyscy jesteście tacy sami. Czy bardzo byś ucierpiał, przyznając, że nieszczególnie dopisuje ci dziś forma?

Starając się zachować beznamiętny wyraz twarzy, wskazał stojak w holu.

– Może gdybym miał moją laskę?

Przyniosła mu ją.

– Powinieneś korzystać z niej przez cały czas, dopóki nie odzyskasz sił.

Wsparty na lasce, wykonał nieporadny krok naprzód.

Mary przysunęła się bliżej.

– Niechże ci pomogę.

Umieściła ramię Rydera na swych delikatnych barkach.

Ryder pohamował triumfalny uśmiech. Ponieważ był od niej znacznie wyższy – ledwie sięgała mu głową do ramienia – jeśli chciała mu pomóc, musiała podeprzeć go całym ciałem. Co zresztą uczyniła.

Dał się poprowadzić przez hol.

Doznania związane z bliskością Mary – jej krągłości napierające na jego bok, rozkoszne ciepło przebijające kusicielsko przez warstwy materiału między nimi, nacisk drobnych dłoni na jego plecach – wielce go poruszyły.

Kiedy dotarli do biblioteki, a Pemberly zamknął za nimi drzwi, Ryder mógł się zatrzymać, uwolnić ramię z jej delikatnego uchwytu i szybko ją objąć.

Wielkie chabrowe oczy podniosły się na niego, wszelkie jej myśli – na ile się na tym znał – natychmiast zaprzestały szaleńczego biegu. Przez chwilę folgował swym zmysłom, lecz gdy tylko zaczęła zaciskać wargi i mrużyć oczy w szparki, powiedział:

– Nie podziękowałem ci jeszcze za uratowanie życia.

– Nadal się zastanawiam, jakiej nagrody powinnam sobie zażyczyć.

– W rzeczy samej. Koniecznie mi powiedz, kiedy podejmiesz decyzję. Tymczasem jednak pomyślałem, że zacznę spłacać dług… w ten sposób.

Patrząc jej w oczy, oparł laskę o udo, uniósł dłoń, odchylił jej brodę i wolno, tak by dać Mary mnóstwo czasu na odgadnięcie, co zaraz nastąpi, nachylił się i bardzo delikatnie ją pocałował.

Pierwszy dotyk jego warg…

Dreszcz przeniknął Mary do szpiku kości. Pieszczota tak delikatna, że aż dręcząca, bliższa obietnicy, prawie że nieuchwytna. Pił z jej ust, a ona się tym napawała, rychło też zapragnęła więcej. Oboje chcieli więcej. Rozchyliła wargi, on zaś, ku jej ekscytacji, natychmiast przyjął zaproszenie.

W parzącym nacisku jego twardych warg wyczuwała głód i starannie ukrywane pożądanie. Sięgnęła po niego i bardziej zagłębiła się w pocałunek.

Budziła się do życia w całkowicie nowy sposób.

Nie zaskoczyło jej, że wywołał u niej takie doznania; w tej dziedzinie był wszak ekspertem.

Otoczył ją ramionami i łagodnie przygarnął do siebie.

Utraciła zdolność myślenia.

Ryder balansował na krawędzi – co po raz ostatni robił całe lata temu, kiedy to instynkt przeważał nad zmysłowym taktykiem, który wiedział, że najlepszą strategią jest działać powoli.

Powoli, aby napawać się pierwszym, z wielu, pocałunkiem.

I żeby nie przestraszyć Mary. Trzeba ją łagodnie oswoić z dotykiem mężczyzny, jego smakiem, zanim w końcu ją do reszty zawłaszczy.

Jednakże Mary ewidentnie nie miała pojęcia, jak, dla jej własnego dobra, te sprawy powinny przebiegać. Kiedy mocno wziął w karby swe bardziej pierwotne „ja", czując w jej ustach smak herbaty i pogryzanych przez nią wcześniej miodowych ciasteczek, kiedy

rozkoszował się obietnicą utajonej namiętności, którą niczym myśliwy dostrzegał pod jej niewinnością, ona odważnie i zuchwale przywarła do niego jeszcze śmielej.

Ten kontakt rozpalał, obracał wniwecz jej samokontrolę.

Pocałunek zamienił się w ognisty żar i namiętność.

W nagłe szaleństwo dzikiej żądzy i spontanicznej przyjemności.

Nie powinno wirować mu w głowie; spodziewałby się, że jego zmysły są zbyt przesycone, by tak łatwo ulec zachwytowi.

Pochłaniała go; nie mógł się nią nasycić.

Wabiła go jak syrena.

Odgłos dzwonka przy drzwiach wejściowych gwałtownie przywołał oboje do rzeczywistości.

Raptownie przerwali pocałunek. Oszołomiony, spojrzał na nią i zobaczył jej uśmiech.

Zbliżające się kroki oraz znajome głosy nieubłaganie odciągnęły uwagę Rydera.

– Moje przyrodnie rodzeństwo – rzekł cicho.

– Ach!

Złapał laskę, nim upadła, po czym i on, i Mary zwrócili się w stronę drzwi. Otwarły się, pchnięte przez zjawisko w falbaniastym jasnozielonym muślinie.

– Ryderze! O mój Boże! Wszystko w porządku? Dopiero co się dowiedzieliśmy! – Stacie pomknęła przez pokój.

Na widok stojącej obok brata Mary zatrzymała się, powstrzymując się przed rzuceniem się Ryderowi w ramiona – co, biorąc pod uwagę jego ranę, wyszło mu tylko na zdrowie.

– Och! – Stacie zdobyła się na uprzejmy uśmiech. – Dzień dobry.

Z tonu siostry, jak również z pytającego spojrzenia, jakie mu rzuciła, Ryder wydedukował, że przynajmniej ona nie słyszała jeszcze o zaręczynach.

– To jest panna Mary Cynster. – Odwrócił się do narzeczonej. – Mary, pozwól, że przedstawię ci moją przyrodnią siostrę, lady Eustacię, znaną wszystkim jako Stacie.

– Tak, wiem. – Mary uśmiechnęła się łagodnie. – Poznałyśmy się już. Dzień dobry, Stacie.

Z oczami jak spodki, młoda dama uprzejmie skinęła głową i wymieniła z Mary delikatny uścisk dłoni. Potem zerknęła na Rydera, po czym omiotła wzrokiem pokój, upewniając się, że nigdzie nie czai się przyzwoitka.

– Co się dzieje?

Ponieważ w tej właśnie chwili dołączyli do nich jego trzej przyrodni bracia, Rand, Kit i Godfrey, Ryder zdołał uniknąć odpowiedzi, przyszło mu bowiem zmierzyć się z gradem pytań i okrzyków.

– Co, u diaska? – rzekł Rand. – Dlaczego nas nie powiadomiłeś, że cię napadnięto? – Ukłonił się grzecznie Mary. – Panno Cynster, miło mi… – Zmarszczył brwi, zauważywszy to samo, co Stacie.

– Bardzo ucierpiałeś? – spytał Godfrey, po czym prędko odpowiedział sam sobie: – No, najwyraźniej nie aż tak strasznie. – Skłonił głowę przed Mary. – Panno Cynster.

Najbardziej spostrzegawczy z nich wszystkich Christopher – Kit – zatrzymał się tymczasem dwa kroki od całej grupy, przenosząc wzrok z Rydera na Mary.

– Myśleliśmy, że balansujesz na progu śmierci, a ty tymczasem… – Ukłonił się Mary. – Pani uniżony sługa, panno Cynster. – Spojrzał znów na Rydera. – Na litość boską, opowiadaj, co się dzieje.

Ryder uniósł dłoń.

– Po pierwsze, od kogo usłyszeliście, że mnie napadnięto?

Rand się zmieszał.

– Kilka godzin temu na ulicy wpadłem na Davida. Był ledwie żywy ze zmęczenia. Nie obwiniaj go: prawie że spał na stojąco i wymamrotał coś o tym, że szybko odzyskujesz siły. Naturalnie, prędko z niego wydusiłem, co ci dolega. Kazał mi obiecać, że nikomu nie powiem, ale – Rand zerknął na rodzeństwo – to oczywiste, że nie miał na myśli tych tutaj.

– Dobrze. Usiądźmy jak kulturalni ludzie i o wszystkim wam opowiem – Ryder skapitulował.

– Gdzie cię raniono? – Stacie ujęła go pod ramię, jakby chciała pomóc mu przejść do fotela.

– W bok, co oznacza, że nogi mam w pełni sprawne.

Stacie popatrzyła bratu w oczy.

– Więc zrób z nich użytek i idź usiąść.

Ryder zaśmiał się i posłuchał, zajmując miejsce na sofie obok Mary. Pozostali zasiedli w fotelach i na krzesłach, po czym wbili wzrok w brata, oczekując wyjaśnień. Westchnąwszy w duchu, podał im mocno okrojoną wersję zdarzeń: jakiś mąż, któremu rzekomo przyprawił rogi, postanowił pozbyć się rywala. W rezultacie, naturalnie, wszyscy czworo zaczęli wylewnie dziękować Mary, która przyjęła słowa uznania z pogodnym spokojem.

– Choć tyle mogłam zrobić – stwierdziła.

– Tak, no cóż. – Ryder na powrót przejął wodze konwersacji. – To nie jedyne wieści. Panna Cynster uczyniła mi zaszczyt i przyjęła moje oświadczyny, wkrótce więc zostanie waszą szwagierką.

– Naprawdę? – Stacie zrobiła wielkie oczy, natychmiast zapominając o ranie Rydera. – Szykuje się ślub?

Rand pospieszył z gratulacjami, a pozostali wzięli z niego przykład. Trudno było wątpić w ich szczerość i entuzjazm. Ryder oparł się wygodnie i obserwował, jak Mary się śmieje, po czym już z większą swobodą rozmawia z jego rodzeństwem. I poczuł się tak, jakby z barków zdjęto mu ciężar, z którego obecności nie zdawał sobie wcześniej sprawy.

Dla jego spokoju ducha sprawą kluczową było to, żeby jego przyszła żona postrzegała ich w tym samym świetle, przyznając im prawo do jego uwagi. Nigdy nie przedłożyłby ich nad nią, lecz zarazem nigdy nie odmówiłby im potrzebnej pomocy.

– Jak rozumiem – odezwała się Stacie – mama o niczym nie wie? Ani o napaści, ani o zaręczynach?

– O napaści nie i, jeśli możecie, proszę, zachowajcie tę informację dla siebie. Jeśli jednak chodzi o zaręczyny, o nich Lavinia już usłyszała, a całe towarzystwo dowie się z jutrzejszej „Gazette".

– Och. Ale też właściwie przez ostatnie dwa dni nie widywałam mamy, bo spędzałam czas z przyjaciółmi. – Stacie się zamyśliła. – Usiłuję sobie przypomnieć, jakie dostałam zaproszenia, by móc trzymać się jutro z dala od domu.

Kit wybuchnął śmiechem i zaczął się z nią droczyć, że tak boi się matki; Stacie odparowała, że on i Rand nie mieszkają z Lavinią pod jednym dachem, więc w przeciwieństwie do niej i Godfreya nie czują aż takiej potrzeby robienia uników.

– Mnie to niestety czeka – jęknął Rand. Spojrzał na Rydera. – Będzie chciała zmyć mi głowę za to, że sam nie daję się zakuć w kajdany.

– Nam obu – stwierdził Kit. – Godfrey ma to szczęście, że jest za młody: upiecze ci się, szczeniaku.

Ryder pochwycił z lekka skonfundowane spojrzenie Mary i prawie niezauważalnie skinął głową na znak, że wytłumaczy jej wszystko później.

Jak było do przewidzenia, Stacie miała mnóstwo pytań – o to, kiedy się poznali, kiedy zrozumieli, że będą do siebie pasować, kiedy i w jaki sposób się oświadczył. Choć jego braci interesowały nieco inne kwestie, także słuchali z zaciekawieniem, ale Mary równie zwinnie jak Ryder unikała szczegółów, których oboje nie chcieli ujawniać. Potem odbiła piłeczkę i zaczęła wypytywać o różne sprawy rodzeństwo Rydera, aby lepiej je poznać. Ku niejakiemu zaskoczeniu Rydera jego siostra i bracia ochoczo przystali na przesłuchanie i już wkrótce odnosili się do Mary z taką samą otwartością jak do niego. Kiedy pośród komentarzy, żartów i pytań Mary – bliższej tej gromadce wiekiem niż on – jego narzeczona została najwyraźniej przyjęta do ich grona, uśmiechnął się i wreszcie w pełni uspokoił.

Jego najbliższa rodzina nigdy nie była stabilna, nie miała solidnych fundamentów i trwałości klanu Cynsterów, niewzruszonej podstawy, która, jak podejrzewał, dla Mary i jej kuzynów stanowiła oczywistość, gdyż nie doświadczyli niczego innego. Za taką właśnie niezachwianą jednością, opartą na lojalności, oddaniu i niepodważalnym zaufaniu, Ryder tęsknił od najmłodszych lat. Kiedy dorastał, ta tęsknota dojrzewała wraz z nim, wtapiając się w jego wizję idealnej przyszłości. Wiedział, że nigdy nie doczeka się takiej rodziny – nie zbuduje jej wersji w wydaniu Cavanaughów – bez odpowiedniej żony. Bez żony, która by rozumiała, co taka rodzina może i powinna oznaczać.

Mary mogła to zrozumieć.

Choć bez wątpienia wychwyciła osobliwe napięcie w jego stosunkach z Lavinią i zdała sobie sprawę, że wpływa ono na relacje Rydera z przyrodnim rodzeństwem, już nawiązała z nimi kontakt, już – na jego oczach – zaczęła budować ten rodzaj więzi, na który liczył.

Kiedy w miarę upływu czasu te pączkujące więzi umacniały się, kiedy śmiech – więcej śmiechu, niż niejednokrotnie rozbrzmiewało w tym domu przez cały rok – przetaczał się przez bibliotekę, Ryder zapragnął, żeby nie zakończyło się to zbyt szybko.

– Nigdzie dziś nie wychodzę, więc obiad będę jadł wcześnie – odezwał się do Randa. – Możesz zostać?

– Tak, oczywiście. – Rand zerknął na Mary i znów spojrzał na brata.

Kit poddał pod głosowanie koncept wspólnego „rodzinnego" obiadu. Reszta rodzeństwa natychmiast się zgodziła.

– Będziemy zaszczyceni, jeśli zostaniesz i zjesz z nami – zwrócił się do Mary. Patrząc jej w oczy, uniósł do ust jej dłoń i musnął pocałunkiem końce palców. – Proszę.

Kit i Godfrey zareagowali na to przytłumionymi gwizdami. Mary zignorowała ich i uśmiechnęła się do Rydera.

– Dziękuję. Z wielką przyjemnością się przyłączę – zerknęła na pozostałych – do ciebie i twojej rodziny.

– Doskonale. – Ryder uśmiechnął się szeroko. Nie puszczając jej ręki, popatrzył na Randa. – Zadzwoń po Pemberly'ego… – Urwał, gdyż znów rozbrzmiał dzwonek przy wejściu. – A to kto znowu?

Do pokoju wszedł Pemberly i zaanonsował:

– Pan Simon Cynster z żoną, panna Henrietta Cynster i pan James Glossup, milordzie.

Mary podniosła się z sofy wraz z innymi. Stała u boku Rydera, kiedy jej brat, siostra, szwagierka i przyszły szwagier weszli do pokoju. Wystąpiła naprzód, żeby ich powitać, a później dokonała prezentacji. Gratulacje i nieuniknione w tej sytuacji żarty popłynęły po

raz kolejny. Po chwili pokój wypełnił przyjemny gwar.

Pozostawiwszy w końcu gawędzących mężczyzn i Stacie, Mary odwróciła się do Portii i Henrietty.

– Mama nie była pewna twoich planów na wieczór – wyjaśniła Henrietta. – Ponieważ dopiero co wróciliśmy i usłyszeliśmy nowinę, zaproponowaliśmy, że przyjedziemy tutaj i albo zabierzemy do domu ciebie, albo wieści o twoich planach.

– Rozumiem. – Mary się zawahała, a później podniosła wzrok na Rydera, który właśnie do nich dołączył. – Henrietta pyta o moje plany na wieczór. Jak duży masz stół?

Ryder obdarzył ją uśmiechem.

– Przy większym zmieści się czterdzieści osiem osób, ale skoro jest nas tylko dziesięcioro, możemy skorzystać z rodzinnej jadalni.

Mary popatrzyła na siostrę i szwagierkę.

– A wy macie jakieś zobowiązania na dzisiaj? Czy też możecie zostać i zjeść z nami obiad?

Portia zerknęła na Henriettę, nim odwróciła się do Mary.

– Ponieważ nie wiedzieliśmy, kiedy dokładnie wrócimy… – Spojrzawszy na Rydera, wyjaśniła: – Pojechaliśmy do Wiltshire, żeby zająć się pewną sprawą w majątku Jamesa. Zdążyłam odwołać wszystko na dzisiejszy wieczór, jeśli więc chodzi o mnie, z przyjemnością zostanę. I Simon na pewno także.

– Na mnie i Jamesa także możesz liczyć. – Henrietta się uśmiechnęła. – Przypomni nam to nasz organizowany naprędce obiad zaręczynowy.

– Doskonale. – Ryder uśmiechnął się szerzej. Spojrzał na Mary. – Zechcesz zadzwonić po Pemberly'ego, moja droga?

– Oczywiście.

Rozdział 8

Nazajutrz rano Mary, usadowiona przy oknie w saloniku w domu rodziców, studiowała oficjalne powiadomienie o swoich zaręczynach, które ukazało się tego dnia w „Gazette".

Podczas gdy pewna część jej umysłu nadal tkwiła w oszołomieniu z powodu tak niezwykłego finału poszukiwań jej wymarzonego mężczyzny, inna, większa, rozkoszowała się wyzwaniem.

Bawiąc się wisiorem z różowego kryształu, Mary przeczytała ogłoszenie po raz kolejny. Jej wzrok zatrzymał się na pełnym imieniu i nazwisku narzeczonego: Ryder Montgomery Sinclair Cavanaugh. Nie wątpiła, że na drugiej i trzeciej pozycji znajdują się rodowe nazwiska zmarłej markizy; wszystkie trzy połączone razem tchnęły potęgą i majestatem angielskiej arystokracji.

Wyzwanie. Spoglądało jej właśnie prosto w twarz. Nikt nawet nie próbowałby twierdzić, że jest inaczej, gdyż charakter Rydera był powszechnie znany.

To ona zostanie jego markizą.

Mniejsza o to, że los przyspieszył ich zaloty. Powiadomienie w „Gazette" nieodwołalnie określiło jej pozycję, z tego miejsca mogła zdążać jedynie naprzód. A to znaczyło, że musiała dowiedzieć się o Ryderze o wiele więcej – i to szybko. Być może nigdy nie zdoła go kont-rolować, lecz tak czy inaczej, powinna zajrzeć głębiej, bardziej skupić się na nim, na tym, co było dlań ważne, co go motywowało.

Ubiegły wieczór sprawił mu ogromną przyjemność – wszyscy miło spędzili czas, ale Ryder przede wszystkim; Mary wyczuwała jego zadowolenie z obrotu zdarzeń.

Minęła dziewiąta, kiedy odgadła, że traci siły i wówczas, subtelnie, obwieściła koniec spotkania. Goście opuścili dom hałaśliwą gromadą, zadowoleni z nowo zawartych znajomości. Mary dołączyła do Henrietty i Jamesa, ale najpierw uprzedziła Pemberly'ego i Colliera, żeby w razie potrzeby pomogli swemu panu wspiąć się po schodach do sypialni.

Przynajmniej nie zaliczał się do grona tych niedorzecznych mężczyzn, którzy odtrącają wsparcie nawet ze strony bliskich osób.

Wczoraj po raz pierwszy posmakowała roli markizy i sprawiło jej to przyjemność, zwłaszcza że Ryder docenił jej umiejętności. Pomniejszy sukces, a jednak dobry początek. Co więcej, miniony dzień ujawnił Mary sporo szczegółów na temat życia jej przyszłego męża, pozostawił ją też z kilkoma ważnymi pytaniami. Układała właśnie w myślach ich listę – poczynając od tego, jak właściwie przedstawia się sytuacja między nim a jego macochą – kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Henrietta.

– Tutaj jesteś. – Na widok „Gazette" w rękach siostry uśmiechnęła się szeroko. – Ciągle zadziwiona rozwojem wydarzeń?

Henrietta przysunęła sobie fotel i usiadła bliżej Mary.

– Przyznasz, że biorąc pod uwagę wymagania, jakie stawiałam mojemu wybrankowi, nikt nie wysunąłby kandydatury Rydera.

Przekrzywiwszy głowę, Henrietta przyjrzała jej się uważnie.

– Szczerze mówiąc… nie zgodzę się z tobą. Pomijając już to, co widziałam minionego

wieczoru, wiem, że mama jest zadowolona. Uważa, że to idealny mężczyzna dla ciebie i tworzycie wspaniałą parę, przypuszczam też, że pozostałe damy, w tym Honoria, Patience i Alathea, jak również ciotka Helena, ciotka Horatia i lady Osbaldestone, bez wyjątku są zdania, że świetnie się dobraliście niemal pod każdym względem.

– Hm. – Mary istotnie ciekawiło, jak widzą ten związek inne damy. – Mimo wszystko on… Chyba można powiedzieć, że dostałam o wiele więcej, niż prosiłam.

Twarz Henrietty rozjaśniła się w uśmiechu.

– Niewykluczone, jednakże wydaje się bardzo zdeterminowany, żeby zawrócić ci w głowie.

– Owszem. Ale to część o miłości i małżeńskim szczęściu wzbudza moje wątpliwości.

– Ach, kiedy to właśnie dlatego jesteś idealną kobietą dla niego.

Mary zmarszczyła brwi.

– No i tego nie rozumiem: skąd u wszystkich takie przekonanie?

Henrietta przyglądała się jej przez dobrą chwilę, jakby się zastanawiała, czy Mary żartuje.

– Wiesz chyba… No cóż, niewątpliwie, ponieważ wszyscy ciągle ci to powtarzamy… że jesteś najbardziej apodyktyczną damą w towarzystwie – wydusiła wreszcie.

– Oczywiście, że wiem. Wasze narzekania to jedno, ale zachowuję się tak przecież w pełni świadomie.

– No właśnie! – zawołała Henrietta z uczuciem ulgi. – I wszystko jasne. Nie rozumiesz? Na liście dżentelmenów, którym trzeba silnej kobiecej ręki, Ryder Cavanaugh zajmuje poczesne miejsce… W rzeczy samej, bije innych na głowę. Toteż jemu szczególnie przyda się dama taka jak ty, z charakterem, który będzie stanowił należytą przeciwwagę dla jego natury. Zdolna go okiełznać.

– Ach. To dlatego szacowne damy nie posiadają się z zachwytu?

Spojrzenie, jakie rzuciła jej Henrietta, mówiło: „Czyż to nie oczywiste?".

Otworzyły się drzwi i do saloniku weszła Louise. Uśmiechnęła się na widok córek.

– Doskonale. Muszę porozmawiać z obiema.

Dama przecięła pokój i usiadła obok Mary.

– Musimy sfinalizować dziś sprawę kwiatów na ślub, ale zanim się tym zajmiemy, trzeba ustalić datę obiadu oraz balu zaręczynowego.

Mary zamrugała.

– Jeszcze o tym nie myślałam.

– Naturalnie. – Louise pokiwała głową. – Niemniej wypada zgrać twoje zaręczyny ze ślubem Henrietty.

– Och, ale… – Mary spojrzała na Henriettę – …ślub ma przecież pierwszeństwo. Czy nie możemy zająć się kwestią balu po ślubie?

– Mogłybyśmy – zgodziła się Louise – lecz należałoby zachować co najmniej tydzień odstępu między uroczystościami, a wówczas pojawia się pytanie o datę twojego ślubu. – Zamachała rękami. – Wyobraźcie sobie ten koszmar, kiedy liczni członkowie rodziny zjadą do miasta na ślub Henrietty i poczują się zmuszeni zostać na dłużej, jeśli wstrzymamy się z twoim balem zaręczynowym, a tym samym opóźnimy twój ślub.

Louise skrzywiła się i popatrzyła w oczy najpierw starszej, a potem młodszej córce.

– Zebrałyśmy się… my, to znaczy damy z rodziny… wczoraj u Honorii i szczegółowo przedyskutowałyśmy temat. Zgodziłyśmy się, że jeśli ty i Ryder nie zgłosicie sprzeciwu, najdogodniej będzie wydać dla was obiad i bal zaręczynowy przed ślubem Henrietty, a z kolei do ołtarza poszłabyś mniej więcej tydzień po siostrze. – Louise zrobiła krótką

przerwę. – Chyba że, oczywiście, tobie i Ryderowi odpowiadałoby przełożenie wszystkiego na wrzesień.

Henrietta i Louise spojrzały pytająco na Mary, która odparła:

– Jakkolwiek dostrzegam pewne zalety dłuższego okresu narzeczeństwa, trudno mi to sobie wyobrazić w praktyce.

– W rzeczy samej – przytaknęła Louise. – Wczoraj wszystkie doszłyśmy do tego samego wniosku, przy czym żadna z nas nie widziała doprawdy sensu opóźniania formalnego uznania waszych zaręczyn. – Skinieniem głowy wskazała trzymaną przez Mary gazetę. – Zwłaszcza że powiadomienie już się ukazało. Zaskoczyło wielu, a choć może nie jest to najistotniejszy argument, wydało nam się rzeczą zbyteczną pogłębiać to zaskoczenie, opóźniając oficjalny bal. Za podobnie bezsensowne uznałyśmy zmuszanie ciebie i Rydera, byście czekali ze ślubem do września. A zatem! – Louise zaczerpnęła tchu i odwróciła się do Mary. – Co o tym sądzisz i co twoim zdaniem powie Ryder?

– Nie wiem. Jak mówiłam, temat pojawił się w naszych rozmowach. – Zacisnąwszy wargi, Mary spojrzała na siostrę, a następnie przeniosła wzrok na matkę. – Najwyraźniej jednak musimy go przedyskutować. O jakiej konkretnie dacie naszego balu zaręczynowego była mowa?

– Ponieważ ślub Henrietty odbędzie się za sześć dni, bal można by wydać najpóźniej czwartego wieczoru, licząc od dzisiaj.

– A ślub?

– Z punktu widzenia Cynsterów pierwsza stosowna data to tydzień po ślubie Henrietty, ale tutaj, oczywiście, mamy większe pole manewru. Trzeba się skonsultować z Ryderem i jego rodziną.

Mary skinęła głową.

– W porządku, podsunę mu takie rozwiązanie. Nasz bal zaręczynowy za cztery dni, a ślub tydzień po ślubie Henrietty.

– Doskonale! – Louise wstała. – W zasadzie powinnyśmy być już w drodze do Covent Garden. Kwiaciarka zasugerowała, abyśmy zaszły do niej osobiście obejrzeć kwiaty i upewnić się, że odpowiada nam jej wybór.

Henrietta niemalże zerwała się z miejsca, za to Mary podniosła się znacznie wolniej. Kiedy siostra uniosła pytająco brew, Mary się skrzywiła.

– Zamierzałam iść z wami, ale cztery dni to niewiele czasu. – Spojrzała na matkę. – Chyba zrobię lepszy użytek z poranka, jeśli poświęcę go na urabianie Rydera w kwestii dat.

*

Wyłącznie fakt, że markiza Raventhorne zdecydowała się spożyć śniadanie przy niewielkim stoliku przed kominkiem w swoim buduarze w asyście Claude'a Potherby'ego, który zajrzał, by dotrzymać przyjaciółce towarzystwa, ocaliła jej serwis do herbaty z sewrskiej porcelany przed unicestwieniem.

Przestudiowawszy należący do Lavinii egzemplarz „Gazette", Claude zerknął na przyjaciółkę, a potem złożył gazetę, tak że na wierzchu znalazł się dział ogłoszeń z życia wyższych sfer, i podał jej do przeczytania.

– Tutaj, powinnaś to przeczytać.

Lavinia odstawiła filiżankę, wzięła gazetę i skupiła się na powiadomieniu.

Moment później poderwała się z wściekłym wrzaskiem, przewracając filigranowe krzesło, które grzmotnęło o parkiet.

– Niech to diabli! – huknęła. – Dlaczego temu nie zapobiegli?

Claude zdusił westchnienie.

– Przyjmij moje przeprosiny, uznałem jednak, że będzie lepiej, jeśli zobaczysz to teraz, niż gdybyś miała usłyszeć o wszystkim później, w miejscu publicznym. Poza tym wiedziałaś przecież, że należy się tego spodziewać. – Zmarszczył czoło. – I kto miałby zapobiec zaręczynom? Komu w ogóle przyszłoby to do głowy?

Nie licząc jej. Ale życzenia Lavinii nie grały roli, w każdym razie nie w odniesieniu do pasierba.

– Precz! – Cisnęła gazetę do kominka.

Płomienie strzeliły w górę, pochłaniając cienki papier. Claude'owi było to obojętne; zdążył przeczytać wszystkie wiadomości. Lavinia splotła ciasno ramiona pod biustem.

– Sądziłam, że Cynsterowie uznają Rydera za nieodpowiedniego męża dla ich pieszczoszki. Mowa o znanym uwodzicielu!

Uwodzicielu znudzonych matron, aż nazbyt chętnych, by je uwiedziono – pomyślał Claude, ale miał zbyt wiele rozumu, żeby wypowiadać komentarz na głos.

– Powinnaś chyba uznać to za znak – rzekł na głos – że Mary Cynster nie jest dla twojego Randolpha.

Lavinia prychnęła.

– Ewidentnie. Muszę znaleźć Randolphowi jeszcze lepszą partię, młodą damę o nieskazitelnym pochodzeniu, z pokaźniejszym posagiem, i to szybko.

Zadowolony, że wywiązał się z obowiązku wobec przyjaciółki, zapobiegając gorszącemu publicznemu wybuchowi, Claude sięgnął po filiżankę, delektował się zaiste wyśmienitą kawą, jaką parzyła tutejsza kucharka.

*

Pożegnawszy się pół godziny wcześniej z matką i Henriettą, które wybierały się do Covent Garden, Mary bez zapowiedzi weszła do biblioteki Rydera. Siedząc za biurkiem, podniósł wzrok na odgłos otwieranych drzwi. Na widok Mary uśmiechnął się, sygnalizując pełne zadowolenie z faktu, że nie pozwoliła, by Pemberly ją zaanonsował.

– Dzień dobry, Mary. – Ryder wstał, omiótł ją spojrzeniem i wyszedł Mary na powitanie. – Ufam, że dobrze spałaś?

– Tak, dziękuję. Ale jak ty się czujesz? – Zatrzymała się przed sofą i wskazała jego bok. – Jak twoja rana?

Gestem zaprosił ją, by usiadła, a później zajął fotel obok.

– Sanderson zajrzał do mnie rano i zbadał swoje dzieło. Zgadzamy się co do tego, że świetnie się goi.

– To dobrze. Zwłaszcza ze względu na sprawę, z którą przychodzę. Chodzi o daty naszego balu zaręczynowego i ślubu.

Wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Ach, rozumiem. Ślub Henrietty i Jamesa jest… kiedy? Za sześć dni?

Ucieszyła się, że dostrzegał, na czym polega trudność.

– No właśnie. – Odłożyła na bok torebkę i zdjęła rękawiczki. – Mądre damy z mojej rodziny przedstawiły nam dwa terminy do wyboru: bliższy lub dalszy. – Energicznie

wyliczyła argumenty. Pemberly przyniósł herbatę, akurat kiedy konkludowała: – Dlatego też zasugerowały, żeby obiad i bal zaręczynowy odbyły się za cztery dni od dzisiaj, a nasz ślub co najmniej tydzień po ślubie Henrietty i Jamesa. Co o tym sądzisz?

Spoglądał na nią spod na wpół opuszczonych powiek, odnosiła jednak wrażenie, że tak naprawdę jej nie widział, lecz zastanawiał się, oceniał możliwości, analizował rezultaty… Aż wreszcie znów skoncentrował uwagę na niej.

– Zgadzam się z argumentem, że skoro ogłosiliśmy nasze zaręczyny, to bez względu na zbliżający się ślub Henrietty i Jamesa towarzystwo będzie oczekiwać ich formalnego uznania przez oba nasze rody. – Upił łyk herbaty. – Ponadto okoliczność, że dla większości było to spore zaskoczenie, również przemawia za szybszym zorganizowaniem balu, po prostu żeby zdusić w zarodku wszelkie spekulacje na temat tego, jak rodziny zapatrują się na nasz związek.

Mary była przyjemnie zaskoczona jego wnikliwością.

– Zatem – kontynuował – chociaż ogólnie rzecz biorąc, obiad i bal zaręczynowy za cztery dni od dzisiaj sprawiają wrażenie wydawanych w niejakim pośpiechu, tak czy inaczej, najlepiej posłużą naszym celom, a zbliżający się ślub twojej siostry dostarcza nam, oczywiście, solidnej wymówki.

– W porządku. Czyli tę datę mamy ustaloną. Bal zostanie wydany w St. Ives House. – Mary napiła się herbaty i napotkała spojrzenie Rydera. – Ostatnimi czasy wszystkie bale zaręczynowe w rodzinie odbywały się właśnie tam.

Skinął głową na znak zgody.

– Jest jedna kwestia, której nie omówiłam z mamą. Nie mogłam ze względu na obecność Henrietty. W każdym razie… – Przez chwilę patrzyła mu w oczy, a potem rzekła po prostu: – W kategoriach towarzyskich nasze zaręczyny mają o wiele większą wagę niż ślub Jamesa z moją siostrą, nie chcę wszakże, by nasz bal przyćmił uroczystość Henrietty.

– A czy z jakiegoś powodu powinien? – spytał Ryder. Nachylił się, żeby odstawić filiżankę. – Wobec zbliżającego się ślubu, jeśli tobie i twoim rodzicom będzie to odpowiadać, nie widzę przeciwwskazań, żeby na obiad zaręczynowy zaprosić jedynie najbliższych członków rodziny, nie dalej niż kuzynów pierwszego stopnia. Podobnie na balu mogłaby się znaleźć jedynie ograniczona liczba osób, co ważniejsi krewni i znajomi. – Popatrzył na Mary pytająco, unosząc brew.

Uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

– Dziękuję. A poprawny termin to nie „ograniczona”, tylko „elitarna”.

Rozbawiony, usiadł wygodniej.

– Przepraszam. Nasz bal będzie wielce elitarnym wydarzeniem – wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym Ryder dodał: – Jeszcze jedna sprawa… Nasz ślub. Musi to być uroczystość licująca z aliansem dwóch spośród najstarszych, najpotężniejszych i najbogatszych rodów w towarzystwie.

– Nie mam nic przeciw twojej sugestii – rzekła – ale czy istnieje szczególny powód?

Wzruszył nieznacznie ramionami.

– Inny niż ten, że doceniam pożytki płynące z tak zwanej pompy, kiedy wymagają tego okoliczności? Nie.

Jemu osobiście było tak naprawdę wszystko jedno, ale pragnął, żeby ich ślub okazał się pamiętnym wydarzeniem ze względu na Mary. Kiedy zadeklarowała, że nie chce przyćmiewać Henrietty, był to akt poświęcenia z jej strony; nie zdołała go zmylić. Rozkwitała na wielkich uroczystościach, skoro więc chodziło o ich ślub, Ryder nie

widział powodu, by narzucać jej ograniczenia.

W istocie dostrzegał nawet sporo argumentów przemawiających za tym, by ta uroczystość stała się wydarzeniem naprawdę znaczącym. Kiedy nadal przyglądała mu się z pokaźną dozą sceptycyzmu, podał jej inny powód, taki, w który powinna uwierzyć bez zastrzeżeń.

– Abstrahując od pozostałych kwestii, huczny ślub zagwarantuje, że nikomu nie przyjdzie nawet do głowy powątpiewać, iż nasze rodziny są zachwycone tym mariażem.

Skinęła głową.

– Skoro o tym mowa… Wczoraj, kiedy było tu twoje przyrodnie rodzeństwo, odniosłam wrażenie, że między nimi a ich matką występuje pewne napięcie, tak to nazwijmy, jeśli chodzi o ciebie. A zatem również o mnie.

– Powinienem ostrzec cię przed Lavinią. – Przez chwilę zbierał myśli. – Aby należycie wszystko ci wytłumaczyć i przygotować cię na to, czego potencjalnie możesz doświadczyć w relacjach z Lavinią, muszę chyba cofnąć się do tego, jak i dlaczego została drugą żoną mojego ojca.

Mary zmierzyła go wzrokiem, a potem umościła się wygodniej na sofie.

– Zamieniam się w słuch.

Uśmiechnął się, ale szybko spoważniał.

– Wierz lub nie – zaczął – ale byłem chorowitym dzieckiem. Kiedy miałem trzy lata, moja matka umarła na febrę, którą ja również się zaraziłem, tak że znalazłem się o krok od śmierci. Doktor zdumiał się, gdy przeżyłem. Później łapałem każde choróbsko, jakie pojawiało się w okolicy. Śmierć stała nade mną więcej razy, niż mój biedny ojciec zdołałby zliczyć. Po kilku latach medycy zgodnie orzekli, że wydaje się wielce nieprawdopodobne, bym dożył dorosłości. Ojciec był oddany matce i przez całe życie pozostał też oddany mnie, ale znał swoje obowiązki. Lat mu nie ubywało, a musiał mieć dziedzica, dlatego ożenił się ponownie, wybierając Lavinię. Pośledniego rodu, miała tę ważną zaletę, jak wyznał mi później, że wyraziła gotowość poślubienia mężczyzny starszego od siebie o dwadzieścia lat i powicia mu kilkorga dzieci. Wkrótce potem przyszedł na świat Rand, po nim Kit, później Stacie i Godfrey. Na tym etapie Lavinia i mój ojciec wypracowali pewien kompromis, a ich małżeństwo pozostało nim jedynie z nazwy. Na ile mogę to ocenić, układ okazał się satysfakcjonujący dla obojga.

Ryder zrobił krótką przerwę, po czym z cynicznym uśmiechem kontynuował:

– Ojcu, mnie i mojemu przyrodniemu rodzeństwu życie upływało względnie spokojnie. Dogadywaliśmy się, nie pojawiały się między nami większe tarcia. Widzieli we mnie starszego brata, ja w nich młodsze rodzeństwo. Jednakże dla Lavinii, jak się okazało, w tej beczce miodu znajdowała się łyżka dziegciu, a mianowicie ja. Ona uwierzyła, że umrę, tymczasem tak się nie stało.

Oczy Mary rozszerzyło zdumienie.

– Życzyła… życzy ci śmierci?

Prędko potrząsnął głową.

– Nie, nie w tym sensie. Jak już wytłumaczyłem twoim kuzynom, choć Lavinię ucieszyłaby wiadomość o mojej śmierci, nigdy nie zrobiłaby nic, co by ją na mnie sprowadziło. Chodzi raczej o jej oczekiwania, że to Rand zostanie dziedzicem, że to jej syn, a nie ja, będzie nosił tytuł wicehrabiego Sidwell, a później markiza Raventhorne. Tymczasem moja przedłużająca się egzystencja oznacza, że Lavinia nie otrzymuje nagrody, jakiej się spodziewała w zamian za poślubienie mego ojca. Na swój pokrętny sposób postrzega fakt, że nie umieram jako swego rodzaju złamaną obietnicę.

– Ach. – Mary pokiwała głową. – Rozumiem. – Zmarszczyła brwi. – A Randolph? Jak on się zapatruje na twoje kwitnące zdrowie?

Ryder się uśmiechnął.

– Rand absolutnie nie aspiruje do roli markiza. Och, gdyby musiał, stanąłby na wysokości zadania, ale nie ma ambicji, by przejąć taką odpowiedzialność, co zresztą sama mogłaś zaobserwować wczoraj, kiedy nam gratulował.

Skinęła głową.

– Przysięgłabym, że mówił szczerze. Zdziwiłaby mnie informacja, że marzy mu się tytuł.

– Nie marzy mu się, a Kita taka perspektywa ekscytuje jeszcze mniej. Co do Godfreya, wątpię, żeby w ogóle przyszło mu do głowy ujrzenie siebie w butach markiza, a gdyby jednak, przeraziłaby go ta wizja. – Ryder zrobił krótką przerwę. – Niemniej, oczywiście, oni czworo są w pełni świadomi nieustającej frustracji Lavinii spowodowanej przez okoliczność, że nadal żyję. I, co naturalne, jako że jesteśmy ze sobą blisko i są mi oddani, jak odgadłaś to wczoraj, czują się niezręcznie, ilekroć Lavinia i ja jesteśmy zmuszeni się kontaktować. Ilekroć przebywamy razem w jednym pomieszczeniu, w swoim towarzystwie, choćby tylko przez chwilę.

– Jakoś nie wyobrażam sobie, że mógłbyś kiedykolwiek zachować się tak nieokrzesanie, by znieważyć macochę. Nawet w cztery oczy.

– Masz rację, nie robię tego. Och, co innego w myślach, z zasady jednak odnoszę się do niej z lodowatą uprzejmością: doświadczenie nauczyło mnie, że daje to najlepsze rezultaty. A choć jej zdarza się postąpić nietaktownie, a nawet gdy jesteśmy sami, obrazić mnie, wielce sobie ceni swoją pozycję markizy. Ponieważ zaś jej reputacja wiąże się ściśle z tytułem, który noszę ja, nie uczyni nic, co mogłoby pomniejszyć markiza Raventhorne'a w oczach towarzystwa.

Mary zaakceptowała ten argument skinieniem głowy.

– Zatem znalazła się w potrzasku i nie może rzucać na ciebie publicznie kalumnii.

– Jednakże chcąc zaoszczędzić nerwów nam obojgu, staram się jej unikać. Ponieważ obracamy się w różnych kręgach, zwykle nie nastręcza to trudności.

– Nie rozumiem, czemu dotąd nie wyleczyła się z tej frustracji. – Mary przyglądała mu się bacznie. – Bez wątpienia dawno stało się oczywiste, że cokolwiek dolegało ci jako dziecku, wyrosłeś z tego. Trudno, by ktokolwiek wyobrażał sobie, że znienacka skonasz.

– Cóż, i tak, i nie. Przestałem chorować, nim skończyłem dziesięć lat, czyli osiągnąłem wiek stosowny, żeby pójść do Eton. Ale moje tamtejsze wyczyny, jak również te późniejsze w Oksfordzie, a nawet świeżo po przybyciu do Londynu, niewątpliwie podsyciły w Lavinii wiarę, że lada dzień usłyszy o moim zgonie. Jestem pewien, że właśnie to przez wszystkie te lata powtarzali jej, jak również mojemu ojcu, moi preceptorzy i inne osoby. Był ze mnie szalony awanturnik, istny zabijaka. Ponieważ tak długo powtarzano mi, że mam się pogodzić ze śmiercią, że nie dożyję dorosłości, starałem się uchwycić każdą sekundę życia. Wyciskałem z każdej chwili, ile się tylko dało. Od dziecięcych zadrapań, upadków i wynikłych z nich skaleczeń, przez szkolne bójki i figle z rodzaju tych najbardziej niebezpiecznych, po różnego typu konne wyścigi i polowania… Szczerze mówiąc, Lavinia miała wszelkie podstawy, by wierzyć, że tam, gdzie nie dokonała dzieła choroba, ja sam to zrobię. – Umilkł na chwilę, a potem uśmiechnął się blado. – W rzeczy samej, to Sanderson, wróciwszy z medycznego stażu w Edynburgu, zdołał mnie wreszcie przekonać, że nie dożyję późnej starości jedynie wtedy, gdy wykończy mnie rana, o którą sam się postaram.

– Przypomnij mi, żebym przy najbliższej okazji podziękowała kochanemu doktorowi.

– Nie omieszkam. Jednakże, podobnie jak to się działo za moich młodych lat, ilekroć opuszczałem jeden obszar zagrożenia, kolejny majaczył już na horyzoncie, przynajmniej w odczuciu Lavinii. Nieraz mi mówiła, że w każdej chwili spodziewa się usłyszeć o mojej śmierci z rąk zdradzonego męża.

– Co niemalże się zdarzyło.

– To prawda. Gdyby tylko wiedziała… Ale nawet w tym przypadku ty przybyłaś mi z odsieczą.

– To dlatego trzymałeś napaść w sekrecie…

Wahał się zbyt długo, by zaprzeczenie zabrzmiało wiarygodnie.

– Nie widzę sensu we wzbudzaniu w niej przekonania, że ma powody żywić do ciebie urazę.

– Ponieważ pomogłam ci oszukać śmierć?

– Ponieważ dzięki tobie uniknąłem zdarzenia, za sprawą którego ziściłoby się jej największe pragnienie: zobaczyć Randa na moim miejscu. O tym marzy Lavinia.

– Twój biedny brat znalazł się między młotem a kowadłem.

– Jakoś to znosi, w końcu chodzi o jego matkę. Wie, podobnie jak pozostali, że znam i rozumiem ich uczucia, choć dla niego sytuacja istotnie jest najtrudniejsza. Ja przynajmniej mogę unikać Lavinii, on nie.

– Czy to z powodu antypatii do ciebie ona tutaj nie mieszka?

Ryder się zawahał.

– Kupiłem jej dom nie tylko z tego powodu – przyznał, po czym umilkł na chwilę. – W Raventhorne mieszka w domu wdowy, z własną służbą. W Londynie rezyduje przy Chapel Street, w obu przypadkach z tej samej przyczyny. Po śmierci mojego ojca, można by rzec, usiłowała mnie zdominować i przejąć władzę w opactwie, a potem także w tym domu, przy czym oba miejsca mają pełną obsadę. Kiedy służący w Raventhorne, a następnie ci tutaj, odmówili przyjmowania od niej poleceń w sprawach z zasady wymagających mojej zgody, próbowała ich odprawić. Ci ludzie pochodzą z rodzin, które od pokoleń służyły u Cavanaughów. W końcu Lavinia stała się tak nie do zniesienia, że musiałem ją z tego domu wyprosić. Ze wszystkich moich domów, ściśle biorąc.

Mary przeanalizowała wszystko, co jej powiedział – i powody, dla których to zrobił. Spojrzała na zegar. Zrobiło się bardzo późno.

– Wielkie nieba! – Chwyciła torebkę. – Muszę iść, mam być na lunchu u cioci Celii.

Ryder wstał wraz z nią.

– Czy powinnam wiedzieć coś jeszcze na temat twojej macochy oraz twoich relacji z nią lub przyrodnim rodzeństwem?

– Może jedno.

Popatrzyła na niego, zachęcająco unosząc brwi.

Wbił wzrok w podłogę i przeszedł kilka kroków u boku Mary, nim podjął temat na nowo.

– Na łożu śmierci mój ojciec, kiedy byliśmy sami, poprosił mnie, bym obiecał, że dobrze się ożenię i przedłużę linię rodu. Na tym etapie stracił już zaufanie do Lavinii i…

– Nie chciał jej krwi w głównej linii rodu? – uzupełniła, kiedy umilkł.

– Tak – odparł. – Właśnie.

Mary otworzyła szeroko oczy.

– A to, jak przypuszczam, tłumaczy, dlaczego w ogóle krążyłeś po salach balowych, w rezultacie czego wpadłeś na mnie i uzmysłowiłeś sobie, że poluję na Randolpha.

Przy drzwiach przystanęła i odwróciła się do niego, czekając, aż je dla niej otworzy.

Zatrzymał się i przez chwilę lustrował jej twarz, zaglądał w oczy.

– Niebywale mnie kusi – rzekł cicho – żeby pozostawić cię z tym przekonaniem, jeśli jednak mam być szczery, to polowałem na ciebie, właśnie na ciebie, na długo przed tym, nim zdałem sobie sprawę, że to Randolpha tak niefortunnie sobie upatrzyłaś.

Spróbowała powstrzymać się przed zmrużeniem oczu.

– Dlaczego?

Najwyraźniej skłonny był odpowiadać na pytania, a to akurat było na jej liście pierwsze z wielu.

– Z tych samych powodów, które podałem ci na tarasie u lady Bracewell.

W tejże chwili znów znalazła się wraz z nim na skąpanym w blasku księżyca tarasie. Burzyły jej się zmysły…

Wiedziała, że nie powinna tego robić, lecz mimo to powiedziała:

– Przypomnij mi.

– Ponieważ wierzę, że będziemy do siebie pasować – odparł. – Pod wieloma, jeśli nie wręcz wszystkimi, względami. Oraz – ściszył głos do uwodzicielskiego mruczenia – ponieważ bardzo cię chcę. Dla mnie… to wystarczy.

Pragnienie, pożądanie, namiętność – czytała je w jego oczach. Zdołała w miarę spokojnie oświadczyć:

– Nie są to szczególnie zniewalające słowa.

Uśmiechnął się i nieznacznie skłonił głowę.

– Skoro tak uważasz… może spróbujemy czynów.

Porwał ją w ramiona i wpił się w jej wargi.

Nie przyznała się do tego nawet przed sobą, ale dokładnie na tym jej zależało – o tym marzyła, przychodząc tu dziś rano.

Wsparła ręce na jego piersi. Szlachetny materiał jego surduta spotkał się ze skórą jej rękawiczek, które zdążyła już nałożyć. Jej zmysły się rozjarzyły, chłonąc wszelkie dostępne wrażenia.

Od razu podała mu usta; kiedy jej zmysły szalały, przytłoczone ogromem doznań, w Mary narastała świadomość, że oto on powoli, jak zwykle leniwie – choć niewiarygodnie zaborczo – zawłaszcza jej wargi.

Jakby naznaczał ją w subtelny, uzależniający sposób.

Kiedy podążyła za jego przewodnictwem i zaczęła naśladować oraz odwzajemniać jego umiejętne pieszczoty, w jej umyśle stopniowo rozkwitało przekonanie o tym, jak potężne siły ciągną ich ku sobie…

Ryder zręcznie przerwał pocałunek. Przyjrzał się jej delikatnie zarumienionej twarzy.

– I jak? Przekonałem cię o słuszności mojej tezy?

Zamrugała.

– Tezy?

– Że będziemy do siebie pasować, i to wyjątkowo dobrze. Pod wieloma, jeśli nie wręcz wszystkimi, względami.

Choć nie trzymał jej mocno, bez wątpienia była w stanie wyczuć twardy dowód na to, że jej pragnął.

Widząc nagłe zrozumienie na jej twarzy, świadomość, która rozbłysła w jej oczach, wywnioskował, że Mary raczej nie poda więcej w wątpliwość tej kwestii.

Jej chabrowe oczy lekko pociemniały, w spojrzeniu pojawiła się pewność i Mary nieznacznie skinęła głową.

– Być może – powiedziała. – Nie wykluczam, że masz rację.

Cofnęła się, on zaś puścił ją, odrobinę zaskoczony. Mimo że niechętnie rozstawał się z jej ciepłem, z kusząco delikatnym dotykiem dłoni, napomniał siebie, swoje instynkty, że jeszcze będzie mnóstwo czasu na ciąg dalszy.

Że mądrzej postąpi, nie naciskając na nią w tej chwili. Oto strategia, taktyka. To Mary powinna przyjść do niego.

Przyglądał się jej, kiedy wygładzała spódnice i chwytała w dłoń torebkę, i poczuł wyraźne ukłucie satysfakcji. Nie tylko co najmniej adekwatnie odpowiedział na rzucone przez nią wyzwanie, lecz w dodatku wybrana przez niego strategia rodziła owoce. Jeśli poprawnie to rozegra, Mary sama przyjdzie do niego, a wówczas on zdobędzie ją bez konieczności przyznawania się do czegokolwiek bardziej wiążącego niż pożądanie.

Pożądanie, namiętność, żądza – do nich rad się przyznawał. Zwłaszcza gdy chodziło o nią.

Kiedy, gotowa do wyjścia, spojrzała na niego, otworzył przed nią drzwi, dał znak, by szła przodem, po czym zrównał się z nią w korytarzu wiodącym do holu.

– Czeka na ciebie powóz?

– Tak. – Zerknęła na niego. – Często korzystam z drugiej karety rodziców.

Skinął głową, notując w myślach, żeby kupić dla niej osobny powóz.

Przy drzwiach wejściowych zatrzymał się z ręką na klamce.

– Ostatnia kwestia: data naszego ślubu. Jeśli tobie nie zależy na jego opóźnianiu, optowałbym za tym, byśmy złożyli przysięgę jak najszybciej.

Jak na dwudziestodwuletnią damę z wyższych sfer była daleka od podstępnych gierek.

Na policzki wpełzł jej lekki rumieniec. Po krótkim wahaniu skinęła głową.

– Tak, zgadzam się. Wobec tego zapewne spotkamy się w St. George tydzień po Henrietcie i Jamesie.

Spojrzała nań z ukosa.

– Miłego dnia… milordzie.

Odwzajemnił uśmiech.

– Miłego dnia, milady.

*

Kolejnego wieczoru, uległszy naleganiom matki, Mary uczestniczyła w balu u lady Percival, pogodzona z faktem, że straciła już cierpliwość do swej aktualnej roli w towarzystwie, która sprowadzała się do udzielania stosownych odpowiedzi na płynące nieprzerwanym strumieniem gratulacje oraz nie tak znów subtelne dociekania, jakimi zaowocowało powiadomienie w „Gazette".

Nie spodziewała się, że przyjmowanie powinszowań okaże się tak wyczerpującym zajęciem.

Stojąc na uboczu sali balowej lady Percival, przy szezlongu, na którym siedziała gawędząca z innymi matronami Louise, gotowa w razie potrzeby interweniować, Mary uśmiechała się wytrwale, z wdziękiem przyjmowała gratulacje, nie zawsze szczere, podkreślając, że ona i Ryder znają się na dobrą sprawę od ponad dekady… I żałowała, że nie została w domu. Co było absolutnie do niej niepodobne.

Jako dusza niemal apodyktyczna potrzebowała wokół siebie ludzi, którymi mogłaby kierować i zarządzać. Wiedziała nawet, o jakie konkretnie osoby jej chodzi, tyle że żadna

z nich nie była obecna, nawet Stacie. Co więcej, znajdując się w centrum uwagi, Mary nie mogła odmaszerować, by poszukać sobie rozrywki; musiała tkwić ciągle w tym samym miejscu i dostarczać rozrywki innym.

Rozważała właśnie, w jaki sposób dyskretnie uciec, gdy pokazał się Ryder.

Przyniósł ze sobą laskę, poza tym wszakże prezentował się jak zawsze dziarsko i nienagannie, przykuwając wzrok – jego złotobrązowe włosy lśniły, koszula oraz kunsztownie udrapowany halsztuk barwą kości słoniowej kontrastowały z czernią eleganckiego wieczorowego surduta i spodni, jak również z kamizelką w czarno-złotą szachownicę.

Popatrzył Mary w oczy i z uśmiechem ruszył prosto ku niej. Był jak ożywczy deszcz na pustyni, na której tkwiła już wiele godzin.

Nieliczne oddzielające ich osoby usunęły mu się z drogi; dwie matrony, które miały właśnie podejść do Mary ze swymi podopiecznymi, cofnęły się, nerwowo chichocząc.

Kiedy się zbliżył, wezbrała w niej troska o niego. Otworzyła usta, chcąc skarcić go za to, że zrezygnował z wygody i bezpieczeństwa, nim jednak zdążyła się odezwać, znalazł się przy niej. Mimo że nie mógł jej otoczyć ramieniem w dosłownym znaczeniu, poczuła się tak, jakby jakimś sposobem tego dokonał – otulił ją swoją obecnością i opieką. Pochwycił jej dłoń i ukłonił się, a kiedy się wyprostował, zarówno wyraz jego oczu, jak i napięcie w ruchach niosły czytelne, choć niewyartykułowane ostrzeżenie. Patrząc Mary w oczy, uniósł do ust jej dłoń i złożył na jej palcach delikatny, lecz przeciągający się pocałunek.

Na pozór tego nieświadom – choć wątpiła, by tak było w istocie – rzekł cicho, owym niskim głosem, rezerwowanym na takie okazje:

– Rozkoszy moja, liczyłem, że cię tu znajdę. Zaczęła mi doskwierać nuda, której zaradzić mogło wyłącznie twoje towarzystwo.

Zamrugała i raptem dotarło do niej, gdzie się znajdują, i że zapewne co najmniej połowa gości obserwuje ich teraz ukradkiem, a zatem nie może – nie powinna – wygłaszać komentarza, który miała na końcu języka. Nie chcąc igrać z losem, zdecydował się zabrać laskę, ale ponieważ w tej chwili się na niej nie opierał, nikt z obecnych nie miał powodu wyobrażać sobie, że Ryder zdrowieje po odniesieniu niemal śmiertelnej rany, a nie na przykład oszczędza zwichniętą kostkę.

– Cieszę się, że mnie znalazłeś – powiedziała z uśmiechem, który świadczył o szczerej radości.

– Było aż tak źle? – spytał półgłosem.

Jej uśmiech rozkwitł jeszcze bardziej.

– Gorzej – szepnęła, po czym, nadal stosownie rozpromieniona, odwróciła się do dwóch matron, ogromnie skorych, by nawiązać rozmowę.

Ryder sumiennie trwał u jej boku, grając drugie skrzypce; ostatecznie, po to tu przyszedł – żeby dyskretnie Mary wspierać. Ukrywanie się w ciszy biblioteki, podczas gdy ona w pojedynkę zmagała się z tymi wszystkimi ludźmi, wydało mu się niegodne. Jako że rana już niemal mu nie dokuczała, a siły wróciły na tyle, że mógł zaryzykować dłuższe stanie, posłał służącego, by dowiedział się od kamerdynera rodziców Mary, gdzie można ją znaleźć, i tym sposobem przybył do lady Percival.

Choć intencje miał szczere, nie minęło dziesięć minut, a jego leniwy uśmiech stał się cokolwiek wymuszony. Spoglądając z ukosa na Mary, skorzystał z króciutkiej przerwy między powinszowaniami, by zapytać:

– Jakim cudem nie dostajesz zgagi od całej tej słodyczy?

– Bo doprawiam ją kilkoma szczyptami gorzkiej rezerwy.

Musiał zamilknąć, gdyż właśnie kolejna para zaczęła im winszować i figlarnie wyrażać zdumienie, jak też udało im się porozumieć za plecami plotkarek i dostojnych starszych dam.

– Długo jeszcze tak musimy? – spytał z rozpaczą w głosie, kiedy rzeczona para się oddaliła.

Mary rzuciła szybkie spojrzenie na matkę; wcześniej Ryder znalazł chwilę, żeby uprzejmie się z nią przywitać.

– Może… – rozejrzała się, po czym ujęła Rydera pod ramię – trochę się przespacerujemy?

– Wyśmienity pomysł. – Zamknął dłoń na jej dłoni i natychmiast ruszył z miejsca. – W ruchu nie będziemy tak łatwym celem.

– Nie spodziewałam się, że się tu zjawisz. Na pewno wystarczy ci sił? – spytała.

– A jakże. – Czuł się odrobinę winny z powodu przyjemności, jaką sprawiał mu wyraz troski w jej spojrzeniu. Uniósł dłoń jak do ślubowania. – Przysięgam, że nie będę się nadwerężał. Zadowolona?

– Chyba nie dajesz mi wyboru, ostrzegam cię jednak, że mam wielkie oczekiwania względem walca zaręczynowego, a te się nie spełnią, jeśli będę zmuszona służyć ci za podporę.

Roześmiał się.

Uszczypnęła go w ramię.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Nadal rozbawiony, poklepał jej dłoń.

– Bez obaw. Przysięgam, że to będzie pamiętny walc.

– Doskonale. – Zadarła brodę. – Bylebyś nie zapomniał dotrzymać słowa.

Oparł się impulsowi, by zapewnić ją, że nie zapomni, nie teraz, kiedy tak mocno podkreśliła tę kwestię, a następnie poświęcił całą swą energię oraz talent realizacji dwóch zadań: omijaniu w tłumie potencjalnych „prześladowców", którzy pragnęli im pogratulować i zarazem wydobyć od nich kolejne szczegóły na temat tak nieoczekiwanego romansu, oraz zabawianiu Mary, z czego z kolei sam czerpał przyjemność.

Choć wyrokiem losu mieli się pobrać z pominięciem okresu zalotów, Ryder nie widział powodu, by nie wykorzystać dni dzielących ich od ślubu na podarowanie Mary, ile tylko zdoła, z owych chwil, których pozbawiła się sama, ratując mu życie.

Przechadzali się i rozmawiali, droczyli się i śmiali, przystając sporadycznie, żeby zamienić kilka słów z gośćmi.

Z zaskoczeniem skonstatował, że przyjemnie spędza czas – głównie dlatego że ona także dobrze się bawiła. Przekonał się już wcześniej, że jest bezpośrednia, niemniej zaczynał coraz bardziej cenić sobie otwartość, jaką przejawiała w relacjach z innymi. I z nim.

W przyjemnej harmonii dotrwali do końca wieczoru. Ryder pomógł Louise i Mary wsiąść do karety, pomachał im na pożegnanie, a później wspiął się do własnego powozu i opadł na skórzane siedzisko, uśmiechając się sam do siebie. Mary, jakżeby inaczej, zażądała informacji, w jaki sposób planował wrócić do domu; kiedy usłyszała, że przyjechał powozem, obdarzyła go pełnym aprobaty spojrzeniem.

Gdy powóz ruszył, Ryder uzmysłowił sobie, że nadal się uśmiecha – bez żadnego konkretnego powodu.

Rozdział 9

Trzy wieczory później Mary siedziała obok Rydera w połowie długości ogromnego stołu w reprezentacyjnej jadalni St. Ives House i, unoszona na fali nieokiełznanego szczęścia, w otoczeniu członków rodziny obojga, słuchała, jak jej ojciec, zajmujący miejsce bliżej szczytu stołu, wznosi toast za „nasz najmłodszy skarb w tym pokoleniu oraz za dżentelmena, którego poślubi".

Pośród uśmiechów, wiwatów, pobrzękiwania kieliszków i uderzania dłońmi w stół wszyscy unieśli szkło, zawołali: „Za Mary i Rydera!", po czym z entuzjazmem wypili zdrowie narzeczonych.

Mary promieniała. Wreszcie się tu znalazła, może wprawdzie nie u celu podróży, ale na jej bardzo zaawansowanym etapie. Z tego miejsca nie było już odwrotu, zaangażowała się nieodwołalnie, zmierzała prosto do celu. Niecierpliwiła się, by ruszyć dalej – wykonać kolejny krok.

Kiedy wiwaty ustały i biesiadnicy wznowili rozmowy, Ryder pochwycił jej spojrzenie.

– Szczęśliwa?

W minionych dniach rozmawiali ze sobą na tyle często, że wiedziała, iż nie było to zdawkowe pytanie. Powściągnęła swój entuzjazm, żeby faktycznie zastanowić się nad odpowiedzią, po czym przytaknęła.

– Jak dotąd, ten wieczór nie mógłby wyglądać lepiej.

Uśmiechnął się, tak że przez chwilę pośród tego szaleństwa byli tylko we dwoje.

Potem Luc, mąż Amelii, siedzący kilka miejsc na prawo od Rydera, zawołał coś do niego, a Ryder pospieszył z odpowiedzią, Mary natomiast zadał pytanie Marcus, syn jej kuzyna Richarda, zajmujący krzesło po jej lewej.

Marcus, blisko siedemnastoletni, ciemnowłosy i niebieskooki jak jego ojciec, oraz jego siostra bliźniaczka Lucilla, przybyli z rodzicami ze Szkocji na ślub Henrietty. Lucilla i rodzice bardzo się ucieszyli, że wezmą także udział w balu zaręczynowym i ślubie Mary, przypuszczalnie jednak Marcus dostrzegał nieco inne korzyści z dłuższego pobytu w stolicy.

Niemniej nawet gdy gawędziła z młodszym krewnym na temat tego, co do tej pory zobaczył w mieście, jej uwaga pozostawała dostrojona do mężczyzny u jej drugiego boku.

Mężczyzny, który wkrótce zostanie jej mężem.

Aż do momentu gdy rankiem po balu przyjechał powozem do parku, aby wraz z Mary przechadzać się po alejkach, nie doceniała w pełni tego, z jaką mocą pokazywał całemu towarzystwu, że ona należy do niego. W końcu wszakże uderzyło ją, jak odnoszą się teraz do niej inni, zarówno starsze i młodsze damy, jak i dżentelmeni, przez co nagle otworzyły jej się oczy.

Kiedy już to nastąpiło, była gotowa przyszpilić go spojrzeniem, gdyby przeszedł od opiekuńczości do zaborczości, choć jednak przy kilku okazjach dryfował bardzo blisko owej granicy, najwyraźniej wyczuwał nadciągający gniew Mary i prędko odstępował od zamiaru przekroczenia owej cienkiej linii.

Spacerowali w parku, przechadzali się Bond Street i spędzili niezliczone godziny w jego bibliotece – rozmawiając, dyskutując, spierając się, wymieniając anegdoty oraz, co

zdumiewające, delektując się ciszą we dwoje. Z zaskoczeniem odkryła, że łączy ich znacznie więcej niż tylko upodobanie do pozostawania u steru. Wieczorami dołączał do niej i jej matki na Brook Street i bez protestów czy narzekań udawał się wraz z nimi na każdy bal czy przyjęcie, jakie wybrała Louise, w trakcie którego z determinacją umilał Mary wieczór.

Dziś rano przybył w zamkniętym powozie – nie wziął faetonu, ponieważ, jak poinformował Mary, postanowił nie trwonić sił na powożenie – a potem stangret zawiózł ich do Richmond, gdzie spędzili spokojny dzień w parku i skąd wrócili akurat z odpowiednim zapasem czasu na to, by przyszykować się na zaręczynowy obiad i bal.

Nietrudno było zauważyć, że narażał się dla niej na niewygody, być może uznawszy, iż ułatwi im tym wejście w cokolwiek pospieszny związek. Tą postawą nie zaskoczył Mary, jej uwagę przykuł wszakże prosty fakt, że cokolwiek Ryder robił, autentycznie czerpał przyjemność z jej zadowolenia. Cieszył się ich wspólnymi zajęciami, spędzanymi wspólnie chwilami, ponieważ sprawiały Mary radość.

Sukces każdego podjętego przez siebie działania określał miarą jej poziomu zadowolenia.

Mogłoby to być ćwiczenie zgoła powierzchowne, dyktowane raczej rozsądkiem niż uczuciem, bardziej przemyślane niż instynktowne, jednakże wydawało się, że w relacjach z Mary skupienie na sprawieniu jej przyjemności jest nieodzowne i zarazem oczywiste.

Kiedy Marcus się odwrócił, żeby odpowiedzieć na pytanie siedzącej u jego drugiego boku Portii, Mary skorzystała z okazji i spojrzała z ukosa na Rydera. Gdy widziała go żartującego z jej kuzynami, bratem i szwagrami, o których przez lata nasłuchała się wielce wymownych opowieści z ust ich żon, musiała zadać sobie pytanie, czy skłonność Rydera do skupienia się na przyjemności damy nie wiąże się przypadkiem z piastowaną przezeń przez długie lata pozycją jednego z najwspanialszych kochanków.

Taki wniosek każdej damie dałby wiele do myślenia.

Czując żar na policzkach, umknęła wzrokiem, zanim on – lub ktokolwiek inny – coś zauważył.

Rozejrzała się i utwierdziła w opinii, że obiad okazał się wielkim sukcesem; przebiegał bez najmniejszych zgrzytów, podobnie jak poprzedzające go spotkanie w salonie. Rodzina Rydera stawiła się w komplecie, włącznie z jego macochą. Jak przewidział, Lavinia zachowywała się nader poprawnie, choć lodowato, lecz ów chłód rezerwowała wyłącznie dla Mary i Rydera, do innych zaś odnosiła się z ciepłem i sympatią.

Zanotowawszy w myślach, żeby w późniejszym czasie sprawdzić, czy zdoła ocieplić trochę lodowaty chłód markizy, Mary podniosła się wraz z innymi gośćmi, kiedy pod przewodnictwem Honorii towarzystwo wstało od stołu i skierowało się ku drzwiom i dalej – na salę balową.

Ryder odsunął jej krzesło i z uśmiechem zaofiarował ramię. Odwzajemniając uśmiech, położyła dłoń na jego rękawie i ze zdziwieniem skonstatowała, jak szybko przywykła do jego obecności u swego boku. Przywykła i znajdowała w niej coś uspokajającego. Czuła się przy Ryderze bezpieczna.

Jej nerwy iskrzyły, to na pewno, lecz nawet owo gwałtowne zjawisko rychło przekształciło się w coś pokrewnego ciekawości.

Ciągle uśmiechnięta, podniosła na niego oczy, ale Ryder kogoś obserwował. Miała się właśnie odezwać, by na powrót zwrócić na siebie jego uwagę, kiedy jej spojrzenie przyciągnął nagły ruch z przodu.

Lucilla, smukła, w jasnozielonym jedwabiu, z kaskadą rudych loków wokół twarzy, przedzierała się przez tłum gości ze zdeterminowaną miną i wzrokiem wbitym w Mary.

Mary zatrzymała się i popatrzyła na Rydera.

– Muszę zamienić kilka słów z Lucillą w cztery oczy. Zaraz cię dogonię.

Ryder przeniósł wzrok na Lucillę, która przystanęła kilka kroków od nich; ukłonił się jej z uśmiechem, a potem spojrzał na Mary. Przyjrzał się jej twarzy, jakby się upewniał, że nie chodzi o nic nieprzyjemnego, po czym rzekł:

– Nie guzdrz się zanadto.

– Nie będę.

Puściła jego ramię.

– Chyba coś dla mnie masz – powiedziała Lucilla, kiedy Mary się zbliżyła, a Ryder odszedł.

– Żebyś wiedziała. – Mary z szerokim uśmiechem chwyciła dziewczynę za rękę. – Chodź, wydaje mi się, że powinnyśmy załatwić to tam.

Stanęły przy jednym z długich kredensów.

– Dlaczego tutaj? – spytała dziewczyna.

– Ponieważ to tu Angelica przekazała naszyjnik Henrietcie, a Henrietta mnie. – Mary rozpięła zapinkę. – Nie wiem, gdzie dokładnie Heather wręczyła go Elizie, a Eliza Angelice, ale bardzo możliwe, że także odbyło się to w tym miejscu.

Chwyciła naszyjnik, który ześlizgnął jej się z szyi, obejrzała go, a potem uniosła w górę, trzymając za zapinkę, tak że łańcuch ze złotych ogniw przeplatanych ametystowymi koralikami zwisał prosto, zwieńczony wisiorem.

– Wydaje mi się rozsądne powielić schemat, skoro nic nie stoi temu na przeszkodzie – dodała.

Lucilla skinęła głową i sięgnęła po naszyjnik, zamykając dłoń wokół ogniw łańcucha.

– Dziękuję… i masz rację. W przypadku talizmanów, których moc zależy od wiary w ich skuteczność, nigdy nie zaszkodzi stosować się do tradycji.

Mary puściła naszyjnik, ale Lucilla nie cofnęła ręki. Mary podniosła wzrok na jej twarz. Spojrzenie Lucilli stało się zamglone, jakby patrzyła na coś znajdującego się bardzo, bardzo daleko.

Potem zamrugała i nieznacznie ściągnęła brwi. Po kilku sekundach popatrzyła na Mary.

– Nie wpadnij w pułapkę oślepienia, jak niegdyś Simon. Nigdy nie zapominaj, że Ryder… na pewno nie jest ślepy.

– Co to znaczy? – Mary ściągnęła brwi.

Lucilla otworzyła oczy szerzej i lekko wzruszyła ramionami.

– Trudno stwierdzić. Niekiedy dostaję przesłanie, takie jak to, ale ich znaczenie zwykle pozostaje mgliste. – Znów na moment umilkła, jakby przyglądając się z uwagą czemuś, co widziała jedynie ona, po czym rzekła: – Mogę powiedzieć tyle, że Lady jest zadowolona. W jej ocenie znajdujesz się dokładnie tam, gdzie powinnaś, wychodząc za Rydera. Przyjmując jego wyzwanie. – Spojrzała na Mary. – Jeśli to ma sens.

Mary przez kilka chwil wpatrywała się w Lucillę, a potem skinęła głową.

– Prawdę mówiąc, ma.

– To dobrze. – Dziewczyna uśmiechnęła się przelotnie i zatoczyła krąg ręką z naszyjnikiem. – W takim razie dziękuję ci za niego. Mam nadzieję, że na północ od granicy okaże się równie skuteczny jak tutaj.

– Mary?

W drzwiach stała Henrietta i nagląco kiwała na siostrę.

– Lepiej uciekaj – powiedziała Lucilla.

Mary z uśmiechem zebrała spódnice i tak szybko, jak pozwalały na to dobre maniery, pomknęła ku schodom.

Ryder czekał na nią u ich szczytu.

– Poinstruowano mnie, żebym cię natychmiast dostarczył do szeregu powitalnego.

Nagrodziła go uśmiechem.

– Prowadź!

Roześmiał się i ruszyli przez rozległy hol. Spojrzenie Rydera na moment zatrzymało się na jej dekolcie.

– Gdzie się podział twój naszyjnik?

Nosiła dziś piękną kameę na purpurowej aksamitnej wstążce i tylko ona pozostała na miejscu.

– Należał do mnie przejściowo. Przekazałam go Lucilli.

Przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy widział u niej ten dziwny klejnot – na balu zaręczynowym Henrietty.

– Czy Henrietta przekazała ci go na swoim balu zaręczynowym?

– Cóż za spostrzegawczość.

Uśmiechnął się nader przekonująco.

– Czyli co to takiego? – Odtworzył w myślach podsłuchaną rozmowę Mary i Angeliki na temat poszukiwań ukochanego. – Rodzaj talizmanu?

Przyglądała mu się przez kilka sekund, wyraźnie rozważając, czy w ogóle odpowiedzieć, a jeśli tak, to jak wiele wyjawić.

– To prezent od Lady – rzekła w końcu. – Tej Lady od Catriony. Ma pomagać aktualnej posiadaczce w znalezieniu odpowiedniego dla niej dżentelmena. – Popatrzyła przed siebie, gdy zbliżali się do drzwi sali balowej. – Najpierw nosiła go Heather, potem kolejno Eliza, Angelica i Henrietta, aż wreszcie trafił do mnie. – Zerknęła na Rydera, oczekując sceptycyzmu. – Każda z nas wierzy, że dla niej zadziałał, choć nie spodziewam się, że przyklaśniesz takim przesądom.

Ryder zastanowił się, czy ma odwagę oświadczyć, że wie z całą pewnością, iż naszyjnik w jej przypadku zadziałał – wszak przywiódł ją do niego. Ostatecznie jednak rzekł:

– Lady? – Zajmując wraz z Mary pozycję w szeregu oczekujących przed salą na gości, szepnął: – Przyznam, że nigdy jej tak nie nazywałem. Zawsze mówiłem po prostu „fortuna".

Nadciągnęli pierwsi zaproszeni na bal, lord i lady Jersey, tak więc wszelkie rozmowy z konieczności zakończono.

Przez następną godzinę Ryder i Mary byli zaabsorbowani witaniem gości i gawędzeniem z nimi, niemniej za sprawą umiarkowanie kameralnego charakteru wydarzenia żadne nie musiało się przesadnie wysilać – znali tu wszystkich i wszyscy znali ich. Mimo że chodziło o bal wydawany w szczycie sezonu towarzyskiego dla uczczenia nieoczekiwanych zaręczyn, które wiązały dwa spośród najstarszych i najpotężniejszych arystokratycznych rodów, atmosfera pozostawała swobodna i wesoła, daleka od pompy typowej dla większych i w konsekwencji bardziej oficjalnych uroczystości.

Dla Rydera jedyną fałszywą nutą była obecność macochy, jednakże wysiłki rodzeństwa, by zabawiać Lavinię i zarazem trzymać ją z dala od pasierba i Mary, przepełniły jego serce wdzięcznością.

W końcu muzycy zaczęli grać i nadszedł wyczekiwany przez Rydera moment – moment, którego tak niecierpliwie wypatrywała także Mary. Uśmiechając się do niej, z nieskrępowaną gracją się ukłonił, po czym zamknął palce na jej dłoni. I poczuł, jak coś się w nim napina. Kiedy prowadził ją na parkiet, jej oczy rozświetlało wyczekiwanie; migotały radosną niecierpliwością.

Wpatrzony w Mary, zamaszyście porwał ją w ramiona i zaczęli tańczyć. Wirowali po parkiecie, podczas gdy tłum uśmiechniętych, zachwyconych gości cofał się, by zrobić im miejsce.

Sunęli w blasku świec; rozpraszane przez kryształy światło połyskiwało w ich włosach, odbijało się w tęczówkach, aż cały świat zniknął w oddali i pozostali tylko oni dwoje.

Zanurzeni każde w oczach tego drugiego, stali się więźniami chwili.

Ryder uśmiechał się z determinacją. Z uwagą wysłuchał życzenia Mary i dostrzegł okazję dla siebie – idealny moment na wykonanie kolejnego kroku. W ten sposób przywiąże ją do siebie jeszcze bardziej, nieodwołalnie zgłosi swe roszczenia.

Przejdzie do kolejnego etapu, zdobędzie ją ostatecznie. Już nie tylko socjeta, nie tylko ich rodziny, ale ona sama zacznie postrzegać siebie jako jego przyszłą żonę. I to nie jedynie z powodów racjonalnych – to samo zrozumie zmysłowa, uczuciowa kobieta o stalowym charakterze i żelaznej woli, którą instynktownie w niej dostrzegał.

Taki postawił sobie cel – pochwycić ową kapryśną istotę – przy czym w tego typu polowaniu miał ogromne doświadczenie.

Mary instynktownie podążała za nim, a on pozostawał skupiony na niej. Wyczekiwała tej chwili, walca i wszystkiego, co oznaczał, kiedy jednak dawniej wyobrażała sobie pierwszy taniec z narzeczonym, zakładała, że będzie zwieńczeniem długiego okresu zalotów i znakiem żywionych przez oboje wzajemnych uczuć. Tymczasem ich walc stanowił początek – pierwszy krok na ścieżce, na którą Mary nigdy nie spodziewała się wstąpić bez oparcia w miłości.

A jednak znaleźli się tu oboje, wirowali na parkiecie, wpatrzeni w siebie, dziwny ogień trawił jej zmysły. To właśnie, co potwierdziła Lucilla, było im pisane.

Kroczyli właściwą drogą, nawet jeśli tak bardzo odbiegała ona od wyobrażeń Mary. Co skądinąd wydawało się uzasadnione, skoro Ryder tak bardzo różnił się od mężczyzny, którego widziała w wyobraźni jako swego wybranka. Mary zakładała, że pisany jej dżentelmen będzie kimś takim, kogo bez trudu poskromi, tymczasem sama została schwytana w pułapkę.

Wyzwanie? O, tak.

Jego zamiary nie wzbudzały najmniejszych wątpliwości; musiałaby leżeć nieprzytomna, żeby nie dostrzec, nie poczuć jego zaborczości. Umiejętnie skrywał pożądanie, jednakże nie mogła przeoczyć widomych oznak; namiętności, która płonęła w jego oczach.

Wybrał ją, pragnął jej, Mary zaś wkrótce stanie się jego pod każdym względem. Podejrzewała, że żywił przekonanie, iż za sprawą wzbierającej między nimi namiętności uda mu się ją ujarzmić.

Nadal uwięziona przez spojrzenie Rydera, odpowiedziała na jego uśmiech podobnym, wyrażającym tę samą determinację.

Przekonają się, co będzie dalej.

Kiedy muzycy rozpoczęli finałową repryzę, nie zdołała się oprzeć.

– Pamiętaj – ostrzegła go cicho – że ani tobie, ani mnie nie brakuje charakteru.

Kiedy muzyka przycichła, zatrzymali się z gracją, a potem Ryder puścił dłoń Mary,

odstąpił o krok w tył i się ukłonił, ona zaś dygnęła.

Iście dworskie dygnięcie, idealnie dopasowane do jego pozycji społecznej.

Osiągnęła tym skutek bez wątpienia zamierzony, to znaczy wywołała uśmiech na twarzy Rydera i zarazem rozproszyła panujące między nimi napięcie.

Napięcie celowo przezeń wywołane, które jednak cokolwiek przerosło jego oczekiwania.

Zamierzał uwięzić Mary w tym tańcu, nie zaś samemu zostać spętanym.

Przez ten taniec, przez nią, przez wszystko, co wezbrało między nimi.

Sytuacja znacząco wykroczyła poza jego plany i przewidywania, inaczej też ją odczuwał. A jednak, jak powiedziała Mary, obojgu im nie brakowało determinacji, teraz zaś przyświecał im wspólny cel.

– Wracamy na pole bitwy? – spytał.

– Obawiam się, że nie mamy wyboru – odparła.

Wrócili zatem. Wystarczyło, że uniósł głowę, a goście zebrali się wokół nich, gawędząc i komentując ich popis na parkiecie.

– Zdaje się – rzekł cicho, kiedy wmieszali się między gości – że naszym walcem zaręczynowym w niezamierzony sposób wygłosiliśmy publicznie oświadczenie.

– Ach, nie pomyślałam o tym, ale chyba rzeczywiście. – Wzruszyła ramionami. – Może to i lepiej.

Nie do końca podzielał jej przekonanie – a jeszcze mniej był pewien tego, co wróżyły jej słowa oraz co rozgrywało się w jej umyśle, kiedy wszakże dołączyli do następnej grupy gości, nasunęła mu się refleksja, że ponieważ chodzi o Mary, najprawdopodobniej wkrótce pozna odpowiedź.

Po drugiej stronie sali balowej Lavinia wsparła się na ramieniu Claude'a Potherby'ego.

– Słyszałeś, co mówią wszyscy, no, w każdym razie najbardziej liczące się damy? Że po tym małym przedstawieniu nie ulega wątpliwości, iż ci tutaj będą w przyszłości nadawać w towarzystwie ton?

Claude zastanowił się, czy powinien skłamać.

– Cóż… tak. Doprawdy jednak, słodyczy moja, nawet ty nie zaprzeczysz, że jesteśmy tu dziś świadkami tego, jak tworzy się historia. Ich pozycja społeczna to jedno, ale gdy wziąć dodatkowo wzgląd na reputację obojga, trudno traktować ten sojusz inaczej niż jako wydarzenie wielkiego kalibru.

– Być może. Ale stanowczo wolałabym, żeby zatańczyła tego walca z Randolphem.

Claude powstrzymał się od komentarza, że Randolph nie pali się do ożenku. Rzekł tylko:

– Nie zapominaj, moja droga, że jako macosze Rydera wypada ci promienieć z zachwytu.

Lavinia natychmiast przykleiła z powrotem na twarz fałszywy uśmiech, skinęła głową na znak, że przyjmuje uwagę do wiadomości, a następnie odwróciła się, by powitać kolejną parę, która chciała jej pogratulować doskonałego mariażu pasierba.

W odczuciu Claude'a znosiła sytuację względnie dobrze, a to było doprawdy wszystko, na co on i jej dzieci – jak również jej pasierb z narzeczoną – mogli żywić nadzieję.

*

Minęła pierwsza w nocy. Ryder wszedł do gotowalni, rzucił na krzesło wieczorowy

surdut, rozpiął kamizelkę i wziął się za rozwiązywanie halsztuka, gdy z oddali dobiegł go odgłos dzwonka przy drzwiach.

Wyszedł na korytarz, zastanawiając się, kogo, u licha, o tej porze niesie. Usłyszał spokojne kroki Pemberly'ego, a następnie szczęk odsuwanych zasuw. Przystanął i wytężył słuch. Pemberly coś powiedział, po czym padła odpowiedź.

Głos kobiety.

Przez głowę Rydera przemknęła myśl, że przyszła z wizytą jedna z jego dawnych kochanek. Zaklął cicho, zostawił w spokoju halsztuk i ruszył przed siebie. Z marsem na czole skręcił na galerię i wpadł na Mary. Instynktownie otoczył ją ramionami, zanim straciła równowagę.

– Co ty tu robisz? – huknął. – Coś się stało?

– Nie.

Przyjrzała mu się bacznie; z niechęcią wypuścił ją z objęć. Nim zdążył się odezwać, gestem zasygnalizowała, żeby wracał do sypialni. Coraz bardziej skonfundowany, zamiast się podporządkować, zerknął przez balustradę i przekonał się, że Pemberly właśnie wraca do swojej służbówki, zabierając lampę, którą ze sobą przyniósł.

Kiedy ciemność na nowo objęła hol we władanie, Ryder popatrzył na Mary; okryła plecy szalem, lecz poza tym była ubrana tak samo jak na balu.

– Powtórzę pytanie: co ty tu robisz?

Właściwie znał odpowiedź.

– Przyszłam się z tobą zobaczyć.

– Widziałaś mnie, rozmawialiśmy, zaledwie pół godziny temu.

– Tam. Tutaj to co innego.

Bezdyskusyjny fakt.

Stali na galerii w mroku rozpraszanym jedynie przez blask księżyca wpadający przez duży świetlik, Ryder zaś był jedynie na wpół ubrany. I powątpiewał, czy jej obecność tutaj to taki świetny pomysł.

– Doskonale. Zamieniam się w słuch. – Popatrzył na nią. – O co więc chodzi?

Zmrużyła oczy; w jej spojrzeniu wyczuwał narastającą wojowniczość.

– Jeśli ci się wydaje, że będę pierwszą kobietą w rodzinie, która stanie przed ołtarzem jako dziewica, to jesteś w błędzie.

Opuścił na moment powieki, chcąc ukryć swą reakcję.

– Czy ja dobrze usłyszałem? – wymamrotał.

Dźgnęła go mocno palcem w pierś.

– Tak!

I śmignęła obok niego z szelestem jedwabiu, idąc wprost do jego sypialni.

Puścił się za nią w pościg, spowolniała go jednak ta okoliczność, że nie wiedział, jaką właściwie chce obrać taktykę. Toteż Mary dotarła do otwartych drzwi, nim zdołał ją dogonić.

Weszła do pokoju.

Zatrzymał się w progu, uznając za nierozsądne podążanie za nią dalej, i zmusił się do przybrania nonszalanckiej pozy, z jedną ręką opartą o drzwi. Mary przystanęła i odwróciła się do niego. Wyprostowana, z uniesioną głową, posłała mu wyzywające spojrzenie.

– Skoro jesteśmy już oficjalnie zaręczeni, a wszystkie liczące się osoby zaaprobowały nasz związek, przyszłam, żebyś mi pokazał, w jaki sposób zapracowałeś na tę swoją rozdmuchaną reputację.

Po tych słowach na kilka uderzeń serca zapadła cisza.

Ryder starał się zmusić do myślenia. Co miał powiedzieć? Jak postąpić?

Nawykł do bycia myśliwym, gdy więc zdobycz odwróciła się i zaatakowała, poczuł konfuzję. Kiedy mimo przedłużającej się ciszy Mary nie ustąpiła choćby o włos, postanowił działać, tak jak zwykł to robić, ilekroć okoliczności przekraczały jego zdolność pojmowania. Zdał się na instynkt.

Zaczerpnął tchu, wszedł do pokoju i zamknął drzwi, po czym rzekł:

– Daleki jestem od tego, by się z tobą spierać.

Skinęła głową.

– Doskonale.

Rozejrzała się z determinacją malującą się na twarzy, podeszła do komody i położyła na niej srebrną torebkę.

– Jak się tu dostałaś? – spytał, ciągle zmagając się z owym niespodziewanym zwrotem zdarzeń, kiedy zdejmowała z ramion jedwabny szal. – Nie przyszłaś chyba pieszo?

– Oczywiście, że nie. – Złożyła szal i umieściła go na komodzie obok odłożonej tam chwilę wcześniej torebki, starając się uspokoić galopujące serce. Tyle chociaż, że z jej głosu nadal biły spokój i pewność siebie. – Przywiózł mnie mój stangret. Poczekał, aż Pemberly mnie wpuści, zanim odjechał.

– Twój stangret?

Pełne niedowierzania pytanie Rydera rozbrzmiało tuż za jej plecami. Okręciła się na pięcie i spojrzała mu w oczy.

– Tak. – Przewidując kolejne pytanie, dodała: – John ubóstwia Henriettę i mnie. Spełni każde nasze życzenie i nie puści pary z ust.

Ryder przyglądał się jej przez chwilę, a później, zaciskając usta, pokręcił głową.

– Nadal trudno mi to zaakceptować. Czy naprawdę dobrze wszystko przemyślałaś?

– Oczywiście. Czegoś takiego nie robi się pod wpływem kaprysu.

– Zapewne nie, przynajmniej w twoim przypadku. Mimo to…

Wsparła dłonie o jego tors, wspięła się na palce i przylgnęła wargami do jego ust. Ryder zareagował, otoczył ją ramionami, nachylił głowę i objął jej usta w posiadanie… Mary nagle odsunęła się od Rydera – na tyle, by oznajmić:

– Dość tych dyskusji.

Z dłonią wspartą na jego policzku przelotnie zajrzała mu w oczy, a potem znów wpiła się w jego wargi.

Jednakże ledwie zaczęli, Ryder przerwał pocałunek.

– Dlaczego? Ponieważ mogłabyś przegrać? – spytał.

– Nie, ponieważ marnujemy czas!

Chwyciła go za szyję, pociągnęła ku sobie i znowu pocałowała, jeszcze bardziej żarliwie i bezwstydnie.

Mimo to nadal stawiał opór.

Przypomniała sobie o czymś, przywarła doń całym ciałem – i poczuła, że zadrżał.

I to, jak jego opór słabnie.

Zatriumfowała w duchu.

Ujął w dłonie jej kibić i przejął kontrolę nad pocałunkiem. Ona zaś z radością przekazała mu władzę, zdając się na jego przewodnictwo. Przestał udawać, że nie chce spełnić jej życzenia, że nie przyjmuje skwapliwie wszystkiego, co tak niewinnie mu ofiarowała.

Niewinność Mary – fakt, że jeszcze nigdy nie była z mężczyzną – podsycały jego

niecierpliwość i nadawały nowy odcień pożądaniu, lecz zarazem stanowiły ograniczenie, nakazywały powściągliwość. W tym przypadku nie chodziło o jedną noc, jeden raz. Jego czyny tej nocy będą procentowały na przyszłość.

Ta noc musiała być wyjątkowa.

Mniej doświadczony mężczyzna mógłby się zachwiać w obliczu takiej presji, ale Ryder wiedział, że podoła wyzwaniu. W rzeczy samej, łaknął tego rodzaju szansy – szansy, którą Mary właśnie mu ofiarowała. Jej usta kusiły miodową słodyczą. Przez niezliczone minuty napawał się pocałunkiem, jak również intymną obietnicą smukłego i pełnego życia ciała, które trzymał w ramionach.

Mógłby dłużej smakować samą tę perspektywę, ale znał Mary – nie będzie czekać na jego wskazówki. Jeśli zamierzał pozostać u steru, musiał działać. Zdołał wziąć się w karby na tyle, by ocenić sytuację oraz przeanalizować możliwości.

Tuż obok stało nakryte złotą kapą łóżko. Zapraszało. Cztery lampy, po jednej na każdym stoliku nocnym i po jednej na komodach po przeciwnych stronach pokoju, zalewały sypialnię miękkim światłem. Story zaciągnięto. Po ogniu na kominku pozostał jedynie żar, więc w pomieszczeniu było przyjemnie ciepło, lecz nie za gorąco.

Ryder powiódł dłonią po jej plecach w górę i napotkał węzeł wstążki, na której nosiła kameę, minął go, wsunął palce w cudowną obfitość jej włosów, a potem wyszukał w nich i usunął spinki, upuszczając je na podłogę. I nie przestawał jej przy tym całować.

Gdy jedwabiste pasma spłynęły kaskadą, Mary się cofnęła. Ciekaw jej poczynań, nie protestował, kiedy przerwała pocałunek. Potrząsnęła głową, jakby chciała złapać we włosy wiatr. I z nieskrywaną przyjemnością zanurzyła palce w jego gęstej czuprynie.

Ta niewinna pieszczota przyprawiła go o dreszcz.

Ich oczy się spotkały. Wspięła się na palce, przytrzymała oburącz jego głowę i pocałowała go. Namiętnie. Niespodziewanie zawirowało mu w głowie. Znów objął ją w talii, unieruchamiając przy sobie. Kiedy jego zmysły nieco się uspokoiły, napomniał się, że dla niej to była nowość; całowała dotąd niewielu mężczyzn, więc nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie może to wywołać…

Jej język przedarł się przez zamknięte wargi Rydera, zachęcająco splótł z jego własnym, a potem wycofał, bez wysiłku skierowując całą jego świadomość z powrotem ku coraz bardziej namiętnemu pocałunkowi, gładkim delicjom jej ust, które ofiarowała mu swobodnie i bezwstydnie niczym hurysa.

Szybko się uczyła; niczego innego nie powinien był oczekiwać.

I, oczywiście, była niecierpliwa. Co nie stanowiłoby problemu, gdyby nie fakt, że jakaś jego część podzielała tę niecierpliwość.

Napomniał samego siebie, że to on tu dowodzi – oraz że dla dobra ich obojga powinien zadbać, by tak pozostało – i odnalazł guziki sukni na jej plecach. Być może działał nie dość wolno, ale ręce go świerzbiły, zmysły szalały, złaknione jej ciała.

Mary pilno było zanurzyć się w nowych doznaniach. Co więcej, jej poczynaniom przyświecał konkretny cel. Nadal miała do pokonania długą drogę w relacjach z Ryderem, a to, co działo się tutaj, bez wątpienia było najpewniejszym sposobem na sukces. Pragnęła zobaczyć, nauczyć się, doświadczyć o wiele, wiele więcej. Musiała go przekonać, żeby jej to umożliwił.

Tej nocy.

Taki wyznaczyła sobie najpilniejszy cel.

Oderwanie uwagi od niezwykle zmysłowej potyczki ust i nęcącego nacisku warg kosztowało ją sporo wysiłku. W rzeczy samej, wymagało pewnej stanowczości, lecz gdy

już tego dokonała, zdała sobie sprawę, że Ryder znacznie ją wyprzedził i właśnie rozpina guziki jej sukni.

Zachwycona odkryciem, że podzielał jej zamiary, zaczęła gorączkowo zmagać się z rozwiązanym już po części halsztukiem. Gdy to się nie powiodło, sięgnęła do kamizelki. Zdążył ją już rozpiąć, zsunęła mu ją więc jednym ruchem z ramion. Zmysły wyrywały się naprzód, skore do eksploracji, powiodła tedy dłońmi w górę i spróbowała mu ją zdjąć. Spodziewała się, że Ryder zarzuci rozpinanie sukni i posłusznie opuści ramiona, tymczasem niczego takiego nie uczynił.

Zdejmował bowiem z niej suknię. Jego rozpalone dłonie prześlizgiwały się po ramionach Mary, spychając jedwab w dół.

Zaprotestowała, nie godząc się na porzucenie kamizelki. Jednakże on również nie ustępował.

Przez kilka sekund trwały przepychanki, napędzane nie tyle uporem, ile chęcią przekonania się, kto ustąpi pierwszy.

I nagle wybuchnęli zgodnym śmiechem. Dwoma szybkimi ruchami odepchnął jej ręce i zsunął w dół rękawy sukni. Stanik sukni miała teraz na wysokości talii, a jej piersi przesłaniał jedynie przejrzysty jedwab halki.

Nabrała powietrza, zamierzała spiorunować go wzrokiem, ale wtedy zobaczyła oczy Rydera – wpatrujące się w jej piersi. Poczuła suchość w ustach, niemniej zdołała powiedzieć:

– To niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe? – Wolno podniósł na nią wzrok.

Przytrzymywał jej ręce powyżej łokci, przez co nie mogła uwolnić ich z sukni. Usiłowała mu się wyrwać, nie zważając na to, że w następstwie tych ruchów w dół przesuwa się warstwa jedwabiu osłaniająca piersi.

– Tak, ma być sprawiedliwie. Coś za coś. Skoro do połowy rozebrałeś mnie z sukni, musisz zdjąć kamizelkę.

– Twoim zdaniem, kto tutaj dowodzi? Nie, poczekaj, sformułuję to bardziej adekwatnie. Które z nas dwojga ma stosowne doświadczenie?

– Ty. Ale to nie znaczy…

Nie czekając, aż skończy myśl, dźwignął ją, rzucił na łóżko i podążył jej śladem, przygniatając ją do materaca. Bynajmniej nie zaskoczył jej w takim stopniu, by pozostała w bezruchu – zaczęła się pod nim wić na tyle skutecznie, że uwolniła ramiona z rękawów sukni.

I sięgnęła do jego kamizelki.

Złapał jej ręce i docisnął do kapy po obu stronach jej głowy. W rezultacie ich ciała przywarły do siebie jeszcze silniej. Napotkał jej rozdrażnione spojrzenie, sam również mocno poirytowany.

– Nie spiesz się tak.

– Dlaczego? – Lustrowała jego twarz.

Dobre pytanie, przy czym Ryder wiedział, że istnieje na nie odpowiedź, lecz nie taka, którą mógłby wyartykułować w zaistniałych okolicznościach. Nie wtedy, gdy jego umysł i zmysły koncentrowały się na niej; na jej gibkim ciele uwięzionym pod nim, na frapującym widoku jej pełnych piersi, które tak ponętnie unosiły się i opadały pod niemal przezroczystym materiałem halki.

Nie zdawał sobie sprawy, że przylgnął wzrokiem do tych kuszących kształtów, do twardych sutków, błagających, by wziął je w usta, dopóki ona nie zaczęła poruszać się

pod nim kusząco i jeszcze bardziej prowokacyjnie.

– Nie myśl tyle, po prostu… ucz mnie.

Pod wpływem tonu żądania, jakim nasyciła ostatnie słowo, odruchowo przysunął się bliżej, lecz natychmiast zatrzymał się gwałtownie. Nie. Powoli. Musi działać powoli.

Uwolnił jej dłonie i opuścił łóżko.

– Nie! – Sięgnęła po niego. – Wracaj!

Uciekł się do jej sposobu i popatrzył na nią zmrużonymi oczami.

– Zaczniesz mnie wreszcie słuchać?

W odpowiedzi spiorunowała go wzrokiem.

Oznajmił więc twardo:

– Po mojemu.

Nie zdołał się zmusić do dodania „albo" – do tak kolosalnego kłamstwa. Bez względu na to, jaką drogę obiorą, Mary żadną miarą nie opuści tego pokoju jako dziewica, ale nie zamierzał uzmysławiać jej tego faktu i tym samym dostarczać jej dodatkowej amunicji w tej i tak już zaciętej bitwie.

Mary westchnęła sfrustrowana i osunęła się powrotem na łóżko.

– Och, niech będzie. Po twojemu.

– Więc teraz – powiedział, zdejmując wolno kamizelkę – możesz odpowiedzieć mi na pytanie: dlaczego dziś? Dlaczego tej nocy?

Rzecz nie w tym, że chciał usłyszeć wyjaśnienie, lecz potrzebował czasu – by ostudzić krew, swoją i jej, zanim na powrót do niej dołączy.

Mary zmarszczyła brwi i nie odpowiedziała od razu. To by wymagało namysłu, a w tej chwili w jej głowie panował rozkoszny chaos. Czy to było pożądanie? Fizyczne pożądanie? Jeśli tak, z całą pewnością nie doświadczyła go nigdy wcześniej.

Przy czym niewątpliwie skutecznie przewartościowało ono jej priorytety. Sądziłaby, że okoliczność, iż leżała na wpół obnażona, z biustem wystawionym na spojrzenia Rydera, pochłonie jej uwagę, ale tak się nie stało. Jej zmysły, jej pragnienia – jej pożądanie – koncentrowały się raczej na tym, by doprowadzić do powtórzenia owych chwil, kiedy ją przygniatał swym ciężarem, odciskając się w jej umyśle, na ciele i zmysłach na tysiące rozkosznie przyjemnych sposobów.

Utrata owego doznania – jego ciała na swoim – prawie wydarła krzyk z jej ust. Łaknęła jego powrotu i pytanie, jak osiągnąć ten cel, było w tej chwili najważniejsze…

Ryder tymczasem rozwiązał halsztuk, cisnął go w ślad za kamizelką, po czym sięgnął do guzików koszuli, lecz tu się zatrzymał i spojrzał na Mary. Dźwignęła się nieco i zaczerpnęła tchu, świadoma, że wzrok Rydera momentalnie powędrował ku jej piersiom.

– Ponieważ – rzekła – chcę doświadczyć zbliżenia, poznać je i zrozumieć, zanim staniemy przed ołtarzem.

Zaczął rozpinać koszulę, przerywając jedynie na chwilę, żeby zająć się mankietami.

– Dlaczego? – spytał, a kiedy spojrzała nań z roztargnieniem, uśmiechnął się nieznacznie. – Czyżbyś zamierzała mnie rzucić, jeśli nie sprostam twoim oczekiwaniom?

Popatrzyła w jego orzechowe oczy, ujrzała lśniącą w nich absolutną pewność, niewzruszone męskie przekonanie o dominacji i kontroli, a wtedy coś w niej zakiełkowało. I zaczęło miarowo rosnąć.

Uśmiechnęła się, z wdziękiem opadła znów na plecy, nie odrywając wzroku od Rydera.

– To moja słodka tajemnica, ale lepiej miej się na baczności – wymruczała zmysłowo.

Wiedział, że się z nim droczy, lecz mimo to zdumiewał się jej śmiałością.

– Doprawdy? – mruknął.

Zrzucił z siebie koszulę – i skrył uśmiech, kiedy wbiła wzrok w jego klatkę piersiową, szeroko otwierając oczy. Pozbył się butów, a potem szybko podszedł do łóżka. Uwalniając pierwsze dwa guziki u pasa, jednym kolanem ukląkł na materacu i wolno pochylił się nad Mary. Oparł dłonie po obu stronach jej ramion i popatrzył w niebieskie oczy, w których wyczytał oczekiwanie oraz śmiałą, uwodzicielską zachętę.

– W takim razie – przeniósł wzrok na jej piersi – lepiej wezmę się do roboty.

Zanurzył się w jej ustach, miękkich i chętnych.

Ten dotyk go sparzył, tak że w rezultacie Ryder wahał się, niezdecydowany, czy napawać się soczystą słodyczą jej ust, czy też śledzić dręczącą wędrówkę palców, które sunęły po jego skórze, zapuściły się niewinnie w gąszcz włosów na piersi, ostrożnie, delikatnie powiodły opuszkami wzdłuż świeżej blizny, co znienacka odebrał jako intensywnie erotyczne doznanie.

Po mojemu.

Przekrzywił głowę, zanurzył się w jej ustach, miękkich, chętnych, i walczył, by stłumić wywoływane jej dotykiem rozkojarzenie. Zawłaszczył jej wargi i język, pojmał świadomość i zakotwiczył w pocałunku, i wreszcie doznał niejakiej ulgi, kiedy jej ręce zwolniły, a potem zamarły na jego coraz bardziej rozpalonej skórze.

Nie przestając więzić jej w pocałunku, zmienił pozycję i położył się obok niej, wsparty na łokciu. W odpowiedzi odwróciła się ku niemu, sięgając do jego ramion. Potem jednak posunęła się za daleko – gorączkowo zagłębiła rozczapierzone palce w jego włosach, zacisnęła, przytrzymała go przy sobie i pobiła jego własną bronią, całując tak namiętnie, że na moment stracił dech, następnie zaś pogłębiła doznania, napierając nań całym ciałem. Jej prawie nieosłonięte piersi przywarły do jego torsu, kusząc i wabiąc, aż Ryder porzucił wszelką myśl o starannie wyreżyserowanej kampanii.

I zdał się na instynkt.

Zamknął dłoń na jędrnej piersi i spił westchnienie Mary. Wiedział, co musi zrobić, wiedział, że to potrafi, brakowało mu jednak pewności, czy ona to zrozumie na tyle, by mu na to pozwolić.

Cel wyznaczył sobie prosty: zrobić z niej swoją kochankę w taki sposób, żeby nie tylko była chętna, ale wręcz błagała o więcej.

Dzięki temu będzie do niego wracać, noc w noc, dopóki utrzyma się magia między nimi.

Nie miał pojęcia, jak długo to potrwa, zgromadził wszakże zbyt wiele doświadczenia, by tracić czas na takie dywagacje. Ich dopasowanie, wzajemny pociąg fizyczny, łaknienie rozkoszy w tej chwili zdawały się przemożne.

W rzeczywistości, na dłuższą metę, na te aspekty mógł wpływać jedynie powierzchownie, ale gdy szło o głębię i stopień ich obopólnej przyjemności, kształtowanie ich leżało jak najbardziej w jego zasięgu.

Do tego wszak sprowadzała się rola jednego z najwspanialszych kochanków w londyńskim towarzystwie.

Powiódł ręką po ciele Mary, ucząc się jej krągłości. Wyginała się ku jego dłoni, coraz bardziej rozpalona i niecierpliwa, kiedy gładził, bawił się, pieścił. Wyłuskał ją z sukni, odrzucił ubranie na bok i dotknął jej obnażonej łydki; przez chwilę chłonął zmysłami wspaniałość jej jedwabistej skóry, a potem przeciągnął ręką ponad wrażliwym zagłębieniem w zgięciu kolana, prześlizgnął się nad skrajem halki i wędrował dalej, podczas gdy przejrzysty materiał przemieszczał się pod jego dotykiem, dręcząco wzmagając pieszczotę. Aż wreszcie Ryder zamknął dłoń na rozkosznej półkuli jej

pośladka.

Rozmyślnie prowokująco, z jawną zaborczością ugniatał, bezwstydnie zawłaszczał, a później wbił palce w jędrne ciało i przyciągnął jej biodra ku swoim, przyciskając ją do siebie, żeby poczuła twardość jego erekcji.

Daleka od tego, by cofnąć się z dziewiczą skromnością, pocałowała go żarłocznie i mocniej naparła w instynktownym zaproszeniu. Puściła jego włosy i przesunęła dłońmi po klatce piersiowej – zmysłowo żądając. Z brzucha przesunęła dłonie na boki i niżej, na biodra.

Przerwał pocałunek i odchylił głowę w tył, rozpaczliwie chwytając powietrze.

Ta reakcja ją zachwyciła. Ochoczo zmieniła pozycję i znów powiodła dłońmi w górę.

Nie otwierał oczu – nie musiał patrzeć, ale… należało ją powstrzymać.

Lubił grę wstępną w wykonaniu swych kochanek, pieszczoty ich drobnych dłoni, które wzmagały się stopniowo, kiedy narastała w nich desperacja. Jednakże dłonie Mary – jej sugestywny dotyk – przeszywały go doznaniem niewypowiedziane intensywnym. Z trudem oddychał.

Pochwycił jej poszukujące dłonie i uwięził w jednej swojej. Nachylił się nad Mary i unieruchomił jej ręce nad głową. Spojrzała na niego z wyrzutem.

– To nie w porządku! – zaprotestowała.

Ryder pokręcił głową.

– Owszem, w porządku – rzekł ochryple. – Przynajmniej dzisiaj. – Kiedy uniosła brwi, dodał: – Zaufaj mi, tym razem powinniśmy działać wolniej.

Otworzyła szerzej oczy.

– A mój dotyk ci tego nie ułatwia?

Jej tęczówki miały teraz barwę fiołków. Podziwiał ów widok.

– Nie – rzekł.

– Och – powiedziała z fałszywą niewinnością. – Może więc coś takiego?

Wygięła się w łuk, gibka jak kotka, ocierając się o niego całym ciałem.

– Mary!

Walczył, by zachować choć pozory kontroli. Usłyszał jej cichy śmiech.

– Ry-de-rze! – przedrzeźniała go, ale jej głos brzmiał miękko, bliższy zaproszeniu niż drwinie.

Poruszyła się i delikatnie, sugestywnie otarła wargami o jego wargi.

– Nie jestem z porcelany, wiesz? – szepnęła. – Zdaję sobie sprawę z własnej niecierpliwości, ale nie musisz mnie chronić, nie przed tym, nie z tobą. Wystarczy, że będziesz prowadził, jak w walcu. – Zrobiła krótką przerwę. – Czy więc możemy zatańczyć?

Uniósł powieki, by na nią spojrzeć.

Silna, rozzuchwalona, pewna swego Mary uśmiechnęła się nieznacznie.

Raczej wyczuła, niż zobaczyła, jak Ryder się poddaje. Przepełniło ją to cichym zachwytem; nie zgadłaby, że ich schadzka rozwinie się w taki sposób, nauczyła się już wszakże kilku rzeczy na temat Rydera i zyskała szansę, by po prostu ruszyć z nim dalej ramię w ramię, kiedy żadna ze stron nie będzie podejmować prób zdobycia przewagi… Nie spodziewała się, że dotrze tak daleko – że on do tego stopnia dostosuje się do jej życzeń – już pierwszej wspólnej nocy.

Zamknął ją w ramionach i nachylił głowę.

Ich wargi się zetknęły – i naprawdę było tak, jakby znów tańczyli walca, poruszając się w całkowitej harmonii, spotykając i dopasowując, każde z nich całym sobą poddało się tej

chwili.

Pojawiło się pożądanie, bogate, gorące i soczyste, doprawione wzbierającą żarliwością. Rozniecał dłońmi ogień na jej skórze; jej ręce poszukiwały, ponaglały.

Zdarł z niej halkę; rozkoszowała się zaborczym błyskiem namiętności w jego oczach.

Z początku dotykał jej niemal z czcią, lecz stopniowo pieszczoty były coraz śmielsze. Nachylił głowę i wziął w usta jej sutek. Napięła się, kiedy go lizał i ssał, a jej ciało przeszywała czysta rozkosz. Wargami, językiem, parzącymi, wilgotnymi ustami badał jej piersi, zapewniając jej przyjemność, której istnienia nawet nie podejrzewała. Aż przepełnił ją żar.

Silnymi dłońmi przygarnął z mocą jej nagie ciało i powrócił do miażdżenia jej ust swoimi.

Pozbawiona tchu, z łomocącym szaleńczo sercem, rozpalona, pozbawiona resztek cierpliwości, sięgnęła do guzików jego spodni – a on jej na to pozwolił. Nie protestował, kiedy rozpięła je do końca, wsunęła w nie rękę i odnalazła go – gorącego i twardego jak stal. Zamknęła na nim dłoń, Ryder zaś z sykiem przerwał pocałunek.

Był ogromny – o wiele większy, niż się spodziewała. Dławiąc w ustach przekleństwo, Ryder odciągnął jej rękę, aby zdjąć spodnie. Gdy znów się do niej odwrócił, oplotła go ramionami, błagając, żeby się zbliżył. Na torsie poczuł nacisk jej piersi. Na jej twarzy odmalowała się błogość.

Coś w nim zadrżało.

Wystarczy!

Rozwarł jej nogi, wsunął między nie dłoń i dotknął jej. Wpatrzony w twarz Mary, chłonął jej reakcję, gdy drżącymi palcami drażnił jej najwrażliwsze miejsce, potem zaś, kiedy z rosnącym zniecierpliwieniem uniosła biodra, wsunął palec w aksamitną śliskość. Jej oczy rozbłysły; poruszał dłonią, ona zaś wiła się pod nim, cicho dysząc. Naparł głębiej, wepchnął w nią drugi palec, by ją przygotować. Zamierzał podarować jej pierwszy orgazm, zanim w nią wejdzie, gdy jednak pożądanie rozpaliło jej ciało, narosła w niej paląca niecierpliwość.

– Teraz. Proszę, Ryderze, teraz!

Nie zdołałby odmówić; wysunął z niej palce, drżącymi dłońmi rozwarł szeroko jej uda i ulokował się między nimi. Dopasował się do jej ciasnego wejścia, nachylił głowę i zagarnął jej usta w ostatnim, ogniście namiętnym pocałunku.

Naparł. Krzyknęła cicho.

Spijał ten krzyk, wykorzystał go, potraktował jako sugestię, że ma znieruchomieć; zdołała wprowadzić go w siebie naprawdę głęboko.

Rozluźniła się pod nim, poruszyła na próbę. Na moment przerwała pocałunek, by wydyszeć:

– Pokaż mi… co dalej?

Odkrył, że śmiech również nie wydaje się teraz możliwy.

– W ten sposób – wydusił przez zęby.

Wycofał się i pchnął znowu; po jednej powtórce złapała rytm, dopasowała się do niego. On zaś wypuścił z rąk wodze i wspólnie dali się porwać odwiecznemu tańcowi.

Ta chwila nie powinna nieść w sobie nic na tyle potężnego, by aż tak się w niej zatracił.

By zgubił kontakt z rzeczywistością.

Tempo narastało, aż wreszcie wspólnie pomknęli – z łomotem serc, zdyszani, oszołomieni.

Wsparty na ramionach, ze zwieszoną głową, poznawał jej ciało i nie widział, nie czuł,

nie smakował niczego poza żarliwą namiętnością.

Zalała ich, uwięziła, miotała nimi na wszystkie strony, sponiewierała i w końcu roztrzaskała na kawałki.

Usłyszał jej krzyk jakby z oddali, zatopiła paznokcie w jego ramionach, a potem runęła ze szczytu…

Ich ciała i zmysły stopiły się w jedno, tak nierozerwalnie, że nie miał innego wyboru, jak tylko podążyć za nią, z jękiem, który wyrwał mu się, gdy wstrząsnęła nim ulga.

I razem spadali – przez ognistą ekstazę w kataklizm oślepiającej przyjemności. Spiętrzyła się w nim, przepełniła go aż po kres, potem zaś wolno odeszła, a on zatonął w znajomej próżni.

Znajomej, a jednak nie takiej samej.

Głębszej o całe sążnie.

Przetoczyło się przezeń zaspokojenie, jakiego dotąd nie zaznał, i pociągnęło w dół.

*

Po bliżej nieokreślonym czasie świadomość wróciła Ryderowi na tyle, że zdołał sformułować pierwszą logiczną myśl: czy aby jej nie przygniata?

Pytanie dopiero nabierało kształtu, gdy jego zmysły zarejestrowały, że Mary głaszcze go delikatnie po włosach. Przez długie chwile po prostu napawał się tym z zamkniętymi oczami.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek czuł się po seksie tak błogo.

Z zadowoleniem analizował to uczucie. Wszakże kiedy jego zmysły sięgnęły dalej, odnotowując wspaniałość jej ciała, które teraz leżało pod nim bezwolnie, całkowicie jego, jakaś część umysłu zaczęła nalegać, żeby uwolnił ją od swego ciężaru. Uległ temu przymusowi, przesunął ramiona, dźwignął się i spojrzał na twarz Mary.

– Wszystko w porządku? – spytał cicho.

Nie otworzyła oczu, ale na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Rozkosznie wspaniale. – Lekko zacisnęła mu dłoń na ramieniu. – Dziękuję.

Triumf, jakiego doświadczył, wydawał się wręcz nieziemski.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wyrwał jej się cichy śmiech.

– Moglibyśmy się tak licytować w nieskończoność.

Zaczął się z niej wysuwać. Naprężyła mięśnie nóg, którymi go wcześniej oplotła.

– Musisz?

Popatrzył znów na jej twarz; nadal nie otwierała oczu.

– Nie, ale czy nie jestem dla ciebie za ciężki?

Pokręciła głową.

– Tak jest idealnie. Ty jesteś idealny. Uwielbiam czuć cię w sobie.

Spieranie się z tym przekraczało jego możliwości. Z cichym chrząknięciem znów na nią opadł.

Na powrót rozluźniony i spokojny, złożył głowę obok jej głowy, ona zaś łagodnie zaczęła pieścić jego włosy.

Wyczuwając, że wraca owo nadzwyczaj intensywne pragnienie, rzekł:

– Wkrótce będę musiał odstawić cię do domu.

– Mhm – zamruczała Mary. – Wkrótce.

Jej śmiałość zawiodła ją dalej, niż na to liczyła.

Rozdział 10

– To nie do zniesienia!

Lavinia wbiegła do buduaru. Rzuciła przez pokój modny czepek, nie bacząc na to, gdzie upadnie, po czym przypuściła atak na Claude'a Potherby'ego, który wszedł tuż za nią.

– Kto mnie uwolni od tego niegodziwca?! – Z rumieńcem na policzkach błagalnie rozpostarła ramiona.

– Wielce poruszający apel, moja droga – skomentował z uśmiechem Claude. – Niestety, nie widzę kolejki chętnych do spełnienia twej prośby, jeśli zaś wyobrażasz sobie, że ja mógłbym to rozważyć, z góry proszę o wybaczenie.

– Ha! – Jak to miała w zwyczaju w chwilach wzburzenia, Lavinia zaczęła spacerować w tę i z powrotem. – Widziałeś ten jego nowy faeton? Toż to skandalicznie niebezpieczne ustrojstwo! Dziwi mnie, że Cynsterowie nie podnieśli larum, zamiast spokojnie patrzeć, jak jakiś szaleniec gna ulicami z ich pieszczoszką.

Ponieważ Claude dołączył do Lavinii w parku, miał okazję zobaczyć pokonującą alejki parę miesiąca. Opadłszy na fotel, westchnął.

– Moja droga, jeśli pielęgnujesz w sobie nadzieję, że Ryder straci kontrolę nad końmi, przewróci faeton i skręci sobie kark, obawiam się, że czeka cię rozczarowanie. Ma talent do powożenia, a choć konie dobrał uparte, panuje nad nimi jak mało kto.

Lavinia zareagowała na to sapnięciem.

– Urodził się chorowity – odezwała się po chwili takim tonem, jakby wygłaszała litanię – i wszyscy, z jego kochającym ojcem włącznie, byli przekonani, że umrze. Ale nie umarł. Potem wyjechał do szkoły, gdzie brał udział w każdym niebezpiecznym wyczynie, jaki tylko przyszedł mu do głowy. I przeżył. Następnie zwąchał się z młodymi zawadiakami, polował, zaliczał dziwki, ścigał się w kariolkach, dyliżansach pocztowych i Bóg wie, czym jeszcze. Inni ginęli, a on nawet nie otarł się o śmierć! Wreszcie zjechał do Londynu i radośnie uwodził jedną damę po drugiej, można by więc pomyśleć, że choć jeden z armii mężów, którym przyprawił rogi, będzie miał tyle przyzwoitości, żeby wyzwać go na pojedynek, czy jednak znalazł się taki?

– Moja droga, chyba będziesz musiała im wybaczyć. Na ile rozumiem, Ryder nigdy nie dał żadnemu dżentelmenowi powodu do nadstawiania karku, gdyż, no wiesz, do tego rzecz by się sprowadzała. Doszły mnie słuchy, że on całkiem nieźle strzela.

– Nic mnie to nie obchodzi! – Lavinia z irytacją zasiadła w fotelu. – Chcę, żeby zniknął, a Randolph został markizem.

Claude przez chwilę bacznie jej się przyglądał.

– Moja droga, naprawdę najwyższa pora dać temu spokój – rzekł wreszcie. – Jakkolwiek wszystko, co powiedziałaś na temat Rydera, odpowiada rzeczywistości, powinno cię to przekonać, że niewiarygodny z niego szczęściarz. Ryder nie umrze, Randolph nie zostanie markizem, a z takiego uskarżania się na wyroki losu nie wynikło nigdy nic dobrego.

– Ha! – nadąsała się Lavinia.

Claude zaczął się zastanawiać, co takiego w niej kiedyś zobaczył. Z pewnością nie

potrafiłby też przekonująco wyjaśnić, dlaczego z oddaniem trwa u jej boku.

Trochę jak wierny spaniel.

Nie postrzegał samego siebie jako pieska salonowego, wątpił też, by inni myśleli o nim w ten sposób. Prawda wyglądała tak, że Lavinia stała się wygodnym przyzwyczajeniem. U jej boku mógł poruszać się w kręgach towarzyskich bez ryzyka, że stanie się celem ze względu na swoją majętność, ponieważ zaś jak dotąd żadna inna kobieta nie wzbudziła jego zainteresowania, ten układ mu odpowiadał. Ciągle tak było. Dlatego uzbrojony w cierpliwość, jakkolwiek szybko się wyczerpującą, czekał, aż Lavinia porzuci bezsensowne mrzonki i wróci do prawdziwego życia – i do niego.

*

– Wiesz, to dobrze, że nalegałeś na wystawny ślub.

Mary podniosła wzrok na Rydera, który stał obok niej w połowie długości sali balowej St. Ives House. Było wczesne popołudnie, wszędzie wokół krążyli i rozmawiali goście zebrani tu dla uczczenia zaślubin Jamesa i Henrietty.

– Ponieważ James i Henrietta zdecydowali się na kameralną uroczystość, a od zamążpójścia Amelii i Amandy upłynęła ponad dekada, gdybyśmy także zażyczyli sobie skromnej wersji, biedna mama poczułaby się oszukana.

Ryder nakrył dłonią jej dłoń na swoim przedramieniu – gest akcentujący jego prawo własności, któremu nie potrafił się oprzeć, a którego ona chyba nie zauważała, względnie zauważała, lecz postanowiła nie reagować. Uśmiechnął się i podobnie jak Mary, przyjrzał uważniej gościom.

Choć niepozorne wedle standardów londyńskiej socjety ślub i następująca po nim uroczystość obfitowały w rodzinne ciepło i pogodny nastrój – wszyscy szczerze życzyli szczęścia młodej parze. Dzięki uczestnictwu w tym święcie Ryder utwierdził się w przekonaniu, że znalazł się dokładnie tam, gdzie powinien – u boku Mary Cynster.

Mary, jako druhna honorowa Henrietty, miała na sobie suknię niecodziennego jak dla niej koloru złota. Większość jej strojów była niebieska – nie tylko suknie balowe, lecz także te dzienne i spacerowe – w rozmaitych odcieniach, które albo odpowiadały barwie jej oczu, albo ją uwydatniały.

Zastanowił się, czy ich dzieci odziedziczą orzechowe oczy po nim, czy chabrowe po niej.

Która to myśl, nic dziwnego, przywołała wspomnienia ich spotkania sprzed dwóch nocy.

Kiedy wreszcie opuścili łoże, wrażenie, że wkroczył z nią na nieznane terytorium, jedynie się wzmocniło. Uderzył go brak jakiejkolwiek niezręczności między nimi.

Bezpieczne odstawienie jej do domu okazało się sprawą prostą; jeśli jej stangreta było stać na dyskrecję, to Rydera tym bardziej. Nalegał jednak, by odprowadzić ją aż do środka, dzięki czemu dowiedział się o oknie w saloniku na tyłach, którędy wchodziła i wychodziła.

Ubiegłej nocy się nie widzieli, co tkwiący w nim doświadczony strateg uznał za korzystne. Po cóż miałaby zdać sobie sprawę, że palił się do drugiej rundy równie mocno jak ona do pierwszej? Wydawała się w dobrym nastroju, kiedy rankiem po schadzce zabrał ją na przejażdżkę po parku, a od wczorajszego popołudnia aż do teraz pochłonęło ją zamieszanie związane ze ślubem siostry. Ryder wykorzystał ten czas, by nadgonić

zaległości w interesach, niemniej minionego wieczoru dołączył do większości mężczyzn z rodu Cynsterów oraz kilku innych dżentelmenów, by wraz z Jamesem pożegnać jego stan kawalerski.

Była to wesoła noc, pełna rodzinnego koleżeństwa typowego dla rodu Cynsterów i tak pożądanego przez Rydera; pragnął zbudować i kultywować podobne relacje między Cavanaughami, począwszy od swojego pokolenia. Instynkt wojownika podpowiadał mu, że takie podstawowe emocjonalne więzi stanowią potężną siłę – siłę, której brakowało jego rodzinie.

Nim zdążyła mu to zasugerować, ruszył z miejsca, prowadząc ją niespiesznie między grupkami gości.

Zerknęła nań z ukosa, ale patrzył przed siebie, udając nieuwagę. Uwielbiał zbijać ją z tropu, zwłaszcza gdy akurat szykowała się, by nim komenderować.

A teraz on i Mary przystanęli, by pomówić z lordem i lady Glossupami, rodzicami Jamesa i dalekimi krewnymi Rydera. Starsi państwo większość czasu spędzali w Glossup Hall w Dorset, ale przyjechali do Londynu na ślub. Widać było, że cieszy ich radość syna.

Kiedy Ryder poprowadził Mary dalej, nachyliła się ku niemu.

– Henrietta martwiła się – wyznała – że nie odnajdą się w tłumie, ale chyba czują się tu dosyć swobodnie.

– Dawniej spędzali więcej czasu na salonach – wyjaśnił – lecz z upływem lat coraz bardziej cenili sobie wieś, głównie Catherine, choć Harolda też to dotyczy.

– Wydaje mi się, że Henriettę niepokoiło raczej, czy po owym nieszczęsnym incydencie z żoną starszego brata Jamesa, Henry'ego – Mary wykonała wymowny gest – lord i lady Glossupowie nie będą się źle czuli w towarzystwie, wygląda jednak na to, że już się pozbierali, przynajmniej na tyle, aby chętnie uczestniczyć w radości Jamesa i Henrietty, co liczy się tu przede wszystkim.

– W istocie. – Ponad głowami gości Ryder spojrzał na statecznego mężczyznę, który stał pod ścianą. – Chociaż na ślubie robił dobrą minę do złej gry, Henry nadal wydaje się…

– Smutny – podsunęła Mary. – Właśnie tak, po prostu smutny. Miejmy nadzieję, że się z tego otrząśnie.

– Wiesz naturalnie, że to mój krewny? Kiedy się pobierzemy, staniesz wraz ze mną na czele licznej rodziny. Tak sobie pomyślałem – dodał, patrząc przed siebie – czy nie pomogłabyś Henry'emu powrócić do życia.

Kątem oka zobaczył, jak Mary się rozpromienia.

– Wspaniały pomysł.

Ryder przytaknął, bez skrupułów rzucając jej Henry'ego na pożarcie.

– Nieco pokrętne, ale trafne.

Z tego, co dotąd zaobserwował, mężczyźni z jej rodu w ramach serdecznych relacji rodzinnych nieodmiennie zachęcali tych niezakutych dotąd w kajdany, by pogodzili się z losem. Jeśli zaś przy okazji zyskiwali aprobatę własnych żon, to tym lepiej.

– Nie zapomnij też o Oswaldzie, młodszym bracie Jamesa. On z pewnością potrzebuje pomocy – poprosił Ryder.

Przez tłum przecisnął się Simon i zagrodził im drogę.

– Tu jesteście. – Uśmiechnął się szeroko do Mary. – Zastanawiałem się… – Urwał, kiedy dołączył do nich Barnaby Adair.

Barnaby przywitał się z typowym dlań wdziękiem. Mary dobrze go znała, a Ryder spotkał już przy kilku okazjach, odkąd związał swój los z Cynsterami.

– Zastanawialiśmy się – podjął Simon – czy zdobyłeś już, Ryderze, jakieś wiarygodne informacje co do tego, kto nasłał na ciebie tych dwóch rzezimieszków?

– Nie – szybko odparł Ryder. – St. Ives przesłał wiadomość, że Fitzhugh zaprzeczył, jakoby to była jego sprawka, a świadkowie jego oświadczenia są skłonni mu wierzyć. Ja zaś przyznam, że oceniam tego człowieka podobnie. W paroksyzmach wściekłości mógłby kogoś na mnie nasłać, ale nie należy do ludzi, którzy, kiedy emocje ostygną, kłamaliby i wypierali się wszystkiego.

– Bez względu na prawdopodobne reperkusje? – spytał Barnaby.

Ryder wolno pokręcił głową.

– Powiedziałbym, że przy całej swej wybuchowości Fitzhugh jest człowiekiem honoru.

– Diabeł twierdził to samo. – Simon zmarszczył nos. – Czyli nadal nie mamy pojęcia, kto wynajął napastników, a tym bardziej dlaczego.

Mary wiedziała, że Ryder wolałby, aby nie była świadkiem tej rozmowy, jeśli jednak wydawało mu się, że ona przeprosi i odejdzie – albo pozwoli im trzem się oddalić – to powinien raz jeszcze przemyśleć sprawę.

Najwyraźniej to zrobił, gdyż po chwili rzekł:

– Zatrudniony przeze mnie detektyw ustalił, że tych dwóch najął szemrany adwokat, który jednak stanowczo nie robi takich rzeczy na co dzień. Detektyw złożył temu człowiekowi wizytę, ale zawędrował w ślepą uliczkę. Adwokat usłużnie opisał mężczyznę, który zapłacił mu za wynajęcie dwóch opryszków, tyle że do tego opisu pasują tysiące służących z eleganckich domów.

– Adwokata zatrudnił służący? – Barnaby uniósł brwi.

Ryder przytaknął.

– Nie nosił oczywiście liberii, ale poza tym do opisu pasuje każdy, od lokaja po cywilnemu po stajennego.

– A przy tym mógł to być ktoś najęty, żeby zatrudnić adwokata od i tak dalej. – Simon pokręcił głową. – Szanse na odnalezienie tego mężczyzny…

Na moment zapadła cisza, a później Barnaby spojrzał na Rydera.

– W tej sytuacji, choć wolałbym, żeby było inaczej, czuję się zmuszony zauważyć, że powinieneś mieć się na baczności. Skoro ktoś zadał sobie tyle trudu, najmując dwóch zabójców, doświadczenie mi mówi, że jest mało prawdopodobne, by zrezygnował po jednej porażce. Należy raczej przypuszczać, że zaatakuje znowu.

Ryder pokiwał głową.

– Będę to miał na względzie.

Mary była zbulwersowana. Będzie to miał na względzie? Odniosła wrażenie, że końcówka tej wymiany zdań stała się jasna wyłącznie dla obecnych tu mężczyzn. Zanim obmyśliła, w jaki sposób wymóc na nich wyjaśnienie, Barnaby odwrócił jej uwagę wiadomością przekazaną przez Penelope, a następnie spostrzeżeniem na temat swego dziedzica, młodego Olivera. Simon przebił go anegdotą o swoich dwóch szkrabach. Mary była zdumiona; doprawdy zadziwiające, w jaki sposób ojcostwo wpływa na mężczyzn, takich jak jej brat czy Barnaby – i przypuszczalnie Ryder. Wyczekiwała tego z radością; uśmiechnęła się i spojrzała na niego.

Poczuł na sobie jej wzrok i przez chwilę patrzył jej w oczy, przypuszczalnie trafnie odczytując jej myśli, gdyż znacząco uniósł brew.

Muzycy zaintonowali walca weselnego i goście rozstąpili się, żeby zrobić miejsce dla Henrietty i Jamesa.

Mary obserwowała wirującą w ramionach Jamesa siostrę i bez trudu dostrzegała ich

miłość. W sposobie, w jaki na siebie patrzyli, w delikatnym uśmiechu Henrietty, w bijącym z jej twarzy blasku. Jaśniała na obliczu Jamesa, wyrażającym owo szczególne skupienie, które każdej choć trochę wrażliwej osobie sygnalizowało, że odtąd całe jego życie należy do Henrietty, że jest oddany jej i ich wspólnej przyszłości.

„Własnym ciałem będę cię czcił".

Przysięgę małżeńską złożyli wcześniej, lecz ten taniec stanowił jej fizyczny wyraz, wzruszając obserwatorów do łez i wywołując na ich twarzach łagodne uśmiechy.

Mary uzmysłowiła sobie, że także się uśmiecha. Wzbierała w niej determinacja, by również osiągnąć taki rezultat. Dokładnie taki.

Takiego walca weselnego pragnęła.

Simon odszedł, żeby znaleźć Portię; Barnaby powędrował zapolować na Penelope.

Ryder chwycił Mary za łokieć i nachylił ku niej głowę.

– Pora do nich dołączyć – szepnął.

– Istotnie.

Podążyła z Ryderem na parkiet i zawirowali wraz z innymi gośćmi, którzy dołączali do nowożeńców.

Ryder cieszył się z tego walca; dzięki niemu mógł nakarmić, choć na krótko, miotającą się w jego wnętrzu wygłodniałą bestię. I odwrócić uwagę od licznych bodźców, zgodnie popychających go w jednym kierunku.

Kiedy wirowali na parkiecie i Mary jak zwykle zatraciła się w tańcu, po prostu chłonął ów widok – i ze wszystkich sił uczepił się maski wyrafinowanego znudzonego lwa salonowego.

Przez ostatnie dwa dni pożądał jej z taką mocą, jak jeszcze nigdy żadnej kobiety, zwłaszcza takiej, którą już posiadł. Po pierwszej schadzce upływało zwykle kilka dni, nim nabierał ochoty na powtórkę. W przypadku swej przyszłej żony zaczął planować powtórkę, już kiedy odprowadzał ją tamtej nocy do domu – i wcale nie był pewien, czy to dobry znak, czy przeciwnie, zły omen, który powinien go skłonić do odwrotu. I to pospiesznego.

Wobec żadnej z wcześniejszych kochanek Ryder nie czuł choćby namiastki zaborczości; nawet jeśli tłumaczył ten nowy dla siebie przymus faktem, że chodzi o jego przyszłą żonę, mimo wszystko czuł się dziwnie wytrącony z równowagi. Odrobinę niepewny, dokąd wiodła go ta relacja; nie kroczył żadną ze znanych mu ścieżek.

Jednakże bez względu na to, jak to sobie racjonalizował, czy instynktownie postrzegał Mary jako odmienną z powodu jej zdecydowanego, stanowiącego wyzwanie charakteru, czy też dlatego że uznał, iż należała już do niego, pragnienie, by złapać ją i zatrzymać pozostał, więcej nawet, stale przybierał na sile. Wbrew oczekiwaniom Rydera walc ani trochę go nie osłabił. A tym bardziej nie ugasił.

Muzyka zwolniła, aż wreszcie umilkła; zawirowali po raz ostatni, Ryder się ukłonił, Mary dygnęła, a potem rozpoczęli przechadzkę po sali.

Popołudnie miało się ku końcowi, kiedy, pośród śmiechu i żartów, goście pożegnali na schodach promieniejącą Henriettę oraz dumnego Jamesa. Na młodych posypał się ryż, jak również liczne komentarze i rady, następnie James pomógł żonie wsiąść do powozu, wspiął się za nią do środka i zamknął drzwi, a stangret strzelił z bata i odjechali skrajem Grosvenor Square i dalej Upper Brook Street.

– Wiltshire? – Ryder odwrócił się do Mary, która stała stopień wyżej od niego na stromych schodach rezydencji.

Przytaknęła.

– Wrócą za pięć dni, na nasz ślub, chcieli jednak, że tak powiem, jak najszybciej zacząć tam, gdzie planują skończyć.

– Niecierpliwi jak ty?

– Wątpię, czy to możliwe – odparła cicho.

Podsunęła mu sposobność; skorzystał z niej.

– W takim razie… dziś w nocy zostaw tamto okno otwarte.

Spokojnie odwzajemniła jego spojrzenie, a później pokręciła głową.

– Nie, połamiesz mi łóżko. Przyjdę do ciebie jak poprzednio.

– Nie. – Jego troska o nią by na to nie pozwoliła. Widząc jednak wyraz niezadowolenia na jej twarzy, prędko dokonał ponownej oceny sytuacji i wprowadził poprawkę: – Nie zachwyca mnie wizja, że miałabyś iść sama choćby tylko do waszych stajni. Będę na ciebie czekał w ogrodzie pod oknem. Mój powóz zabierze nas do domu.

Ostatnie słowo podyktował mu instynkt – na pół rozmyślne przejęzyczenie; wychwyciła je, z namysłem przekrzywiła głowę, lecz potem uśmiechnęła się i nie zakwestionowała tego, co powiedział.

– W porządku. Czekaj na mnie o jedenastej.

Skinął głową.

– Będę.

Czekał w mroku na tyłach jej domu, żeby służyć jej pomocą, kiedy wychodziła przez okno. Cicho przesunął w dół okienne skrzydło, a potem znów wziął Mary za rękę i poprowadził przez spowity w mrok ogród i dalej ulicą do swej nieoznakowanej karety.

Tej nocy księżyc przesłaniały chmury, dzięki czemu malało ryzyko, że ktoś ich rozpozna. Usiadł obok niej; kiedy powóz drgnął, a później potoczył się wolno przed siebie, Rydera kusiło, by porwać Mary w ramiona i całować do utraty zmysłów, smakować jej usta, ale oparł się temu. Zamiast tego objął jej dłoń na siedzeniu między nimi i udawał, że ogląda przesuwające się za oknem domy. Oraz starał się nie myśleć o tym, dlaczego nie śmie ulec owemu niemal przemożnemu impulsowi.

Upłynęło dużo, naprawdę dużo czasu, odkąd po raz ostatni podawał w wątpliwość swoją samokontrolę: odkąd miał ku temu jakiekolwiek powody. Jednakże żar, który go spalał, był po prostu zbyt potężny, żeby go zignorować.

Na szczęście droga na Mount Street zajęła im zaledwie kilka minut. Gdy tylko powóz się zatrzymał, Ryder wysiadł i podał Mary rękę. Zamknąwszy drzwi, skinął głową stangretowi, Ridgesowi, a następnie poprowadził ją po schodach w dyskretny cień portyku.

Wsunął klucz do zamka.

– Nie ma Pemberly'ego?

– Dałem mu i pozostałym wychodne na tę noc. – Spojrzał na nią w ciemności. – Ridges wróci przed świtem, żeby odwieźć nas z powrotem na Upper Brook Street.

Otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

– Biedny Ridges.

– Nie taki biedny, poza tym chętnie służy pomocą. Wie, że wkrótce zostaniesz jego panią – dodał.

– Aha. Czy to znaczy, że twoich służących cieszy ta perspektywa?

Nie przywiózł jej tutaj, żeby rozmawiać o służbie.

– Nie posiadają się z radości.

Na jej usta wypłynął uśmiech. Na ten widok Ryder poczuł się zmuszony przyznać:

– Nie są jednak tak szczęśliwi jak ja. – Zawahał się, potem zaś, całkowicie wbrew

nakazom rozsądku, spytał: – Wiesz o tym, prawda?

Bacznie mu się przyglądała.

– Może i wiem. Z drugiej strony, może powinieneś mi przypomnieć, jak bardzo zachwyca cię wizja naszego przyszłego związku – rzuciła, po czym odwróciła się z szelestem spódnic i ruszyła ku schodom.

Ryder wolno przeciął hol, by znaleźć się u jej boku.

– Rzucasz mi wyzwanie?

– Mam nadzieję, że tak to potraktujesz i stosownie przyłożysz się do zadania.

Rozbawiła go. I ze śmiechem pomknęła po schodach w górę. Rzucił się w pościg, nim zdążył się zastanowić. Poczekał, aż Mary znajdzie się na podeście, zanim opasał ją ramieniem w talii, przyciągając gwałtownie ku sobie. Wsparł ją plecami o ścianę, zmiażdżył jej wargi swoimi.

Zanurzyła dłonie w jego włosach. Wyzbyła się wszelkich myśli. Po prostu chłonęła jego namiętność. Zaciskając w palcach jego włosy, oddawała pocałunki, odpowiadała ogniem. Własną potrzebą. Wypalała na nim swoje piętno pożądania.

Paląca potrzeba płynęła w jej żyłach razem z krwią.

Ledwie zdążyła zadać sobie pytanie, co dalej, Ryder uniósł ją w ramionach. Uniosła nogi i kilkoma szarpnięciami podkasała spódnice na tyle, by zacisnąć uda na jego biodrach. Podtrzymując ją, ruszył na piętro. Ona zaś skoncentrowała się na pocałunku, by rozpalone przez nich płomienie nie przygasły. Zadanie powiodło się tak dobrze, że gdy znaleźli się w holu prowadzącym do jego sypialni, posadził ją na małym stoliku pod ścianą, ujął jej twarz w dłonie, przejął kontrolę nad pocałunkiem i wlał ogień w jej żyły.

Potem odchylił jej brodę i rozpalonymi wargami przywarł do szyi. Podążył do zagłębienia, w którym szaleńczo łomotał puls. Mary zadrżała. Szarpnął poluzowany stanik jej sukni; nim zebrała myśli na tyle, by jakoś zareagować, zsunął go wraz z halką na wysokość jej talii i przylgnął ustami do obnażonych piersi.

Krzyknęła, kiedy wessał głęboko twardy sutek; ten okrzyk, sugestywny i podniecający, odbił się echem w mroku. Ujął w dłoń jej drugą pierś, ugniatał i ściskał, podczas gdy jego wargi i język wędrowały po nagiej skórze.

Przesunął wolną dłoń na jej plecy i podtrzymywał ją, kiedy na oślep wyzwalała ramiona z rękawów, a potem odchylił do tyłu, tak że oparła się głową o ścianę, i powrócił do swego zadania – najwyraźniej planując uczynić z Mary wyzutą z zahamowań rozpustnicę…

Z dłońmi zatopionymi w jego włosach, zamkniętymi oczami i odrzuconą w tył głową jęknęła, a następnie wygięła się w łuk, pragnąc więcej tego, czym tak hojnie ją obdarowywał – gorących hołdów, składanych jej wrażliwej skórze przez jego usta, boleśnie przeszywających doznań, o jakie ją przyprawiał.

Tej nocy była bardziej świadoma – bardziej zdolna docenić jego zmysłową biegłość. I pragnęła, pożądała owego żaru, płomieni, wzbierającej namiętności. Najbardziej zaś łaknęła zespolenia, do którego one doprowadzą, intensywnego, intymnego, fizycznego.

Poprzednio była zbyt rozkojarzona, żeby należycie chłonąć szczegóły; tej nocy jej zmysły zachłannie chwytały każdy niuans.

Pognieciona suknia i halka otaczały jej talię. Ryder stał w taki sposób, że biodrami wymuszał na niej szerokie rozwarcie nóg; zmienił pozycję, puścił jej pierś i powiódł dłonią w dół. Rozchylił ubranie, położył palce na jej brzuchu, po czym sięgnął niżej.

Drgnęła, zadrżała, gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy jego palce ją badały, pieszcząc i masując, następnie zaś delikatnie naciskając. Rozkoszne doznania rozlały się

pod jej skórą. Dyszała, wiła się, pragnęła więcej…

Oderwał usta od jej piersi, zaklął cicho i wycofał dłoń spomiędzy jej ud.

Kurczowo złapała go za ramię.

– Nie…

– Poczekaj.

Ochrypły rozkaz nie dopuszczał dyskusji, ale Ryder już podciągał wyżej jej spódnice, tak by pod nie sięgnąć. Zlokalizował obleczone w pończochę kolano, powiódł szorstką dłonią ponad podwiązką i w górę uda.

Zaznane odczucie nią wstrząsnęło, tak ostra i przeszywająca była zaborczość jego dotyku.

Zadrżała, kiedy wepchnął w nią najpierw jeden, a następnie dwa palce. Głęboko, i jeszcze głębiej. Łapczywie chwyciła powietrze, instynktownie ułatwiając mu dostęp. Skorzystał z tego; poruszał pod nią dłonią, naciskał i gładził, coraz głębiej, coraz szybciej, bezlitośnie grając na jej zmysłach. Napięcie chwyciło ją w szpony – podobne, a jednak nie takie samo jak kompulsywna potrzeba ostatnim razem; niemniej wzbierało, narastało, budowane i napędzane tym intymnym dotykiem. Każdym ruchem palców głęboko w jej wnętrzu.

Potem znów zajął się jej piersiami, przywarł ustami do obolałych nabrzmiałych wzgórków, chwytał wargami twarde sutki, ssał. Spływały na nią kaskady doznań, które ścierały się i iskrzyły, płonęły pod skórą, pulsowały w ciele. Zamknęła oczy, wsłuchana we własny oddech, coraz szybszy i bardziej rozpaczliwy. Płomienie szalały i łączyły się w jedno, wnikając głębiej, parząc, paląc, coraz gorętsze.

Ciaśniej, mocniej, szybciej, bardziej namiętnie – nic nie było w stanie złagodzić narastającej w niej gwałtownie potrzeby. Ryder przesunął dłoń i odnalazł kciukiem pąk skryty między jej śliskimi fałdkami, uciskał go zręcznie do rytmu coraz gwałtowniejszej penetracji, z coraz większą mocą ssąc jej pierś…

Rozpadła się na kawałki.

Krzyknęła.

Zwyciężona przez kataklizm doznania, zachwiała się, wyzuta z sił. Owładnęło nią głębokie znużenie.

Jej świadomość zdawała się bujać gdzieś daleko, w oderwaniu od rzeczywistości, lecz mimo to Mary nadal odczuwała, nadal wiedziała. Nadal śledziła wydarzenia.

Oddychała chaotycznie, bicie serca rozbrzmiewało echem w jej uszach i pulsowało w zalanym słodyczą skrawku ciała między udami, kiedy czuła, dotkliwie, jak Ryder wycofuje z niej palce, biorąc ją w ramiona.

Zaniósł ją do sypialni. Tej nocy Collier zostawił zapalone lampy na nocnych stolikach; choć ich knoty przykręcono, zalewały złote łoże równie złotym blaskiem.

Z Mary w ramionach ukląkł na materacu i złożył ją na nim delikatnie, z głową na poduszkach. Przez chwilę napawał się tym widokiem, rad, że zdołał doprowadzić ją do orgazmu i tym samym uchwycił szansę – nikłą i przypuszczalnie jedyną – na odzyskanie przewagi.

Namiętność pulsowała mu w żyłach, potężna i nieubłagana. Taka krótka przerwa – kiedy niczego sobie nie odmawiał, a jedynie odwlekał – gwarantowała, że wkrótce zbierze plon głębszej i pełniejszej satysfakcji.

Na Boga, ona była potężnie uzależniająca.

Jak narkotyk, mający moc czynienia go oszalałym z pożądania, obolałym z namiętności.

Potężny przymus, który musiał wziąć w karby i poskromić; nawet po ich pierwszym zbliżeniu – a może właśnie z jego powodu – czuł bezwzględną potrzebę, by pozostać u steru, przynajmniej własnego, choć chętnie kontrolowałby i ją.

Nachylił się nad nią i ściągnął z niej suknię, halkę oraz pończochy. Narzuciwszy złotą jedwabną narzutę na jej ciało, pogodzony z faktem, że jeśli sam zaraz się nie rozbierze, ona gorliwie mu w tym dopomoże – a Bóg jeden wie, czym by się to zakończyło – błyskawicznie zdjął surdut i kamizelkę, rozwiązał halsztuk i pozbył się go wraz z koszulą, butami, pończochami oraz spodniami.

Kiedy odwrócił się w stronę łóżka, poczuł na sobie pieszczotę jej spojrzenia. Badała go wzrokiem, nieznacznie uśmiechnięta, a żar w jej coraz intensywniej chabrowych oczach narastał.

Ryder doskonale wiedział, jak postrzegają go kobiety; „imponujący" było stosowanym określeniem. Ku niejakiej uldze w jej spojrzeniu nie znajdował choćby cienia zaskoczenia czy strachu, ale głównie niecierpliwe wyczekiwanie. Przystanął obok łóżka i ściągnął z Mary kapę, a potem jeszcze przez chwilę napawał się jej widokiem.

Wolno powiódł wzrokiem od jej drobnych stóp, przez kształtne łydki, kolana i smukłe uda, ponad trójkątem ciemnych loków u ich zbiegu, po delikatnej krągłości brzucha i wcięciu w talii, skąd prześlizgnął się wyżej, na jędrne piersi, a następnie szyję, wargi, aż wreszcie dotarł do jej oczu.

Mary na to czekała. Uśmiechnęła się łagodnie, lecz z determinacją, a potem wolno, z wdziękiem uniosła ramiona i skinęła na niego.

Zamrugał zaskoczony, ale się podporządkował.

Opadł na łóżko, wsparł się na łokciu i zamierzał położyć dłoń na jej brzuchu, nim wszakże zdążył jej dotknąć, przetoczyła się ku niemu i usiadła. Wślizgiwała się na niego; ich nogi splątały się nieznacznie. Na sekundę zamknęła oczy, zaczerpnęła powietrza i napawała się odczuwalną różnicą między jego szorstką skórą opinającą twarde mięśnie i jej jedwabistą gładkością.

Powiodła dłońmi po jego ciele, pieściła je i badała, rozkoszując się nim bez cienia wstydu. I zapytała:

– Nim znów weźmiemy się do rzeczy, chciałam zapytać… Będziesz w stanie… zwolnisz, kiedy ci powiem?

– Ty chcesz zwolnić?

– Tylko na kilka chwil. Co do reszty… Wolałabym utrzymać nasze zwykłe karkołomne tempo. Znacznie bardziej do nas pasuje, nie uważasz?

Kiedy nie odpowiedział – kiedy w jego spojrzeniu dostrzegła podejrzliwość – roześmiała się.

– Nie, naprawdę. – Wsparła splecione ramiona o jego tors, rozkoszowała się napięciem, jakim zareagował na ten gest, po czym uśmiechnęła się do jego oczu. – Co powiesz? Zrobimy to po mojemu, ten jeden raz?

– Jeden raz?

Ryder bynajmniej nie miał pewności, czy to będzie raz. Albo czy ten jeden raz nie wpłynie na niego – na nich oboje – już na zawsze. Instynkt, o dziwo, nie przychodził mu z pomocą; z jednej strony ostrzegał, że na ścieżce, na którą wabiła go niczym syrena, czyha nań niebezpieczeństwo, i zalecał ostrożność, jeśli nie wręcz natychmiastowy odwrót, podczas gdy jednocześnie radził, by dać jej wszystko, czego sobie życzyła.

Tak naprawdę jednak Ryder nie miał wyboru. Pomimo świadomości ryzyka druga podpowiedź okazała się bezdyskusyjna.

– W porządku. Po twojemu. Ten jeden raz. Czyli…?

Jej uśmiech zajaśniał jak promień słońca. Przesunęła się wyżej i z roziskrzonymi oczami, pełna zapału, sięgnęła ku jego twarzy.

– Powiem ci kiedy.

Nachyliła się, przywarła wargami do jego warg – i na powrót cisnęła oboje w ogień.

Nie miał pojęcia, że płomienie były tak blisko. Spodziewał się, że ona w międzyczasie ochłonęła, że trochę potrwa, zanim… Ale nie. Wystarczył jeden pocałunek, by przemieniła się w jego ramionach w żywy ogień. I nie udało się zwolnić, kontrolować tej ognistej namiętności, szalejącej w nich pożogi pożądania. Pochłaniała oboje.

Raptem Mary przetoczyła się na plecy i szarpnęła go nagląco, choć podążyłby za nią i bez tego. Jej zachłanne palce szukały, znalazły, zamknęły się, gładziły łakomie. Ponaglały.

Zwolnić? Gdzie się podziało jej „zwolnisz”?

Rozwarła szeroko uda. Z przekleństwem przerwał pocałunek na chwilę na tyle długą, by sięgnąć między nie i ustawić się w pełnej gotowości.

Była bardziej niż mokra, na wskroś chętna i gotowa, o czym świadczyła desperacja, z jaką się go domagała. Sam również schwytany w pułapkę desperacji, leżąc na niej ciężko, nękany każdym jej ruchem, zacisnął dłonie na jej biodrach i ponownie zanurzył się w ognistą rozkosz jej ust.

Gwałtownie przerwała pocałunek.

– Teraz – wydyszała ochryple. – Teraz zwolnij!

Teraz?!

– Boże wszechmogący!

Wsparty na łokciach, zgrzytnął zębami i zacisnął szczęki tak mocno, że zdawało się, iż lada moment mu pękną. Usiłował oprzeć się przemożnemu przymusowi, by wedrzeć się w nią natychmiast.

Łapczywie zaczerpnęła tchu.

– Chcę się poczuć… Tam. Za pierwszym razem nie miałam okazji…

Tym wyjaśnieniem bynajmniej mu nie pomogła.

– Spróbuję – wychrypiał, a potem zamknął jej usta w jedyny skuteczny sposób.

I walczył, toczył prawdziwą bitwę, żeby dać jej to, czego pragnęła.

Wsunął się w nią minimalnie. Zadrżała – nie ze strachu, lecz z napięcia, które i jego przeniknęło do głębi, także przyprawiając o dreszcz. Dało mu siłę, by poważyć się na kolejny centymetr. A potem się zatrzymał. I znowu minimalnie naparł do przodu. Westchnęła mu w usta, a później przesunęła wargi na tyle, by wyszeptać:

– Och! Mój Boże. Tak!

Emocje, jakimi nasyciła ostatnie słowo, same w sobie były warte jego cierpienia.

Kiedy zaakceptował ten fakt, podobnie jak i to, że przystając na jej prośbę, istotnie dostarczył jej niewysłowionej przyjemności, jeszcze łatwiej przyszło mu kontynuować powolną penetrację.

Mary leżała pod nim, jej zmysły koncentrowały się na doznaniu jego twardości jak stal. Zagłębiał się w niej powoli, a teraz również bardziej miarowo. Wypełniał ją, w jakiś nie do końca zrozumiały dla niej sposób dopełniał.

Z wysiłkiem uniosła powieki. Miał zamknięte oczy, jego twarz wyglądała jak wyciosana w kamieniu, z rysami wyostrzonymi pożądaniem.

Napawała się wszystkim, co ten przepełniony doznaniami moment z nimi robił. Ich rozpalone oddechy zlewały się ze sobą.

Ostatnie pchnięcie i znalazł się w niej cały. Wypełniał ją całkowicie.

– Dziękuję – szepnęła. Na oślep poszukała jego głowy, zanurzyła palce we włosach, po czym dodała: – A teraz do dzieła. – I go pocałowała.

Namiętność eksplodowała. Wstrzymywana tak długo, rozszalała się bezlitośnie. Aż zawirowali w odwiecznym tańcu i wpadli prosto w ogień.

Pędzili ku szczytowi, ku radości.

Ich serca łomotały, głośno dyszeli. Połączeni, razem dążyli do celu, stęsknieni.

Podobnie jak on, znalazła się w pułapce namiętności, lecz jednocześnie pozostawała świadoma, była z nim, o wiele bardziej niż za pierwszym razem, zdolna odczuć, rozpoznać i docenić moc burzy, którą wywołali. Sprowokowali.

Gdy zmagali się zdyszani, czuła na skórze jego dłonie, miała rozkoszną świadomość, że przemawia do niej za pośrednictwem swego ciała, poprzez jej ciało, jej zmysły.

Żadne słowa nie wyraziłyby tej nierealnej rzeczywistości.

Kochali się.

Owinęła się wokół niego. I poszybowali. Napięcie implodowało. Doznanie wybuchło i zalało im żyły, wniknęło głęboko w ciała.

Ekstaza przeszyła oboje. Z ich gardeł wydobył się zgodny krzyk rozkoszy.

Poczuła, jak Ryder sztywnieje w jej ramionach, a jego gorące nasienie wnika w nią głęboko.

Poddała się. On także.

I spłynęło na nich błogosławieństwo ekstazy, tak ogromnie zmysłowe, że wycisnęło z jej oczu łzy.

Uczepiła się więc kurczowo tej chwili, ulotnej i cennej.

Potem, co nieuniknione, doznanie przyblakło, a jednak nawet kiedy odpuściła i z nim, połączonym z nią w sensie dalece wykraczającym poza fizyczność, zanurzyła się w morzu zaspokojenia, wiedziała, że ów moment ostatecznej, intymnej wspólnoty zawsze będzie istniał, zawsze będzie na nich czekał, bezpowrotnie z nimi związany.

Zaspokojona ponad miarę, z łagodnym uśmiechem padła w objęcia błogości.

Ryder osunął się na nią, zbyt zmęczony, by się poruszyć.

Zbyt wycieńczony, by myśleć, przejmować się czymkolwiek.

Niebezpieczeństwo istotnie na niego czyhało – i poległ.

Jego ostatnia świadoma myśl brzmiała: czy tak czuje się pokonany?

*

Nazajutrz Mary spotkała się z Ryderem dopiero wieczorem na balu; zamierzała dołączyć do niego później na Mount Street, on wszakże zasugerował, że skoro od ślubu dzielą ich zaledwie dni, być może powinni po prostu zaczekać.

– Zamiast niepotrzebnie się skradać – jak powiedział.

Mary trochę to zdziwiło, ale przystała na rozłąkę. Tej nocy.

Do ich ślubu pozostało zaledwie siedem dni.

Rankiem po zaślubinach Henrietty Mary znalazła się w wirze przygotowań do własnej uroczystości. Ryder odwiózł ją na Upper Brook Street przed brzaskiem; zaspokojona i zadowolona, padła na łóżko, ale matka obudziła ją wcześnie – o wiele wcześniej, niż Mary na to liczyła – aby przypomnieć jej o przymiarce sukni ślubnej. Jako że ta sama krawcowa dopiero co szyła suknię na ślub Henrietty, przymiarka służyła głównie temu, by ciotki Mary, żony jej kuzynów oraz kilka panien z młodszego pokolenia miały okazję

pozachwycać się perłami i koronką flamandzką, której warstwy składały się na delikatną kreację.

Lucilla i Prudence, najstarsza córka Demona i Flick, patrzyły na Mary roziskrzonymi oczami.

– Wyglądasz jak królowa wróżek – powiedziała Prudence.

Przyjrzawszy się sobie w dużym lustrze, Mary musiała przyznać dziewczynie rację.

Reszta dnia upłynęła w ferworze przygotowań. Ponieważ czasu było mało, każda z pań z rodziny podjęła się jakiegoś konkretnego zadania. Przez kolejne dwa dni Louise, Honoria, Patience i Alathea, wspierane przez jeszcze inne damy, zajęły się kwiatami, potrawami, winem i muzyką, rozsadzeniem gości w kościele i na weselnym śniadaniu, harmonogramem, powozami i dodatkową służbą. Ponieważ jednak ten ślub miał być znacząco większym wydarzeniem niż poprzedni, wspomniane zadania przybrały charakter niemal kampanii wojskowej, przy czym ciotka Mary, Helena, oraz Therese Osbaldestone przyznały sobie rolę autorytetów i ostatecznie rozstrzygały każdą kwestię niczym generałowie.

Służący nieustannie nosili między domami liściki zawierające wskazówki, pytania, sugestie i tym podobne.

Był to czas pełen ekscytacji, a za sprawą kilku przyjęć i balów, w których Mary bezwzględnie musiała wziąć udział – jako że sezon towarzyski trwał w najlepsze – minęły trzy wieczory, zanim zyskała szansę, by znów skupić się na Ryderze.

Widywała go co wieczór, na przyjęciach i balach wspierała się na jego ramieniu, ale w miejscach publicznych zachowywał się niezwykle oficjalnie. Dzięki swemu doświadczeniu i wynikłej z niego biegłości odparowywał każdy nazbyt zdecydowany gest Mary.

Od Stacie – która, jak wszyscy się zgodzili, powinna zostać jej drugą druhną – Mary usłyszała, że Rydera pochłonęły sprawy majątku. Pod gradem pytań Stacie przyznała, że poproszono ją o opinię w kwestiach związanych z przygotowaniem kilku rezydencji na przybycie nowej pani, jednak kategorycznie odmówiła ujawnienia szczegółów. Mary uznała, że może mu pozwolić na takie sekrety, lecz tego wieczoru, gdy odprowadził ją i jej matkę do domu i zostawiono ich w holu samych, by mogli się pożegnać, przeszyła go wzrokiem.

– Za godzinę – rzekła po prostu, a później z uśmiechem podała mu rękę.

Przez długą chwilę patrzył jej w oczy, aż wreszcie ujął jej dłoń i pocałował.

– Życzenie mej pani jest dla mnie rozkazem.

Spotkali się przy oknie, zabrał ją do siebie, a kolejne godziny okazały się niepohamowaną powtórką z poprzedniej schadzki. Co Mary przyjęła ze sporą ulgą – sprawy między nimi zaiste rozwijały się zgodnie z jej życzeniem.

Odprowadziwszy ją do domu, Ryder wycofał się do swego łóżka z pozostawioną w wielkim nieładzie pościelą, wyciągnął się na nim i zaczął dumać nad pułapką, w którą schwytała go fortuna. Mary uosabiała wszystko, czego pragnął u przyszłej żony – otrzymał nawet więcej. I właśnie na zmierzenie się z owym „więcej" nie był przygotowany. Przy tym narastała w nim pewność, że owo „więcej" stanowi cenę, jaką będzie musiał zapłacić, żeby dostać całą resztę. By pobłogosławiono go całą resztą. By pozwolono mu ją zatrzymać.

*

Napędzany niezrozumiałym impulsem, tak wcześnie, jak tylko wypadało, zaszedł na Upper Brook Street i prawie że uprowadził Mary na przejażdżkę po parku. Przewiózł ją parkową aleją i wysłuchał wieści na temat ostatnich przygotowań. W domu rodziców czekała ją ostatnia przymiarka sukni, której jemu nie wolno było zobaczyć pod groźbą śmierci, dopóki Mary nie pojawi się w niej w kościele.

Po powrocie do domu Ryder zajął się własnymi przygotowaniami, nadzorowaniem ostatnich detali. Następnie czekały go spotkania z Montagiem oraz Randem i Kitem, a później rozmaite rozrywki w gronie mężczyzn z rodu Cynsterów, tudzież inne, w towarzystwie bliskich przyjaciół, z Sandersonem włącznie.

Znając go tak dobrze, David spytał, jak tam rana. Ryder poinformował przyjaciela, że jego dzieło przeszło test bezbłędnie, czym wywołał znaczące uśmiechy zebranych.

*

– Z ogromną chęcią ubrałabym się na czarno. – Lavinia spoglądała gniewnie w lustro w swym buduarze. – Byłaby to stosowna deklaracja, jak zapatruję się na ten związek.

Claude Potherby z westchnieniem zamknął przeglądaną przez siebie gazetę.

– Mogę cię zapewnić, że nie tak by to odebrano.

– O? – Unosząc brwi, Lavinia odwróciła się do niego. – A niby jak?

– Jako skandal, moja droga, czego z pewnością byś sobie nie życzyła. – Claude ospale machnął ręką. – Oczywiście, przy założeniu, że w ogóle dostałabyś się do kościoła, gdyż przypuszczalnie jakiś Cynster prędko zapakowałby cię z powrotem do powozu. – Umilkł na chwilę, jakby kontemplował tę wizję. – Na twoim miejscu nie podejmowałbym takiego ryzyka. Poza tym bez wątpienia większą zemstą będzie twój kwitnący wygląd, a sama wiesz, że w czarnym nie jest ci do twarzy.

– Tak, masz rację. Nie myślałam o tym w ten sposób.

Nadal uśmiechnięty, Claude sięgnął po dzbanek z herbatą.

*

Powrót do stolicy Henrietty w towarzystwie rozpromienionego Jamesa sygnalizował początek ostatniego etapu, finałowy szaleńczy pęd do mety, jaką był ślub.

Mary podejmowała w ostatniej chwil mnóstwo decyzji – co oprócz kwiatów będą nieść jej druhny, czy do przypięcia welonu życzy sobie grzebień wysadzany perłami, czy diamentami, czy założy perły prababki… Udekorowane wstążkami srebrne podkowy, wysadzany perłami i tak, założy – brzmiały jej odpowiedzi, ale najwyraźniej niczego nie dało się rozstrzygnąć bez zasięgania opinii szerszego grona. Spodziewała się, że ją to zirytuje, okazało się jednak, iż w gronie rodziny i bliskich przyjaciół, otoczona nich miłością, jasno świadczącą o tym, że jej szczęście leży każdemu na sercu, z zadziwiającą łatwością znosiła ciągłe wtrącanie się w jej decyzje.

Jeśli zaś dziwiła się samej sobie – temu, jak się zmieniła, jak w ostatnich dniach i tygodniach nauczyła się bardziej cenić rodzinę, ze wszystkimi jej wadami – kilka skradzionych chwil z Ryderem, ciche rozmowy na temat przygotowań do ich przyszłego życia, jedynie wzmogły w niej to nastawienie, podkreślały bowiem, że po ślubie Mary ruszy dalej. W nieznane.

Wkrótce pozostawi swoją rodzinę i zacznie nowe życie, którego kształt określą z

Ryderem.

W takim właśnie nastroju, pełna dobrych myśli i optymizmu, przespała ostatnią noc jako niezamężna młoda dama.

Obudziła się nazajutrz w jasnych promieniach słońca. To dzisiaj przejdzie nawą jako panna młoda, a przy ołtarzu jej wybranek będzie czekał, by wziąć ją za rękę… Ledwie była w stanie udźwignąć radość.

Odrzuciła kołdrę i zadzwoniła po pokojówkę.

Rozdział 11

Dla całego Londynu ślub wielce szanownego Rydera Montgomery'ego Sinclaira Cavanaugha, markiza Raventhorne, wicehrabiego Sidwell, barona Axford, szeryfa Savernake, z Mary Alice Cynster tego pogodnego dnia w czerwcu 1837 roku był godnym uwagi widowiskiem, kiedy to eleganckie powozy zalały ulice Mayfair, a arystokraci i obwieszone klejnotami wielkie damy ukazali się oczom licznych gapiów. Kto przybył na tyle wcześnie, by zająć dogodny punkt obserwacyjny w pobliżu kościoła St. George, na Hanover Square i okolicznych ulicach, znalazł się pod wrażeniem już samej tylko liczby przybyłych na uroczystość wielmożów. Powozy, choć częściej stały, niż jechały, nadciągały ze wszystkich stron i dostarczały na miejsce kolejnych bogaczy na długo po tym, gdy – jak mogło się zdawać postronnym gapiom – w kościele zabrakło już miejsca.

Dla wyższych sfer ten ślub aspirował do tytułu najważniejszego spektaklu towarzyskiego roku. Podczas gdy wszyscy odnotowali niedawne przymierze pomiędzy Glossupami a Cynsterami, mało kto przewidział unię o znacznie większej strategicznej sile między Cynsterami a Cavanaughami. Połączenie dwóch rodów, których korzenie sięgały głęboko w przeszłość, a bogactwo i wpływy nie ulegały wątpliwości, poruszyło socjetę jak mało co; każdy, kto cokolwiek znaczył, chciał, by widziano go tego dnia na uroczystości.

Dla Mary dzień ślubu rozpoczął się cudownie, potem zaś było tylko lepiej. Po radosnym śniadaniu w rodzinnym gronie nastąpiła zawrotna krzątanina, gdyż wszystkich należało ubrać i dostarczyć na czas do kościoła.

Przy entuzjastycznych wiwatach tłumu gapiów ojciec pomógł wysiąść córce z przystrojonej białymi wstążkami karety. Mary wątpiła, czy kiedykolwiek jeszcze poczuje taką pełnię w sercu jak w chwili, gdy spojrzała ojcu w oczy, a potem wsparta na jego ramieniu dotarła przed kościół, gdzie czekały na nią druhny. Orszak sprawnie się uformował; statecznym krokiem zbliżył się do wielkich dwuskrzydłowych drzwi świątyni, które otworzyli Martin i Luc; muzyka wezbrała i poniosła Mary i cały pochód nawą – do miejsca, gdzie czekał mężczyzna, w którym rozpoznawała już „tego jedynego".

Kiedy stojący przy ołtarzu z przyrodnimi braćmi Ryder odwrócił się i zobaczył Mary, wspartą na ramieniu ojca i miarowo kroczącą z uśmiechem niezmąconej radości na ustach, wreszcie w pełni docenił, jak potężne zmiany szykują się w jego życiu. Serce w nim zamarło, i dopiero gdy ich spojrzenia się spotkały, znów zaczęło bić. Pod przejrzystym welonem jej oczy, intensywnie niebieskie, promienne, żywe, pełne entuzjazmu wydawały się błyszczeć jak nigdy wcześniej.

Gdy stanęła przy nim, wyciągnął ramię, a lord Arthur formalnie umieścił jej rękę w jego dłoni. Ryder zamknął jej smukłe palce w uścisku.

Oboje zaczerpnęli tchu i odwrócili się do ołtarza.

Ledwie słyszał słowa pastora, a tym bardziej hymny. W trakcie godzinnego nabożeństwa jego uwaga i każdy okruch świadomości pozostawały przy Mary; wszystko inne zdawało się zbyteczne, nieistotne. Jedynie przysięga odcisnęła się w jego umyśle; mówił mocnym głosem, wierząc w każde wypowiadane słowo, czuł, jak one w nim rezonują, słyszał też, jak Mary mu dźwięcznym tonem odpowiada.

Wreszcie pastor obwieścił, że zostali mężem i żoną, oraz zezwolił na pierwszy małżeński pocałunek. Odwrócili się ku sobie, ich spojrzenia się spotkały. Wspięła się na palce, by dzielić z nim słodki delikatny – jak na nich, niemożliwie cnotliwy – pocałunek.

Z mężczyzną, którego uznała za poszukiwanego przez siebie wybranka.

Potem odwrócili się do zgromadzonych – gotowi stawić czoło światu.

Zaufanie, siła, poczucie jasnego celu, pewność – wszystko to mieli w swoich sercach i umysłach, kiedy ruszyli nawą do wtóru ogłuszających braw.

Ich podróży w otwartym powozie na krótkim odcinku do Brook Street i stamtąd do St. Ives House przy Grosvenor Square towarzyszyły wiwaty i gwizdy zebranej na trasie gawiedzi, jak również, za sprawą przyrodniego rodzeństwa Rydera, grad ryżu i kwiatów. Ta sama żywiołowa radość przenikała tłum gości zebranych na weselnym śniadaniu. Mowy i gratulacje płynęły nieprzerwanym strumieniem, musowały niczym wyborny szampan. Ślubny walc, gdy w końcu nastąpił, wydawał się błogosławieństwem.

Później w otoczeniu krewnych opuścili dom i po szerokich stopniach zbiegli do karety, która miała zabrać ich na wieś, do opactwa Raventhorne, gdzie zaczną wspólne życie.

Szczery zachwyt Mary tą perspektywą odzwierciedlał jego własny. W nowej, fioletowoniebieskiej sukni podróżnej, z oczami lśniącymi szczęściem i z uśmiechem nieskrępowanej radości na różanych wargach wyglądała jeszcze bardziej oszałamiająco niż zwykle.

W końcu zdołał jej pomóc wsiąść do karety, podążył za nią i zamknął drzwi, odcinając ich od wiwatów i nawoływań. Mary umościła się na siedzeniu. Potem wyjrzała przez okno powozu i z promiennym uśmiechem pomachała weselnikom.

– Wszyscy są tacy szczęśliwi! – powiedziała. – Głównie dlatego ten dzień jest taki cudowny: nie zauważyłam ani jednej twarzy, na której nie malowałaby się radość.

Wreszcie ruszyli, z przyczepionymi wedle zwyczaju do powozu starymi butami oraz łopatą. Słysząc ścigający ich po bruku jazgot, kołyszący na fali radości Ryder uśmiechnął się, popatrzył Mary w oczy, skinął głową i pozostawił tę uwagę – ogólnie biorąc zgodną z prawdą – bez komentarza. Nie widział powodu, by psuć nastrój wzmianką o swej macosze.

Kiedy odjeżdżali, Lavinia stała w tłumie na schodach, a jej twarz z pewnością nie wyrażała szczęścia, co skądinąd niewiele Rydera obeszło. Przeniósł się na miejsce obok Mary i złożył pocałunek na jej dłoni.

– Teraz możemy się odprężyć – rzekł – przynajmniej na te kilka godzin, jakie zajmie podróż do opactwa.

Mary zamruczała i wtuliła się w swojego właśnie poślubionego męża.

*

Z ustami zaciśniętymi w kreskę, która zadawała kłam neutralnemu wyrazowi twarzy, wsparta na ramieniu Claude'a Potherby'ego, Lavinia została zagarnięta przez tłum gości wracających na salę balową St. Ives House. Wtedy to dotarły do niej słowa tej starej wiedźmy, lady Osbaldestone, idącej nieco z przodu.

– Przypuszczam, że wkrótce w tych niedorzecznych księgach w klubach dla dżentelmenów pojawi się mnóstwo zakładów co do narodzin dziedzica Rydera.

– Bez wątpienia – odparła lady Horatia Cynster. – I równie niewątpliwie najczęściej typowaną datą będzie ta dziewięć miesięcy od dzisiaj.

Kilka innych dam się roześmiało.

Lavinia mocniej zacisnęła usta. Lecz wtedy Claude chwycił jej dłoń. Napomniana, gdzie się znajdują, zdusiła w sobie emocje i wygładziła oblicze.

*

Mary poczekała, aż zostawią za sobą przedmieścia Londynu, nim zaczęła wprowadzać w życie koncept, który z minuty na minutę bardziej ją kusił, odkąd dowiedziała się o tej przeszło pięciogodzinnej podróży do swego nowego domu.

Opactwo Raventhorne leżało za Hungerfordem; ustalili, że opuszczą weselne śniadanie na tyle wcześnie, by zobaczyła dwór po raz pierwszy jeszcze za dnia. Mieli zatem przed sobą długie godziny jazdy w dobrze resorowanej karecie podróżnej Rydera, po przyzwoitych drogach – znała te okolice aż do Reading, nie ciągnęło jej więc do podziwiania widoków.

Stangret zatrzymał się tylko raz, kiedy zniknęli z oczu gościom w St. Ives House, i usunął przedmioty przyczepione z tyłu pojazdu. Mary wymieniała z Ryderem uwagi na temat uroczystości, osób, które na nią przybyły i kilku innych zaobserwowanych faktów. Przenikliwość i spostrzegawczość nie były obce żadnemu z nich. Informacja była potęgą; oboje to rozumieli.

W końcu jednak temat się wyczerpał i zapadła przyjemna cisza.

Mary nie podróżowała jeszcze tą karetą, toteż była pod wrażeniem jej nowoczesnego stylu oraz luksusowych detali, jak mosiężne zamki przy oknach i ich chowane przesłony czy przepyszne siedzenia obite ciemnoniebieską skórą. Zachwyty nad tymi udogodnieniami nie zaprzątnęły wszakże jej uwagi na długo, kiedy więc minęli Hounslow i stangret popędził konie przez wrzosowiska, uznała, że pora przedstawić Ryderowi jej kuszący pomysł. Podniosła się nieznacznie i niby tracąc równowagę, opadła mężowi na kolana.

Złapał ją, a wtedy usadowiła się wygodniej – twarzą do niego, dzięki czemu mogła z uśmiechem wesprzeć się ramionami o jego barki, by tym lepiej przedyskutować z nim swój nęcący koncept. Ryder uniósł brew. Spodziewał się czegoś w tym guście, ale nie zamierzał sam inicjować zdarzenia. Jeszcze nie wykoncypował, dokąd wiodła droga, którą Mary go wabiła, a potyczki w rodzaju tej, jaką ewidentnie miała w tej chwili na myśli, jedynie zabierały go dalej w nieznane. Nie opierał się, gdyż opór byłby daremny.

Bynajmniej nie łagodziło to narastającej w nim nieufności.

W którymś momencie pojął wreszcie, że Mary była jego losem.

Należała teraz do niego, lecz jeśli chciał ją zatrzymać, musiał zapłacić żądaną przez nią cenę.

Zaglądała mu bacznie w oczy, a później przesunęła po ustach koniuszkiem języka.

Jęknął w duchu i spróbował nie reagować w sposób nazbyt oczywisty.

Widocznie jednak coś poczuła, ponieważ blask w jej oczach stał się o ton intensywniejszy, a uśmiech – minimalnie szerszy.

– Pomyślałam sobie – wymruczała, opuszczając wzrok na jego usta – że skoro jesteśmy skazani na długą i raczej nudną podróż, moglibyśmy spróbować ożywić ją jakąś przygodą.

– Przygodą…

– Mhm. Wyprawą badawczą, która pozwoli ocenić, co takiego można uczynić w

ciasnej karecie podróżnej. – Znów popatrzyła mu w oczy. – Na pewno odbywałeś już podobne ekspedycje, lecz ja nie. – Nachyliła się ku niemu. – Dlatego chyba powinieneś mi pokazać, co i jak.

Uwięziony w jej oczach, schwytany – bez żadnego wysiłku z jej strony – w jej sieć, usłyszał samego siebie, jak przyznaje:

– Prawdę mówiąc, nigdy dotąd… nie folgowałem sobie w powozie.

Jej oczy rozwarły się szeroko.

– Nigdy? Ani razu?

Pokręcił głową.

– Jakoś nie nadarzyła się sposobność.

Rozpromieniła się jeszcze bardziej, zachwycona i pełna zapału.

– To nawet lepiej. Poprowadzimy więc tę ekspedycję razem, będziemy się uczyć i odkryjemy wszystko, co jest do odkrycia. A skoro o tym mowa. – Sięgnęła do jego halsztuka.

Pochwycił jej dłonie.

– Nie. To jedno akurat wiem na temat tego typu przygód. Ubrania zostają.

– Tak?

Już miał przytaknąć, ale się zawahał.

– No dobrze, moje zostają. Twoje – wbił wzrok w jej piersi – w mniejszym lub większym zakresie.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem się roześmiała. Instynkt podpowiadał Ryderowi, że ukazująca mu się w takich momentach kobieta to prawdziwa ona, ta Mary Cynster, która zamieszkiwała wewnątrz tej apodyktycznej, pragmatycznej, skłonnej do dominacji.

Kobieta bezgranicznie ciepła i zmysłowa.

– Doskonale, milordzie. Pan prowadzi, ja słucham wskazówek. A zatem. – Nachyliła się bliżej, aż jej wargi znalazły się tuż przy jego ustach, i szepnęła: – Do dzieła.

Nie oparłby się pokusie, choćby od tego zależało jego życie. Wolno, z rozmysłem przeciągnął dłonią w górę wzdłuż jej pleców, aż wreszcie ujął od tyłu jej głowę.

Unieruchomił ją, pokonał ostatnie dzielące ich centymetry, po czym objął jej usta we władanie.

*

Kilka godzin później, kiedy Mary, błogo nasycona, drzemała bezpiecznie w jego ramionach, Ryder uzmysłowił sobie, że uśmiecha się beztrosko bez żadnego konkretnego powodu.

Mówiła o przygodzie i ani chybi takową właśnie przeżyli; Mary dorównywała mu pomysłowością, a przy tym była znacznie lepiej przygotowana i skora do eksperymentowania, niżby się tego spodziewał po młodej damie z wyższych sfer.

Nieustannie dawała mu wszystko, czego chciał, wszystko, na co liczył, i jeszcze więcej.

Na pewno nie oczekiwał tyle śmiechu, swawolnej zabawy, z której oboje czerpali przyjemność, pełnej kokieterii, pobudzającej, ani też nagłego ukłucia namiętności doprawionej tęsknotą i pożądaniem, które nimi zawładnęły. Uzmysłowili sobie, że to ich pierwsza tego rodzaju chwila jako męża i żony.

W jeszcze mniejszym stopniu przewidział niewiarygodną bliskość, jaka nastała

później, kiedy Mary przyłożyła mu dłoń do policzka, pocałowała go i razem przekroczyli wszelkie granice, wszelkie zahamowania, pozwolili żywiołowej namiętności rozwinąć się, a następnie przejąć dowodzenie.

Z żadną inną kobietą nie doświadczał tego, co z nią.

Czegoś tak potężnego, tak złożonego. Nie potrafił należycie opisać wszystkiego, co odczuwał za jej sprawą. Nie był pewien, co to dla niego oznacza, jednak na tej drodze, którą już ruszył, nie dostrzegał żadnych zakrętów.

Kiedy nuty rozmarynu i cytryny z jej włosów połączyły się z unoszącą się nadal w karecie wonią ich niedawnej namiętności i otuliły go kojąco, pogodził się z myślą, że nie ma innego wyboru, jak tylko poddać się losowi.

Iść z nią naprzód, przekonać się, co z tego wyniknie, i pokładać ufność w obojgu, że podołają wyzwaniom.

*

Do opactwa Raventhorne przybyli na moment przed tym, jak słońce skryło się za horyzontem. Spore połacie posiadłości, od północy graniczącej z puszczą Savernake, były gęsto zalesione. Trzykondygnacyjny rozłożysty dwór w pełni ukazał się ich oczom, dopiero kiedy kareta wyjechała spod osłony masywnych dębów rosnących wzdłuż części alei dojazdowej. Dalej nic już nie ograniczało widoku, aleja wiodła skrajem rozległego południowego trawnika na wysypany żwirem dziedziniec przed schodami, które prowadziły do imponujących frontowych drzwi.

Ryder wiedział dokładnie, jak zachodzące słońce będzie ozłacało jasny kamień i połyskiwało w licznych gomółkowych oknach. Mimo to w normalnych okolicznościach prześlizgiwałby się wzrokiem po masywnej konstrukcji, dachu z licznymi wieżyczkami, wyrastającej za nimi kopule świetlika nad westybulem, odczuwając satysfakcję z tego, że patrzy na swoją własność, na coś, co najbardziej precyzyjnie go określa; dziś wszakże inny widok całkowicie zajął jego uwagę.

Obserwował twarz Mary, kiedy po raz pierwszy ujrzała swój przyszły dom – rezydencję, która będzie ich główną siedzibą, ich prawdziwym miejscem na ziemi.

Co jeśli dwór jej się nie spodoba?

Nim zdążył się zaniepokoić na dobre, czysty zachwyt na twarzy żony wlał spokój w jego serce. Z zachłannym, pełnym entuzjazmu zainteresowaniem nachyliła się do okna, żeby lepiej chłonąć widoki. Kiedy kareta zwolniła, żeby skręcić na dziedziniec, Ryder również wyjrzał przez okno. Chociaż niektórych elementów dawnego opactwa nie zmieniano od wieków, fasadę odnowiono w stylu palladiańskim, tak uwielbianym przez pokolenie jego dziadka. Rezultat okazał się wart zachodu; nawet Ryder, choć oglądał dwór regularnie, był pod wrażeniem. Zgodnie z jego zaleceniem cała służba, wystrojona na powitanie nowej markizy, ustawiła się w długim szeregu ciągnącym się od środka dziedzińca przez schody aż na portyk. Kiedy kareta zatrzymała się wreszcie, Ryder poczekał, aż stangret zeskoczy na ziemię i ceremonialnie otworzy drzwi karety, a następnie wysiadł i podał Mary rękę. Przyjęła ją, lecz się zawahała.

– Wszystko jest jak należy – rzekł cicho, zrozumiawszy, w czym rzecz. – Wyglądasz doskonale.

Po ich przygodzie zasznurował jej suknię i pomógł uporządkować włosy.

Zaczerpnęła powietrza, mocno chwyciła dłoń Rydera i wysiadła. Oto wreszcie znalazła

się w sytuacji ze swych marzeń – zaraz wejdzie do własnego domu, gdzie powita ją służba, którą od tej pory będzie zawiadywać. Wolną ręką strzepnęła spódnice, uniosła głowę i utkwiła wzrok w postawnym kamerdynerze, czekającym na początku szeregu. Ryder poprowadził ją ku niemu.

– Moja droga, pozwól, że przedstawię ci pana Forsythe'a. Pełni tu funkcję kamerdynera, odkąd byłem brzdącem.

Choć Forsythe silił się, by zachować powagę, twarz rozjaśnił mu uśmiech.

– Witamy w opactwie Raventhorne, milady. – Ukłonił się, po czym kontynuował: – W imieniu całej służby witam panią w nowym domu, jak również pragnę wyrazić szczerą nadzieję, że pani rządy tutaj będą długie i szczęśliwe.

– Dziękuję, panie Forsythe. Ogromnie się cieszę – odparła Mary, patrząc po zebranych – że tu jestem, że wasz pan wybrał mnie na swoją markizę. – Spojrzała na kamerdynera i wskazała, żeby szedł pierwszy. – Zechciałby pan?

Skinąwszy krótko głową, Forsythe ruszył przodem, przystając przed kolejnymi członkami personelu, aby ich przedstawić i w kilku słowach opisać pozycję i obowiązki w domu.

Gospodyni, pani Pritchard, okazała się chudą kobietą w nieokreślonym wieku, sztywno wyprostowaną, ale z iskierkami w szarych oczach; po powitaniu i krótkiej rozmowie Mary poczuła uzasadnioną nadzieję, że ich relacje – przypuszczalnie najistotniejszy czynnik sukcesu jej rządów jako markizy – rozwiną się pomyślnie. Jeśli prawidłowo rozszyfrowała panią Pritchard, gospodyni zaakceptowałaby każdą damę, na którą padłby wybór Rydera. Następny był Collier; Mary powitała go z nieskrywaną przyjemnością. Jej osobista pokojówka, Aggie, stała obok, tak rozpromieniona, jakby lada moment miała eksplodować. Aggie opuściła Upper Brook Street zaraz po ceremonii i pojechała do opactwa innym powozem Rydera, wraz z Collierem i całym bagażem. Chociaż dziewczyna nie wyraziła tego słowami, z jej roziskrzonych oczu Mary wyczytała, że jest zachwycona nowym stanowiskiem i nowym domem. Podążając za Forsythe'em wzdłuż szeregu, podczas gdy Ryder kroczył za nimi, Mary prędko zdała sobie sprawę, że to na niej, a nie na jej mężu skupia się uwaga służby. Rydera ci ludzie znali na tyle dobrze, by nie przejawiać przy nim śladu skrępowania; zaciekawiona, przeanalizowała wnikliwiej ich nastawienie i wywnioskowała, że tutejsi służący dawno już się nauczyli, iż ich pan to los wygrany na loterii.

Jako że odprężenie udzieliło się nawet młodym stajennym i posługaczom, powiedziało jej to całkiem sporo o Ryderze. Ryderze, który mieszkał tutaj, z dala od socjety i sztywnych wymogów związanych z pozycją markiza.

Szukała też jakichkolwiek negatywnych reakcji służby na fakt, że oto pojawiła się w jego życiu. Pierwotnie zakładała, że znajdzie się choć jedna osoba nieszczególnie uszczęśliwiona jej przybyciem, jednakże zauważyła jedynie przychylne zainteresowanie nową markizą.

Kiedy dotarła do zamykającej szereg pomywaczki, uśmiechnęła się do dziewczyny zachęcająco i weszła na portyk u szczytu schodów. Tu się odwróciła.

– Dziękuję, panie Forsythe – powiedziała, a następnie skinęła głową gospodyni, która przyłączyła się do nich. – Pani Pritchard. – Uniosła głowę i kontynuowała głośniej: – Dziękuję wam wszystkim za ciepłe powitanie. Mam nadzieję, że czeka nas w tym domu wiele lat udanej współpracy, która przyczyni się do rozkwitu rodu Cavanaughów.

Przez schody przetoczył się chór entuzjastycznych okrzyków „Tak, milady!", „Oczywiście, milady!", „Dziękujemy, milady!", któremu towarzyszyły ukłony i dygnięcia.

– Dziękujemy pani. – Pani Pritchard uśmiechnęła się promiennie. – A teraz, jeśli wyraża pani zgodę, przesunęliśmy obiad na dziewiątą, zakładając, że zechce pani obejrzeć swoje nowe pokoje i się zadomowić, jeśli jednak wolałaby pani spożyć posiłek wcześniej…

– Nie, nie. – Mary zerknęła na Rydera. – Z chęcią najpierw obejrzę pokoje. Proszę łaskawie przekazać kucharce, że dziewiąta będzie idealna.

– Wobec tego, moja droga, pozwól, że zaprowadzę cię na górę – odezwał się w końcu Ryder.

Z uśmiechem przyjęła jego ramię.

Odczuwał mieszankę dumy i subtelnego podekscytowania, których nie doświadczył chyba od czasów chłopięcych, a także, przede wszystkim, proste szczęście. Dostał to, czego chciał; Mary była jego żoną i znalazła się w miejscu, które uważał za swój dom.

Poprowadził ją szerokimi schodami. Na podeście stały dwie zbroje.

– Nawiasem mówiąc, niech ci nie przyjdzie na myśl się ich pozbywać: to duma i radość Forsythe'a – zauważył.

Przystanęła, żeby przyjrzeć się zbrojom dokładniej; po chwili ruszyli kolejnym ciągiem schodów.

– Moim zdaniem tu pasują. Domyślam się, że należały do twoich przodków?

– Tak mi mówiono. Ale zachowałem sceptycyzm. Wydają się trochę przyciasne jak dla Cavanaughów.

Roześmiała się. Chwycił jej dłoń i ruszyli galerią, a potem dalej szerokim północnym korytarzem.

– To jest skrzydło rodzinne. Nasze apartamenty mieszczą się na końcu korytarza i po obu jego stronach, ale główne wejście znajduje się na wprost. – Kiedy tam dotarli, pchnął drzwi, które otworzyły się na oścież. – I prowadzi do bawialni markizy.

Zajrzała do środka i jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Och, milordzie! – Mary zakręciła piruet na środku pokoju. – Te kolory… są idealne!

Srebrzysty błękit kontrastował z charakterystyczną dla niej chabrową barwą uwypuklaną przez pas ciemnego fioletu; te trzy kolory w różnym natężeniu łączyły się na pokrywających ściany jedwabiach, obiciach bliźniaczych sof oraz rozmaitych krzeseł i foteli, a wreszcie odbijały się echem w ciemniejszej wersji podobnego wzoru na długich zasłonach, aktualnie podwiązanych, by światło mogło wlewać się do pokoju przez dwa wysokie okna. Pomiędzy nimi stał niewielki sekretarzyk, a na nim fantazyjna lampa, w której również wykorzystano motyw liści. Zestaw kryształowych kałamarzy i pięknych piór z kości słoniowej czekał gotów do użycia obok oprawionego w niebieską skórę bibularza.

Wszystkie drewniane meble – komody pod ścianami, niski stolik między sofami, ramy samych sof – wykonano z dębu wykończonego na złoty jasny brąz, z patyną, która wręcz się dopraszała o dotknięcie. Kiedy Mary krążyła po pokoju, przeciągając palcami to po tej, to po innej powierzchni, pełna podziwu dla subtelnych detali w rodzaju zegara na kominku – prostej złotej tarczy w oprawie delikatnych złotych liści – coś sobie uświadomiła. Odwróciła się do Rydera.

W międzyczasie zamknął drzwi, ale nadal stał przy nich, śledząc jej poczynania

– Kazałeś zrobić to wszystko. – Idealnie dobrane pod jej gust kolory nie pozostawiały co do tego wątpliwości. – W zaledwie… – policzyła szybko – …piętnaście dni. – Rozejrzała się z pełnym podziwu zdumieniem. – Zdołałeś tyle dokonać.

Wiedziała, z czym się to wiązało. Jakich wymagało wydatków, ale też organizacji.

Nieznacznie wzruszył ramionami i podszedł do niej.

– Wybór kolorów okazał się prosty, a co do reszty… – Rozejrzał się. – W twoich pokojach w Raventhorne House nadal trwają prace wykończeniowe, ale te tutaj – machnięciem ręki wskazał drzwi po swojej lewej – sypialnia i pozostałe są gotowe.

Nie trzeba jej było drugi raz zapraszać – podbiegła prosto do wskazanych drzwi. Na przeciwległej ścianie na tej samej wysokości znajdowały się drugie, identyczne; założyła, że prowadzą do jego sypialni. Otworzyła te, do których ją skierował, i weszła do środka, świadoma, że Ryder obserwuje i ocenia jej reakcje, czerpiąc satysfakcję z jej zadowolenia.

Z łatwością przyszło jej okazanie radości. Wielkie łoże z baldachimem wykonano z mocnego, lecz delikatnie rzeźbionego dębu; dominował tu ten sam roślinny motyw. Zastosowano podobne jak w bawialni materiały i wzory. Srebrzystobłękitne prześcieradła z doskonałej satyny przykryto kapą z satyny cięższej, gęściej tkanej, oddającej wzór tapicerki, przy czym niektóre ze stosu poduszek były wyszywane w ciemniejszych odcieniach.

No i te okna. Dwa, wysokie i wąskie, wychodziły na północ; dwa kolejne, po bokach łóżka, niemal równie wysokie, były szersze. Podeszła do jednego i wyjrzała na zewnątrz.

– Ogród różany – rzekł Ryder i stanął za nią.

Był czerwiec. Wielkie zadbane krzaki dawno okryły się liśćmi, pąki zaczynały się rozwijać, pstrząc ciemną zieleń plamami nasyconego różu, oranżu, bieli i głębokiej czerwieni. Między rabatami biegły kamienne ścieżki, a w centralnym punkcie kwadratowego ogrodu stała kamienna fontanna.

– Ktoś wykonał doskonałą robotę, projektując ten ogród. – Obejrzała się przez ramię na Rydera. – Twoja macocha?

Pokręcił głową.

– O ile mi wiadomo, Lavinia nigdy nie przejawiała szczególnego zainteresowania ogrodami. Mój główny ogrodnik, starszy niż Matuzalem, twierdzi, że stworzyli go wspólnie z moją matką. – Zawahał się. – Mimo że umarła, kiedy byłem mały, pamiętam, iż najbardziej lubiła ten właśnie ogród. Jeśli akurat przebywała na zewnątrz, zawsze mnie do niej zanoszono. Siadywała na tamtej ławce przy końcu ścieżki.

Mary przyjrzała się ławce i bez trudu odgadła, jaki rozciąga się z niej widok na dom.

– W Somersham Place jest ogród różany odrobinę podobny do tego… I stoi w nim podobna ławka. – Z szerokim uśmiechem spojrzała na Rydera. – Być może to jeden z obowiązkowych elementów w głównych rezydencjach wielkich rodów.

– Raczej przejaw wpływu co poniektórych dam.

Zachichotała i skierowała się do drzwi do kolejnego pomieszczenia; tak jak przypuszczała, kryła się za nimi gotowalnia.

Wspaniała gotowalnia, duża i przestronna, z szeroką toaletką ustawioną między parą niewielkich okien, licznymi komodami i dwiema szafami. W jednej wisiały już suknie Mary, w drugiej jej halki i szale.

– To pomieszczenie – stwierdziła, obracając się powoli wokół własnej osi – bardziej przypomina buduar.

Ryder wzruszył ramionami, dołączając do niej.

– Lavinia wykorzystywała je w ten sposób. Zwykła widywać się z dziećmi raczej tutaj niż w bawialni. Dzięki temu nie ryzykowała, że mój ojciec wejdzie znienacka albo ją podsłucha. Zgodnie z cichym porozumieniem to był wyłącznie jej pokój, on zaś nie niepokoiłby jej tu bez zaproszenia.

– Przeszkadza ci, że te pokoje należały kiedyś do Lavinii? – spytała, zaglądając mu w

oczy. – Że zastąpiła twoją matkę tutaj – wykonała gest – w apartamencie markizy?

Nie próbował zrobić uniku. Ponieważ patrzył jej w oczy, widziała, jak analizuje swoje odczucia. Po chwili zastanowienia uśmiechnął się. Skoncentrowawszy się znów na niej, pokręcił głową.

– Nie. W rzeczy samej… podejrzewam, że między innymi dlatego tyle radości sprawiło mi urządzanie tych pomieszczeń dla ciebie, zacieranie wszelkich śladów Lavinii, i dlatego też tak mnie cieszy… że jesteś tu szczęśliwa.

Patrząc mu w oczy, także się uśmiechnęła, równie szczerze.

– Jestem bardzo szczęśliwa.

A nawet bardziej z powodu tego, że odpowiedział jej otwarcie. Wspięła się na palce, dla zachowania równowagi wsparła dłoń o jego policzek, po czym delikatnie pocałowała go w usta.

Kiedy nie odwzajemnił pocałunku, cofnęła się i, skonfundowana, pytająco przekrzywiła głowę.

Kąciki warg drgnęły mu w uśmiechu.

– Zanim inne sprawy zaprzątną naszą uwagę, chciałbym coś ci dać.

– Jeszcze więcej?

W odpowiedzi podszedł do toaletki. Jej szczotki i grzebienie, pudełko z ozdobami do włosów oraz kasetka z biżuterią spoczywały na blacie w schludnym porządku, odbijając się w potrójnym lustrze. Ryder wysunął wąską szufladkę spod blatu i wyjął z niej obite aksamitem puzderko. Odwrócił się.

– To dla ciebie.

Zachwycona, sięgnęła po nie niecierpliwie, otworzyła i gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Och! – Jedynie na tyle było ją stać; słowa nie zdołałyby należycie opisać tego, co zobaczyła. – Ależ to jest bajeczne, niesamowite, przepiękne!

W niemym zachwycie wpatrywała się w komplet złożony z naszyjnika, bransoletki i kolczyków.

Ryder poczuł, jak w nim samym narasta zachwyt. Sięgnął do puzderka i wyjął spoczywający na białym aksamicie naszyjnik.

– Będę pamiętał, żeby podarować ci biżuterię, kiedy zapragnę ponownie zobaczyć cię w stanie oszołomienia.

– Och – szepnęła – ale to nie jest po prostu biżuteria. To fantazja przełożona na język klejnotów. – Odwróciła się plecami do niego. – Załóż mi go. Muszę się w nim zobaczyć.

Jej radość była zaraźliwa. Z szerokim uśmiechem spełnił jej prośbę.

Stanęła przed lustrem, z ekscytacją przyglądając się swemu odbiciu, delikatnie dotknęła naszyjnika opuszkami palców. Misterne dzieło z diamentów i fioletowoniebieskich szafirów prezentowało się imponująco. Diamenty ujęte w liście i płatki kwiatu ze szlachetnego metalu, zawieszone na pięknym jubilerskim drucie wokół odcinających się barwą szafirów… Te ostatnie, wielkie i jaskrawe, jako środek każdego kwiatu były wprawione w zasadnicze ogniwa łańcucha, podczas gdy rozedrgane diamenty tworzyły dla nich delikatną połyskliwą oprawę.

Podniosła wzrok i w lustrze popatrzyła Ryderowi w oczy. Później okręciła się na pięcie i padła mu w ramiona. Złapał ją ze śmiechem; odłożyła puzderko, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała.

Przez długie minuty poprzez zwykły pocałunek dzielili się esencją myśli i uczuć, czynili aluzje do pragnień i potrzeb.

Zegar dźwięcznie wybił godzinę, przywołując oboje z powrotem do rzeczywistości.

Przerwali, ale pozostali spleceni ze sobą. W jej oczach malowało się głębokie zadowolenie, jakby po raz pierwszy nie widziała powodu do pośpiechu, dostrzegała za to mnóstwo powodów, żeby napawać się tą chwilą. Wreszcie na jej wargach, nieznacznie opuchniętych od pocałunku, pojawił się uśmiech. Odsunęła się od Rydera. Wypuścił ją z niechęcią.

– Pójdź, milordzie, i pomóż mi przystroić się w twe dary. – Wzięła z toaletki bransoletkę i podała mu ją. – A potem udamy się na nasz pierwszy obiad.

Z uśmiechem, który stanowił odbicie jej uśmiechu – zadowoleniem będącym odbiciem jej zadowolenia – Ryder postąpił zgodnie z rozkazem.

*

Obiadowi, w odczuciu Mary, nie dało się absolutnie niczego zarzucić. Chociaż dzieliła ich długość stołu, przynajmniej był to mniejszy stół, w jadalni rodzinnej, nie zaś liczące sobie z górą piętnaście metrów monstrum w jadalni reprezentacyjnej, przy czym żadne z nich dwojga nie było na tyle nierozsądne, by zasugerować przenosiny Mary na miejsce po lewej ręce Rydera – nie w sytuacji, kiedy służbę najwyraźniej poinstruowano, żeby przy pierwszym posiłku w nowym domu usługiwała oboje z należytą pompą i ceremoniałem.

Dania przedstawiały wyborną kombinację lekkości i smakowitej obfitości. Podczas kiedy on usiłował sprawiedliwie rozprawić się z darami kucharki, Mary gawędziła, tuląc w dłoniach kielich z winem – wspominała różne momenty ceremonii ślubnej i późniejszego śniadania, opisywała sceny, których mógł nie zaobserwować, zdarzenia, które mogły umknąć jego uwagi.

Stół pomieściłby bez trudu dwanaście osób, ale Mary nie miała problemu z wystarczająco głośnym komunikowaniem się, by być słyszaną przez męża.

Odnotowała w pamięci, że dwaj lokaje, którzy stali plecami zwróceni do ściany niczym posągi, jak również czekający za krzesłem Rydera Forsythe, słuchają chciwie, bez wątpienia notując w myślach, żeby później podzielić się informacjami z resztą personelu. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, podkoloryzowała opisy; tak że w pewnej chwili Ryder posłał jej skonfundowane spojrzenie. Ale gdy uśmiechnięta wskazała mu wzrokiem lokaja po jego prawej, zrozumiał, w czym rzecz.

Jako potężny mężczyzna jadł dużo. Kiedy jednak wreszcie zaciągnięto story i Mary uniosła brew w milczącym pytaniu, czy jej mąż zamierza teraz w osamotnieniu delektować się brandy, z uśmiechem rzucił na stół serwetę, wstał i podszedł do niej, akurat kiedy lokaj odsunął dla niej krzesło.

Ryder ujął jej ramię i zaproponował:

– Chodź, pokażę ci salon.

Był to ogromny komfortowy pokój, w miarę modnie umeblowany, choć tutaj, na wsi, priorytet stanowiły względy praktyczne i wygoda.

– To ciepłe miejsce, i nie mówię o temperaturze – rzekła cicho, po czym z uśmiechem odwróciła się do Rydera. – Przyjazne, zachęca do odprężenia.

– Chcesz tu usiąść? – spytał.

Omiotła wzrokiem salon i znów spojrzała na Rydera.

– Wiem, że pani Pritchard zabierze mnie jutro na, że tak powiem, oficjalny obchód, ale

może oprowadziłbyś mnie szybko po pokojach na dole.

Niecierpliwiła się, by odnaleźć jego miejsce – pomieszczenie, w którym szukał schronienia, ilekroć przebywał w tym domu – i to najchętniej bez pytania go wprost.

Chętnie spełnił jej życzenie i pokazał pokój poranny oraz salonik przy ogrodzie. Kilka minut spędzili w jadalni reprezentacyjnej, gdzie zaspokajał ciekawość Mary w kwestii swych przodków spoglądających z licznych portretów. Zajrzeli do biura majątku oraz gabinetu Rydera zaraz obok – zbyt schludnego, wedle oceny Mary, żeby służył mu za główną kryjówkę. W końcu jednak Ryder wprowadził ją do biblioteki i od razu zrozumiała, że odkryła jego miejsce. Długi pokój rozplanowano podobnie jak bibliotekę w londyńskiej rezydencji, z pełnymi książek regałami wzdłuż ścian, masywnym kominkiem, trzema wysokimi podwójnymi oknami naprzeciw oraz ciężkim biurkiem rozpartym dostojnie w dalekim końcu pomieszczenia. Przed kominkiem ustawiono dwie długie sofy i cztery miękko wyścielane fotele, a bliżej wejścia okrągły stół biblioteczny ofiarował miejsce do przeglądania oprawnych w skórę tomów. W kącie stała drabina, która zapewniała dostęp na biegnącą wokół pokoju galerię z kolejnymi księgami.

Mary zadarła głowę i okręciła się wolno, chłonąc wzrokiem malowidła na panelach wysoko w górze. Uzmysłowiła sobie, że ta biblioteka to oryginał, na podstawie którego zaprojektowano wersję londyńską. Obie były niezwykle podobne, lecz to pomieszczenie stworzono w znacznie większej skali. Wydawało się również starsze i bardziej dostojne. Ponadto toczyło się w nim życie; wychwytywała ową subtelną woń obecności człowieka, którą przesiąknęły materiały i drewno. Co więcej, biurko nosiło oczywiste ślady intensywnego używania – plamy na bibularzu, na tacy kilka piór, nóż do listów i kawałki wosku do pieczęci.

– Twój ojciec często korzystał z tego pokoju, prawda? – Spojrzała na Rydera, który przystanął niedaleko sof. – Kiedy umarł? Kilka lat temu?

– Sześć.

Wrażenie czyjejś obecności nie przetrwałoby tak długo; Rydera musiał tu często zaglądać. Zadowolona, że odkryła jego sanktuarium, minęła biurko, żeby obejrzeć książki na półkach za nim. W narożnikach pomieszczenia płonęły lampy; litery na skórzanych grzbietach tomów połyskiwały w miękkim świetle.

– Filozofia – wymamrotała, po czym kontynuowała niespieszny obchód.

Ryder przez kilka minut stał i ją obserwował, a potem wziął książkę, która leżała przy jego ulubionym fotelu, i usiadł wygodnie, pozostawiając Mary jej zajęciu.

Zastanawiał się, na ile mu się to powiedzie.

Jak podejrzewał, słowa na stronie nie zdołały odwrócić jego uwagi od Mary. Nie miały takiej mocy, by odciągnąć jego zmysły od niej, ośrodka ich zainteresowania. Kiedy przystanęła, żeby przyjrzeć się bliźniaczym zbrojom stojącym między oknami, rzekł:

– Znów Forsythe. To jego hobby.

– Jest ich więcej?

– Na strychu. Domyślam się, że Forsythe wślizguje się tam czasem, by je polerować. Chyba stał się kimś w rodzaju autorytetu w ich dziedzinie.

– Hm – mruknęła i powędrowała dalej.

Gdy zakończyła inspekcję, wróciła do południowo-zachodniego narożnika biblioteki – do książek o ogrodnictwie – wybrała jakiś tom, po czym z szelestem spódnic zasiadła w fotelu naprzeciw Rydera. Podwinęła pod siebie nogi, umościła się wygodnie, otworzyła książkę i, nie poświęcając mężowi ani jednego spojrzenia, zaczęła przerzucać kartki.

Ryder na powrót wbił wzrok w trzymany w rękach tom i usiłował przekonać niesforne zmysły, żeby skupiły się na tekście.

Mary nie czytała. Zamiast tego zastanawiała się. Siedzieli wygodnie w bibliotece, mąż i żona, i czytali. Poddała się wyrokom losu, nakazom Lady, a one doprowadziły ją właśnie tutaj. Miała na palcu pierścień Rydera i nie wątpiła, że może liczyć na jego wsparcie, nadal jednak musiała zadbać o rzecz najistotniejszą – o to, by zadeklarował i uznał swą miłość do niej.

To minimum, jakim byłaby gotowa się zadowolić.

Co powinna zrobić?

Wpatrzona niewidzącym wzrokiem w czarny druk, ponownie przeanalizowała ich relacje. Znała już Rydera na tyle dobrze, by mieć pewność, że w jego przypadku perswazja stanowi jedyny sposób. Bez względu na inne kwestie będzie musiała zademonstrować mu wartość miłości.

Co oznaczało, że czeka ją dokładne zrozumienie i nazwanie owego celu w odniesieniu do niego, do siebie samej oraz ich wspólnej przyszłości – życia, które spędzą razem w tym domu.

A dziś była ich noc poślubna, idealny moment, żeby zacząć.

Zamknęła książkę i spojrzała na Rydera. Choć zareagował z opóźnieniem, wiedziała, że to pozór. Zajrzał jej w oczy i leniwie uniósł brew. Odłożywszy na bok tom, wstała; poszedł w jej ślady. Kiedy stanął przed nią, popatrzyła mu w oczy.

– Mam prośbę, milordzie.

– Jaką?

– Zabierz mnie do swojego łóżka.

Rozdział 12

Ryder zamrugał.

– Do mojego? Nie twojego?

– Nie, do twojego. – Zuchwale zadarła brodę. – Moja sypialnia ogromnie mi się podoba i chcę należycie ci za nią podziękować. W twoim łóżku.

– Wobec tego…

Poderwał ją z podłogi. Roześmiała się, a on poniósł ją ku drzwiom i korytarzem do westybulu.

Oplotła mu szyję ramionami i śmiała się cicho, kiedy wnosił ją po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Jej oczy i twarz promieniały zapałem.

Skręciwszy w galerię, z pełnym determinacji uśmiechem Ryder podążył wokół klatki schodowej i dalej szerokim korytarzem w głąb północnego skrzydła. Drzwi bawialni były jedynie przymknięte; otworzyły się, kiedy pchnął je ramieniem. Wniósł Mary do środka i skręcił w prawo, do swojej sypialni. Uderzenie serca później byli na miejscu; kopnięciem zamknął za nimi drzwi i skierował się w stronę łóżka.

Nawet się nie zatrzymał, lecz po prostu rzucił Mary na zielono-złotą kapę i podążył za nią.

Westchnęła, tracąc dech; próbowała uzyskać przewagę, ale przygwoździł ją sobą, złapał za nadgarstki i unieruchomił jej ręce na łóżku, po czym nachylił się i ją pocałował.

To była ich noc poślubna, a Mary należała do niego.

Pragnął jej – chciał ją zadowolić, doprowadzić do krzyku z rozkoszy.

Naturalnie, ona miała na ten temat inne wyobrażenie. Kiedy tylko puścił jej ręce, by odpiąć guziki z przodu sukni, zanurzyła mu palce we włosach, chwyciła mocno i pocałowała go z sugestywną mieszaniną zachęty i żądania, dostatecznie potężną, by zbić go z tropu.

Pocałunek przekształcił się w żarliwe siłowanie się za pomocą ust i języków. Potem jej suknia została rozpięta aż do talii, kiedy jednak cofnął się, żeby ją zsunąć z jej ramion, dłonie Mary wdarły się między nich i chwyciły jego halsztuk.

Wynikła z tego szamotanina, w jakiej nie uczestniczył nigdy dotąd. Kobiety go nie rozbierały; to on rozbierał je, lecz jego żonie ewidentnie nie odpowiadała pasywna rola. Jej gorliwe drobne dłonie były wszędzie, chwytały, przemykały po nim, wyszukiwały nagą skórę, pieściły, szarpały, szukały, znajdowały…

Doprowadziła go do stanu zmysłowego szaleństwa, którego istnienia nie podejrzewał.

Jeśli zaś jej dyszenie i zduszone jęki stanowiły jakąś wskazówkę, on w ten sam sposób działał na nią.

Części garderoby sfruwały z łóżka, rzucane tu i tam w szale namiętności. Zdyszany padł na plecy i w przelotnej chwili jasności umysłu zastanowił się, czy przejawem obłędu nie było już samo dopuszczenie do tej sytuacji – kiedy dwie potężne siły woli łączyły się, przy czym żadna nie chciała się ugiąć, lecz karmiły się sobą nawzajem i przemocą napędzały coraz dzikszy wir pożądania. I czym każde usiłowało poprowadzić to drugie wybraną przez siebie drogą, w rezultacie czego oba kierunki zostały wykluczone.

Zamiast tego podążali ścieżką, której on nigdy jeszcze nie przemierzał. A zapewne i

ona.

Dosiadła go na wysokości jego bioder, wzrokiem i dotykiem pożerała jego nagi tors, rozczapierzonymi palcami badała ciało, aż wreszcie sięgnęła niżej i przypuściła atak na guziki jego spodni.

Zaczerpnąwszy tchu, odchylił Mary do tyłu i przetoczył się wraz z nią – ale ona wymusiła jeszcze jeden obrót więcej. Zdołał się zatrzymać na moment przed upadkiem obojga z łóżka. Walczył, by sięgnąć dłońmi do jej nagiej skóry, przesuwał w górę cienką, niemal przejrzystą halkę – jedyne, co nadal miała na sobie oprócz klejnotów od niego.

Dobrał się w końcu do soczystych nagich krągłości. Jej skóra, miękka, gładka, jedwabista, działała nań jak afrodyzjak, którego z całą pewnością nie potrzebował. Zacisnął szczęki, przetoczył się na plecy i siłował z Mary, aż zdarł z niej wreszcie ową irytującą halkę.

W tym samym momencie Mary wyślizgnęła mu się z ramion i umknęła w dół, ściągając mu spodnie aż do kolan. Z przekleństwem poruszył nogami i dokończył dzieła za nią, nim jednak udało mu się znów zmienić pozycję, tak by znalazła się pod nim, z całej siły zaparła się dłońmi o jego klatkę piersiową i wydyszała:

– Nie!

Nie? Zagapił się na nią. W jego odczuciu „nie" nijak nie pasowało do tej sytuacji.

Pragnęła go, a on pragnął jej.

– Co znowu? – wydyszał z trudem.

– Mam ci podziękować.

– Zrobisz to najlepiej, jeśli…

– Skąd wiesz? – szepnęła, a każde słowo pulsowało pożądaniem. Oblizała wagi. – Skąd wiesz, co jest najlepsze, skoro nie masz pojęcia, co chcę zrobić?

– Mary…

– To nasza noc poślubna, a ja proszę cię, żebyś leżał i przyjął to ode mnie… – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Dokładnie to, co sam chcesz mi dać.

Wiedział, że powinien odmówić, ale zdążyła się zorientować, iż jest organicznie niezdolny odmówić jej czegokolwiek, i pod wpływem samej tej myśli skinął głową.

– W porządku, ale tylko dlatego, że chodzi o tę konkretną noc.

Uśmiechnęła się, jakby natychmiast przejrzała jego kłamstwo, po czym przesunęła dłonie na jego barki i opadła nań całym ciałem. Zatrzymała się na chwilę, żeby spojrzeć mu w oczy, a następnie go pocałowała.

Jak hurysa. Jak kobieta, której życiu przyświeca tylko jeden cel – zadowalać męża.

Nie miał pojęcia, gdzie się tego nauczyła. Każda pieszczota, każde wilgotne smagnięcie języka, każdy subtelny, acz rozmyślny nacisk jej dłoni i błądzenie palców były doprawione sugestywną mieszanką niewinności i lubieżności. Nie orientował się, jak długo trwała ta przeszywająco wyrafinowana, intymna tortura, przez jak wiele kradnących zmysły, wypełnionych łomotem serc minut uprawiała swą magię, wiedział jedynie, że kiedy w końcu się złamał, kiedy, przełykając przekleństwo, znalazł się w przystani jej ust, a potem pociągnął Mary w górę, by go dosiadła, dawno już zatracił zdolność myślenia.

Wcale nie była tu od niego lepsza, gdy jednak nagle zacisnęła kolana na jego talii, smagnęła go rozsypanymi lokami i zatopiła paznokcie w jego ramionach, stało się jasne, że nie jest jeszcze gotowa oddać mu nad sobą władzy.

Wręcz przeciwnie. Ledwie zdążył pokonać ucisk w płucach i zaczerpnąć tchu, kiedy opadła w dół, wolno, centymetr po centymetrze nadziewając się na niego – i znów

skradła mu oddech. Odebrała zdolność myślenia i resztki woli.

Nim dotarła do końca, pochłaniając go po nasadę, był zgubiony.

A potem zaczęła go ujeżdżać.

Unosiła się i opadała z na wpół opuszczonymi powiekami, światło lamp raz po raz rozbłyskiwało w jej intensywnie chabrowych oczach.

Oddała się żywiołowemu rytmowi.

Pierwotnej przyjemności.

Całym sobą odpowiedział na jej wezwanie, niezdolny oprzeć się narastającemu szaleństwu. Przymusowi, żeby się z nią złączyć, zespolić i stopić, utracić swą tożsamość w dążeniu do stania się jednością.

Poddał się, odrzucił wszelkie ograniczenia i dołączył do niej w dzikiej, wypełnionej łomotem serc jeździe. Aż wyprężyła się i zacisnęła na nim, mocno, jeszcze mocniej.

Wbił palce w jej biodra, przytrzymując ją w dole, pchnął w górę – i przepadli.

Oślepiła ich ekstaza. Przytłoczyła ich na tak długo, aż odebrała im zmysły – a wtedy nadeszła błogość, uderzająca do głów i ciężka, i pociągnęła ich w dół, w morze zaspokojenia, wspólnie dawanej i branej przyjemności.

*

Uosabiała wszystkie jego pragnienia.

Ryder leżał na plecach okryty kołdrą, z Mary zwiniętą u jego boku, zwróconą do niego plecami, i wreszcie powoli odzyskiwał jasność umysłu – wystarczającą do tego, by się zastanowić, co tu, u diabła, się zdarzyło.

Nigdy przedtem nie spotkał kobiety, która zdołałaby obudzić w nim coś więcej niż swego rodzaju przywiązanie i impuls nakazujący dbać o jej bezpieczeństwo i zaspokojenie. Nigdy wobec żadnej kobiety nie poczuł czegoś głębszego niż czułość.

Do niej, z nią, czuł coś całkiem innego. Coś, czego nie przewidział i wcale nie był pewien, czy się z tego cieszy. Owszem, w trakcie ostatniego tygodnia, odkąd przyszła do jego łoża, zdarzało mu się zauważyć niepokojące symptomy, ale przyjął, że gdy ich potyczki spowszednieją, to uczucie przygaśnie. Stanie się mniej intensywne. Tymczasem z każdym kolejnym miłosnym spotkaniem owa bezprecedensowa więź jedynie się umacniała.

Wiedział dokładnie, dlaczego wybrał Mary, dlaczego w ogóle spojrzał w jej stronę. Pragnął damy, która wniosłaby w jego życie brakujące w nim dotąd elementy – silne poczucie więzi rodzinnych, oddanie i lojalność – która w sposób wrodzony rozumiała znaczenie tych wartości i która pod wszelkimi innymi względami odpowiadała jego wyobrażeniu na temat przyszłej żony.

Mary spełniała jego wymagania idealnie – być może tak idealnie, że wypadało nabrać podejrzeń, lecz zawsze do tej pory zachowywał pełną kontrolę nad swoim życiem, a fortuna nieodmiennie mu sprzyjała, toteż nie widział powodu do ostrożności. A nawet kiedy przebudziła się w nim nieufność, Ryder w swej zarozumiałości pozostał przekonany o tym, że on – najwspanialszy kochanek w towarzystwie – z pewnością nie padnie ofiarą żadnej przypadłości serca. I zignorował ostrzeżenia.

Powinien pamiętać, że fortuna to kobieta; powinien zważać na przestrogi przyjaciół, że bywa kapryśna.

A teraz było za późno. O wiele za późno na to, by cokolwiek zmieniać.

Otrzymał od losu żonę, która uosabiała wszystkie jego pragnienia.

Mary, z którą stał się nierozerwalnie związany w sposób o wiele głębszy, aniżeli planował, była zręczną manipulatorką. Wiedział o tym, gdyż miał podobne talenty. Jeśli dopuści do tego, by choć przelotnie dostrzegła, jaką ma nad nim władzę… Nie była to atrakcyjna wizja dla arystokraty nawykłego do sprawowania absolutnej kontroli.

Zwłaszcza kontroli nad samym sobą.

Nie – będzie musiał nauczyć się radzić sobie z uczuciami.

Z zamkniętymi oczami, rozluźniony, niemrawo dumał nad tym, jak osiągnąć ów cel, kiedy Mary się poruszyła, a następnie przewróciła na drugi bok, plecami odwracając się do niego.

Po zastanowieniu zdecydował, że rozsądek nakazuje utrzymać pozory, iż między nimi w grę wchodzi zwykła czułość i nic ponadto – tym samym więc powinien zostać w obecnej pozycji, na plecach, choć ich ciała dzieliło zaledwie kilka centymetrów wolnej przestrzeni.

Upłynęła minuta.

Westchnął w duchu, przewrócił się na bok, otoczył Mary ramieniem i dopasował się do jej ciała. Dopiero teraz zdołał się odprężyć – i w ciągu dwóch uderzeń serca zasnął.

Dryfując w obłokach snu, Mary poczuła ciepło Rydera, słodki ciężar jego ramienia. Nie spała aż tak głęboko, by nie uśmiechnąć się pod wpływem myśli, która leniwie zagościła w jej głowie.

Zaborcza opiekuńczości, zwać cię winni Ryder Cavanaugh.

*

– Co masz na myśli, mówiąc, że wolałbyś, abym nie wychodziła z domu?

Mary popatrzyła na Rydera przez długość stołu, przy którym jedli śniadanie – i postanowiła, że jutro poleci Forsythe'owi, by nakrył dla niej bliżej męża; z tej odległości nie była w stanie zajrzeć mu w oczy.

Wyraz twarzy – skrzywienie warg, nieznacznie uniesiona brew – jakim Ryder zareagował na jej pełną niedowierzania minę, wyjawił Mary tyle co nic.

– Dokładnie to. Skoro to twój pierwszy dzień tutaj, na pewno będziesz miała mnóstwo zajęć związanych z zapoznawaniem się z domem i tym, jak funkcjonuje… Wiem, że pani Pritchard już czeka, żeby cię oprowadzić, dlatego nuda ci nie grozi. – Ryder urwał, przyjrzał się kawałkowi pieczeni na widelcu, po czym oświadczył, nadal nie patrząc na Mary: – Wolałbym, żebyś dziś nie opuszczała domu.

A ponieważ jestem twoim mężem, podporządkujesz się temu. Nie wypowiedział tych słów, ale Mary usłyszała je całkiem wyraźnie. Gdzie się podział ten mężczyzna – no, owszem, arystokrata – który minionej nocy tak cudownie dzielił się z nią władzą? Tego ranka również, skoro już o tym mowa. Zaledwie kilka godzin wcześniej robił wspaniałe postępy, by stać się mężem, jakiego sobie życzyła, a teraz siedział tutaj, perfekcyjnie udając tyrana.

Udając? Czy może tak przedstawiała się rzeczywistość?

Przyjrzała mu się, ale nie zdołała rozstrzygnąć powyższego dylematu. Tak czy inaczej, to oczywiste, że musiała jakoś zareagować, jednak, biorąc wzgląd na to, co o nim wiedziała, jak najlepiej osiągnąć pożądany rezultat? Chwilę trwało, nim znalazła właściwe pytanie.

– Dlaczego?

Kiedy podniósł na nią wzrok, po raz kolejny przeklęła dzielącą ich odległość, aczkolwiek wydało jej się, że w jego oczach mignęła… Czyżby to była panika?

– Na pewno istnieje powód tego dziwacznego zakazu. Co zatem przyczyniło się do twojej… prośby?

– Szczury – rzekł po chwili namysłu.

– Szczury? W tym domu?

– Jednego znaleziono dziś rano. Wpuściliśmy koty, dom został dokładnie przeszukany i poza tą jedną sztuką jest czysto, aktualnie zaś trwa przegląd ogrodów i tarasów.

To wyjaśniało dziwną aktywność, którą zarejestrowała w obrębie posiadłości, jak również spostrzegła przez okna, kiedy schodziła na dół. Istotnie zastanawiała się, dlaczego tylu ludzi przetrząsa zarośla. Wzruszyła ramionami i napiła się herbaty.

– Nie boję się szczurów – oświadczyła.

– Nie? – Ryder wyglądał na odrobinę skonsternowanego.

Pokręciła głową.

– Są małe i zawsze uciekają. Co nie znaczy, że chętnie widziałabym je w domu, dlatego cieszę się, że służba zareagowała tak szybko i zdecydowanie. Jeśli wszakże zabraniasz mi wychodzić, gdyż wyobrażasz sobie, że zemdleję na widok biednego stworzonka…

– Te nie są małe. Są ogromne. Wielkości kota. I mają wściekliznę, więc nie uciekną. Zaatakują, mogą ugryźć. – Wziął płytki oddech i popatrzył w bok. Machnął ręką. – Sama rozumiesz, czemu nie chcę cię na to narażać.

Mary wlepiła w niego oczy, oniemiała ze zdumienia.

– Wściekłe szczury wielkie jak koty? – upewniła się.

Podniósłszy filiżankę z kawą, Ryder przytaknął, unikając jej wzroku, i w duchu modlił się, żeby przełknęła tę historyjkę.

– Właśnie. Powinniśmy się ich pozbyć do jutra. Najdalej w ciągu dwóch dni.

Po dokonanym tego ranka odkryciu nie zamierzał spuszczać Mary z oczu, chyba że pozostawałaby pod opieką jego najbardziej zaufanych służących. Panika, jaką odczuwał, nie dopuściłaby innego rozwiązania; wiele go kosztowało, by nie otoczyć jej ramionami, warcząc i kłapiąc zębami na każdego, kto podszedłby bliżej. Ledwie był w stanie myśleć, a cóż dopiero sformułować racjonalne wyjaśnienie; wizja, że Mary, tak zdecydowana i nieustępliwa, mogłaby nie zaakceptować jego zarządzenia i nie pozostałaby w domu, gdzie on i służba mogli zapewnić jej bezpieczeństwo… Ilekroć ten koncept pojawiał się w jego umyśle, Ryder na nowo zaczynał panikować.

Ta panika wstrząsnęła nim do głębi, pozbawiła go oparcia.

W całym swoim życiu nie doświadczył podobnej; nie miał pojęcia, jak sobie z nią radzić – jak wziąć w karby niekontrolowane reakcje, jak uspokoić się na tyle, by się zastanowić. Kiedy tylko pomyślał o Mary, a już zwłaszcza kiedy na nią patrzył, instynkty, o których wcześniej nie miał pojęcia, przytłaczały go i przejmowały dowodzenie. W tej chwili jego zdrowie psychiczne zależało od tego, czy Mary uwierzy w – albo przynajmniej zaakceptuje – historyjkę o inwazji wściekłych szczurów. Wielkich jak koty.

Wpatrywała się w niego bacznie; obserwował ją kątem oka i prawie wyrwało mu się westchnienie ulgi, kiedy skinęła głową.

– Jak mówisz, przez całe przedpołudnie będę zajęta z panią Pritchard i służbą. Podejrzewam, że wolną chwilę znajdę dopiero po południu. Jednakowoż – zaczekała, aż Ryder podniesie głowę, a wtedy uwięziła jego spojrzenie – jeśli wolno mi zasugerować kompromis, może wtedy wybrałbyś się ze mną na spacer po ogrodzie różanym.

Chciałabym go obejrzeć, a jeśli będziesz mi towarzyszył… Myślałam też, żebyśmy wzięli ze sobą ogrodnika. Dwóch mężczyzn bez wątpienia zdoła mnie obronić przed szczurem.

Ponieważ czuł się jak tonący, uchwycił się tej gałązki oliwnej i skinął głową.

– Brzmi rozsądnie.

Uśmiechnęła się dość swobodnie, ale coś w wyrazie jej twarzy sugerowało, że jej zgoda została podyktowana raczej strategią niż uległością.

Nie dbał o to; skoro zadeklarowała, że zaczeka na niego, nie będzie skłonna wychodzić sama – a obecnie ten aspekt stanowił jego główną troskę.

Mary spędziła dzień, funkcjonując niejako na dwóch poziomach. Na pierwszym grała rolę nowej żony Rydera, dokonując w towarzystwie Forsythe'a i pani Pritchard dokładnej lustracji wielkiego domu, która, na co nalegała, objęła także kwatery służby i strych. Z pewną ulgą odkryła, że chociaż nie zarządzała nim żadna dama, i to przypuszczalnie od wielu dziesięcioleci, dwór doczekał się stosownych unowocześnień, miał liczne udogodnienia, a służbówki przebudowano w zgodzie z postępowymi ideałami.

Kiedy spytała o siłę napędową owych zmian, Forsythe poinformował:

– To głównie dzieło jego lordowskiej mości, proszę pani. Markiz jest zwolennikiem postępu.

Odłożyła tę obserwację na potem, notując w myślach, żeby dokładniej wypytać Rydera o jego aspiracje.

Podczas lunchu, który spożyli we dwoje w jadalni rodzinnej, zasypała go pytaniami, chcąc zyskać wyobrażenie o jego podejściu do posiadłości oraz związanych z nią planach, tych na najbliższą przyszłość i długofalowych. Z początku się wahał – owo dziwne napięcie, jakie odkryła w trakcie śniadania, nadal go nie opuściło – ale z pytania na pytanie coraz bardziej się rozluźniał i swobodniej udzielał wyjaśnień. Kiedy opuszczali jadalnię, przypomniała mu o obietnicy, że dotrzyma jej towarzystwa na spacerze po ogrodzie. Skinął głową i powiedział, żeby przyszła po niego do biblioteki, kiedy będzie gotowa. W miarę usatysfakcjonowana, spędziła kolejne dwie godziny na naradzie z panią Pritchard w swej nowej bawialni na piętrze. Podczas gdy Mary sprawnie ustalała reguły wspólnego zarządzania domem, gospodyni wydawała się nieco rozkojarzona.

Nareszcie wolna, Mary zeszła do biblioteki. Ryder prędko porzucił korespondencję i udali się do różanego ogrodu. Spacer okazał się przyjemny, nie niepokoiły ich żadne gryzonie – ani wściekłe, ani zdrowe; nie zauważyła również ani jednego kota. Wykrywszy po raz kolejny owo napięcie, nie próbowała się z nim droczyć, lecz po prostu cieszyła się różami i jego obecnością. W przyjemnym nastroju wrócili do biblioteki, gdzie umościła się z książką w fotelu, by w ciszy dotrzymać mu towarzystwa. Przez chwilę jej się przyglądał, a potem wrócił do biurka i swoich listów. Poniekąd oczekiwała, że spróbuje ją stąd odesłać, wydawał się jednak zadowolony z jej obecności; ilekroć na moment odrywał się od listów, czuła na sobie muśnięcie jego spojrzenia. Dopiero kiedy przebierała się do kolacji i Aggie, przekonana, że jej pani zna fakty, wypaplała wszystko, Mary dowiedziała się wreszcie, co spowodowało tę dziwną zmianę w zachowaniu Rydera i zaowocowało jego niezwykłym zarządzeniem.

Poznała całą prawdę o wściekłych szczurach.

Wyczuwając jej narastający gniew, Aggie zrobiła się nerwowa; Mary uspokoiła ją natychmiast, choć niczego nie tłumaczyła. Nie przyznała się, że tak długo pozostawała w niewiedzy. Ten problem wymagał omówienia z Ryderem. W pierwszej chwili chciała pognać schodami na dół i od razu wszystko mu wyłożyć. Lecz zaczerpnęła powietrza i dalej siedziała spokojnie, podczas gdy Aggie upinała jej włosy. Napomniała się, że teraz

jest mężatką, a zamężne damy muszą wykazywać się o wiele większym sprytem niż te niezamężne, zwłaszcza w relacjach z małżonkami.

„Przekonałam się, że zamiast ich atakować, w wyniku czego natychmiast instynktownie wznoszą solidny mur, opłaca się znaleźć sposób na współpracę z nimi. Kiedy jasno dacie do zrozumienia, że z chęcią pomożecie im rozwiązać ich problem, jakikolwiek on by był, że jesteście skłonne do kooperacji, zamiast się im przeciwstawiać, biedacy czują zwykle taką wdzięczność, że z radością dzielą się władzą, a wtedy można posterować nimi w bardziej rozsądnym kierunku". Kiedy swego czasu usłyszała te słowa, momentalnie doceniła ich wagę, przypuszczała też, że pewnego dnia mogą jej dotyczyć. Wbiła je sobie w pamięć – radę Minervy, księżnej Wol-verstone, odnośnie do tego, jak postępować z arystokratami o dyktatorskich zapędach pokroju jej męża Royce'a. W odczuciu Mary trudno byłoby o większy autorytet w obecnej sytuacji.

Siedziała zatem i poddawała się zabiegom Aggie, skoncentrowana na tłumieniu w sobie gniewu i na rozważaniach, co w tej sprawie najbardziej dręczyło jej męża.

Kiedy już była gotowa, zamiast biec, podążyła do salonu statecznym krokiem, wykorzystując ten czas na to, by mocniej okiełznać gniew i przypomnieć, jaki wyznaczyła sobie cel. W westybulu uniosła brodę i z wdziękiem podeszła do drzwi, które lokaj prędko dla niej otworzył. Podziękowawszy mu skinieniem głowy, weszła do pokoju. Ryder stał przy kominku, oparty ramieniem o obudowę; utkwił wzrok w Mary, kiedy tylko się pojawiła. Czekał na nią. Zanim się zbliżyła, odgadł, że ona już wie. I pogodził się z faktem, że w tej sytuacji pozostaje mu tylko jedno rozwiązanie.

– Mea culpa. Przepraszam.

Przystanęła. Spoglądała na niego spokojnie; nie potrafił nic wyczytać z jej twarzy, co go zaniepokoiło.

– Za co?

Wytrzymał jej spojrzenie, nie dając się zwieść.

– Powinienem powiedzieć ci od razu, kiedy tylko się dowiedziałem.

– I? – Jej piękne brwi uniosły się wyżej.

– Powinienem – powtórzył – przedyskutować sprawę z tobą, a potem wspólnie zdecydowalibyśmy, jak podołać zaistniałej sytuacji.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Ponieważ… – Wziął oddech tak głęboki, że niemal bolesny. – Chciałem, by twój pierwszy dzień tutaj, jako mojej żony, był… doskonały. Chciałem, żebyś czuła się dobrze przywitana, żebyś postrzegała to miejsce i tutejszych ludzi z typowym dla ciebie entuzjazmem.

– Może i bywam nazbyt rozentuzjazmowana, ale nie ślepa.

– Nie. Wiem o tym. Zatem… – Ofiarował jej to słowo jako zaproszenie, z którego mogła zrobić użytek wedle woli.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, po czym nieznacznie skinęła głową.

– Zatem, czego się dowiedziałeś?

– I tyle? Ani słowa krytyki?

Nie odwróciła wzroku; nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Skoro sam zdałeś sobie sprawę ze swoich uchybień, krytyka wydaje się niecelowa i byłaby jedynie stratą czasu. A ja niepotrzebnie bym się zdenerwowała. – Przekrzywiła głowę. – Zatem, że się powtórzę, czego się dowiedziałeś?

Najwyraźniej ominęło go najgorsze.

– Absolutnie niczego.

Zmarszczyła brwi, odwróciła się i usiadła na końcu sofy bliżej niego. Założyła dziś suknię wieczorową w niebieskie i czarne pasy, na szyi miała kameę na niebieskiej aksamitnej wstążce; wyglądała świeżo i barwnie, suknia idealnie pasowała na spokojny obiad na wsi sam na sam z mężem.

– Usłyszałam, że dziś rano znaleziono w moim łóżku żmiję – oznajmiła, podnosząc nań wzrok. – Na pewno próbowałeś ustalić, skąd się tam wzięła.

Starał się, by jego twarz nie przybrała zbyt zaciętego wyrazu.

– W okolicznych lasach występują żmije, lecz nigdy nie natknęliśmy się na żadną w ogrodach, a tym bardziej w domu. Kiedy pokojówka weszła rano do twojej sypialni, żeby zająć się kominkiem, zauważyła pod narzutą jakiś ruch i miała dość rozsądku, by wezwać Forsythe'a. On z pomocą ogrodników złapał i usunął żmiję, ale powiedzieć, że dla wszystkich pozostaje zagadką, jak się tam znalazła, na piętrze, w twojej pościeli, byłoby niedomówieniem.

Przez długą chwilę jedynie się w niego wpatrywała, aż wreszcie wzięła bardzo głęboki oddech.

– Ktoś ją tam umieścił. – Z jej głosu biło niedowierzanie, które w pełni podzielał.

– Tak. – Odepchnął się od kominka i przeszedł obok Mary. – Ale żadną miarą nie uwierzę, że zrobił to ktoś ze służby.

Usiadł obok niej na sofie i popatrzył jej w oczy.

– Dosłownie każdy, kto pracuje w tym domu, nawet w ogrodach i stajniach, wywodzi się z jednej z rodzin związanych z posiadłością. Wiesz równie dobrze jak ja, co to oznacza w kategoriach lojalności. Według Forsythe'a, pani Pritchard, masztalerza Filmore'a i Dukesa, głównego ogrodnika, wszyscy cieszyli się z naszego małżeństwa i z niecierpliwością czekali, by cię poznać. Nikt nie powiedział na twój temat złego słowa. Wiadomość o żmii zaszokowała każdego. – Zawahał się. – Co bardziej istotne, ponieważ wczorajszy dzień był wyjątkowy i wszystkim zależało na dopieszczeniu najdrobniejszych szczegółów, pokojówki oraz lokaje nieustannie krążyli po schodach i zachodzili do naszych pokoi. Twoje łóżko zostało posłane dopiero około czwartej, a twoja pokojówka, Aggie, przebywała w gotowalni tuż obok mniej więcej od przyjazdu wczesnym popołudniem, aż całą służbę wezwano przed dom na nasze powitanie.

Mary zamrugała.

– To wtedy podrzucono żmiję: gdy wszyscy stali na zewnątrz. Jedynie wówczas osoba planująca taki czyn miałaby absolutną pewność, że na nikogo się nie natknie, że uda jej się niepostrzeżenie wejść i wyjść.

Zmarszczył brwi.

– Ale…

– Sprawdziłeś – Mary chwyciła go za rękę – czy w okolicy nie widziano kogoś obcego?

– Nie. – Zmarszczka na jego czole się pogłębiła. Odwrócił dłoń i zamknął w niej jej palce. – Dopiero co skończyliśmy sprawdzać w domu, upewniać się, że wszyscy są wiarygodni.

Skinęła głową, lecz nagle przyszło jej na myśl inne wyjaśnienie.

– Czy może chodzić o to, przed czym ostrzegał nas Barnaby? – spytała. – Że niegodziwiec, który nasłał na ciebie zabójców w Londynie, podjął właśnie kolejną próbę?

Ryder zacisnął wargi i pokręcił głową.

– Gdyby tak było, nie sądzisz, że żmija trafiłaby do mojego łóżka?

– Dlaczego? To była nasza noc poślubna. Sprawca założył, że będziesz spał u mnie albo przynajmniej odwiedzisz mnie w pierwszej kolejności.

– To – skrzywił się – chyba możliwe… Choć nie, jednak nie. Gdybyśmy przestrzegali tradycji, leżałabyś już w łóżku, kiedy przyszedłbym skonsumować małżeństwo.

– Być może włożył żmiję w samych nogach łóżka, zakładając, że nie sięgnę do niej stopami. W przeciwieństwie do ciebie.

– Nadal wydaje mi się to zbyt wydumane.

Mary nie podzielała tej opinii, ale nie zamierzała się spierać, dopóki nie znajdzie czasu, żeby należycie przemyśleć sprawę. I ułożyć plan.

Ryder zerknął w stronę drzwi.

– Lada moment przyjdzie Forsythe, by wezwać nas na obiad. – Znowu popatrzył jej w oczy. – Skoro znasz już wszystkie szczegóły, jak według ciebie powinniśmy się zachować? – Ruchem głowy wskazał drzwi. – Wobec służby. Będą nas obserwować, czekać na naszą reakcję.

Przez chwilę odpowiadała na jego spojrzenie.

– Uczono mnie – rzekła wreszcie – że lojalna służba jest naszym największym sprzymierzeńcem. Z tego, co mówisz, jak i z moich własnych obserwacji wynika, że nie ma powodu podejrzewać kogokolwiek z nich, choćby tylko o jakiegoś rodzaju współudział.

Skinął głową z wyraźną ulgą.

– Zgadzam się z tobą.

– W takim razie sugeruję – spojrzała w kierunku podwójnych drzwi, za którymi właśnie rozległy się kroki – żebyśmy chwilowo potraktowali żmiję jako dziwaczny wypadek.

Po krótkim wahaniu skłonił głowę.

Wstał, pomógł jej się podnieść, po czym razem odwrócili się do Forsythe'a, kiedy ten szeroko otworzył drzwi i oznajmił, że podano obiad.

*

Kiedy Ryder posadził ją u jednego krańca stołu, a później zajął swoje krzesło naprzeciw, Mary wygłosiła kilka uwag, on zaś stosownie na nie odpowiedział, i w ten oto sposób przekazali, jak oboje zapatrują się na kwestię żmii, wraz z niewyrażonym głośno dorozumieniem, że Forsythe i dwaj lokaje powtórzą ich słowa innym. Gdy uporali się z zadaniem, nie wracali więcej do sprawy. Tak czy inaczej, usiłowali zabawiać się nawzajem rozmową na tysiąc innych tematów, co powiodło im się całkiem nieźle.

Po obiedzie przeszli do biblioteki; Ryder nie zapytał, czy jej to odpowiada, zdecydowała jednak, że okoliczność, iż poprowadził ją do swego azylu najwyraźniej bez namysłu, spotyka się z jej aprobatą. Umościwszy się w fotelu, który uznała już za swój, sięgnęła po książkę i spróbowała uciec w historię ogrodnictwa. Ryder uprzątnął biurko, a potem zagłębił się w fotelu naprzeciw Mary i poszedł w jej ślady – otworzył książkę i podjął próbę czytania. Podejrzewał, że jej powiodło się to lepiej; on nadal borykał się z wydarzeniami bieżącego dnia. Wydarzeniami oraz emocjami, jakie sprowokowały.

Dzisiejszy ranek z pewnością otworzył mu oczy na kilka kwestii. Wcześniej nie podejrzewałby, że może wpaść w aż taką panikę – zatracił zdolność myślenia i tym samym podejmował działania, które jego racjonalna strona – gdy wreszcie udało jej się dojść do głosu – natychmiast uznała za niemądre.

Zwłaszcza jeśli pragnął ukryć, jak głębokim uczuciem darzy żonę.

Nie przypuszczałby, że może zależeć mu na kimś do tego stopnia, by stało się to

źródłem aż takiego lęku o tę druga osobę. Teraz, kiedy już posiadł tę wiedzę, wydała mu się ona zatrważająca sama w sobie. Co do sugestii, że żmija mogła być przeznaczona dla niego, nie potrafił się zdecydować, czy powinien czuć ulgę, czy przerażenie, iż – zgodnie z przewidywaniami Barnaby'ego – Mary niemal stała się przypadkową ofiarą szaleńca, który usiłował go zabić.

Pod wpływem tej wizji znów zagotowały się w nim emocje, toteż z determinacją odepchnął ją od siebie. Nie widział sensu w zadręczaniu się rozważaniami, co by było gdyby. Ponadto musiał przetrawić reakcję Mary na wieść o zdarzeniu. Wiedział, że nie pomylił się w ocenie jej temperamentu, powinna była zatem przypuścić na niego atak niczym brygantyna ze wszystkimi działami w gotowości bojowej. Tymczasem zachowała się o wiele rozsądniej od niego.

Albo więc była łagodniejsza, niż sądził, albo… zrozumiała powody jego postępowania.

Ponieważ sam ich w pełni nie rozumiał, na tę myśl poczuł się obnażony i niepewny jak jeszcze nigdy w życiu.

Zegar na kominku tykał miarowo, aż wreszcie Mary stłumiła ziewnięcie i odłożyła książkę.

– Idę spać – oznajmiła i wstała.

Poderwał się z fotela jak pociągnięta za sznurki marionetka.

– Pójdę z tobą.

Uniosła brew, a na jej usta niespiesznie wypłynął uśmiech.

– Liczyłam na to. Jeśli nie zgłaszasz obiekcji, w bieżących okolicznościach wolałabym dzielić łoże z tobą, zamiast wślizgiwać się do mojego.

– Nie przystałbym na inne rozwiązanie.

Ramię w ramię wspięli się po schodach i podążyli do swych apartamentów; przepuścił ją przodem w drzwiach bawialni, skąd przeszła prosto do jego sypialni. Wszedłszy za Mary, zamknął drzwi, złapał ją za rękę i pociągnął w objęcia.

Obrzucił pokój szybkim spojrzeniem. Zapalono dwie lampy, w oknach zaciągnięto story. Łóżko na nowo zaścielono, a choć nie wydał takiego polecenia, był pewien, że zarówno ono, jak i cała sypialnia zostały przed nocą dokładnie przeszukane. Jego służący doznali głębokiego wstrząsu i, w rzeczy samej, poczuli się znieważeni; nie dopuściliby do powtórki sytuacji postrzeganej przez nich jako atak na niego i na nich wszystkich, na ród Cavanaughów, którego Mary była obecnie cenną częścią.

Zamknął dłonie wokół jej talii. Przez chwilę napawał się jej kruchością, pod którą kryła się stal.

– Dziękuję – rzekł wreszcie – za zrozumienie i wybaczenie mi dzisiejszego skandalicznego zachowania. – Nieznacznie uniósł brew. – Bo mi wybaczasz, prawda?

Uśmiechnęła się do niego.

– Oczywiście. – Kiedy nie wyglądał na przekonanego, roześmiała się. – Pochodzę z rodu Cynsterów, wiem, jak zachowują się mężczyźni tacy jak ty.

I dlaczego. Pominęła te dwa słowa, lecz „dlaczego" interesowało ją najbardziej, zawładnęło jej uwagą. Niewykluczone, że tego właśnie szukała, że to był fundament, na którym zbudują przyszłe życie.

Ten dzień bynajmniej jej nie zniechęcił, przeciwnie, dał jej mocną nadzieję.

I, jak zawsze, pilno jej było pchnąć sprawy do przodu. Uśmiechnięta, niezdolna ukryć wyczekiwania, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Zostawmy to i ruszajmy dalej.

Widziała, że wyraz jego oczu staje się nieufny jak u drapieżnika, który zwęszył

pułapkę.

Zgodnie z jej oczekiwaniami po krótkim wahaniu przytaknął.

Ich wargi się spotkały, dotknęły, otarły o siebie, a potem złączyły. Nie miała pojęcia, dlaczego tak się dzieje, ale każde ich zbliżenie wydawało się odmienne. W tym chodziło o wsparcie. O poznanie na nowo, nowe połączenie. Odświeżenie poprzednich doświadczeń, ale z bardziej przenikliwym zrozumieniem, zrodzonym przez ten dzień, przez emocje: sprowokowane, uwolnione, a potem wzięte w karby.

Aż do teraz, kiedy pozwolili im zerwać się z uwięzi, tak by swobodnie ich inspirowały i nadawały kierunek wszelkim poczynaniom.

Siła, która budziła się do życia, gdy się kochali, w sposób nieunikniony ich pokonała.

Obezwładniła.

Tym razem ta noc przekształciła się w burzę namiętności, gorących dotyków, zaborczych pieszczot obojga oraz w palącą potrzebę zaspokojenia żaru uczuć.

W końcu się poddali płomieniom, te zaś stopiły ich, pochłonęły i wykuły na nowo, a potem cisnęły, bezwładnych, w morze zaspokojenia, po którym dryfowali ku odległemu brzegowi, gdzie czekała błogość, leniwa i kojąca.

Echa ekstazy nadal pobrzmiewały w ich ciałach, kiedy, rozbici i bezradni, znaleźli się razem tam, gdzie być powinni.

Rozdział 13

Sprawy układały się pomyślnie. W trakcie kolejnych dni zadowolenie Mary narastało, odkryła bowiem, że pozycja markizy nie tylko jej odpowiada, ale pasuje do niej jak ulał.

Incydent ze żmiją pozostał niewyjaśniony, kiedy jednak przez kilka dni nic więcej nie zakłóciło procesu zadomawiania się w nowym miejscu, sprawa w pamięci wszystkich przyblakła. Na tyle, że Mary uznała, iż pora, by Ryder zabrał ją na przejażdżkę po posiadłości.

Przy śniadaniu przedłożyła mu swoją prośbę, a nim zdążył odpowiedzieć, dodała:

– Jak wspomniałam wczoraj wieczorem, wydaje mi się, że jakoś w drugiej połowie lata powinniśmy zaprosić dzierżawców i pracowników na piknik, a zanim to zrobimy, chciałabym zyskać lepsze wyobrażenie o majątku i mieszkających tu ludziach. – Popatrzyła na Rydera. – A ty bezsprzecznie udzielisz mi na ten temat najlepszych informacji. Kiedy więc możemy pojechać?

W ostatnim pytaniu kryło się domniemanie, że Ryder już wyraził zgodę, ponieważ jednak przywykł do jej manipulatorskich wybiegów, spojrzał na nią i spokojnie rozważył prośbę. Doroczny piknik to było tego typu wydarzenie, z jakiego chętnie uczyniłby tradycję Raventhorne – właśnie czegoś takiego mu brakowało i od początku liczył na to, że jego żona naprawi ów niedostatek. Poza tym będzie jej towarzyszył. Skinął głową.

– W porządku. – Na widok triumfu na jej twarzy uniósł filiżankę, żeby skryć uśmiech. – Kiedy jesteś wolna?

Zauważyła jego rozbawienie i zatrzepotała rzęsami.

– Kiedy tylko zechcesz.

Od razu po śniadaniu przebrali się w stroje jeździeckie i spotkali w jej bawialni. Nie zdziwił go morski odcień jej kostiumu, natomiast jego uwagę przykuło opinające jej biust zapięcie na guziki z pętelkami, mocne wcięcie w talii oraz udrapowana fałdzista spódnica. Podążył za Mary korytarzem na galerię; dopiero tam podniósł wzrok i spostrzegł kiwające na niego piórko kapelusika, który przypięła do loków. Szła jak zwykle pewnym krokiem, piórko podrygiwało, Ryder zaś odkrył, że go to bawi.

Pokazał jej najkrótszą drogę z domu do stajni. Wcześniej posłał tam wiadomość, tak więc osiodłane konie już na nich czekały; jego narowisty hunter Julius oraz szybkonoga gniada klacz, którą dla Mary przysłano z Londynu, drobiły niespokojnie w miejscu, skore do biegu, stukocząc kopytami o bruk stajennego dziedzińca.

Ryder otaksował klacz spojrzeniem i podsadził Mary na siodło.

– Domyślam się, że pochodzi ze stajni Demona?

– Tak. – Z pełną swobody biegłością zamotała wodze wokół obleczonych w rękawiczki palców. – Demon zaopatruje w konie całą rodzinę.

– Słyszałem, że starannie dobiera je do jeźdźców.

Rozpoznawszy kryjące się w tych słowach pytanie, z uśmiechem skinęła głową.

– W rzeczy samej: nie zgadza się, żeby ktokolwiek z nas jeździł na zwierzęciu, nad którym nie panuje. – Nachyliła się i przeciągnęła dłoń po lśniącej szyi klaczy. – Dlatego wszyscy uczymy się kontrolować bestie, których dosiadamy.

Przez chwilę Ryder usiłował dociec, czy dwuznaczność tej wypowiedzi była

zamierzona. Wziął od stajennego wodze swego wałacha i wskoczył na siodło. Ledwie się tam usadowił, Mary opuściła dziedziniec. Zrównał się z nią na podworcu i ruchem głowy skierował ją na porośniętą trawą pochyłość terenu.

– Jak sobie radzisz z ogrodzeniami i żywopłotami?

– Weźmiemy z Lucindą każdą przeszkodę, której podołacie ty i ten nieokrzesaniec.

Ponieważ odnotował, że Mary pewnie trzyma się w siodle, podejrzewał, iż nie są to czcze przechwałki.

– Doskonale – rzekł. – Przekonamy się.

Sapnęła cicho, ale płynnie poszła w jego ślady, kiedy przesadził pierwsze ogrodzenie. Kiedy opuścili pola i skręcili w stronę lasów, jadąc ubitą ścieżką, Ryder zawołał:

– Dajmy im szansę trochę się zmęczyć! Przed nami długa przecinka!

– Cudownie! Prowadź!

Tak też zrobił. Nie porozumiewając się choćby tylko wzrokiem, ledwie ujrzeli przed sobą przecinkę, poluzowali wodze i konie weszły w galop. Mknęły. Rumak był silniejszy, lecz klacz również miała sporo pary w nogach. Gnali obok siebie przecinką. Nachylona nisko nad szyją Lucindy, Mary śmiała się, lecz pęd powietrza tłumił ten odgłos. Serce łomotało jej w piersi w rytm uderzeń kopyt; ta chwila przepełniła ją cudowną radością.

Wtem klacz zmyliła krok.

Mary była na tyle doświadczonym jeźdźcem, że zareagowała natychmiast. Spokojnie ściągnęła wodze i wyprostowała się, by ciężarem ciała pomóc jej wytracić szaleńczą prędkość. Lucinda istotnie zwolniła, lecz jej mięśnie napinały się i drżały, jakby chciała stanąć dęba. Zaniepokojona Mary – gdyż takie zachowanie nie pasowało do tej klaczy – siliła się na spokój, wiedziała bowiem, że to najpewniejszy sposób, by także Lucinda nie wpadła w panikę. W pełni skupiona na koniu, wstrzymywała go, spowalniała – i kiedy tylko mogła bezpiecznie to zrobić, zdjęła nogę z kuli, wysunęła stopę ze strzemienia i zeskoczyła na trawę.

Mocno ściskając wodze, poczekała, aż roztrzęsione zwierzę przystanie, a potem, skonfundowana, bacząc, by jej nie spłoszyć, podeszła do Lucindy i pogładziła ją po nosie.

– O co chodzi?

Zauważywszy jej nagłą nieobecność, Ryder zmusił siwka do skrętu i właśnie zatrzymał się kilka kroków dalej.

– Co się stało?

Mary pokręciła głową.

– Nie wiem. – Wskazała klacz. – Ale tylko na nią popatrz. Cała drży. Jakby coś ją bolało.

Ryder zaklął. Zsiadł z konia, przywiązał wodze do gałęzi i podszedł do żony. Z twardym wyrazem oczu obejrzał klacz, obchodząc ją wkoło. Mary gładziła Lucindę po nosie i cicho nuciła; wyglądało na to, że gniadoszka się uspokaja, choć nadal oddychała nierówno, a po jej skórze przebiegały drgawki.

– Widzisz coś?

– Nie – odparł, a po chwili dodał: – Powiedz mi, co się dokładnie stało. Dlaczego się zatrzymałaś?

– Zmyliła krok, martwiłam się, że źle stąpnęła, wpadła kopytem w króliczą norę czy coś w tym rodzaju. To nie było jakieś wielkie szarpnięcie, raczej jakby podskok, ale… – Zamknęła oczy i cofnęła się myślami do zdarzenia. – Wydaje mi się, że odciążała tylne kopyto.

Ryder sapnął.

– Przytrzymaj ją. Obejrzę ją.

Nie doszukał się niczego – żadnego urazu, rany, kamienia w kopycie – co by wyjaśniało nagłą zmianę w chodzie. A choć znacząco się uspokoiła, jej nerwowość nadal rzucała się w oczy.

Cofnął się, wspierając ręce na biodrach, mocno zdezorientowany.

– Przejdź się z nią. Może zlokalizujemy to, co jej przeszkadza.

Mary oprowadziła Lucindę – która na pierwszy rzut oka stąpała bez przeszkód; długie nogi poruszały się płynnie i pewnie, dokładnie tak jak powinny… Poza tym, że po kilku krokach klacz się szarpnęła, a na jej skórze znów pojawiły się dreszcze.

– To nie ma związku z jej nogami. – Zafrapowany, ale teraz już pewien wyjaśnienia, podszedł bliżej; zatrzymawszy się naprzeciw Mary, spojrzał jej w oczy. – Winne jest chyba siodło.

– Używam zawsze tego samego.

– Mimo to zdejmijmy je i zobaczmy, czy coś się zmieni.

Kiedy pociągnął za popręg, chcąc odpiąć sprzączkę, koń parsknął i odstąpił w bok.

– Och. – Mary przyciągnęła klacz z powrotem. – Rozumiem, o co ci chodzi. Może coś się złamało i wystaje.

Przytrzymywała klacz, a Ryder z większą ostrożnością poluzował popręg. Kiedy wreszcie zdjął siodło, zobaczyli, w czym rzecz.

– Janowiec. – Zdegustowana Mary podniosła kolczastą gałązkę i sięgnęła, by ją wyrzucić, ale się pohamowała. Wspięła się na palce i popatrzyła tam, gdzie ciernie podrażniły lśniącą skórę Lucindy. Zmarszczyła brwi. – Jak, u licha, się tu dostał?

Ryder musiał się z nią zgodzić.

– Nie mógł wślizgnąć się tak głęboko pod siodło, kiedy na nim siedziałaś.

– Ani nawet wcześniej: siodło przylega zbyt dokładnie. – Dłonią w rękawiczce Mary pogładziła skaleczone miejsce, a klacz zadrżała, tym razem niemal z ulgą. – No cóż, tak czy inaczej, najwyraźniej na tym polegał problem.

– Część problemu, owszem. Ale co do tego, jak się tam dostał…

Mary popatrzyła mu w oczy.

– Bez wątpienia nie było go tam, kiedy ją siodłano – powiedziała po chwili – bo nic jej nie przeszkadzało, kiedy jej dosiadłam. Z drugiej strony, nie pojmuję, jakim sposobem tak duża gałązka mogła wsunąć się pod siodło podczas jazdy.

– Musiała tam być, kiedy ją siodłano, ale z jakiegoś powodu jej nie podrażniała.

Odwrócił leżące na ziemi siodło spodem do góry i przykucnął, żeby dokładnie je obejrzeć. Nadal trzymając wodze klaczy, Mary podeszła z drugiej strony i nachyliła się nad nim.

– Tutaj. – Wskazała fałdę na skórzanym podbiciu. – Widzisz listek w tym wgłębieniu?

Ryder zdjął rękawiczki i obejrzał to miejsce.

– To szew. Rozpruto go, żeby uzyskać swego rodzaju kieszeń.

Wolno podniósł głowę i spojrzał na żonę.

Mary szybko odczytała wyraz jego twarzy i wypuściła powietrze z płuc.

– Zatem to nie był wypadek.

Ponieważ Ryder wolał nie ryzykować, posadził Mary przed sobą na Juliusa i pojechali z powrotem do stajni, na wydłużonych wodzach prowadząc klacz z luźno założonym siodłem.

Ich nieoczekiwane pojawienie się, w dodatku w takiej konfiguracji, wywołało poruszenie; Filmore i dwaj stajenni – ci sami, którzy wcześniej siodłali konie – wybiegli im na powitanie, kiedy Ryder i Mary do wtóru stukotu kopyt wjechali na stajenny

dziedziniec.

– Co się stało? – spytał Filmore.

– Drobiazg.

Zaciśnięta szczęka i ton, jakim Ryder rzucił to słowo, zadawały kłam jego treści. Jeździec zeskoczył na ziemię i pomógł zejść Mary. Tymczasem Filmore już oglądał klacz, usiłując dociec, co jest nie tak.

– Chodzi o siodło – wyjaśnił Ryder. – Zdejmijcie je, to coś wam pokażę.

Starszy stajenny, Benson, spełnił polecenie i umieścił siodło na schodkach pomocnych przy wsiadaniu na konia. Ryder odwrócił siodło i pokazał zebranym rozpruty szew na podbiciu.

– Wepchnięto tu sporą gałązkę janowca. – Zerknął na stajennych. – To nie wasza wina, wątpię, żeby ktokolwiek zdołał ją zauważyć. Ale, oczywiście, w trakcie jazdy, szczególnie w galopie, ciernie wysunęły się ze schowka. Kiedy już do tego doszło, klacz zareagowała. – Spojrzał na Mary i mimowolnie zacisnął szczęki. – Na szczęście markiza jest doświadczonym jeźdźcem i zatrzymała konia, nim zdarzył się wypadek.

Trzej mężczyźni osłupieli z przerażenia.

Przerażenia, jakie Ryder nadal czuł. Ilu jeźdźców, zwłaszcza kobiet, ma za sobą tak dobry trening i doświadczenie jak ona?

Nagle na twarzy Filmore'a odmalowały się zrozumienie, a zaraz potem mars.

– Więc o to chodziło tym szubrawcom! – Przypomniawszy sobie o obecności Mary, masztalerz skłonił głowę. – Upraszam o wybaczenie, milady.

– Nie, nie. – Mary zbyła przeprosiny machnięciem ręki. – Jakim szubrawcom?

Filmore spojrzał na Rydera.

– Rankiem dwa dni temu zastałem siodlarnię otwartą, co mnie zdziwiło. Na pewno wieczorem zamykałem ją na klucz. Ale zamek nie był uszkodzony, sprawdziliśmy też, że niczego nie skradziono, w ogóle wszystko znajdowało się na swoim miejscu. – Zdegustowany wskazał siodło. – Oni, kimkolwiek byli, musieli przyjść w tym celu. Żeby rozciąć szew i upchnąć do środka janowiec. To sztuczka znana z wyścigów konnych.

*

– To przecież oczywiste, że nie zrobił tego nikt z opactwa. – Mary jako pierwsza weszła do biblioteki i skierowała się do fotela przed kominkiem. – Ktoś tutejszy nie miałby powodu włamywać się do siodlarni nocą. Bez problemu wślizgnąłby się tam za dnia, znalazłby mnóstwo okazji.

– Jakoś nieszczególnie mnie to uspokaja. – Ryder wszedł za nią i zamknął drzwi.

– Nie? – Rzuciwszy kapelusik i rękawiczki na podręczny stolik, usiadła w swym ulubionym fotelu. – No dobrze, może nie uspokaja, lecz przynajmniej mówi nam, że kimkolwiek są szubrawcy Filmore'a, pilnują się, żeby nikt ich nie zobaczył. Zatem nie są to ludzie stąd, ale zarazem tacy, których służba by rozpoznała.

Ryder zajął fotel naprzeciw.

– To, jak dobrze wiesz, nie jest w tej sprawie najważniejsze. Kto podrzucił janowiec, to jedna kwestia, mnie jednak o wiele bardziej niepokoi druga: dlaczego to zrobił.

Nie zdziwił się zanadto, słysząc jej westchnienie.

– O ile wiem, nie mam wrogów ani też powodu wierzyć, że ktokolwiek życzy mi na tyle źle, by próbować mnie skrzywdzić. – Uniosła ręce. – Może ktoś usiłuje mnie nastraszyć, choć nie pojmuję dlaczego.

– Nastraszyć cię. – Z trudem udało mu się mówić spokojnie. – Ukąszenie żmii mogłoby

okazać się śmiertelne, zwłaszcza dla osoby tak drobnej budowy. Upadek z końskiego grzbietu, w galopie, z łatwością mógłby się dla ciebie skończyć złamaniem karku.

– Właściwie… – Pochwyciła jego spojrzenie. – Przyszło ci do głowy, że ktoś inscenizuje te wypadki po to, by rozbić albo wręcz unieważnić nasze małżeństwo?

Na te słowa Ryder poczuł chłód, lecz udało mu się zapytać opanowanym tonem:

– Co dokładnie masz na myśli?

Także nasunęło mu się takie przypuszczenie, ale nie chciał brać go pod rozwagę; teraz musiał się dowiedzieć, co ona na ten temat sądzi, jak to widzi.

– Zakrawa na zbyt wielki zbieg okoliczności, że najpierw ktoś nasyła na ciebie dwóch zbirów w Londynie, a kiedy oni zawodzą, my zaś się pobieramy, inna osoba bierze na cel mnie, najpierw podrzucając mi żmiję do łóżka w noc poślubną, gdy zaś ten sposób zawodzi, stosuje sztuczkę, w wyniku której powinnam spaść z konia w trakcie pierwszej przejażdżki, kiedy to niemal na pewno bylibyśmy sami. – Patrzyła mu prosto w oczy. – Jakie są szanse, że te trzy zdarzenia nie wiążą się ze sobą? A jeśli się wiążą, to kto, jakiego rodzaju człowiek, uderzyłby najpierw bezpośrednio w ciebie, ale po twoim ślubie przerzucił się na twoją żonę?

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Najbardziej prawdopodobnym sprawcą byłby jakiś dżentelmen przekonany, że skradłem mu żonę.

– Myśleliśmy, że to Fitzhugh, ale skoro on najwyraźniej odpada, kto inny wchodzi w rachubę?

Nie była roztrzęsiona, lecz skupiona i, jeśli oceniał poprawnie, odrobinę zła. Nie na niego, ale na osobnika, który śmiał zakłócić ich wspólne życie.

Tak czy owak, u niego wzburzenie sięgnęło zenitu; połowę sił zużywał na poskromienie targającej nim potrzeby, by z furią zaatakować tego, kto miał czelność próbować ją skrzywdzić. Z kolei większą część energii zużywał na planowanie, jak zapewnić Mary absolutne bezpieczeństwo. Zagwarantować, że z nim zostanie, cała i zdrowa.

I usiłował odpowiedzieć na postawione przez nią pytanie. Było to bowiem właściwe pytanie i istniała na nie odpowiedź.

– Naprawdę nie wiem – przyznał. – Zgadzam się, że ktoś taki może stać za tymi zdarzeniami, ale nie potrafię odgadnąć, kto by to mógł być.

Zmarszczyła nos.

– O Fitzhughu też nie wiedziałeś, że może sobie wyobrażać, iż skradłeś mu żonę. Niewykluczone, że jest jeszcze jakiś dżentelmen, któremu żona opowiedziała bajeczkę, na przykład by ukryć rzeczywisty romans z kimś innym.

– Zaczynam mieć poczucie, że przychodzi mi pić piwo, którego naważyłem sobie wcześniejszym postępowaniem, a ty zostałaś w to wplątana z mojego powodu.

Nie skwitowała jego oświadczenia uśmiechem; patrzyła mu w oczy przez chwilę na tyle długą, by zaczął się zastanawiać, do jakiego stopnia odgadła jego myśli, a potem wstała i, nim zdążył pójść w jej ślady, z szelestem ciężkich spódnic opadła mu na kolana. Przyłożyła dłoń do policzka męża i zwróciła ku sobie jego twarz.

– Nie martw się – rzekła po prostu. – Razem pokonamy wszelkie trudności. Razem sobie z tym poradzimy – oświadczyła z przekonaniem, patrząc mu w oczy.

*

– Nie możesz opuszczać domu.

Zatrzymawszy się obok jej fotela pół godziny później, spiął się w oczekiwaniu na kontrargumenty.

Mary popatrzyła na niego, uniosła brwi, po czym znów opuściła wzrok na książkę.

– Wcale nie ciągnie mnie na zewnątrz – przyznała.

*

Zaczynał wierzyć, że fortuna istotnie zaaranżowała ich związek. Mary nie tylko przerastała jego oczekiwania – nie zasługiwał na nią.

„Razem sobie z tym poradzimy". Pierwotnie założył, że nawiązywała do tego, iż połączą siły, aby dociec, kto stoi za atakami, nie zaś, że będą wspólnie pracować nad środkami ostrożności, opracowywać plany, zajmować się wszystkimi elementami związanymi z jej bezpieczeństwem niezbędnymi do tego, by zdołał okiełznać targające nim emocje.

Spać koło niej i nie bać się ranka.

Nie zamierzał analizować swych odczuć ani tego, na ile były racjonalne czy nawet logiczne.

I ku jego dozgonnej wdzięczności ona to rozumiała, przynajmniej na tyle, by pojąć, że nie zachowywał się tak celowo, lecz po prostu nie potrafił temu przeciwdziałać. Z obawy o nią.

W dniach, które nastąpiły po owej pechowej konnej wyprawie, nieustannie dziękował niebiosom, że okazała się tak mądrą kobietą. Gdyby ktokolwiek powiedział mu wcześniej, że pewnego dnia Ryder rad będzie z tego, iż żona potrafi zajrzeć w głąb jego duszy, uśmiałby się do rozpuku.

Nie było mu jednak do śmiechu tego ranka, który zawczasu wyznaczyła jako stosowny na kolejny wypad poza ziemie opactwa.

Od ostatniej katastrofy Mary tkwiła wewnątrz ochronnego kordonu, jakim otoczył ją z pomocą oddanej i zdeterminowanej służby. Pierwszego dnia pozostała w obrębie domu; wczoraj przekonała Rydera do wspólnego spaceru w ogrodzie.

– Wydawało mi się, że zgodziłaś się nie opuszczać domu? – Żołądek ścisnął mu się od nagłej paniki.

– To było wczoraj. Dzisiaj… nie widzę potrzeby zanadto się oddalać. Zadowolę się ogrodem różanym. – Mary wzięła go pod ramię. – Możesz pójść ze mną i zadbać o moje bezpieczeństwo. Spacer ci posłuży, jesteś stanowczo zbyt spięty.

Później, przy lunchu, poruszyła temat kolejnej przejażdżki, kiedy jednak głośno wyraził niechęć do tego pomysłu, przyjrzała mu się przenikliwie, po czym ustąpiła – i zamiast tego nalegała, żeby pozwolił jej na wyprawę gigiem do pobliskiej wioski. Jako że wcześniej poinformował ją, iż ludzie wysłani w celu przeszukania okolicy pod kątem obecności obcych donieśli mu, że ostatnio nikogo takiego nie widziano, stracił możliwość powołania się na tego rodzaju zagrożenie. Naturalnie, nie powstrzymało go to przed wysuwaniem innych argumentów, ale tym razem Mary pozostała nieporuszona – a że do tej pory dostosowywała się do jego wymagań, wytrąciła mu broń z ręki.

Ponieważ nie zdołał zgromadzić dość amunicji, żeby zdusić jej pomysł w zarodku, uciekł się do innej taktyki: wyrazi zgodę, pod warunkiem że Mary zademonstruje mu biegłość w powożeniu. Przystała na to z uśmiechem. Skąd mógł wiedzieć, że swego czasu

nakłoniła Simona, by nauczył ją powozić?

Kiedy przetoczyła się gigiem po alei dojazdowej, dając pokaz nie tylko swych umiejętności, ale i radości, nie był w stanie zabronić jej wycieczki.

Dlatego po śniadaniu, kiedy Mary zakończyła codzienne posiedzenie z panią Pritchard, przeszli na dziedziniec, gdzie czekał już gig z zaprzężonym dorodnym dereszem, przyjemnym, silnym, zrównoważonym kłusakiem. Mały i lekki gig nie udźwignąłby ich obojga; przy swojej wadze Ryder nie użyłby go nawet sam. Pomógł żonie wspiąć się na górę, a potem wziął od Bensona wodze Juliusa. Z wysokości siodła spojrzał na Mary – i napotkał jej promienny uśmiech.

– Naprzód. – Wskazała batem.

Zgrzytnął zębami i spiął wierzchowca do niespiesznego kłusa skrajem alei dojazdowej, dotrzymując tempa toczącemu się statecznie gigowi.

Bardziej bezpośrednia trasa do oddalonej o około trzy kilometry wioski Axford wiodła tylną aleją dojazdową i dalej polną dróżką. Chociaż Ryder trzymał w powozowni kariolkę i faeton, w których mógłby zawieźć Mary do wsi, nie nadawały się one na polne drożyny, a w dodatku miałby zajęte ręce – ocenił zaś, że mniej skutecznie ochroni kobietę, jeśli będzie zmuszony jednocześnie powozić parą narowistych koni, niż kiedy pojedzie na Juliusie, jako jej straż przyboczna, z pistoletem w olstrze i szablą w pochwie przy siodle. Ponadto z grzbietu Juliusa roztaczał się o wiele lepszy widok na okolicę.

Przez jakiś czas łagodnie opadająca aleja wiła się leniwie między pastwiskami opactwa. Mary utrzymywała miarowe monotonne tempo. Przynajmniej miała okazję odetchnąć świeżym powietrzem, a ponadto towarzyszył jej Ryder, nieważne, że czujny i pełen napięcia – już oceniała dzień jako udany, spodziewając się, iż będzie tylko lepiej.

Uważała, że skutecznie obraca nieprzyjemne zdarzenia na swoją korzyść. Była zadowolona, ba, wręcz zachwycona rezultatami, jakie przyniosło zastosowanie się do opinii Minervy w kwestii postępowania z nadmiernie opiekuńczymi arystokratami. W rzeczy samej, Mary mogłaby już napisać własny podręcznik na temat tego, jak poskromić takiego arystokratę – zgadzać się z nim, współpracować, znajdować rozwiązania jego problemów i delikatnie nim sterować w pożądanym przez kobietę kierunku.

Wczoraj napisała do Minervy, żeby szczerze jej podziękować za dawną radę i poinformować, iż nieustannie zbiera jej owoce. Ryder pozostawał nieufny – dostrzegała to w jego orzechowych oczach – ale uczył się pytać Mary o zdanie, uwzględniać jej sugestie, liczyć się z jej opinią, jej wizją tego, jak powinny się kształtować ich relacje.

Kawałek dalej wylot alei dojazdowej przecinała polna dróżka. Ryder skierował Juliusa bliżej gigu.

– Przeskoczę przez tamten żywopłot. – Skinieniem głowy wskazał punkt nieco dalej przy dróżce. – I na ciebie zaczekam.

– W porządku. – Beztrosko uśmiechnięta, Mary zakręciła batem w geście pozdrowienia.

Szykując się do skrętu, jeszcze zwolniła. Ryder popędził Juliusa w stronę żywopłotu i rozkoszował się przypływem mocy, kiedy potężny wałach przyspieszył na otwartej przestrzeni, a potem z łatwością wzbił się i poszybował nad przeszkodą.

Przyhamowawszy, Ryder obrócił się wraz z Juliusem wokół własnej osi, by ocenić sytuację. Nie widząc nikogo, rozluźnił się, zatrzymał Juliusa i popatrzył ku wylotowi alei dojazdowej.

Akurat gdy deresz gładko skręcił w jego stronę, Ryder spostrzegł jakieś ciemne,

podobne do gałązek przedmioty rozrzucone na dróżce między jego koniem a gigiem.

– Co, u diabła?

Nieufny umysł poinformował go, czym są te przedmioty, w chwili gdy Mary również je zobaczyła i zareagowała. Ściągnęła wodze, starając się nie tylko zatrzymać deresza, ale też skierować go w bok – do rowu. Koń opierał się nagłej zmianie kierunku, Mary jednak naciskała, tak więc wreszcie zareagował. Tyle że nie dość szybko. Nastąpił na jeden z leżących na ziemi obiektów – i zarżał przeraźliwie.

Stanął niemal dęba, wierzgając przednią nogą, a gig dziko się zakołysał.

Wypuściwszy lejce, Mary wyskoczyła na drogę. Deresz zachwiał się i runął, po części się staczając, po części ześlizgując do rowu, a gig przewrócił się i roztrzaskał, lądując w ślad za nim.

Klnąc, Ryder już galopował szaleńczo z powrotem, zdjęty paniką.

Wstrzymawszy Juliusa, zanim i on wpadł w pułapkę, utworzoną, jak się z bliska okazało, z rozmieszczonych na drodze potykaczy, Ryder zeskoczył z siodła. Kiedy z sercem w gardle pokonywał biegiem ostatnie kilka metrów, wpatrzony w leżącą twarzą ku ziemi Mary, zobaczył, że jego żona się porusza. Podparła się na ramionach, zdmuchnęła z twarzy włosy i zaczęła się podnosić.

Przesadził rów, pędem minął deresza – który leżał większą częścią ciała w rowie, z wyciągniętą przed siebie przednią nogą, ale już spokojniejszy – przeskoczył nad strzaskanym gigiem, nachylił się płynnie i zamknął Mary w ramionach, mocno ją tuląc.

Przez długą chwilę stał z twarzą schowaną w jej lokach, wdychając ich zapach, czując jej smukłe i ciepłe ciało przy swoim.

W końcu uwolniła rękę i pogładziła go po policzku.

– Nic mi nie jest.

Ledwie śmiał wierzyć, że wyszła z tego bez szwanku. Poluzował objęcia na tyle, by zajrzeć jej w twarz; malowała się na niej powaga, ale nie doszukał się oznak bólu.

– Żadnych stłuczeń lub zwichnięć?

– Nie. Właśnie dlatego skoczyłam. Widziałam, że trawa jest w tym miejscu gęsta, a kiedy koń stanął dęba, zrozumiałam, że nic więcej nie zdołam zrobić.

Bystry umysł i umiejętności ocaliły ją po raz kolejny. Popatrzyła na zniszczony gig, skrzywiła się i poklepała Rydera po ramieniu.

– Trzeba zająć się koniem.

Ostrożnie podeszli do deresza, ale wyglądało na to, że jedyną szkodę stanowi potykacz, który wbił się w lewe przednie kopyto. Kiedy Ryder go usunął, a następnie uwolnił kłusaka ze szczątków gigu, wspólnymi siłami nakłonili zwierzę do wstania i uważnie je obejrzeli. Na szczęście oprócz tego, że koń oszczędzał zranione kopyto, nic mu nie dolegało.

– Gdybyś nie miała na tyle rozsądku, żeby zjechać na bok, nie bacząc na rów, byłoby znacznie gorzej – stwierdził Ryder. Podał Mary wodze. – Przytrzymaj go, a ja usunę to diabelstwo.

Z roztargnieniem głaszcząc deresza po nosie, Mary przyglądała się, jak Ryder sięga do zgruchotanego gigu po pusty kosz, a potem napełnia go dziwnymi powyginanymi metalowymi kolcami, które rozrzucono szerokim pasem w poprzek dróżki.

Zebrawszy wszystkie, Ryder chwycił wodze Juliusa i wrócił do Mary. Wyjął z kosza jeden z przedmiotów, obracając go w palcach, by oboje mogli mu się przyjrzeć. Rozmiarów pięści, został wykonany z trzech długich pozaginanych gwoździ tak, by się sczepiły.

– Co to takiego? – Mary zmarszczyła brwi.

– Tak zwany potykacz. Wynaleziono je do powstrzymywania szarży kawalerii. Ten tu to nie jest klasa kawaleryjska. Prymitywna robota, niemniej skuteczna. – Ryder umieścił sobie przedmiot na otwartej dłoni. – Jest tak skonstruowany, że opiera się na główkach, a ostre końce wystają.

Mary pokręciła głową.

– Okropne. Pomyśl tylko, jaki to ból dla konia.

Ryder myślał raczej o bólu, który mógł się stać jej udziałem. Zerknął na zniszczony powozik: roztrzaskane drewniane rozpórki, zapadnięte do środka koło, złamane na pół siedzenie, po czym spojrzał na Mary.

– Zostawimy deresza na najbliższym polu i pojedziemy z powrotem na Juliusie.

Przytaknęła.

– Filmore gotów paść trupem, kiedy zobaczy, że znów wracamy razem na jednym koniu.

*

Tej nocy, kiedy leżeli obok siebie i obserwowali wędrujące po suficie promienie księżyca, nadal kołysani na fali błogości, Ryder zapytał:

– Może powinniśmy wrócić do Londynu?

– Nie – odparła natychmiast Mary. – Nie pozwolę, żeby byle nikczemnik przepędził mnie z mojego nowego domu.

– Chodziło mi raczej o zapewnienie ci bezpieczeństwa.

– Nie rozumiem, jak… – Umilkła, a po sekundzie zaczęła raz jeszcze: – No dobrze, rozumiem, ale jeśli ci się wydaje, że zostawisz mnie w Londynie pod opieką rodziny, a sam wrócisz wykryć sprawców, przypuszczalnie kusząc ich, by podjęli kolejną próbę zamachu na twoje życie… – Urwała, zaczerpnęła powietrza, po czym skończyła: – Mówiąc krótko, przemyśl to raz jeszcze. Nie odstąpię od twego boku. Jesteśmy małżeństwem, gdybyś zapomniał. Ślubowałam być z tobą „od dziś na wieczność, na dobre i na złe, w dostatku i w biedzie, w chorobie i w zdrowiu, kochać cię i szanować, dopóki śmierć nas nie rozłączy". Nie ma tu słowa o porzuceniu cię, żebyś sam stawił czoło nieznanym wrogom.

Ryder usłyszał wojowniczy ton w jej głosie.

– Nie zapomniałem. – Odnotował natomiast, że pominęła wzmiankę o posłuszeństwie. Westchnął. – Zapewnienie ci bezpieczeństwa… to dla mnie sprawa nadrzędna – przyznał.

Skinęła głową.

– I na tej samej zasadzie dla mnie najważniejsze jest to, żebyś wyszedł z tego cały i zdrowy. Zatem będziemy musieli po prostu zaakceptować, że żadne z nas się nie wycofa, powinniśmy chyba potraktować to jak wyzwanie.

– Wyzwanie?

– No cóż, kiedy pokonamy tę przeszkodę, to zdobędziemy wiedzę i umiejętności, dzięki którym poradzimy sobie ze wszystkim, co może nas jeszcze spotkać.

Niewykluczone, że miała rację. Bieżąca sytuacja zaczynała przypominać chrzest bojowy.

– Zaufaj mi – powiedziała. – Mam rację. Przekonasz się. Wyjdziemy z tego silniejsi,

bardziej pewni naszego związku. Uważam to za pożyteczne doświadczenie, a kiedy przestaniesz tyle myśleć, przyznasz mi rację.

W zasadzie już to uczynił. Toteż odchrząknął i złożył pocałunek na jej czole.

– Zobaczymy.

*

Po stosownej dyskusji Mary zgodziła się w najbliższych dniach nie wypuszczać poza obręb opactwa.

Pierwsze dwa z nich ożywił ciąg wizyt, jakie nowej markizie składało okoliczne ziemiaństwo, odczekawszy zwyczajowe siedem dni. Teraz, kiedy Mary i Ryder mieszkali już w opactwie jako mąż i żona od ponad tygodnia, aleją zaczęły nadjeżdżać powozy, wioząc damy, niekiedy w towarzystwie mężów, chętne do nawiązania znajomości z nową sąsiadką. Zaabsorbowana tą sytuacją, Mary niemalże zapomniała o incydentach, które zepsuły jej pierwszy tydzień. Wizyty sąsiadów dostarczyły jej i Ryderowi mnóstwa tematów do rozmów i dyskusji, w trakcie których zadawała mu wiele wnikliwych pytań.

Następny ranek przyniósł ostatnią, wedle szacunków Rydera, wizytę zapoznawczą. Złożyła ją lady Hamberly, miejscowy odpowiednik wielkiej damy z wyższych sfer, która zabawiła w Raventhorne pół godziny.

Mary, stojąc obok Rydera na portyku, skąd machali dostojnemu gościowi na pożegnanie, wymamrotała:

– O co się założysz, że spędzi popołudnie, pisząc listy do zaprzyjaźnionych dam w całym kraju?

– Tutaj nie ma się o co zakładać – odparł Ryder. – To pewnik.

Mary ze śmiechem wzięła go pod ramię i wrócili do biblioteki.

Jako właściciel wielkiego majątku ziemskiego oraz znaczącej fortuny Ryder musiał rozprawiać się z nieustającym strumieniem korespondencji. Mary usiadła z książką w fotelu, a ilekroć przerywał pracę, żeby sprawdzić, co u niej – i poświęcić jej choć trochę swego czasu – korzystała z okazji i wypytywała go o jego mniejsze posiadłości rozsiane po całym kraju.

Później tego popołudnia, uznawszy, że pora znaleźć własne miejsce, takie, gdzie mogłaby wygodnie spędzać czas pod nieobecność Rydera lub gdyby nie miała ochoty odpoczywać w bibliotece, Mary wybrała się na samotny obchód domu, zaglądała do pokoi na parterze, przysiadała to w tym, to w tamtym fotelu, ale żaden jej nie odpowiadał.

W końcu wypróbowała bawialnię na piętrze – i odkryła, że pasuje do niej idealnie. Było coś w sposobie, w jaki światło wlewało się przez okna po obu stronach sekretarzyka. A ustawiony w kącie na lewo od niego fotel wprost ją przyzywał. Usiadła w nim i uważnie obejrzała pomieszczenie; nie wybrała go od razu ze względu na znaczne oddalenie od pozostałych pokoi, choć przecież wydawała się tak nadzwyczajnie do niego pasować, w znacznej mierze dzięki zmianom zarządzonym przez Rydera. Wyobraził sobie to miejsce jako swego rodzaju świątynię Mary i czuła, że tu przynależy.

Uśmiechnęła się i zrelaksowała; z podziwem jeszcze raz omiotła wzrokiem pokój, a później zastanowiła się, czy powinna zejść na dół po książkę. Rozważała ten koncept, kiedy spostrzegła swój zamykany wiklinowy kosz z robótkami, który Aggie ustawiła przy fotelu, gdzie istotnie światło było najlepsze. Od dłuższego czasu nie wyszywała.

Uśmiechnęła się, rozważając, czy nie pora wrócić do rozpoczętej jakiś czas temu powłoczki na poduszkę. Nachyliła się, uniosła wieko i sięgnęła do środka.

W kierunku jej dłoni przemknął skorpion z wygiętym wysoko w łuk odwłokiem.

Z krzykiem cofnęła rękę, akurat kiedy zaatakował.

Zerwała się na równe nogi i noskiem buta szybko zamknęła kosz.

Serce podeszło jej do gardła. Wpatrywała się w kosz, niezdolna odwrócić wzroku, z obawy że skorpion jakimś sposobem uniesie nakrycie i czmychnie.

W korytarzu zadudniły kroki, moment później drzwi otworzyły się z hukiem i Ryder już przy niej był, zamykając opiekuńczo w ramionach.

– Co się stało? – Przeczesywał wzrokiem pokój.

Do bawialni wpadli dwaj lokaje, a za nimi Forsythe, wszyscy zaniepokojeni i wojowniczy.

Nadal roztrzęsiona, Mary wskazała kosz z robótkami.

– Skorpion. Tam.

– Skorpion? – spytał Ryder, całkowicie zaskoczony tym, co usłyszał.

Mary przytaknęła i głośno przełknęła ślinę.

– Nie boję się gryzoni – powiedziała – ale robali nienawidzę, tam zaś to z całą pewnością skorpion, czerwony. Próbował mnie ukąsić.

Ryder zaklął; delikatnie odsunął Mary, podszedł do kosza i podniósł go, mocno przytrzymując wieko. Skierował się do drzwi, a następnie, z Mary spieszącą u jego boku oraz zamykającymi pochód lokajami i Forsythe'em, przemaszerował przez dom, schodami w dół i wreszcie, poczekawszy, aż kamerdyner otworzy drzwi, wyszedł na portyk. Tu odstawił kosz i spojrzał na Mary.

– Zachowaj dystans.

Zatrzymała się w progu. Forsythe zajął pozycję przed nią, odrobinę na lewo, tak by nie zasłaniać jej widoku.

Ryder popatrzył na lokajów, którzy stanęli po obu jego bokach.

– Gotowi?

Kiedy z powagą przytaknęli, czubkiem buta uniósł wieko. I rzeczywiście, skorpion, okaz nadzwyczaj jaskrawo ubarwiony, przemknął po złożonych w środku materiałach. Ponieważ, skądinąd rozsądnie, nie skłaniał się do opuszczenia kryjówki, Ryder zaszedł od drugiej strony, chwycił za tył oraz spód kosza i potrząsając nim, odwrócił go do góry nogami.

Ze środka wypadło kilka robótek – oraz skorpion, który od razu pomknął w prawo. Ryder był jednak szybszy i zmiażdżył go butem.

Pozostawił lokajom obejrzenie szczątków – jeszcze nigdy nie widzieli skorpiona – a sam zajrzał do kosza. Był pusty. Podniósł więc robótki, które wypadły wcześniej, strząsnął je energicznie, po czym upchnął z powrotem w koszu, zamknął go i oddał Mary.

– Czysto.

Skinęła głową.

– Dziękuję.

Kiedy nań spojrzała, na jej twarzy nadal malował się szok. Otoczył ją ramieniem i przytulił.

– Panie Forsythe?

– Tak jest, milordzie, przeszukamy bawialnię i pozostałe państwa pokoje. W rzeczy samej, całe skrzydło.

– Tak zróbcie. – Zawrócił Mary do środka. – Chodź, usiądziesz ze mną w bibliotece.

Nie opierała się.

*

Pół godziny później miejsce szoku zajął jawny gniew.

– To się musi skończyć!

– Zgadzam się w zupełności.

Rozparty w fotelu naprzeciw Mary, Ryder sączył drugą szklaneczkę brandy. Pierwszą osuszył jednym haustem.

– Nie widziałam jeszcze skorpiona na żywo – powiedziała po chwili.

– A ja tak. Mam przyjaciela, który mieszka w pobliżu Rye. Widuje je od czasu do czasu, ale są całkiem inne: większe i ciemnobrązowe. Ich jad nie jest śmiertelny, choć słyszałem, że ukąszenie boli.

– Ten był czerwony.

– Zauważyłem.

– Zastawiam się, czy nie wyciągnęliśmy wniosków zbyt pochopnie – oznajmiła.

– To znaczy? – Ryder utkwił w niej wzrok.

– Przyjęliśmy, że ktokolwiek próbował cię zabić w Londynie, stoi także za atakami na mnie, kiedy jednak przyjrzysz się tym zdarzeniom: żmija w moim łóżku, gałązka cierniowa pod siodłem, potykacze na mojej drodze, a teraz skorpion, to choć każde z nich mogło doprowadzić do mojej śmierci, prawdopodobieństwo tego nie było aż tak wysokie. – Popatrzyła mu w oczy. – W przeciwieństwie do nich cios sztyletem w okolice serca jest dużo skuteczniejszy.

– Kochanie, nie mogę się z tym spierać – rzekł Ryder po chwili – ale nie jestem pewien, czy za tobą nadążam.

– Co, jeśli tutejsze wypadki miały na celu nie tyle mnie skrzywdzić, ile skłonić do ucieczki, a tym samym potencjalnie zniszczyć nasze małżeństwo?

– Przypuszczam, że to możliwe.

– Potraktowane w ten sposób, ostatnie incydenty nie wydają się tak przerażające.

Mary przyglądała się, jak jej mąż sączy brandy, i miała nadzieję, że jej nieco uspokajające słowa przyswoił równie gruntownie. Główny powód narastającego w niej gniewu był taki, że uporczywie podsycały one troskę Rydera. Z każdym kolejnym zdarzeniem stawał się mniej tolerancyjny – lecz, doprawdy, czy można go było winić?

W istocie, jego reakcje dowodziły, że sprawy między nimi rozwijają się w pełni zgodnie z życzeniami i nadziejami Mary. Zarazem z doświadczenia z braćmi i kuzynami wiedziała, jak łatwo taka nadmierna opiekuńczość utrwala się u mężczyzn jego pokroju.

– Proponuję – odezwała się po chwili – żebyśmy przez kilka nadchodzących dni pozostali w domu lub jego najbliższej okolicy, ze służbą postawioną w stan pełnej gotowości, i zobaczyli, co się zdarzy. Jeśli dopisze nam szczęście, złapiemy tego osobnika, kiedy po raz kolejny spróbuje zakraść się do domu.

Ryder chrząknął, ale nie wyraził sprzeciwu, co Mary uznała za powód do zadowolenia.

– W międzyczasie – ciągnęła – może skonsultujemy się z Barnabym i Penelope, jak również zintensyfikujemy poszukiwania osoby z towarzystwa, która może ci źle życzyć?

Ryder osuszył szklaneczkę i wstał.

– Zaraz skrobnę list do Adaira. – Spojrzał na nią pytająco. – Zakładam, że zechcesz dodać parę słów do Penelope.

Skinęła głową.

Podczas gdy Ryder zasiadł przy biurku, Mary przeanalizowała bieżącą strategię. Uznała za niezaprzeczalnie rozsądne, żeby zająć ich oboje próbami zidentyfikowania osoby stojącej za serią ataków.

Dotarli już tak daleko; ani myślała pozwolić, żeby byle łotr zniszczył to, co zyskali.

*

– Czyli ona nadal żyje?

– Tak. Dziś rano widziałem, jak spacerowała po tarasie.

– To niedobrze. Powiedziałeś, że załatwisz sprawę.

– No i bym załatwił, gdyby to nie musiało wyglądać na wypadek. Tutaj mam ograniczoną liczbę możliwości, a przy tym, jak ona i markiz tego dowiedli, za każdym razem istnieje ryzyko, że sprawa nie zakończy się śmiercią.

– Niech go diabli! Zawsze dopisywało mu niewiarygodne szczęście, a jej najwyraźniej los również sprzyja.

– Być może, ale jeżeli naprawdę mamy się ich pozbyć, trzeba będzie spróbować bardziej bezpośredniego i kategorycznego rozwiązania. Takiego, które na pewno poskutkuje, raz a dobrze.

Po tych słowach nastała dłuższa cisza, przerwana wreszcie pytaniem:

– Co proponujesz?

Rozdział 14

Tydzień upłynął w niezmąconym spokoju.

– Nareszcie.

Wszedłszy na galerię w drodze do salonu, tuż przed obiadem, Mary przystanęła, zaczerpnęła powietrza i westchnęła uszczęśliwiona. Nasłuchiwała; wychwyciła krzątaninę lokajów w jadalni oraz majestatyczne kroki Forsythe'a. Panował ład, wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Ryder będzie już na nią czekał w salonie; mieli zwyczaj rozpoczynać tam rozmowę na temat minionego dnia, którą kontynuowali przy obiedzie, zanim udali się do biblioteki, gdzie Mary czytała, on zaś kończył korespondencję, po czym dołączał do niej i także brał książkę albo od razu udawali się na górę do jego sypialni.

Z radosną niecierpliwością ruszyła po schodach na dół.

Mieszkali w opactwie już prawie trzy tygodnie i wreszcie zapanował tu spokój, który uważała za normę w przypadku każdego dobrze prowadzonego arystokratycznego domu. Zarządzanie takim majątkiem bardzo jej odpowiadało; wychowano ją do objęcia takiej pozycji, która harmonizowała z jej osobowością. Mary lubiła dbać, by wszystko toczyło się sprawnie.

Z początku postrzegała ataki na siebie wyłącznie w negatywnym świetle, lecz przez ostatnie dwa tygodnie jej nastawienie się zmieniło. Teraz uważała za bardzo prawdopodobne, że to, jakie zachowanie wymusiły na niej i Ryderze, uczyniło z nich parę. Przez ostatnie tygodnie wiele się nauczyła.

Nie przychodziła jej na myśl inna sytuacja, w której równie szybko zmierzyliby się z napięciem wynikającym z uczucia.

Przez ostatnie tygodnie Mary wiele się nauczyła.

Ryder również się uczył, a narastające w nim zrozumienie zabarwiało każdą ich relację.

Zstąpiwszy z ostatniego stopnia, z uśmiechem skierowała się do salonu. Skinieniem głowy podziękowała lokajowi, przytrzymującemu dla niej drzwi, weszła do środka – i zobaczyła męża, który czekał na nią jak zwykle, wsparty ramieniem o obudowę kominka.

Nawet na wsi zawsze był nieskazitelnie ubrany; uśmiechnęła się, gdyż zaiste wyglądał elegancko. W minionych dniach objeżdżał posiadłość; niektóre pasma jego włosów pojaśniały od słońca, odcinając się płowo od reszty.

Uśmiechnął się na jej widok. Jego oczy jaśniały. Uniósł jej dłoń do ust i musnął wargami.

Odpowiedzialny za ataki nikczemnik zawiódł ich na tę konkretną ścieżkę, niemniej podążyli nią chętnie, przy czym, w jej ocenie, znajdowali się już niemal u celu.

Ryder, uśmiechając się do jej oczu, nie wypuścił jej ręki, bezwiednie gładząc ją palcami.

– Czy pani Hubert bardzo cię wymęczyła w sprawie kościelnego kiermaszu?

– Tak i nie. Jest uparta, ale ja przecież także. – Mary odwzajemniła uśmiech. – Ponieważ jednak nawykła do zarządzania wszystkim, zdecydowałam, że będę po prostu figurantką, o co jej zresztą tak naprawdę chodziło. Wystarczy mi zajęć w domu, a do tego

bardzo chcę pchnąć sprawę pikniku dla dzierżawców.

Omawiali ten pomysł przez kilka minut, zanim pojawił się Forsythe, by wezwać ich na obiad.

Posiłek upłynął im jak zwykle – przy rozmowie o rozmaitych kwestiach, jakie wypłynęły w ciągu dnia. Tym razem byli to wędrowni Cyganie, którzy rozbili obóz na błoniach w okolicy, oraz nieufność, jaką wzbudzali w miejscowych. A kiedy z tym skończyli, wdali się w polityczną dyskusję zainspirowaną polemiką, na którą oboje zwrócili uwagę w dzisiejszej gazecie. Wymiana zdań okazała się jak zawsze zabawna i stymulująca.

Po posiłku, idąc obok Mary i słuchając jej opinii o najnowszych rozwiązaniach w oświetleniu gazowym, Ryder po raz kolejny poczuł się zadziwiony – nią, sobą; nie wyobrażałby sobie, że będzie miał takie relacje z żoną. Wcześniej nie stworzył sobie jasnego obrazu przyszłej żony, gdyby jednak poświęcił chwilę na zastanowienie, nigdy nie marzył o damie, z którą będzie dyskutować na tego rodzaju tematy, której zdanie nauczy się poważnie brać pod uwagę i cenić. Cenić bardziej niż czyjekolwiek inne. Nie przewidywał, że nawiąże tak silną emocjonalną więź z żoną, gdyż nie podejrzewał, że jest zdolny do tego rodzaju uczuć. Lecz Mary dowiodła mu tego ponad wszelką wątpliwość.

Weszli do biblioteki, akurat kiedy zakończyła swój wywód.

– Zgadzam się z tobą. Powinniśmy mieć to na względzie, kiedy znów pojawi się ta kwestia, czyli zapewne w londyńskiej rezydencji.

Uśmiechnęła się, usiadła w fotelu i sięgnęła po książkę. Delikatnie przesunął palcami po jej plecach i poszedł dalej do biurka.

Zostało mu do napisania i przeczytania kilka listów.

Kiedy pisał, jego myśli jednocześnie dryfowały ku bardziej pociągającym sprawom. Takim jak ich małżeństwo i rozwijająca się między nimi więź – prawdziwe partnerstwo.

Nie wiedział, jak to się stało – nie przypuszczałby wcześniej, że to w ogóle możliwe – ale jakimś sposobem w następstwie wydarzeń, które pchnęły ich ku sobie, jak również dramatów ostatnich tygodni, odnaleźli poczucie wspólnoty. W jego przypadku owa więź manifestowała się w spojrzeniach, intymnych uśmiechach, muśnięciach jej palców, pocałunkach, uściskach dłoni.

Z jej strony przejawiała się w otwartości, entuzjazmie, z jakim witała jego towarzystwo, blasku chabrowych oczu, ilekroć nań patrzyła.

Niczego takiego nie oczekiwał. Nie przewidywał, że doświadczy takiej emocjonalnej bliskości z żoną, gdyż nie podejrzewał, iż jest zdolny do tego rodzaju uczuć. Teraz już to odkrył – Mary dowiodła mu tego ponad wszelką wątpliwość.

Tędy wiodła najpewniejsza droga do wszystkiego, czego kiedykolwiek pragnął – w kwestii małżeństwa i życia w ogóle.

Zwykł słuchać instynktu, a tym razem w jego podszeptach brzmiała niewzruszona pewność.

Dlatego tym bardziej zaniepokoił go list, który otrzymał od Barnaby'ego Adaira.

Nie pokazał go Mary; Barnaby jasno dał do zrozumienia, że pismo przeznaczone jest wyłącznie dla oczu Rydera. Adair argumentował, że choć na pozór ataki na Mary ustały, choć istnieje możliwość, że owe incydenty miały ją jedynie nastraszyć i rozbić ich małżeństwo, doświadczenie podpowiada zarówno jemu, jak i Stokesowi, że mniej pożądane wyjaśnienie, iż napaści na każde z nich stanowią elementy tej samej strategii, pozostaje w mocy. A skoro tak, istnieją spore szanse na to, że sprawca nie ustanie w

wysiłkach, nawet jeśli aktualnie spauzował.

„Miej się na baczności" – tak brzmiało ostrzeżenie Barnaby'ego i Stokesa, wyrażone słowami, których nie sposób było zrozumieć opacznie.

Do dalszego zwiększenia liczby niewiadomych przyczyniał się fakt, że pomimo szeroko zakrojonego śledztwa, prowadzonego przez Cynsterów oraz dżentelmenów związanych z rodem przez małżeństwo, jak Jeremy Carling, Breckenridge, Meredith i inni, bez wyjątku znani Ryderowi, nie udało się trafić na informację, by jakiś dżentelmen chciał jego śmierci.

Z kolei śledztwo Rydera w sprawie osoby, która wynajęła dwóch zabitych przez niego w zaułku opryszków, nie przyniosło nowych rezultatów; ten trop dawno się urwał.

Jak stwierdził na koniec Barnaby, stali tym sposobem w obliczu nieznanego zagrożenia, które mogło się pojawić w dowolnej chwili, z niespodziewanego kierunku.

Uporawszy się z ostatnim listem, Ryder spojrzał przez pokój na pochyloną głowę Mary i raz jeszcze zaniósł w duchu modły dziękczynne za jej inteligencję. Bez zastrzeżeń ani tym bardziej skarg akceptowała fakt, że musi pozostawać w domu lub w obrębie okalających go ogrodów.

Naskrobał swój tytuł w narożnikach kopert, rzucił je do wysłania na tacę dla Forsythe'a, wstał i ruszył ku żonie.

Podniosła wzrok, kiedy się zbliżył. Z uśmiechem wyciągnął do niej ręce. Odłożyła książkę, a on pomógł jej wstać. Spojrzał na nią, nie puszczając jej dłoni.

– Barnaby przesyła ukłony... i ostrzega, żebyśmy nadal mieli się na baczności.

Przekrzywiła głowę.

– Na szczęście chwilowo nie mam powodu wypuszczać się gdziekolwiek dalej.

– Odpowiada ci, że ograniczasz się do domu i ogrodów?

Przytaknęła.

– Na razie. – Wysunęła dłonie z jego uścisku, wzięła go pod ramię i zwróciła ku drzwiom. – Jeśli ktoś chce zasięgnąć mojej rady, może przyjechać z wizytą. Ja zaś niespodziewanie zaczęłam doceniać święty spokój.

Roześmiał się. Weszli na górę w dobrych nastrojach, ale niepewność pozostała, przypominając Ryderowi, że to, co dziś mieli, jutro może zostać zagrożone.

Podążył za nią do pomieszczenia, które niegdyś było jego sypialnią, lecz aktualnie nosiło ślady jej obecności – jedwabny peniuar przewieszony schludnie przez oparcie krzesła, na niższej z komód szczotka oraz płytkie naczynie, gdzie odkładała spinki do włosów i biżuterię.

Mary podeszła prosto do komody i zaczęła wyjmować szpilki z włosów.

Ryder zabrał się za rozwiązywanie halsztuka. Rozplątawszy go wreszcie, sięgnął po nią.

Mary odwróciła się w jego objęciach, włosy rozsypały się jej wokół twarzy i na ramiona. Ryder nachylił głowę, ona zaś ofiarowała mu swoje wargi.

Przyłożyła dłonie do jego piersi, instynktownie zaciskając lekko palce, zajrzała mu w twarz i uniosła brwi. Grywali w różne gry, lecz tej nocy Mary mogła domniemywać, że Ryder chce czegoś więcej, że rozważa jakąś sugestię; niemniej po krótkim wahaniu odrzucił wszelkie słowa i nachylił ku niej głowę, oddając żarliwie pocałunek.

Od pierwszego dotyku jego ust, pierwszego władczego pocałunku wiedziała, że ta noc nie będzie prostą powtórką wcześniejszych.

Podążyła za nim; napawali się niespiesznie nie sobą nawzajem, ale wspólnie tą chwilą, niosącą zapowiedź głębszej, bardziej czarownej intymności.

Później wszystko nabrało mocy.

Mary radowała się namiętnym oddaniem, nasycającym nie tylko pocałunek, ale każdy dotyk, każdą pieszczotę. Zrzucili ubrania.

Przyciągnął ją do siebie, delikatne kształty przywarły do muskularnego, osypanego szorstkim zarostem ciała i zamarli, pochwyceni przez zmysłowy czar tej chwili.

Otaczał ją swym żarem. Przesunęła dłońmi po jego ramionach, zatopiła palce we włosach i pogłębiła pocałunek. Zmysłowo odpowiedziała na jego wyzwanie, wygięła się, naparła.

Miała rację; oboje odnaleźli w tej głębszej potyczce coś więcej, kiedy na oślep wdarli się na nieznany poziom i intensywność ich emocji gwałtownie wzrosła.

Przerwawszy pocałunek, zagarnął ją w ramiona i zaniósł na łóżko.

Obsypywał pieszczotami jej drżące ciało.

Wplotła palce w jego włosy, walczyła i wiła się, gdy pieścił ją i delikatnie badał wargami. Smakował ją, ona zaś, z zamkniętymi oczami, oddychając z trudem, poddawała się gotowa na więcej.

Sięgnęła po niego. Przeciągnęła dłońmi po jego torsie.

Odnalazła go, sztywnego i rozpalonego, i poprowadziła ku sobie, w najgorętsze miejsce.

Naparł, a później z chrapliwym jękiem wdarł się w nią cały.

Unosił się nad nią, mięśnie ramion drżały mu z wysiłku, starał się zachować kontrolę, trwać nieruchomo, podczas gdy ona dostosowywała się do jego rytmu.

Całkowicie, kompletnie, bez ograniczeń.

Jakichkolwiek.

Żadnych osłon, żadnych zahamowań.

Czuła, jak jej serce się otwiera, zezwoliła na to, nie próbowała niczego powstrzymywać. Ofiarowała mu już swoją rękę, przyszłość, oddała ciało; teraz darowała mu ostatnią maleńką cząstkę siebie, z którą dotąd się nie rozstała, okruch serca zachowany na wypadek, gdyby on nigdy w pełni się jej nie ofiarował.

Ale nadeszła już pora. Wyczuwała to w każdym podniecającym pchnięciu, w uderzeniach ich serc. Pora, by zaryzykowała i dała mu całą siebie. W pełni, nieodwołalnie.

Ryder dawno utracił zdolność myślenia. Górę wzięło w nim uczucie i ponaglało go, by poddał się, ugiął, padł na kolana.

Nie czuł się na to ani trochę przygotowany, a jednak każda jego cząstka tego pragnęła.

Wdzierał się w nią coraz głębiej i mocniej, ona zaś unosiła się ku niemu, ich ciała łączyły się bez wysiłku, nie tylko w sensie fizycznym, trawione przez żar, ale, stapiały się w jedno także w znacznie bardziej fundamentalny sposób.

Na głębszym poziomie, na jakiejś nieznanej im płaszczyźnie.

Dawali i brali, złaknieni i hojni.

Pędzili, niecierpliwi i zdeterminowani, ku kataklizmowi, który połączy ich na zawsze.

Zatopiony głęboko w rozkoszach jej ciała, świadom, że ona czerpie z tego przyjemność, pośród szalejących zmysłów widział ten fakt bardzo wyraźnie.

Oto, co znaczy być jednością.

Osiągnąć szczyt bliskości.

Druzgocącej fizycznej intymności, napędzanej przez emocję.

Oto, co znaczy kochać.

Odsunąć na bok wszelkie zastrzeżenia, dawać bez ograniczeń.

Stracić serce.

Z chęcią powierzyć serce tej drugiej osobie, stać się zależnym i zaborczym, zaakceptować to jako cenę za wzajemność.

Ta chwila należała do nich, a że byli do siebie tak podobni, dotarli do celu razem.

Poprowadzili się nawzajem nad krawędź.

Połączyli się ostatecznie.

Mknęli ku szczytowi. Ryder rozpoznał, że to właśnie jest ów nieodwołalny moment, krok, którego nie sposób już cofnąć – i nadal pragnął go zrobić.

To było warte każdej ceny.

Z ostatnim desperackim westchnieniem sięgnął po ów dar, kiedy w burzy namiętności doznania i emocje zderzyły się ze sobą i zapłonęli.

Gdy owładnęła nimi pożoga miłości.

Byli jednością.

Kiedy wstrząsnęły nim ostatnie dreszcze spełnienia, kiedy przygasły jej ostatnie drżenia, osunął się na nią, zbyt wyczerpany, żeby myśleć.

Nawet później, kiedy leżał u jej boku, jedyna myśl, jaką zdołał pochwycić, dotyczyła tego, że nigdy nie pozwoli jej odejść.

Nie mógłby. Była dla niego wszystkim.

Po porannym przebudzeniu zajrzeli sobie nawzajem w oczy, a potem się uśmiechnęli.

I znów się kochali, rozpoczynając spokojny beztroski dzień.

*

Zegar na kominku w bibliotece uderzył pięć razy. Porządkując ostatnie kalkulacje dotyczące nadchodzących zbiorów, Ryder w myślach nadal analizował to, co się stało – niespodziewany, nieprzewidziany stan przesyconego obietnicą zadowolenia, co czyniło go nader podatnym na zranienie.

Dziwił się, że tak ochoczo, tak łatwo zaakceptował u siebie tę nową wrażliwość, lecz mimo to nawet teraz, będąc w pełni władz umysłowych, gdyby miał znów podjąć decyzję, postąpiłby identycznie.

Istniały rzeczy warte tej ceny. Warte każdej ceny.

Odkładanie akceptacji tego, co zrodziło się między nimi, ze względu na wiszące nad nimi zagrożenie, nie miało sensu. Ani on, ani Mary nie cenili przesadnej ostrożności, a tym bardziej nie byli skłonni pozwolić, żeby byle kanalia dyktowała im, jak mają postępować. Nie. Cokolwiek się zdarzy, poradzą sobie. Za sprawą minionej nocy stali się silniejsi.

Błądząc myślami wokół przyjemności nadchodzącego wieczoru, zamknął szufladę biurka. Wtedy zapukano do drzwi.

Wszedł Forsythe z wyrazem lekkiego zakłopotania na twarzy. W ręku trzymał tacę, na której spoczywało kilka listów – popołudniowa poczta.

– Milordzie – rzekł– Aggie bezskutecznie szuka markizy. Orientuje się pan, gdzie można ją znaleźć?

Sięgając po listy, Ryder ściągnął brwi.

– Zamierzała wyszywać, ale – zerknął na słońce za oknem – może poszła na spacer. – Wstał zza biurka. – Nie oddalałaby się zanadto. Czy Aggie sprawdziła w ogrodzie różanym?

Owszem, szukała też na tarasach i wokół domu oraz we wszystkich pokojach na piętrze. I załamywała ręce.

– O tej porze pani zwykle przebywa gdzieś w pobliżu, milordzie, i lubi, kiedy zachodzę spytać, jaką suknię życzy sobie założyć do obiadu.

Przeczesanie reszty domu zajęło lokajom kwadrans. W międzyczasie Ryder posłał po Dukesa, głównego ogrodnika, który natychmiast poszedł się skonsultować z podległymi mu ludźmi.

– Markizy z całą pewnością nie ma w domu, milordzie – zameldował Forsythe. Ryder na razie nie panikował, ale doświadczał już pierwszego chłodnego dotyku strachu na karku.

– Poślij do stajni. Markiza nie wybrałaby się na przejażdżkę, ale może poszła zajrzeć do swojej klaczy.

O tej porze dnia było to mocno naciągane wyjaśnienie, co też wkrótce się potwierdziło.

– W ogóle nie widzieliśmy dziś markizy, milordzie – zaraportował Filmore.

Dukes wrócił dziarskim krokiem – zachowanie w przypadku raczej smętnego ogrodnika było na tyle niezwykłe, że przykuło uwagę wszystkich.

– Jeden z moich chłopców spotkał markizę, jak spacerowała w zagajniku. Akurat tam pracował. Uśmiechnęła się, powiedziała miłe słowo i zawróciła do domu. Na ile mu wiadomo, poszła na wschodni taras, ale to było jakiś czas temu, co najmniej kilka godzin, a ze swego miejsca chłopak nie widział, czy markiza weszła do domu, czy gdzieś skręciła.

Opanowany lękiem, zerknął na Forsythe'a i Filmore'a, po czym znów spojrzał na Dukesa.

– Zbierzcie na dziedzińcu wszystkich sprawnych mężczyzn. Zorganizujemy poszukiwania.

– Tak, milordzie – rzekł z marsową miną Forsythe.

– Już się robi – zameldował Filmore i ruszył do drzwi.

Dukes nie odpowiedział, a jedynie ponuro skinął głową i podążył za masztalerzem. Forsythe posłał z zadaniem lokaja, sam zaś został, żeby pomóc Ryderowi rozłożyć mapy posiadłości i przyległych terenów.

Ku niejakiemu zaskoczeniu Rydera Aggie przestała załamywać ręce, okręciła się na pięcie i wypadła z pokoju.

Ostatecznie na dziedzińcu stawili się nie tylko mężczyźni, lecz także wszystkie młodsze służące, skrzyknięte przez Aggie za aprobatą pani Pritchard, chętne wnieść własny wkład w odnalezienie zaginionej pani. Dało to Ryderowi pewną swobodę wyboru; kiedy rozesłał kobiety, żeby w parach przeczesały każdy skrawek terenu wokół dworu, nadal pozostało mu wystarczająco wielu mężczyzn, by mógł pchnąć część z nich do pobliskich gospodarstw rolnych, jak również zorganizować szeroko zakrojone przeszukiwanie okolicznych lasów i pól.

Jakkolwiek znajdowali się w Wiltshire, najspokojniejszym hrabstwie w Anglii, nie dało się wykluczyć, że Mary przydarzył się wypadek, nawet jeśli nie zapuściła się do lasu. Taką żywił nadzieję, o tym myśleli wszyscy. Upadek, skręcona kostka – każde tego rodzaju zdarzenie wydawało się do przyjęcia.

Nikt nie przyjmował do wiadomości, że może spotkało ją coś złego.

Wszczęli poszukiwania w pełnym świetle dnia, ale w trakcie pierwszej godziny słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, a rzucane przez drzewa cienie się wydłużyły. Jednak nadal było dostatecznie widno, by kontynuować akcję. Kolejne grupy wracały do domu z raportami, gdy uporały się z przydzielonym im obszarem, a Ryder natychmiast posyłał

ludzi w nowe niezbadane dotąd miejsca. Raventhorne było rozległym majątkiem ziemskim; sprawdzenie całego wymagało trochę czasu.

W końcu nawet Forsythe, urodzony i wychowany na tych ziemiach, zasilił szeregi poszukiwaczy.

Zmierzch rozgościł się już na dobre, kiedy zapukano do drzwi biblioteki. Ryder podniósł głowę – jedynie po to, by doznać rozczarowania, gdy do środka zajrzała pani Pritchard.

– Tak? – Starał się złagodzić szorstki ton.

– Milordzie, mam tu chłopaka, Dixona z Axfordu, i chyba powinien pan wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Ryder się wyprostował nad mapami, nad którymi ślęczał.

– Dixona?

– Sprzedawcę ryb. – Pani Pritchard przestąpiła próg i gestem zachęciła chłopaka do wejścia.

Zza framugi wyjrzał niepozorny młodzieniec i natychmiast skłonił głowę.

– Dixon, zgadza się? – spytał Ryder, starając się, by nie brzmieć zbyt groźnie.

Chłopiec raz jeszcze się ukłonił.

– Tak, panie.

Zerknął na panią Pritchard, która lekko popchnęła go w stronę biurka. Wyraźnie onieśmielony, chłopiec zrobił trzy kroki i się zatrzymał. Ryder popatrzył na gospodynię.

– Ten tu Davy przyniósł właśnie nasze zamówienie i przy okazji wspomniał, że wczoraj dostarczał ryby do domu wdowy.

– Dom wdowy. – Ryder natychmiast skupił uwagę na chłopcu. – Kto tam teraz rezyduje… Kto tam był? Wiesz?

Chłopiec potrząsnął głową.

– Nie wiem kto, panie. Widziałżem jeno kucharkę i jej dwie dziewki, ale może powiem ich zamówienie?

Kiedy Ryder zachęcająco skinął głową, chłopiec wyliczył zapamiętane ryby. Nie mając pojęcia, jak to zinterpretować, Ryder spojrzał na panią Pritchard z prośbą o przetłumaczenie.

Gospodyni z powagą spełniła jego życzenie.

– Turbot, milordzie, nie byłby przeznaczony dla służby, podobnie jak jesiotr.

– A skąd! – prychnął Davy Dixon. – Toż to one najlepsze som.

Ryderowi przemknęło przez myśl szalone wytłumaczenie i aż zawirowało mu w głowie, zaraz jednak odrzucił równie wydumany koncept i na powrót skupił uwagę na chłopcu.

– Dziękuję, młodzieńcze. Pani Pritchard, powinniśmy nagrodzić tak użyteczne wieści.

Gospodyni skinęła głową.

– Chodź, Davy – powiedziała do chłopca. – W kuchni czeka na ciebie ciasto i szyling.

Wyszli oboje. Ryder przez kilka chwil stał wpatrzony w zamknięte drzwi, potem spojrzał na mapy i pogłębiającą się szarość za oknem, zastanawiał się jeszcze sekundę, aż wreszcie ruszył do westybulu i po schodach w górę.

Pani Pritchard czekała u podnóża schodów, kiedy zbiegł na dół, przebrawszy się pospiesznie w strój do konnej jazdy.

– Jedzie pan tam?

Przytaknął, wciągając rękawiczki.

– Powinienem przynajmniej zapytać, czy ktoś stamtąd nie widział markizy. Jeśli nie…

Kiedy wróci Forsythe, proszę mu powiedzieć, żeby przejął dowodzenie nad poszukiwaniami oraz że pojadę do domu wdowy przez las. Nie posyłaliśmy jeszcze nikogo w tamte okolice, przy okazji się rozejrzę.

– Byłoby lepiej, milordzie, gdyby został pan na miejscu, a tam posłał kogoś innego, ale jesteśmy tu tylko ja i kucharka – rzekła z grymasem pani Pritchard.

– Nie miałoby to sensu. – Ryder skierował się w stronę korytarza, którym najszybciej dało się dotrzeć do stajni. – Jeśli, jak na to wygląda, rezyduje tam teraz moja macocha, wyłącznie mnie raczy udzielić audiencji.

Pani Pritchard sapnęła i odprowadziła go wzrokiem. Szedł korytarzem, coraz szybciej, gdyż pomimo wszelkich racjonalnych argumentów owładnęło go złe przeczucie.

Rozdział 15

– Lavinia by się nie ośmieliła.

Wypowiedział te słowa, wjeżdżając w pas lasu wyznaczający wschodnią granicę pól opactwa. Przez to miejsce nie wiodły żadne drogi, a jedynie ścieżka do konnej jazdy, którą właśnie podążał.

Drzewa rosły tu gęsto, stare dęby i buki ocieniały drogę i spowijały wszystko wokół głębokim mrokiem. Dom wdowy, równie stary jak oryginalna część dawnego opactwa, pierwotnie był jednym z przylegających do niego budynków kościelnych. Babka ze strony ojca mieszkała w nim, kiedy Ryder się urodził, lecz zmarła niedługo potem; w kolejnych latach budynek zajmowały jedynie osoby sprawujące nad nim opiekę, dopóki Ryder nie zesłał tu Lavinii.

Jako że nikt z miejscowych nie chciał u niej pracować, Lavinia musiała ściągnąć służbę z daleka. W konsekwencji inaczej, niż miało to zwykle miejsce na wsi, zwłaszcza w hrabstwach tak gęsto zaludnionych jak Wiltshire, służba z domu wdowy prawie nie zadawała się ze służącymi z okolicznych posiadłości, nie miała też wśród nich krewnych. Co więcej, choć Lavinia upierała się, by spędzać na wsi większą część roku, nawet za czasów swych rządów w opactwie nie zabiegała o względy lokalnego ziemiaństwa, a wręcz unikała tych ludzi i ich rozrywek jako niegodnych jej pozycji. Dlatego tak niewiele ją łączyło z sąsiadami.

Co oznaczało, że dom wdowy trwał w izolacji i poniekąd stanowił teren nieznany.

Ryder jechał przed siebie, a stukot kopyt Juliusa zdawał się echem uderzeń jego serca.

Narastało w nim podejrzenie, że Mary uprowadzono; nie znajdował innego wytłumaczenia jej przedłużającej się nieobecności. Uczynił to ów nieznany wróg, który najpierw usiłował zabić jego, a potem obrał sobie za cel jego żonę.

Ktokolwiek to był, drogo za to zapłaci.

Kiedy ktoś jej groził, chciał zrobić krzywdę, Ryder ani myślał postępować w sposób cywilizowany.

Czy to Lavinia może odpowiadać za zniknięcie Mary i za całą resztę?... Aż do tej pory z miejsca odrzucał taki pomysł. Była irytująca, mściwa, opryskliwa, owszem, ale zasadniczo nieskuteczna; uważał dotąd za nieprawdopodobne, żeby umiała zrealizować jakiś plan. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Wygłaszanie tyrad to jedno, strategia i działanie wedle przyjętych wytycznych – coś całkiem innego.

Do tej pory, ilekroć Lavinia zjeżdżała do domu wdowy, posyłała do opactwa liścik, w którym wyniośle informowała o swojej obecności. Tym razem tego nie uczyniła.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to dlatego, iż małżeństwo pasierba poważnie podcięło jej skrzydła. Jednakże według Rydera chciałaby raczej, aby Mary i on wiedzieli, że niedaleko przebywa konkurentka w walce o pozycję wśród okolicznej arystokracji. Takie zachowanie bardziej pasowałoby do znanej mu Lavinii. Oczywiście nie było mowy o żadnej konkurencji – nie między jego żoną a zaabsorbowaną sobą macochą – ale Lavinia nie zapatrywałaby się na sytuację w ten sposób. Dlaczego więc nie wysłała liściku?

Pani Pritchard wiedziała o antypatii macochy wobec jej osoby, podobnie jak większość służących z opactwa. Nie wiodło im się dobrze pod rządami Lavinii, nie lubili jej, a

Rydera postrzegali jako swoistego wybawcę. Kiedy zatem pani Pritchard dowiedziała się, że Lavinia zjechała do domu wdowy, lecz tym razem w sekrecie, prędko wysnuła wniosek, przed którym Ryder nadal się wzbraniał. Po prostu nie potrafił wyobrazić sobie Lavinii, która czynnie – i niemal z sukcesem – aranżuje morderstwo. Która knuje i układa plany uprowadzenia Mary.

Kiedy między drzewami mignęły spadziste dachy domu wdowy, Julius przeszedł do kłusa, a później stępa. Ryder nie chciał obwieszczać swego przybycia przed czasem. Ścieżka jeździecka łączyła się z wysypaną żwirem aleją dojazdową pięćdziesiąt metrów od dziedzińca przed głównym wejściem. Dom wdowy prawie nie miał ogrodu, z trzech stron las podchodził niemal pod same ściany. Było to bardzo spokojne ustronne miejsce.

Odnotowawszy przenikliwą ciszę, Ryder ściągnął wodze i zatrzymał Juliusa przy końcu ścieżki, w cieniu zwieszających się nad nią gałęzi, po czym bacznie przyjrzał się budynkowi. Wydawał się nie tyle niezamieszkany, ile chwilowo opuszczony, jak gdyby wszyscy domownicy poszli sobie dokądś na cały dzień.

Zostawiając uchylone drzwi frontowe.

Na ten widok owładnął nim zimny strach.

Myśli, których dotąd świadomie unikał, wybuchły mu w głowie. Tak, Lavinia miała środki na opłacenie zabójców. Znała trasy, którymi Ryder w Londynie wracał do domu. Tutaj, na wsi, mimo że tutejsi służący i ci z domu wdowy nie utrzymywali przyjacielskich stosunków, stajenny Lavinii czy jego pomocnicy wiedzieliby, gdzie w stajniach opactwa znajduje się siodlarnia, umieliby rozpoznać na stanie siodło Mary – jedyne w miarę nowe, damskie – podobnie jak bez problemu mogliby obserwować z lasu, jak prezentuje Ryderowi swe umiejętności w powożeniu gigiem…

Obecności skorpiona nie potrafił jeszcze wytłumaczyć, jeśli wszakże chodziło o żmiję, służący Lavinii domyśliliby się, że ich odpowiednicy z opactwa zbiorą się przed domem, żeby powitać nową panią, jak również wiedzieliby, która to jej sypialnia oraz jak się tam dostać i szybko wymknąć schodami dla służby.

Z grzbietu Juliusa Ryder przyglądał się uchylonym drzwiom. Stanowiły swego rodzaju zaproszenie – informujące, jakiego formatu ludzie się za tym kryją.

Niewyrafinowani, lecz skuteczni.

W tej chwili obserwowali Rydera spomiędzy drzew po drugiej stronie alei dojazdowej.

Czuł na sobie ich spojrzenia, ale znał te lasy. Ściganie w nich kogokolwiek było z góry skazane na porażkę, zwłaszcza że niewątpliwie miał do czynienia z więcej niż jednym przeciwnikiem; niewielu mężczyzn okazałoby się na tyle głupich, żeby mierzyć się z nim w pojedynkę.

Pomimo trudności, jakie sprawiało jego racjonalnemu umysłowi obsadzenie Lavinii w roli arcyłotrzycy, jego intuicja nie miała z tym problemu, niemniej w tej chwili uznał kwestię za nieistotną; skoncentrował się wyłącznie na tym, jak uratować Mary. Nie wątpił, że przebywała w domu wdowy; takie przesłanie niosły owe na wpół otwarte drzwi. Ale przyjechał tu bez broni.

Powstrzymanie impulsu nakazującego, by wtargnąć do domu i odnaleźć Mary, nie było łatwe, ale chciał przecież, żeby oboje wyszli z tego żywi.

Jak inaczej dokonałby zemsty?

A co bardziej istotne, nie zamierzał rezygnować z tego, co właśnie wraz z Mary zbudowali.

Odsuwając na bok emocje, zmusił umysł do chłodnej logiki. Wydawało się mało prawdopodobne, by porywacze zranili Mary. To jego życie Lavinia wzięła na cel; może i

próbowała przepłoszyć stąd Mary, ale w tej chwili jego żona grała rolę przynęty. Nie było potrzeby krzywdzić jej już teraz, istniało natomiast mnóstwo powodów, by tego nie robić. Przymusił się, by bez pośpiechu zważyć możliwości i zestawić je z dostępnymi rozwiązaniami. W końcu zsiadł z konia. Skrócił wodze Juliusa i splótł je z puśliskiem. Wałach, choć niespętany, poczeka na niego, ale jeśli ktokolwiek obcy spróbuje go złapać, ucieknie i ostatecznie wróci do stajni opactwa. Była to najczytelniejsza wiadomość, jaką Ryder mógł posłać, gdyby coś poszło nie tak.

Wyszedł na aleję dojazdową i przystanął, żeby spojrzeć na stary dom, gomółkowe okna i chłodny szary kamień. Zatrzymał wzrok na uchylonych drzwiach. Skupiwszy się na widocznym przez nie fragmencie mrocznego holu, ruszył naprzód. Pod jego dotykiem ich skrzydło otworzyło się szerzej.

Hol tonął w chłodnej ciemności. Uszu Rydera nie dobiegał żaden odgłos, najcichsze choćby szuranie kroków, nic, co by sugerowało obecność człowieka.

Wszedł do salonu. Nikogo tu nie zastał, podobnie jak w innych pokojach na parterze. W trakcie obchodu wytężał słuch, ale cisza pozostawała niezmącona. Powoli, wyostrzając zmysły, wspiął się na piętro. W sypialniach było widać, że ktoś je aktualnie zajmuje. W największej znalazł na toaletce flakoniki perfum i pudry, w szafie zaś suknie, niewątpliwie należące do Lavinii – rozpoznał jej styl i rozmiar. W pokoju w głębi korytarza odkrył szczotki, grzebienie i męskie stroje. Specyficzny krój surdutów i kamizelek, jak również miękkie jedwabne fulary zamiast halsztuków wyjawiły mu, kto jeszcze rezyduje w domu wdowy. Potherby.

Ryder rozważył to z lodowatym spokojem. Wiedział o Potherbym, odkąd znał Lavinię; tych dwoje przyjaźniło się od dziecka. Choć wszakże wiele osób wysnuwało z tego jeden wniosek, Ryder nie sądził, żeby Potherby był swego czasu – ani obecnie – jej kochankiem. Coś w sposobie, w jaki patrzył na Lavinię, bardziej pasowało do czysto przyjacielskich stosunków. Ale czy mógł być zamieszany w ataki na Rydera i Mary? Ten mężczyzna z pewnością miał inteligencję, której brakowało Lavinii, ale Ryder zawsze go uważał za przyzwoitego człowieka.

Z drugiej strony, nigdy by sobie nie wyobraził, że Lavinia przyłoży rękę do morderstwa.

Odkładając kwestię Potherby'ego na później, Ryder opuścił jego sypialnię i przystanął w korytarzu, nasłuchując. W domu nadal panowała tak niezmącona niczym cisza, że nie wątpił, iż na tym piętrze nie ma żywego ducha. Ale pozostał jeszcze strych.

Otworzył wąskie drzwi na końcu korytarza, za którymi kryły się schody na poddasze. Prowadziły w ciemność, lecz okruchy gasnącego dziennego światła migotały tu i ówdzie między dachówkami.

Wolno, stopień po stopniu, Ryder ruszył na górę.

Na miejscu wroga to tutaj urządziłby zasadzkę. Kiedy wyłaniał się z klatki schodowej na tyle wąskiej, że musiał ustawić ramiona pod kątem, by się zmieścić, znajdował się w wielce niekorzystnej sytuacji. Lecz zanim jeszcze wysunął głowę nad poziom podłogi, już wiedział, że nikt nie czai się na strychu, by zdzielić go pałką albo postrzelić. Nie było tutaj też Mary.

Szybko omiótł strych wzrokiem i zszedł z powrotem wąskimi schodami, czujny, zwłaszcza gdy wynurzał się w korytarzu na piętrze. Potem podążył ku głównym schodom. Kiedy z nich zbiegał, raz jeszcze przeanalizował swoją pewność, że Mary przebywa gdzieś w tym domu. Pomimo braku dowodów na potwierdzenie jej obecności trwał przy tym przekonaniu – bo inaczej po cóż by zostawiano otwarty dom? Dlaczego

nie było tu nikogo nawet ze służby?

Pchnął obite zielonym suknem drzwi na tyłach holu, pokonał krótki korytarz, minął niewielki pokój kredensowy i po trzech niskich stopniach zszedł do kuchni. Tu także nie było nikogo, ale na stole leżały uporządkowane przybory kuchenne, talerze i sztućce spoczywały w stosach na kredensie wraz ze złożonymi serwetami, a na ławie przy piecu czekała w gotowości taca do herbaty.

Służba nadal tu mieszkała, ale dziś miała chyba wychodne. Zerknął przez okno, upewniając się, że na dworze zmierzcha, niemniej, jako że był środek lata, do zapadnięcia ciemności pozostało jeszcze trochę czasu.

Wszedł w głąb kuchni, rozejrzał się i odkrył, że drzwi do piwnicy również pozostawiono uchylone. Zmierzył je wzrokiem, a potem na pobliskiej półce zauważył kilka gotowych do użycia latarenek. Podnosząc jedną, spostrzegł ślad tam, gdzie wcześniej stała inna. Rozejrzał się za krzesiwem, zapalił lampę, wyregulował knot i pchnął drzwi do piwnicy. To było jedyne miejsce w domu, gdzie jeszcze nie szukał; znajdowały się tu także niewielkie stajnie z pokojami dla stangreta. Jeśli dranie chcieli przetrzymać Mary w pewnej kryjówce, która nadawałaby się także na pułapkę dla Rydera, kiedy po nią przyjdzie, to nie mogli wybrać lepiej.

Ryder stanął na podeście u szczytu wiodących do piwnicy schodów i poświecił w mrok. Promień latarenki przesunął się po skrzyniach pełnych jabłek, ziemniaków i cebuli, beczkach z rozmaitą zawartością, półkach z suchymi produktami w pudłach i workach oraz z mnóstwem słoików. Regały przesłaniały widok na dalszą część pomieszczenia.

Nie wypatrzył nikogo, żadnego dowodu na obecność Mary.

Jednak po raz kolejny zadał sobie pytanie, dlaczego zostawiono te drzwi uchylone.

Cofnął się do kuchni, popatrzył na prowadzące do przedniej części domu stopnie, a później na drzwi bezpośrednio wiodące na zewnątrz. Napastnicy mogli nadejść z obu tych kierunków, lecz jak dotąd nie ośmielili się pokazać. Po krótkim zastanowieniu nabrał przekonania, że jeśli zostawi im wybór, nie pojawią się, dopóki nie znajdzie Mary; wtedy stanie się najbardziej bezbronny, zaabsorbowany chronieniem jej, będzie miał rozproszoną uwagę.

Nawet jeśli nie wiedzieli, czy jest uzbrojony, w dzisiejszych czasach mężczyźni rzadko nosili przy sobie pistolety lub szable, a już z pewnością nie na terenie własnej posiadłości.

Wzrok Rydera spoczął na kuchennym stole. Odstawił latarenkę i przejrzał znajdujące się tam przedmioty. Żadnych noży. Ani tutaj, ani nigdzie indziej. Przeszukał szuflady i szafki, ale nie natknął się na żaden przyzwoity nóż. Jego przeciwnicy może i byli mało subtelni, lecz nie głupi.

Znalazł kilka innych narzędzi, z których mógł zrobić użytek. Jedno z nich, służące do obsługi pieca, doskonale się nadawało do zerwania zasuwy z drzwi piwnicy. Długa łopatka kuchenna mogła posłużyć jako klin utrudniający ich otwarcie. Pogrzebacz też się przyda. Wziął go, a dodatkowo wrzucił do kieszeni zestaw szpikulców do mięsa.

Oprócz noży jego przeciwnicy usunęli wszystkie długie, ostro zakończone przedmioty, jak na przykład widelce z długą rączką, których by z pewnością oczekiwał w kuchni. Pod wpływem tej refleksji upchnął do innej kieszeni cztery zwykłe widelce, po czym skierował się w końcu ku piwnicy.

Bez wątpienia obserwowali go z zewnątrz skryci w pobliskim lesie. Okna kuchni wychodziły na zachód; resztki gasnącego dziennego światła oświetlały pomieszczenie na tyle, by mogli śledzić jego poczynania. Będą zatem wiedzieli, że Ryder ma pogrzebacz. A

zanikające światło latarenki powie im, że wreszcie zszedł do piwnicy.

Znalazłszy się na dole, ruszył szybko przejściem między wysokimi regałami, świecąc na wszystkie strony. Przy końcu pomieszczenia znajdowała się otwarta przestrzeń, całkowicie pusta. Podłoga była tu zrobiona z desek, nie z kamienia, a na grubej warstwie kurzu, jaki unosił się z ułożonych wzdłuż tylnej ściany worków ze zbożem, widniały ślady butów.

Ślady okrążały kwadratową klapę w podłodze.

Nigdy wcześniej nie schodził do tej piwnicy, nie pamiętał, co się tam niżej kryje.

Odstawiwszy latarenkę na bok, Ryder nachylił się i nie bez wysiłku otworzył klapę. Wprawiono w nią ciężki żelazny pierścień, była solidna, swoje więc ważyła. Zostawił ją odchyloną na zawiasach, przykucnął przy otworze i spojrzał w dół, w pustkę. Poświecił sobie, wydobywając z ciemności kamienną podłogę topornie wykutą w skale ponad trzy metry niżej. Nie było schodów ani nawet drabiny.

Wnętrze było puste. Przekrzywił głowę i manewrował latarenką, wytężając wzrok, ale widział jedynie gołe kamienne ściany. Ta jama mogła pozostać po dawnym kamieniołomie, nad którym później wzniesiono zabudowania. W jednym kierunku prowadził z niej tunel, na tyle przestronny, że Ryder swobodnie by nim przeszedł. Po chwili z przekleństwem odwrócił promień latarenki.

Tak, z tunelu sączyło się światło, odległe i słabe.

Zawahał się, ale przecież nie miał nic do stracenia.

– Mary?! – zawołał.

Z oddali natychmiast dobiegło dudnienie obcasów o kamień. Oraz ledwie słyszalne, zduszone krzyki. Była tam!

– Poczekaj, idę do ciebie!

Te słowa wyzwoliły istny strumień zduszonych protestów; chciała go ostrzec, żeby nie schodził, że to pułapka.

Wiedział o tym. Akceptował to. Mimo wszystko zamierzał podjąć ryzyko.

Nim jeszcze przestąpił próg tego domu, uzmysłowił sobie, że pozostawienie Mary tutaj, by gnać do opactwa po pomoc, nie wchodzi w rachubę; gdyby tak zrobił, po powrocie już by jej tu nie zastał. Była przynętą, za którą miał podążyć ku własnej zgubie. Lavinia i jej pomagierzy wiedzieli teraz, że dobrze sobie wszystko wykoncypowali, że metoda poskutkuje, toteż przetrzymywaliby Mary, do czasu aż zgodnie z ich życzeniem wszedłby w pułapkę. Odwlekanie tego jedynie przedłużyłoby cały dramat i naraziło na szwank jej zdrowie, przypuszczalnie też musiałby ją ratować z jeszcze bardziej niedogodnego miejsca.

Zarazem jeśli zeskoczy przez ten otwór – co akurat było proste – nie widział sposobu, by dostać się później z powrotem na górę. Jeżeli zaś nie istniało inne wyjście z tych najwyraźniej od dawna nieużywanych podziemi…

Wstrzymał się, raz jeszcze zastanowił, ale nadal nie dostrzegał alternatywy. Choćby spróbował poczekać, w końcu po niego przyjdą – nim ktokolwiek z opactwa zjawi się tu, by go szukać – a był nieuzbrojony; zapewne w przeciwieństwie do porywaczy.

Za całą broń miał swój intelekt i mięśnie. Będą musiały mu wystarczyć.

Przeszukał pomieszczenie i zgodnie z oczekiwaniami znalazł kawałek sznura. Przywiązał jeden koniec do żelaznego pierścienia w klapie, przewlekł sznur przez szparę obok wielkich zawiasów i zrzucił do komory. Sięgał niemal do podłogi.

Zastanowił się, znów podciągnął w górę wolny koniec sznura, obwiązał nim uchwyt latarenki i opuścił ją do podziemi.

Obejrzał się na drzwi, w tej chwili ledwie widoczne, zawahał się, po czym cofnął ku schodom, gromadząc po drodze tyle szklanych słojów, ile zdołał unieść, oraz dwa puste metalowe wiadra. Odstawił je u podnóża schodów, a następnie wspiął się z powrotem do kuchni i zapalił kolejne trzy latarenki. Omiótł światłem kuchnię, przestrzegając obserwatorów, że nadal jest na górze, nie wskoczył jeszcze do ich pułapki. Rozmieścił latarenki przed wejściem do piwnicy w taki sposób, że oświetlały wnętrze kuchni. Później szybko zamknął drzwi do piwnicy, klinując je łopatką kuchenną, zbiegł po schodach i ustawił na stopniach szklane słoje oraz wiadra – prowizoryczny system alarmowy – po czym, nie zastanawiając się dłużej, popędził do otworu w podłodze, kopnięciem zrzucił na dół pogrzebacz, usiadł na skraju, chwycił się bocznych krawędzi, zawisł na ramionach i skoczył.

Kiedy tylko jego buty dotknęły podłogi, złapał pogrzebacz i pognał tunelem. Na tyle szeroki, by obok siebie zmieściło się dwóch mężczyzn, korytarz oddalał się łukiem od domu na dobre dwadzieścia metrów. Ryder zobaczył przed sobą starą ścianę z kamiennych bloków; stała pod nią lampa, świecąc w głąb przejścia – światło, które miało go tu zwabić. Wpadł do kolejnego pomieszczenia, także wykutego w skale, o wymiarach mniej więcej cztery na dziesięć metrów, przy czym wylot tunelu przypadał pośrodku dłuższego boku.

Z lewej dobiegło stłumione kwilenie. Odwróciwszy się, zobaczył Mary. Siedziała przywiązana do krzesła przy końcu komory, z naciągniętym na głowę kapturem z czarnego płótna.

Podszedł do niej, upuszczając pogrzebacz, i delikatnie zdjął jej materiał z głowy.

Spojrzały nań rozpalone gniewem niebieskie oczy. Warknęła przez knebel.

– Dobry wieczór, Mary.

Odwróciła głowę w bok. Posłusznie zabrał się za odwiązywanie knebla.

– Wiem, że to pułapka. Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby nas z tego wydostać, ale nie pozostawili mi wyboru. – Węzeł ustąpił. – Musiałem zejść tutaj za tobą.

Szarpnęła głową i knebel spadł.

– Zawsze jest wybór! – krzyknęła chrapliwie.

– W rzeczy samej. – Ryder popatrzył jej w oczy, nim poluzował więzy, którymi była przywiązana do krzesła. – I ja wybrałem.

Co mogła na to odrzec?

– Wrócą tutaj. Jest ich trzech, dość postawnych mężczyzn. Gdzie jesteśmy?

– W domu wdowy. Jeszcze tu nie byłaś.

Popatrzyła wokół.

– W domu twojej macochy?

– Tak – odparł beznamiętnie.

Sznury opadły, Mary wstała i się zachwiała, ale ją podtrzymał.

– Musimy się pospieszyć – szepnął.

Schylił się po pogrzebacz, mocno zacisnął jej dłoń w swojej i na tyle szybko, na ile Mary była w stanie, pobiegli do przejścia, którym tu dotarł. Wcześniej nie miała okazji obejrzeć swego więzienia; zniesiono ją na dół zakapturzoną.

Skręcili w korytarz – a wtedy z góry dobiegł brzęk tłuczonego szkła i szczęk metalu.

Ryder zaklął.

Ponad ich głowami na deskach podłogi zadudniły kroki.

Wpadli do innej komory – akurat na czas, by zobaczyć, jak sznur, który zwisał z otworu wysoko w górze, wraz z huśtającą się u jego końca latarenką, spadają na

posadzkę z cichym świstem.

Ryder spojrzał w otwór.

– Umrzecie za to, dranie – oświadczył spokojnie.

Wyrzekł te słowa z taką lodowatą pewnością, że Mary zadrżała. Obwieszczenie Rydera powitała cisza, a potem uszu Mary dobiegł cichy trzask. Ryder zaklął i gwałtownie zawrócił do tunelu. Za nimi rozległ się huk, odłamki skały rozprysły się na boki. Tuląc Mary kurczowo, osłaniając własnym ciałem, Ryder zatrzymał się przy ścianie tunelu poza zasięgiem wzroku mężczyzn w piwnicy. Z góry spłynął ordynarny śmiech, odbijając się echem w podziemiach.

– Nie nam pisane umrzeć, lordziku. Jeno tobie i twojej paniusi.

Zaraz po tych słowach rozległ się trzask, od którego zadrżały ściany. Ryder zrozumiał, że tamci zatrzasnęli klapę.

Mary i Ryder oparli się o ścianę i oceniali sytuację. Ich oprawcy kręcili się na górze; dało się słyszeć stłumione słowa, a kilka sekund później zaszurały kroki i coś głucho łupnęło. Po pierwszym odgłosie nastąpiły kolejne, coraz bardziej wytłumione.

– Co to takiego? – Mary zmarszczyła brwi.

Ryder uzmysłowił sobie, jak brzmi odpowiedź. Wsparł głowę o skałę i zamknął oczy.

– Do diabła! – Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, po czym westchnął. – Widziałem pod ścianą worki ze zbożem lub mąką. Ułożyli je na klapie.

– Dlaczego? Przecież i tak nie zdołalibyśmy się tam wspiąć, żeby ją otworzyć.

– Nie, ale worki ją zamaskują.

– Tutejsza służba na pewno wie o jej istnieniu.

– Niewykluczone, chociaż tego miejsca ewidentnie nikt nie używa, a skoro ja nie miałem o nim pojęcia, możliwe, że po prostu o nim zapomniano. – Ryder popatrzył na puste komory na obu końcach tunelu.

Widział, jak Mary przetrawia te słowa. Potem spytała:

– Czy w opactwie wiedzą, dokąd pojechałeś?

– Tak, ale nie sądziłem, że cię tutaj znajdę. Dopiero co usłyszeliśmy, że Lavinia zagościła w domu wdowy, zajechałem więc sprawdzić, czy ktoś tu cię nie widział. Nie przypuszczałem, iż mogłaś zostać uwięziona w tym miejscu, toteż zapowiedziałem, że kiedy już zasięgnę języka, przeszukam okoliczne lasy.

– Czyli jeśli nie wrócisz, nikt nie podniesie alarmu?

– Zapewne stanie się to nie wcześniej niż rano. – Skrzywił się. – A nawet wtedy nie będą mieli powodu zakładać, że jestem tutaj. Puściłem Juliusa luzem. Odnajdzie drogę do stajni, ale nic nie świadczy o tym, że rozstałem się z nim pod domem wdowy, a nie w głębi lasu.

Przez długą chwilę stali w milczeniu, czerpiąc siłę od siebie nawzajem, z samego faktu, że to drugie jest tuż obok, aż wreszcie Mary wysunęła się z jego objęć, on zaś jej nie powstrzymywał.

– W takim razie – wmaszerowała do pierwszej komory – równie dobrze możemy wziąć latarenkę i sprawdzić, czy znajduje się tu inne wyjście.

Jej optymizm, jakże słodki, przepełnił go zarazem goryczą; wątpił, by trafili na inne wyjście. Po cóż ktokolwiek zamknąłby ich tutaj, gdyby takowe istniało?

Obserwował ją, kiedy podnosiła latarenkę, która się nie roztrzaskała, gdyż spadła z wysokości niespełna dziesięciu centymetrów, i poświeciła na ścianę. Ryder dołączył do niej z pogrzebaczem w ręku i wspólnie sprawdzili w miarę okrągłą komorę. Była to po prostu jama wykuta w skale, a jedyna droga z niej wiodła przez znany im już tunel.

Przeszli nim po raz kolejny, oglądając lite ściany, i wynurzyli się w prostokątnym pomieszczeniu u drugiego końca.

Mary zbadała wzrokiem komorę. Wylot tunelu znajdował się w połowie jej dłuższego boku. Podłoga, sufit i trzy ściany były wykute w skale, ale czwartą, naprzeciw korytarza, wzniesiono z wielkich kamiennych bloków. Krzesło, do którego Mary przywiązano, stało na lewo od przejścia, na prawo zaś, na drugim końcu prostokątnego pomieszczenia, zobaczyła stół; na podrapanym blacie ktoś zostawił tacę z dzbanem wody i dwiema szklankami.

Ryder także spostrzegł stół. Podszedł do niego. Mary podążyła za nim nieco wolniej, usiłując sobie przypomnieć, kiedy przyniesiono tacę.

– Jak długo tu byłam?

– Kiedy cię porwali? – Ryder spojrzał na nią, sięgając po dzban.

– Wkrótce po lunchu. Spacerowałam po ogrodach. Opuściłam zagajnik i postanowiłam zajrzeć do warzywnika. Szłam aleją rododendronów, kiedy wyskoczyli na mnie z krzaków. Jeden przytrzymał mnie za ramiona, drugi zakneblował, trzeci nasunął na głowę kaptur, no i było po wszystkim. Związali mi ręce i nogi i ponieśli jak wór ziemniaków.

– Czyli o drugiej albo niedługo po, a teraz – wyjął zegarek z dewizką – jest po ósmej.

– Sześć godzin. – Skrzywiła się. – Wydawało mi się, że trwa to o wiele dłużej.

Ryder nalał wody do szklanek, a Mary zastanawiała się, co ją tak przez cały czas niepokoi…

Podał jej szklankę. Wzięła ją i obserwowała, jak sam unosi do ust drugą.

– Nie!!! – krzyknęła i odepchnęła mu rękę z naczyniem. – Dlaczego to się tu znalazło?

Ryder spojrzał na swoją szklankę.

– Trucizna?

– Związali mnie, zakneblowali, zakryli głowę kapturem. – Mary zerknęła w stronę przejścia i odstawiła swoją szklankę na stół. – Strzelali do nas. Ale zostawili nam wodę?

Ryder wbił wzrok w dzbanek, a później jednym gwałtownym ruchem zmiótł wszystko ze stołu wraz z tacą. Dzban i szklanki roztrzaskały się na kamiennej podłodze.

Zamknąwszy oczy, wziął głęboki oddech i okiełznał gniew. Mary tymczasem rozejrzała się po pomieszczeniu, po czym skupiła uwagę na ścianie z bloków.

Poczuł, jak Mary chwyta go za ramię, i się skrzywił.

– Przepraszam.

– Nie ma powodu. Przemyśliwałam, żeby zrobić dokładnie to samo, ale w życiu nie wyszłoby mi tak efektownie.

Parsknął śmiechem. Napotkał jej pytający wzrok, ale jedynie pokręcił głową.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, po czym skupiła na ścianie z bloków.

– Może są w niej ukryte drzwi.

Wziął drugą latarenkę i dołączył do Mary przy oględzinach ściany, ale nie dopatrzył się jakiegokolwiek śladu tajemnego przejścia. Cofnął się o krok i pokręcił głową.

– Wygląda mi to na mur oporowy, zbudowany, by powstrzymać osypującą się ziemię.

Mary skrzywiła się i obejrzała pozostałe ściany, ale podobnie jak w pierwszej komorze, wykuto je w litej skale.

Zatrzymawszy się wreszcie, z westchnieniem wypuściła powietrze z płuc.

– Cóż, skoro tę kwestię mamy wyjaśnioną, chyba możemy po prostu spocząć i zastanowić się, co nam jeszcze pozostało.

Podszedł do krzesła.

– Chodź, usiądź.

Zachęcił ją gestem, a sam osunął się na ziemię i wsparł plecami o mur oporowy, zginając długie nogi. Mary, rezygnując z krzesła, usadowiła się obok niego. Objęła go i złożyła głowę na jego ramieniu.

– Nie mogą nas tu po prostu zostawić – powiedział cicho. – W którymś momencie jakiś służący zejdzie do piwnicy i usłyszy nas, jeśli zaczniemy krzyczeć. Zatem łotry muszą z nami skończyć, najprawdopodobniej jeszcze tej nocy. – Umilkł na chwilę. – Przyjdą po nas, a ja w żaden sposób nie zdołam ich powstrzymać.

– Jeszcze nas nie zabili – oświadczyła z naciskiem Mary. – A wiesz, co mówią: póki życia, póty nadziei. Okoliczność, że próbowali nas otruć… ciebie w zasadzie, bo mnie trudno uznać za zagrożenie… mówi nam, że nie chcą ryzykować bezpośredniego starcia. W każdym razie z tobą – zdrowym, żywym i wściekłym.

– Poradziłbym sobie, gdyby przyszli bez broni, jeśli jednak będą mieli pistolety…

Upłynęła dłuższa chwila, po czym Mary spytała cichym, bardziej zrezygnowanym głosem:

– A będę je mieli, prawda?

Westchnął.

– Nie zdziwię się, jeśli każdy weźmie po dwa, dla pewności.

Nie znaleźli drogi ucieczki ani żadnego miejsca, gdzie mogliby się ukryć, poszukać osłony. Urządzić zasadzkę i liczyć na zwycięstwo. Wizja śmierci nie była przyjemna; Rydera nie zdziwiło, że Mary drży. Otoczył ją ramieniem, przygarnął mocniej do siebie i złożył pocałunek na jej włosach.

– Dlaczego zwlekają? – spytała po chwili.

– Lavinia. Nie ma jej tutaj. W całym domu nie ma nikogo oprócz tych, którzy do nas strzelali i zatrzasnęli klapę. To pewnie twoi porywacze.

– Ona za tym stoi?

Z zaciętą miną odchylił głowę do tyłu.

– Moim zdaniem tak. Jej rzeczy są na górze, no i wyłącznie ona mogła dać służbie wychodne na cały dzień i wieczór. Stanowczo też potrafię sobie wyobrazić, że chce napawać się własnym triumfem. – Zamilkł na krótko. – Może również chodzić o to, że pragnie się upewnić, iż tym razem istotnie zginę.

– Gdzie się zatem podziewa?

Równie jak ona skonfundowany, pokręcił głową.

– Jakoś nie pasuje mi do niej spokojne oczekiwanie na wieści w przydrożnej gospodzie.

– Prawdę mówiąc – rzekła Mary – na jej miejscu zadbałabym o to, żeby w chwili naszego zaginięcia przebywać daleko od opactwa i mieć na to mnóstwo świadków. – Popatrzyła na Rydera. – Zwróć uwagę na porę mojego uprowadzenia. Idę o zakład, że pojechała do kogoś na lunch, a potem została na proszonym obiedzie lub balu.

Skrzywił się.

– Wydaje mi się to trochę zbyt dobrze zaplanowane jak na nią, ale Potherby także przyjechał… Znalazłem na górze jego rzeczy. A jako że nie mam pojęcia, czy jest zamieszany w sprawę, sugerowane przez ciebie rozwiązanie mogłoby być sposobem Lavinii na utrzymanie go z dala od tego miejsca.

– Bez względu na to, czy Potherby został wtajemniczony w spisek, okoliczność, że stale jej towarzyszy, daje Lavinii alibi na czas zniknięcia każdego z nas, a przynajmniej tak to będzie wyglądało.

Ryder pokiwał głową.

– Jeśli istotnie zapewnia sobie alibi, upłynie kilka godzin, nim po nas przyjdą. – I dodał: – To mnie chce dopaść.

– W zasadzie to chyba nieprawda. Słyszałeś, co powiedział tamten łajdak: „Tobie i twojej paniusi". Nie mogą dopuścić, żebym wyszła stąd żywa. Mniejsza o to, że ściągną na siebie gniew Boga i Cynsterów, ale z perspektywy Lavinii liczy się kwestia dziedzica.

– Co takiego? – Zaskoczony Ryder nachylił się, żeby zajrzeć Mary w twarz.

Odwzajemniła jego spojrzenie i wzruszyła ramionami.

– Mogę być już w ciąży, kto wie?

Milczał przez jakiś czas.

– Naprawdę wierzysz, że ona zamierza zabić mnie, ciebie i nasze nienarodzone dziecko, by Rand odziedziczył tytuł? – spytał wreszcie.

Mary przytaknęła.

– Powiedziałeś, że zawsze oczekiwała, iż to Rand zostanie markizem. Dopóki istniała szansa, że los lub ty sam doprowadzicie do tego bez żadnego wysiłku z jej strony, czekanie jej nie przeszkadzało, ale teraz... – Urwała. – Hm... Dlaczego teraz? Dlaczego po wszystkich tych latach nagle uznała, że pora zacząć działać? Nie chodziło o nasze małżeństwo: pobraliśmy się po próbie zamachu na twoje życie... Och! Oczywiście. – Popatrzyła mu w oczy. – Randolph.

Ryder pokręcił głową.

– Rand nie ma z tym nic wspólnego.

– Jesteś pewien?

– Tak. Rand i ja... i Kit, i Stacie, i Godfrey jesteśmy ze sobą blisko w sposób trudny do wyjaśnienia. Zaufaj mi, żadne z nich nigdy nie spróbowałoby skrzywdzić ani mnie, ani ciebie. Co do tego, czy Rand chce dziedziczyć: nie chce. Związana z tym odpowiedzialność go przeraża. – Uśmiechnął się krzywo. – Między innymi dlatego wiedziałem, że nie jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie. A ja nawet jako chorowity dzieciak spodziewałem się, że pewnego dnia Raventhorne będzie moje, zawsze oczekiwałem, że wezmę na barki to brzemię. Rand natomiast... Przyjąłby je, gdyby mu je narzucono, ale liczy, że zadbamy, by nigdy nie musiał tego robić.

Usłyszała w tonie męża niewzruszone przekonanie i skinęła głową.

– W porządku, ale Randolph nadal tkwi w centrum całej sprawy, świadomie czy nie. Czy Lavinia zna jego podejście do możliwości przyjęcia tytułu markiza, a jeśli nawet, czy by się tym przejęła?

– Nie. Ona postrzega swoje dzieci, wszystkie, nadal, wyłącznie jako przedłużenie siebie samej. Według niej nie mają w życiu innego celu niż być jej dziećmi. Choć mój ojciec usiłował interweniować, wywierać na nich większy wpływ, Lavinia walczyła z nim jak lwica, aż wreszcie się poddał. Miał mnie, byliśmy ze sobą blisko. Z pozostałymi wolno mu było utrzymywać jedynie powierzchowne relacje.

– Czyli bez względu na życzenie Randolpha Lavinia pragnie, żeby został markizem, a jeśli taki obrała sobie cel... – Mary zmrużyła oczy, przyglądając się Ryderowi z namysłem. – Kiedy odziedziczyłeś tytuł?

– Miałem dwadzieścia cztery lata, kiedy umarł ojciec. – Urwał na chwilę, po czym kontynuował mocniejszym głosem: – Ale do czasu gdy sprawy zostały uregulowane, ukończyłem lat dwadzieścia pięć i nie potrzebowałem opiekuna prawnego. Więc o to chodzi. Wszystko się zaczęło, ponieważ Rand wszedł w odpowiedni wiek.

– No właśnie. Po śmierci twojego ojca Lavinia zobaczyła, jak przebiega proces

dziedziczenia i zorientowała się, kiedy najwcześniej Randolph mógłby bez przeszkód zająć twoje miejsce, odczekała więc, aż nadejdzie właściwa pora. Czy słusznie podejrzewam, że gdybyś teraz umarł, do momentu uregulowania spraw Randolph miałby dwadzieścia pięć lat?

– Tak. – Ryder zacisnął szczęki. – Czyli przez cały ten czas czekała, by nasłać na mnie zabójców…

– Och, wielkie nieba! – Mary złapała go za ramię. – To dlatego odwiedziła cię tamtego ranka. Minęła jedenasta, a ona nadal nie otrzymała wiadomości o twojej śmierci, przyszła zatem do twojego domu, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– I przyprowadziła ze sobą dwie największe plotkarki, żeby pomogły jej rozpowiedzieć o wszystkim. Najwidoczniej sądziła, że służba zataja informację o mojej śmierci. – Ryder na chwilę umilkł. – Szkoda, że wtedy o tym nie wiedziałem. Miałbym większą satysfakcję na widok jej miny, kiedy zobaczyła mnie jak najbardziej żywego.

Mary zadrżała.

– Nie byłeś aż tak żywy: blady, słaby, podparty na poduszkach! – Zaśmiała się krótko, z ironią. – Właśnie mnie olśniło. Ostatnie, czego Lavinia by sobie życzyła na tamtym etapie, było to, żebyś się ożenił i spłodził dziedzica. Jak myślisz, czy gdyby nie nasłała na ciebie zabójców, my dwoje byśmy się pobrali?

– Tak, choć zapewne nie tak prędko. – Kiedy uniosła brew, uśmiechnął się łagodnie i mocniej ścisnął jej dłoń. – Podjąłem już wtedy decyzję, że to ciebie chcę za żonę, i nie poddałbym się.

Przekrzywiła głowę.

– Dlaczego? Zawsze się zastanawiałam, skąd brała się ta twoja pewność. Bo byłeś na mnie zdecydowany, praktycznie od chwili kiedy wpadliśmy na siebie na balu zaręczynowym Henrietty i Jamesa.

Uśmiechnął się szerzej.

– Nie miałem tej pewności, kiedy się tam spotkaliśmy, lecz później już tak.

– Dobry Boże, co ja takiego powiedziałam?

– Rzecz raczej w tym, co zrobiłaś.

– Ach. – Pokiwała głową. – Pamiętam. Wyzwanie. Nie omdlałam u twych stóp.

Odchrząknął.

– W życiu nie zdarzyło ci się zemdleć.

– To prawda, ale przyznaj: o to chodziło?

– Nie. Nie o to – zaprzeczył, lecz po krótkim wahaniu poczuł się zmuszony skorygować odpowiedź. – No dobrze, chyba po części też o to, przede wszystkim jednak zafascynowała mnie twoja nieprzewidywalność, fakt, że nie mogłem cię kontrolować. – Śmierć się zbliżała, nie widział powodu, by cokolwiek zatajać przed Mary. – Ale to nie dlatego wziąłem cię pod uwagę, nie dlatego z rozmysłem odszukałem cię na tamtym balu.

Po jej spojrzeniu poznał, że ją zaintrygował.

– Dlaczego więc?

– Jednym słowem? Rodzina. Cavanaughowie… Mówiłem ci, że moje przyrodnie rodzeństwo i ja jesteśmy ze sobą blisko, że łączy nas więź trudna do opisania. Ta więź wyrosła z faktu, że tak naprawdę żadne z nas nie miało matki. Moja zmarła, kiedy liczyłem sobie trzy lata, a choć pozostali mieli Lavinię, wyjaśniłem ci już, jak ona ich postrzega, jak ich zawsze traktowała. Dla niej niewiele się różnią od ożywionych marionetek. Nasza więź wynikła z braku normalnej rodziny, braku podpory, jaką zwykle

zapewnia matka. Łączyło nas to, że o żadnego z nas nie dbała. Jako że byłem starszy od pozostałych o sześć i więcej lat, patrzyli we mnie jak w obraz. Trzymaliśmy się razem, jak najlepiej troszcząc o siebie nawzajem. Mój ojciec także robił, co w jego mocy, ale z Lavinią wchodzącą mu ciągle w drogę nie zawędrował daleko. Po jego śmierci pomogłem Randowi, a później Kitowi wydostać się spod wpływów Lavinii, ale Stacie i Godfrey nadal tkwią w potrzasku i nie będę… – Przekrzywił głowę. – Nie byłbym w stanie ich uwolnić, zanim ukończyliby dwadzieścia pięć lat.

Zamilkł na chwilę, wpatrzony w ich splecione palce.

– Jednakże zasadnicza kwestia sprowadza się do tego – podjął – że od pokolenia moich dziadków Cavanaughowie nie funkcjonują jak rodzina. Chciałem… poprawić, skorygować ten stan rzeczy, ale brakuje mi stosownej wiedzy. Doświadczenia. Niektóre rody w towarzystwie, jak Cynsterowie i kilka innych, są takie… silne. Jedynie tym słowem potrafię opisać strukturę, gdzie każda gałąź podpiera pozostałe w taki sposób, że całe drzewo wydaje się wręcz niezniszczalne. Pragnąłem tego dla Cavanaughów i oto zjawiłaś się ty, ostatnia niezamężna Cynsterówna… A potem nie raczyłaś omdleć u mych stóp i nasz los został przypieczętowany.

Rozchyliła usta, ale uniósł dłoń, ubiegając jej wypowiedź.

– Tak, wiem, że Cynsterowie pobierają się wyłącznie z miłości, i dobrowolnie przyznaję, że byłem gotów z zimną krwią udawać, że się w tobie zakochałem, gdyby tego wymagało zdobycie twojej ręki, tak byś stała się matką moich dzieci i matriarchinią rodu Cavanaugh… – Wypuścił powietrze z płuc ze słowami: – Później jednak odkryłem, że nie muszę udawać.

Odwrócił jej rękę i pieszczotliwie gładząc nadgarstek, rozprostował palce, po czym złożył pocałunek we wnętrzu jej dłoni.

– Odkryłem po drodze – rzekł cicho – że zakochałem się w tobie.

Zamrugała, a potem się uśmiechnęła.

– Tak, wiem. Jeśli zaś nie zorientowałeś się, że kocham cię tak samo mocno jak ty mnie, to byłeś nieuważny.

– Czyli to wyznanie nie było konieczne?

Uśmiechnęła się szerzej.

– Nie zrozum mnie źle: cudownie słyszeć, jak mówisz te słowa, i swego czasu uważałam ten moment za szczyt moich pragnień. Jednakże w minionych tygodniach uzmysłowiłam sobie, że znacznie bardziej liczy się widzieć dowody uczucia, doświadczać go każdego dnia na tysiące maleńkich sposobów. Czuć miłość, być kochanym, to rzecz bezcenna. Niczego więcej nie mogłabym pragnąć, a ciebie proszę jedynie, żebyś zawsze kochał mnie tak jak w tej chwili.

– O to jedno nie musisz prosić – odparł cicho, teraz już poważny. – Zawładnęłaś moim sercem. Będzie twoje na wieczność.

Oboje mieli świadomość, że kończy im się czas, że być może jest to ich ostatnia rozmowa. Żadne nie wspomniało, że będą się kochali, dopóki śmierć ich nie rozłączy; śmierć czaiła się zbyt blisko.

Mimo to Mary zdobyła się na uśmiech.

– No cóż, skoro już otrzymałam od ciebie wyznanie, nie będziesz musiał go więcej powtarzać. Wiem, jaki gwałt zadaje to arystokratom takim jak ty.

Uniósł brwi.

– Co dziwne – rzekł po chwili – wydaje mi się, że właśnie gdybym nie wypowiedział tych słów, nie przyznał, że cię kocham, a zamiast tego próbował wyprzeć się uczucia… to

dopiero zadałoby mi gwałt, dalece przewyższający wszelki dyskomfort wywołany wyznaniem.

Wtuliła się w jego ramiona, zamknął ją w objęciach.

Czas upływał nieubłaganie.

Wtedy Ryder uzmysłowił sobie z całą mocą, co udało mu się osiągnąć – co wspólnie stworzyli – a co lada moment miał utracić. Mary dała mu wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, i więcej. Jednakże wszystko pójdzie na marne, potencjał ich związku nigdy nie zostanie wykorzystany.

Ogarnęły go żal i bezsilność, rozgoryczenie i smutek.

Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni płakał, lecz teraz poczuł łzy pod powiekami.

– Będę żałował jedynie tego – odezwał się cicho i chrapliwie – że nie dane nam było zestarzeć się razem, mieć dzieci, śmiać się, płakać, rzucać sobie wzajemnie kolejne wyzwania.

Przywarła doń mocniej, z trudem przełknęła ślinę. Domyślił się, że tak jak on, Mary czuje w piersi ucisk.

Z westchnieniem zwiesił głowę.

– Przepraszam.

Ujęła jego twarz w dłonie.

– Nie! To nie twoja wina. Winna jest ona. – Opuszkami palców otarła mu łzy. I zastygła w bezruchu.

Potem, bardzo wolno, oderwała dłoń od policzka Rydera i zapatrzyła się na koniuszki swych palców.

Jej mina natychmiast go zaalarmowała. Na jej twarzy powoli odmalowywało się zdumienie.

– Co się stało?

Zerknął ku wylotowi tunelu, ale nie dobiegał stamtąd żaden odgłos.

– Powiew. – Uwolniła się z jego objęć, usiadła prosto i przytrzymała palce dwa centymetry od paska ściany między nimi. – Czuję go na wilgotnej skórze. – Podniosła się trochę niezdarnie i stanęła przodem do ściany. – Wpada gdzieś stamtąd.

Wstał i dołączył do niej.

– Jesteś pewna?

Spojrzenie, jakie mu posłała, mówiło, żeby nie zachowywał się jak głupiec.

– Poliż palec, powinieneś też to poczuć. – Przesuwała wilgotną od jego łez dłoń wzdłuż spoiny między dwoma rzędami kamiennych bloków. – Tutaj! – wykrzyknęła podekscytowana. Zbliżyła się do ściany, przyjrzała bacznie zaprawie murarskiej, a później odwróciła do Rydera z oczami płonącymi niecierpliwością. – Jest szczelina, czuję na twarzy chłodny podmuch. – Odstąpiła i zachęciła go gestem. – Sam zobacz.

Polizał palec i przytrzymał go w pobliżu wskazanego miejsca. Jego wilgotną skórę omiótł wyraźny powiew. Ledwie próbując oddychać, przyjrzał się w skupieniu zaprawie i wypatrzył pęknięcie. Odstąpił, mierząc wzrokiem ścianę, a potem obejrzał się przez ramię. Na podłożu spostrzegł coś, co z każdego innego miejsca nie byłoby tak widoczne – delikatne wyżłobienie w skale.

– Niech to diabli, tunel zmienia kierunek, ale biegnie dalej. – Przesuwając wzrokiem wzdłuż niecki, odwrócił się do ściany. – Biegnie dalej, tyle że…

– Został zamurowany. – Mary szybko podniosła pogrzebacz. – Jeśli uda nam się poruszyć te kamienie, może stąd uciekniemy.

Wziął od niej narzędzie i o czymś sobie przypomniał. Wyłowił z jednej kieszeni szpikulce do mięsa, a z drugiej widelce.

– Masz. Sprawdźmy, czy zdołamy poluzować ten kamień.

Zabrali się do pracy pełni determinacji. Mary drapała z jednej strony, Ryder z drugiej. Szpikulcami i widelcami wydłubali spoinę na głębokość około dziesięciu centymetrów. Kamienny blok nadal tkwił nieruchomo, ale kiedy Ryder naparł na niego oburącz i pchnął z całej siły, wyczuł, że trzyma się na resztkach zaprawy.

– Odsuń się.

Chwycił pogrzebacz za trzon i płaskim końcem uchwytu uderzył w róg kamiennego bloku, a następnie powtarzał tę czynność wzdłuż jego kolejnych krawędzi.

Mary obejrzała się na tunel.

– Jak sądzisz, ile mamy czasu?

– Sprawdzałem kilka minut temu. Dochodzi jedenasta. – Grzmotnął w kamień i wyczuł drgnięcie. – Zorientujemy się, że nadchodzą: będą musieli przenieść worki. Ale na miejscu Lavinii wróciłbym najwcześniej o północy. Przy założeniu, że Claude Potherby nie bierze w tym udziału… A im dłużej się zastanawiam, tym bardziej wątpię, żeby brał. Wcześniejszy powrót wzbudziłby jego podejrzenia.

– Rzeczywiście. – Niecierpliwie zmieniła pozycję. – Rusza się?

– Jeszcze nie. – Znów uderzył dwa razy pogrzebaczem, a następnie przekazał go Mary. – Zobaczmy teraz.

Zaparł się stopami o podłoże, rozpłaszczył dłonie na bloku, naprężył ramiona i plecy, wziął głęboki oddech – i pchnął.

Blok przesunął się o centymetr.

Mary krzyknęła radośnie i zatańczyła.

Wziął kolejny oddech, napiął mięśnie i pchnął znowu, tym razem napierając dłużej.

Zagrzewany okrzykami żony, powtarzał tę czynność jeszcze trzy razy, nim kamień w końcu ustąpił, cofnął się ze zgrzytem i spadł gdzieś w głąb. Zza ściany dobiegł głuchy łoskot.

Ryder ustąpił miejsca Mary, która pospieszyła z latarenką i poświeciła w otwór.

– To naprawdę jest przejście! Dzięki Bogu! – A później: – Uch, pajęczyny!

Roześmiał się.

– Wolność przyzywa, a ty się martwisz pajęczynami?

– Nie pajęczynami, lecz ich wytwórcami. Mówiłam ci, że nienawidzę robali, a pająkom przyznaję palmę pierwszeństwa.

– Nie wiem czemu, ale wydaje mi się, że podołasz wyzwaniu. – Obejrzał bloki skalne pod i nad zrobionym przez nich otworem. – Musimy usunąć te dwa, wtedy chyba się zmieścimy.

Ponownie wzięli się do pracy. Kiedy wypchnęli drugi blok, spróbował nalegać, żeby przecisnęła się przez otwór i pracowała z tamtej strony – tak by zdołała uciec, jeśli zabójcy po nich przyjdą – ale kategorycznie odmówiła.

– Przypominam ci o pająkach. Bez ciebie nie dam im rady.

Jedno spojrzenie na jej twarz, na zaciśnięte z uporem wargi i wysuniętą brodę, przestrzegło Rydera, że dalsza dyskusja byłaby stratą czasu. Na szczęście trzeci kamienny blok ustąpił dość łatwo, siła grawitacji pomogła wyrwać go z miejsca.

– No dobrze. – Mary rozejrzała się po komorze. – Co bierzemy?

– Pogrzebacz. – Machnął nim. – I obie latarenki.

Podniosła je z ziemi; przykręcili knot jednej, żeby oszczędzać oliwę.

Wziąwszy jaśniej świecącą lampkę, Ryder nachylił się przez otwór i obejrzał tunel.

– Żadnych pająków.

A ściany i strop wyglądały na mocne i stabilne. Postawił latarenkę na dnie tunelu jak najdalej od otworu, po czym cofnął się i podał Mary rękę. Wyraźnie rozważała, czy nie kazać mu iść pierwszemu, ale zaczynała się denerwować upływem czasu; podobnie jak i on. Chwyciwszy jego dłoń, zebrała spódnice i przeszła na drugą stronę.

Po raz ostatni omiótł wzrokiem loch, który nieomal stał się ich grobem, podał Mary drugą lampkę oraz pogrzebacz i, choć wymagało to wielu manewrów, jak również jednego czy dwóch przekleństw, przecisnął się przez otwór.

Wyruszyli natychmiast, oboje pragnęli bowiem znaleźć się jak najdalej od piwnicy. Mary szła u boku Rydera, zaciskając palce na jego lewym rękawie. Przez dobre dziesięć minut żadne się nie odzywało.

– Wiesz, dokąd idziemy? – szepnęła wreszcie.

– Nie, ale te tereny są zryte przez systemy jaskiń.

– Czy nie krąży mnóstwo historii o ludziach, którzy zaginęli w takich labiryntach bez śladu? – wymamrotała po chwili.

– Owszem, ale nie wędrujemy jakimś tam tunelem. Ten został wykuty przez człowieka albo raczej stanowił niegdyś część naturalnego systemu, lecz go poszerzono i przedłużono. – Skinieniem głowy wskazał ściany. – Widzisz ślady po oskardach i dłutach?

Przyjrzała się i poczuła, jak ulatnia się część strachu, który wkradł się w jej serce.

– Zatem skoro tunel wykuli ludzie, przypuszczalnie dokądś prowadzi.

– Taką mam teorię. Poza tym czuć tu podmuch, co oznacza, że gdzieś znajduje się wylot.

Szli jak najszybciej, odurzający powiew świeżego powietrza niósł obietnicę ocalenia. Mijali rozgałęzienia, wyloty innych tuneli, ale te powstały naturalnie, ich ścian nie tknęły żadne narzędzia. Z łatwością pozostawali na właściwej drodze; oddalali się od domu wdowy i jego sekretnych podziemi.

– Orientujesz się choć mgliście, w jakim kierunku zmierzamy? – szepnęła.

– Pod ziemią trudno to stwierdzić, ale wydaje mi się, że kierujemy się na Axford, co oznacza, że opactwo znajduje się trochę na prawo od nas.

Ledwie wybrzmiały słowa Rydera, a promień latarenki, którym oświetlał im drogę, znienacka pochłonęła czerń. Oboje zwolnili; zataczając szerszy łuk latarenką, Ryder uzmysłowił sobie, że dotarli do jaskini.

Zatrzymali się tuż za wylotem tunelu. Ryder poświecił w górę i ledwie zdołał dostrzec sklepienie. Grota była na tyle szeroka, że widzieli jedynie fragmenty oświetlane w danej chwili, ale kiedy Ryder omiótł światłem podłoże jaskini, Mary chwyciła go za ramię.

– Tam. – Wskazała na lewo od nich.

Poświecił w tym kierunku i zobaczył to, co wcześniej ona. Wielki kamienny blok, mniej więcej w kształcie prostopadłościanu, sięgający Ryderowi powyżej talii, na tyle długi, że mógłby się na nim wygodnie położyć…

– To ołtarz.

Kiedy się zbliżyli, stało się to bardziej oczywiste. Na ścianie coś błysnęło i Ryder skierował tam promień światła.

– Krzyż.

Wykonany był topornie z jakiegoś metalu, zardzewiały, ale bez wątpienia stanowił dzieło ludzkich rąk.

Mary się rozejrzała.

– To był kościół. Sekretna kaplica.

Przytaknął.

– Protestantów lub katolików, trudno powiedzieć.

– Za rządów Marii albo Elżbiety. Przychodzili tu, żeby w tajemnicy celebrować wiarę.

Zwrócony plecami do ołtarza, Ryder wolno omiótł jaskinię promieniem latarenki. Wiodło do niej pięć wejść. Zastanowił się.

– Protestanci za panowania Marii – oznajmił.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ Cavanaughowie, podobnie jak większość rodzin z tych okolic, nigdy nie byli katolikami, w każdym razie nie w głębi serca. – Wskazał wylot tunelu na lewo od nich, prawie na wprost tego, którym tu przyszli. – Tędy dojdzie się do wioski. A tędy – wskazał kolejne przejście – do Dębów. Ten prowadzi do Kitchener Hall, tak więc pozostaje nam ten – wskazał korytarz niemalże dokładnie naprzeciw ołtarza. – To droga do opactwa.

– Jesteś pewien?

– Nie. Ale musimy iść dalej, a jeżeli będziemy się trzymać korytarzy wykutych przez człowieka, w których czuć ruch powietrza, powinniśmy w końcu dotrzeć do wyjścia.

Obejrzawszy się na korytarz wiodący z domu wdowy, Mary skinęła głową.

– Ruszajmy.

Tak też zrobili. Tunel, który, jak mieli nadzieję, prowadził do opactwa, mocno poszerzono, a jego dno wyrównano. Posuwali się naprzód w dobrym tempie. Maszerowali tak przez jakiś kilometr, kiedy Mary pociągnęła Rydera za rękaw.

– Która godzina?

Przekazał Mary jaśniejszą latarenkę, wyjął zegarek i ustawił tarczę do światła.

– Dochodzi północ.

Tunel wznosił się wolno, aż raptem zwęził się do tego stopnia, że człowiek ledwie mógł się przecisnąć. Za zwężeniem znajdowała się przestronna grota, skąd dobiegał cichy szum wody. Ryder próbował wypatrzeć coś przez otwór. Poświecił latarenką, ale światło się odbiło – od kurtyny spadającej z góry wody.

– Nie wierzę.

Mary zerkała zza jego ramienia.

– Co to za miejsce?

– Wydaje mi się, że jesteśmy za wodospadem w grocie nad jeziorem przy opactwie. – Cofnął się i dał znak, żeby szła pierwsza. – Zaufaj mi, nie będzie tam pająków. Za wilgotno.

Mary oddała mu swoją latarenkę, po czym bokiem wsunęła się w szczelinę.

– Bylebym sama nie przemokła.

Wyłoniła się na wąskiej półce skalnej, która na lewo od niej okrążała łukiem wodospad.

– Weź światło.

Odwróciła się i odebrała od Rydera latarenki, a następnie pogrzebacz.

Kiedy, z niejaką trudnością i do wtóru kilku przekleństw, Ryder także przecisnął się przez otwór, stanęli oboje w wodnej mgiełce rozpylanej przez wodospad – dotąd oglądany przez oboje jedynie od drugiej strony.

Zamiast ruszyć dalej, wydostać się z tego miejsca, Mary odłożyła trzymane przez siebie przedmioty, popatrzyła na Rydera, uśmiechnęła się, oplotła mu szyję ramionami,

wspięła się na palce i go pocałowała. Zamknął ją w objęciach i oddał pocałunek – równie namiętnie, choć bardziej zaborczo – ale wkrótce się cofnął.

– Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Do domu mamy stąd dobry kilometr.

*

Kiedy wydostali się z groty, zroszeni wodą, zgasili latarenki. Ryder świetnie znał swoje ogrody, a księżyc świecił na tyle jasno, by widzieli, dokąd idą. W jednej ręce niósł latarenkę i pogrzebacz, drugą mocno ściskał dłoń Mary i narzucił szybkie, choć dostosowane do jej możliwości tempo. Już kilka razy zanosił modły dziękczynne, że nie była delikatną panienką, słabą, łatwo opadającą z sił; bez słowa skargi dotrzymywała mu kroku.

W oddali ujrzeli rozświetlony dwór. Światło wylewało się z długich okien biblioteki, na dziedzińcu rozmieszczono pochodnie. Przy stajniach trwał wzmożony ruch, ale – co Ryder odnotował z ulgą – przed dom nie zajechał żaden powóz.

– Módlmy się, żeby Forsythe nie posłał jeszcze po sędziego pokoju, lorda Hughesa. Na ile to możliwe, chciałbym sam załatwić tę sprawę.

Zerknęła na niego.

– Pełnisz na tym terenie funkcję stróża porządku, czyż nie?

Przytaknął.

– Ale skoro to ja zaginąłem…

– Tak, cóż, wróciłeś i zapewne z chęcią na powrót przejmiesz dowodzenie.

Uśmiechnął się, ale gdy wybiegł myślami naprzód, spoważniał.

– Zastanawiam się, jakie mamy dowody, że to Lavinia za wszystkim stoi. Twoi porywacze są najlepszymi i przypuszczalnie jedynymi świadkami. – Popatrzył Mary w oczy. – Widziałaś któregokolwiek z nich?

– Nie. Ale czułam ich zapach.

– Zapach? – Spojrzał na nią.

– Nie pomyliłabym tej woni z żadną inną. Zapach koni. Stajni. No i jeden wydawał polecenia pozostałym, więc rozpoznam go również po głosie. – Zerknęła na Rydera. – Ilu ludzi pracuje w stajniach domu wdowy?

– Lavinia ma ulubionego stajennego, jest też chyba dwóch pomocników.

– No tak. – Mary przyspieszyła kroku. – Czyli chyba znamy już tożsamość tych trzech łajdaków.

– Jeśli nawet znamy, to na ile rozumiem, ten stajenny, Snickert, jest oddany Lavinii. Ona bez wątpienia będzie twierdzić, że działał z własnej inicjatywy, on zaś niekoniecznie ją wyda.

– Być może, ale czy sądzisz, że wszyscy trzej chętnie dla niej zawisną?

Skłonił głowę.

– Zapewne nie. – Weszli po stopniach na taras, a następnie okrążyli dom, kierując się do frontowych drzwi. – Sugeruję, żebyśmy uspokoili wszystkich, doprowadzili się do porządku, potem zaś, mimo późnej pory, złożyli Lavinii wizytę.

– Tak. Złóżmy. – Mary skwapliwie się zgodziła na ten plan.

Skręcili za róg.

I wywołali powszechne osłupienie.

Rozdział 16

Pandemonium, jakie się rozpętało, kiedy spokojnie weszli między spanikowaną służbę, zostało prędko opanowane.

Ryder czuł się tym zdumiony – i uniżenie wdzięczny za obecność Mary u swego boku; choć była jego żoną zaledwie od trzech tygodni, ustaliła już swoją pozycję. Kilkoma zaledwie stwierdzeniami zaprowadziła ład i powstrzymała nieuniknioną lawinę pytań. Następnie, obojętna na swój nie najświeższy wygląd, przemaszerowała przez westybul, wydając na prawo i lewo krótkie polecenia, a służący niczym zgrana drużyna podporządkowali się jej przywództwu. Wkrótce Ryder i Mary znaleźli się każde w balii z gorącą wodą, mając na podorędziu czyste szmatki, szczotki, ręczniki i pachnące mydełka.

Kwadrans później wyszli z domu. Powóz już czekał, z Ridgesem na koźle i Filmore'em obok niego, jak również dwoma postawnymi ludźmi do pomocy, z których jeden zawczasu ulokował się z tyłu, drugi zaś przytrzymywał drzwi pojazdu.

Nie licząc Forsythe'a, w wielkim domu znów nie pozostał ani jeden mężczyzna. Zanim Ryder podążył za Mary na piętro, posłał wszystkich oprócz tych czterech, którzy mieli jechać z nimi, żeby otoczyć dom wdowy. Dowodzenie powierzył Dukesowi, jako że znał każdy skrawek posiadłości, włącznie z tamtejszymi lasami. Ryder rozkazał swoim ludziom się ukryć i zachować ciszę, a także nie przeszkadzać nikomu, kto zechce się dostać do domu wdowy – mieli zadbać natomiast o to, by nikt go nie opuścił.

Ridges popędził konie.

– Która godzina? – Mary widziała, że Ryder spoglądał na zegarek, kiedy szli do powozu.

– Dwadzieścia po północy. Dojedziemy tam w mniej niż pięć minut.

– Czyli mogła już wrócić.

Ryder siedział obok niej, trzymając ją za rękę; oparła się barkiem o jego ramię, kiedy powóz wyjeżdżał z alei dojazdowej.

– Poprosiłem Dukesa, żeby udał się na zwiad i spróbował ustalić, kto przebywa w domu, a w szczególności, gdzie jest Snickert, stajenny Lavinii, oraz jego dwaj pomocnicy.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale zakładamy, że Potherby wróci z Lavinią, a nie wiemy właściwie, na czym polega jego rola.

– Nie wiemy. – Ryder delikatnie ścisnął jej dłoń. – Będziemy musieli działać na wyczucie i obserwować jego reakcje.

Powóz zwolnił, skręcił i niespiesznie potoczył się dalej.

Tuż przed nimi rozległo się ciche pohukiwanie sowy i Ridges wstrzymał konie. Ryder opuścił okno, kiedy pokazał się Dukes. Główny ogrodnik opowiedział:

– Markiza jeszcze nie wróciła, milordzie. Jej służący tu są, ale chyba dopiero co weszli do domu. Jedzą w kuchni późną kolację. Podsłuchiwaliśmy pod oknem. Wynika, że markiza nalegała, by wszyscy prócz Snickerta i jego dwóch pomocników poszli obejrzeć przestawienie cyrkowe w Marlborough. Inni nie wiedzą, co ci trzej robili… Pytania się sypały, a jakże, ale łobuzy są tam teraz, stoją w kuchni, zadowoleni z siebie. No i

kucharka narzekała na wyłamaną zasuwę w drzwiach do piwnicy. Snickert powiedział, żeby nie zawracała sobie tym głowy, ale on i jego dwaj kompani trzymają się blisko tych drzwi.

Ryder zastanowił się, po czym skinął głową.

– Oto, co zrobicie.

Trzy minuty później powóz zajechał przed dom wdowy. Ryder pomógł Mary wysiąść. W eleganckiej sukni podróżnej z uniesioną głową weszła z nim po schodach. Zawieszona wysoko na ścianie niewielka lampa nadal płonęła, rozlewając światło przed wejściem, przez co po bokach panował jeszcze głębszy mrok.

Zatrzymawszy się w tym oświetlonym miejcu, Ryder skinął głową Dukesowi. Sześciu mężczyzn skryło się w ciemności po obu stronach drzwi, a dowodzący ogrodnik pociągnął za łańcuszek. Z oddali dobiegł dźwięk dzwonka. Wtedy Dukes dołączył do swoich ludzi. Po minucie usłyszeli stateczne kroki nadchodzącego kamerdynera. Szczęknęła zasuwa i drzwi się otworzyły. W progu stanął mężczyzna w średnim wieku i zamrugał zaskoczony; zza jego pleców wyglądał chudy lokaj.

– Milordzie? – przemówił kamerdyner.

– Dobry wieczór, panie Caldicott. – Ryder zachęcił Mary, żeby weszła do środka.

Caldicott niepewnie ustąpił z drogi.

– Milordzie? – powtórzył. Wtedy zobaczył siedmiu krzepkich mężczyzn, którzy stłoczyli się za Ryderem. – Co...? Milordzie! – Oczami wielkimi jak spodki Caldicott znów popatrzył na Rydera. – Markiza...

– Przebywa aktualnie poza domem, jak rozumiem. – Ryder przerwał kamerdynerowi. – Wie pan, do kogo należy ten dom i kto tak naprawdę opłaca wszystkich, którzy tu pracują.

Po chwili wahania Caldicott ostrożnie przytaknął.

– W rzeczy samej, milordzie.

– W związku z powyższym, jako faktyczny pracodawca tutejszej służby, chcę, żeby zrobiono, co następuje.

Pięć minut później wszystko zostało zabezpieczone. Tutejszą służbę odizolowano w kuchni, gdzie dwaj lokaje z opactwa pilnowali drzwi prowadzących do dalszej części domu, a trzeci do tylnego wejścia. Snickert i jego dwaj pomocnicy, jak doniesiono Ryderowi, wojowniczy i zbuntowani, zasiedli w piwnicy na stosie worków ze zbożem pod okiem Dukesa i kolejnych trzech mężczyzn z opactwa, bez wyjątku uzbrojonych. Powóz Rydera odprowadzono na dziedziniec stajenny, tak że od frontu nie było go widać; Ridges i Filmore dowodzili ludźmi przy stajniach, gotowi na przyjęcie powozu Lavinii.

Usatysfakcjonowany sytuacją Ryder poprowadził Mary do nieoświetlonego salonu i zamknął drzwi.

– Teraz poczekamy.

Skinęła głową, rozejrzała się i usiadła na sofie.

– Dlaczego nie chciałeś, żeby Snickert i pozostali dwaj nas zobaczyli?

Ryder powierzył uwięzienie Snickerta Dukesowi, nakazując ludziom z opactwa zachowywać się, tak jakby nie mieli pojęcia, gdzie podziali się ich państwo. Zatrzymał się przy stole, żeby zapalić lampę.

– Ponieważ dopóki Snickert i jego pomagierzy będą przekonani, że mają asa w rękawie, że nadal tkwimy uwięzieni w podziemiach, o wiele łatwiej będzie nimi manipulować. Przynajmniej Snickert do końca będzie wierzył, że Lavinia z wdzięczności

wydostanie ich z wszelkich tarapatów, no i, prawdę mówiąc, gdybyśmy my dwoje się nie odnaleźli, same podejrzenia na niewiele by się zdały zarówno naszym ludziom, jak i władzom.

Caldicottowi oraz lokajowi, który podszedł z nim do drzwi, Ryder kazał przysiąc, że zachowają dyskrecję w kwestii obecności jego i Mary, i dopiero wtedy pozwolił im dołączyć do towarzystwa w kuchni. Było dość oczywiste, że ani kamerdyner, ani reszta służby nie mieli pojęcia, co tu się niedawno działo; Dukes doniósł, że tutejsi służący, choć zdziwieni i zakłopotani, całkiem chętnie zgodzili się poczekać w kuchni, podczas gdy ci przybysze będą rozgrywać swoje sprawy.

Knot lampy się zajął i Ryder zmniejszył płomień. Na powrót nakrył światło kloszem i zerknął w stronę okna. Mary także już zdała sobie sprawę z tego, co trzeba zrobić. Podeszła do szerokiego okna wykuszowego i zaciągnęła do połowy jedną ciężką storę, po czym zaczęła robić to samo z drugą, ale nagle znieruchomiała. Sama niewidoczna, wyjrzała przez wąską szparę między zasłonami.

– Nadjeżdża jakiś pojazd, chyba kariolka. Ktokolwiek nią powozi, bardzo mu się spieszy.

Marszcząc brwi, Ryder podszedł, żeby spojrzeć ponad jej głową, podobnie jak ona skryty za storą.

– Kto to?

– Rand. – Twarz Rydera przybrała ponury wyraz. Zacisnął dłoń na skraju zasłony i popatrzył na Mary. – Nadal nie wierzę, że miał z tym cokolwiek wspólnego.

– Ani ja. – Pozwoliła sobie na uśmiech.

Ryder zajrzał jej w oczy i wyczytał w nich wiarę w jego osąd.

Na dziedzińcu zachrzęścił żwir, gdy Rand wstrzymywał zdrożone konie.

– Poczekaj tu. Pójdę go wpuścić.

Kiedy otworzył drzwi, Rand właśnie wchodził po schodach. Na widok brata zwolnił.

Nawet w kiepskim świetle Ryder odnotował, że twarz Randa jest nienaturalnie blada, rysy ściągnięte – i patrzył, jak to oblicze się zmienia, rozjaśnia ulgą i niepohamowaną radością.

– Nic ci nie jest! – Przyspieszając kroku, Rand przeciął portyk.

– Jak widać. Wejdź do środka.

Ryder zobaczył sylwetki swoich ludzi, którzy nadbiegli, żeby odprowadzić kariolkę za dom.

– Nie jesteś nawet ranny. – Rand popatrzył na niego wyraźnie zdezorientowany.

– Nie. W najmniejszym stopniu.

Ryder machnął ręką w stronę salonu i brat instynktownie posłuchał, rzucało się jednak w oczy, że w jego umyśle tworzą się pytania. Kiedy weszli do pokoju, Ryder zamknął za nimi drzwi.

Na widok Mary przybysz się zatrzymał, a potem ruszył ku niej, wyciągając ręce w przyjaznym geście.

– Mary.

– Randolphie. – Podała mu dłonie i nadstawiła policzek do pocałunku.

– Na szczęście oboje macie się dobrze.

– Dlaczego sądziłeś, że jest inaczej? – Ryder uniósł brew. – I dlaczego tu jesteś?

– Z jednego i tego samego powodu. – Rand wyjął z kieszeni liścik. Podał go Ryderowi i spojrzał na Mary. – A skoro już o tym mowa, co wy tutaj robicie? Gdzie mama?

Ryder rozłożył kartkę, przebiegł wzrokiem kilka linijek tekstu, a następnie przekazał

liścik Mary, która odczytała go na głos.

– „Randolphie, najdroższy. Przyjeżdżaj natychmiast, kochany, w opactwie zdarzyło się coś bardzo złego. Zajedź najpierw do domu wdowy, a wszystko ci wytłumaczę". – Popatrzyła na Rydera. – Kiedy to napisała?

Gdy Ryder spojrzał pytająco na brata, ten wzruszył ramionami.

– List dostarczył goniec. Dostałem go o dziewiątej i wyruszyłem jak najszybciej.

– Jeśli przyjąć, że nie wysłała go stąd – rzekł Ryder – tylko z okolic Londynu, najpóźniej mogła go napisać o szóstej.

Zaciskając wargi, Mary skinęła głową na znak zgody.

Rand przenosił wzrok z Rydera na Mary.

– Co się dzieje? – spytał z nutą niepokoju w głosie. Westchnął. – Co mama znowu nawyrabiała i gdzie się podziewa?

– Zgadujemy, że wyjechała stąd niewiele po południu, może nawet wcześniej. Co do tego, co zrobiła… Chyba najlepiej będzie, jeśli usłyszysz o tym od niej.

Rand zlustrował twarz brata, po czym skinął głową.

– Dobrze.

Wszyscy troje zwrócili się ku sofie i fotelom, ale w pół drogi się zatrzymali. Unieśli głowy, nasłuchując. Mary popatrzyła na Rydera.

– Kolejny powóz.

– Również mknie jak szalony. – Ryder podszedł, żeby wyjrzeć zza zasłony, a brat zaraz do niego dołączył.

– To kariolka Kita – powiedział.

– Przywiózł też Stacie i Godfreya. – Ryder zerknął na Rydera. – Widocznie powiadomiła was wszystkich.

Rand pokiwał głową.

– Wpuszczę ich – rzekł.

Zostawił otwarte drzwi salonu, usłyszeli więc, jak Kit woła:

– Co się stało?!

– Najwyraźniej nic – odparł Rand. – Ryder i Mary są tutaj. Wejdźcie.

– Mój Boże! – zawołała Stacie. – Naprawdę nic im nie jest? Bo liścik od mamy wydawał się taki jednoznaczny.

Chwilę później wpadła do salonu, zobaczyła Rydera i Mary i niemalże przefrunęła przez pokój, żeby uściskać najpierw brata, a następnie bratową.

– Dzięki Bogu, nic wam nie jest!

Weszli Godfrey i Kit, a za nimi Rand, który zamknął drzwi. Po uściskach i szczerych okrzykach ulgi nastała pora na pytania.

Jako że Ryder miał czas się zastanowić, pozostał przy pierwotnej taktyce i odmówił odpowiedzi, z pominięciem jedynie zapewnień, że oboje z Mary istotnie są cali i zdrowi. Stojąc plecami do kominka, trzymał ręce założone z tyłu; kiedy mocował się z kamiennymi blokami, zdarł sobie kilka paznokci, a był to jeden z tych szczegółów, które Stacie mogłaby zauważyć.

Chociaż zdezorientowani, bracia i siostra pogodzili się z jego decyzją, odczuli bowiem taką ulgę, znalazłszy go w dobrym zdrowiu, że skłonni byli spełnić wszystkie jego zachcianki. Ryder postanowił wykorzystać okazję.

– Kiedy przybędzie wasza matka… Chciałbym, żebyście usłyszeli, co ma do powiedzenia, bez żadnego udziału ze strony Mary czy mojej. – Zerknął na siedzącą na sofie żonę. – Prawdę mówiąc, najlepiej będzie, jeśli w żaden sposób nie zasugerujecie, że

tutaj byliśmy, i po prostu zadacie jej swoje pytania. – Ruchem głowy wskazał orientalny parawan używany zimą jako osłona przed przeciągami; aktualnie stał na pół złożony w kącie i po części znikał za otwartymi drzwiami. – Kiedy Lavinia tu wejdzie, będziemy z Mary stać za tym parawanem i byłbym wam ogromnie wdzięczny, gdybyście uciekli się do swoich aktorskich talentów i przekonująco udawali, że nas nie widzieliście, jak również nie macie pojęcia, gdzie jesteśmy.

Zebrani wymienili spojrzenia; nikt nie orientował się lepiej od nich, jak napięte stosunki panują między Ryderem a ich matką, byli też na tyle inteligentni, by odgadnąć, że w owych relacjach został osiągnięty, jeśli nie wręcz przekroczony, pewien punkt krytyczny. Kiedy znów popatrzyli na Rydera, wyczytał z ich twarzy, że z chęcią spełnią jego prośbę. Że mu ufają, nawet w tej sprawie.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytał po krótkim wahaniu Rand.

Ryder wiedział, że chodzi mu o oszczędzenie ich czworga, nie zaś Lavinii. Spojrzał bratu w oczy i skinął głową.

– Tak. Niestety konieczne. – Skoro on sam miał kłopot z akceptacją faktu, że Lavinia jest niedoszłą morderczynią, że to ona usiłowała doprowadzić do śmierci jego i Mary, jak przyjdzie się z tym pogodzić jej dzieciom? – Powtórzę, musicie usłyszeć wyjaśnienie bezpośrednio od niej.

Zaciskając usta, Rand skłonił głowę.

– Wobec tego, oczywiście, postąpimy, jak sobie życzysz.

Pozostali troje przytaknęli.

Kit podszedł do parawanu. Rozstawił go nieco pod kątem, żeby zrobić za nim więcej miejsca.

I wówczas usłyszeli turkot kół powozu – tym razem toczącego się statecznie.

– To prawdopodobnie Lavinia. – Ryder spojrzał na Mary, która wstała i podeszła do niego.

Ryder wziął ją za rękę i zerknął na Randa. Ten skinął głową.

– Ukryjcie się, a ja pójdę ją wpuścić.

Kit właśnie zajmował miejsce na sofie obok Stacie, Godfrey zaś stał przy kominku.

– Gotowi?

Przytaknęli. Ryder i Mary skryli się za parawanem.

Ryder wyjrzał ponad jego krawędzią, kiwnął głową trójce rodzeństwa, a potem przykucnął; był za wysoki, żeby stać niezauważony. Przez szparę między skrzydłami osłony dostatecznie dobrze widział miejsce przed kominkiem. Wsparta dłonią o jego ramię, Mary stała wyprostowana i też obserwowała pokój.

Z holu dobiegły głosy – Lavinia coś wykrzykiwała, Rand witał się z nią, a następnie z Potherbym. Drzwi frontowe się zamknęły i chwilę później Lavinia weszła do salonu. Miała na sobie suknię balową w kremowe oraz czerwone pasy, na ramiona zarzuciła czerwony jedwabny szal z frędzlami.

Na widok młodszych dzieci zebranych przed kominkiem rozpostarła szeroko ramiona.

– Kochani! Spodziewałam się was dopiero jutro, ale doprawdy, tym lepiej. Co za katastrofa! Potworność, no po prostu potworność!

Kit wstał, kiedy weszła.

– Potworność, mamo?

– No przecież to, co się przytrafiło Ryderowi i Mary, oczywiście. Zniknęli! Całe opactwo ich szuka, lecz najwyraźniej przepadli bez śladu.

Upuściwszy na stół wieczorowe rękawiczki i torebkę, Lavinia podeszła do trojga swych dzieci, wyraźnie oczekując uścisków i pocałunków. Kit, Stacie i Godfrey podporządkowali się życzeniu; jeśli Lavinia odnotowała ich skrępowanie, niczego nie dała po sobie poznać.

Rand, który wszedł za Claude'em Potherbym i zamknął drzwi, pozostał w ich pobliżu; Potherby z kolei ze zdziwieniem wpatrywał się w Lavinię. Rand to zauważył. Spojrzał na matkę.

– Co według ciebie spotkało Rydera i Mary, mamo?

– Skąd miałabym wiedzieć, najdroższy? Może zabrał ją na przejażdżkę w jednym z tych swoich niedorzecznych faetonów, wywrócili się i skręcili oboje kark.

– A nie sądzisz, że Filmore albo stajenni z opactwa już by to ustalili? – Pobladły Godfrey pokręcił głową. – Zdajesz sobie sprawę, że to nie może być prawda.

Lavinia wyrzuciła w górę ręce.

– Dobrze, nie wiem i tyle, ale nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. Może poszli na spacer i zasadzili się na nich rabusie albo wpadli do starego szybu kopalni, albo runęli z urwiska, albo… albo… co za różnica! Liczy się to, że ich nie ma!

– Kiedy usłyszałaś o ich zniknięciu, Lavinio?

Ciche pytanie Claude'a Potherby'ego zbiło ją z tropu. Odwróciła się do przyjaciela, zmarszczyła brwi, otworzyła usta, na powrót je zamknęła i zamrugała.

Dzieci obserwowały ją, kiedy, wyraźnie zmieszana, próbowała wykoncypować jak najlepszą odpowiedź.

Potherby wyglądał, jakby robiło mu się słabo. Oblizał wargi.

– Jestem tu od dwóch dni – zwrócił się do pozostałych, zarazem niejako odświeżając pamięć Lavinii. – Opuściliśmy dom dziś rano około jedenastej, zjedliśmy lunch w Marlborough, a następnie pojechaliśmy do Quilley House na proszony obiad i późniejszy bal. Wyszliśmy stamtąd dość wcześnie i wróciliśmy prosto tutaj. – Na chwilę zapadła cisza, a potem Potherby spojrzał na Randa. – Tu po raz pierwszy usłyszałem o zniknięciu markiza.

Lavinia wzięła się w garść, przy czym plamy na jej twarzy nieomylnie wskazywały, że gotuje się z wściekłości.

– Nie rozumiem twoich aluzji, Claude, ale do czegokolwiek nawiązujesz, nie ma to w tej sprawie nic do rzeczy. Idź sobie, nie jesteś mi potrzebny! – Odprawiła Potherby'ego machnięciem ręki i popatrzyła na Randa. – Istotną kwestią, co najwyraźniej muszę wam wszystkim przeliterować, jest, że coś, nieważne co, przytrafiło się Ryderowi i Mary, a zatem, bez względu na to, co się wydarzyło, ty, Randolphie, musisz przejąć obowiązki w opactwie. Tak wielki majątek nie może pozostawać bezpański choćby tylko przez jeden dzień! Naturalnie, byłoby lepiej, gdybyś miał już żonę, zwłaszcza gdybyś poślubił Mary Cynster, do czego chciałam doprowadzić… Ale to i tak przepadło…

– Co? Poczekaj! – przerwał jej pobladły Rand. – Co znaczy, że chciałaś doprowadzić do mojego ślubu z Mary?

Lavinia popatrzyła na niego jak na ostatniego tępaka.

– No przecież, że zorganizowałam wszystko, tak by pchnąć ją ku tobie, oczywiście. Jak ci się zdaje, dlaczego się koło ciebie kręciła?

Za parawanem Ryder zerknął z ukosa na Mary i nie zdziwił go widok jej zaciśniętych w wąską kreskę warg.

– Ale potem wkroczył Ryder i ci ją skradł – kontynuowała tymczasem rozdrażniona Lavinia – ty zaś nawet nie próbowałeś go powstrzymać, głupi chłopaku, aczkolwiek

ostatecznie okazała się bardziej zarozumiała i trudna, niż przewidywałam, może więc dobrze się stało. Z pewnością znajdę ci jakąś miłą, zgodną młodą damę, kiedy już zostaniesz markizem Raventhorne, ale to sprawa na później. Teraz… – Lavinia odwróciła się i teatralnie wycelowała palec w kierunku opactwa. – Postąp tak, jak życzyłby sobie tego twój ojciec: jedź tam, zajmij miejsce Rydera i rób, co konieczne!

Rand przez długą chwilę patrzył jej w oczy, a potem wziął głęboki wdech – i pokręcił głową.

– Nie, mamo, nie zajmę miejsca Rydera, ani teraz, ani najpewniej nigdy.

Lavinia ze zdumienia otworzyła usta, ale prędko wezbrał w niej gniew. Oczy zapłonęły jej furią. Zacisnęła pięści, opuściła powieki i odchyliła głowę.

– Nie bądź głupcem! – prawie wrzasnęła. – Skoro jego zabrakło, ty jesteś markizem. A wierz mi. – Popatrzyła znów na Randa, po czym wycedziła przez zaciśnięte zęby: – Nie ma go, tym razem z całą pewnością, i…

– W zasadzie, Lavinio – Ryder podniósł się i wyszedł zza parawanu – już się odnalazłem. – Przyciągnął do swego boku Mary. – Podobnie jak moja żona.

Furia raptownie opuściła rysy Lavinii. Jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki, na twarzy odcisnęło się absolutne niedowierzanie.

– Nie! – wyrwało jej się na bezdechu. Zaczerpnęła powietrza. – To znaczy… – Chwyciła się za serce. – Chodzi mi o to…

– W jaki sposób wymknęliśmy się twoim pachołkom? – Ryder uniósł brwi.

Lavinia drgnęła, jakby ją uderzył. Cofnęła się o krok. Spojrzała na Randa, potem na Potherby'ego i zamachała rękami, jakby chciała odegnać to, co widzi.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ach tak? – Ryder zmierzył ją wzrokiem, po czym chłodno zaproponował: – Może więc zejdziemy do piwnicy i przekonamy się, co mają do powiedzenia Snickert i twoi pomocnicy stajenni?

Lavinia zrobiłaby kolejny krok w tył, tyle że tuż za nią stał Kit. Chwycił ją za ramię, ale mu je wyszarpnęła.

– Nie! – Popatrzyła na Kita i stojącego obok niego Godfreya, a następnie na Randa po drugiej stronie pokoju. – Dlaczego go słuchacie? Zawsze go słuchacie. – Tupnęła. – Jestem waszą matką! Zrobicie, co wam powiem: zabronicie mu zwracać się do mnie w taki sposób.

Nikt się nie odezwał.

Lavinia spojrzała na Potherby'ego.

Z kamiennym wyrazem twarzy odpowiedział przelotnie na jej spojrzenie, a później odwrócił się do Rydera i ukłonił.

– Za pańskim pozwoleniem, milordzie, opuszczę ten dom. Chodzi o sprawę rodzinną, w której, zapewniam pana, swego udziału nie mam ani mieć nie pragnę.

Po zastanowieniu Ryder odparł:

– Wierzę panu. – Wyciągnął rękę. – Wiem, że przez lata był pan jej oddanym przyjacielem, lecz niekiedy to nie wystarcza.

Potherby przytaknął, zaciskając usta.

– Najwyraźniej. – Uścisnął dłoń Rydera, a później przeniósł wzrok na Randa. – Panie Cavanaugh. – Popatrzył na pozostałych i nieznacznie się im ukłonił. Na koniec spojrzał na Lavinię. Z trudem zaczerpnął tchu i opanowanym głosem powiedział: – Żegnaj, Lavinio.

Następnie odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Lavinia wpatrywała się przez chwilę w drzwi, które za sobą cicho zamknął. Wreszcie zapanowała nad sobą i wyprostowała się sztywno, odzywając się do Rydera:

– Nie wiem, co zamierzasz, jakie kalumnie usiłujesz na mnie rzucić…

– Żadnych kalumnii, Lavinio. Możesz być spokojna, pragnę jedynie ustalić fakty. – Ryder zrobił krótką przerwę. – A według mnie najprościej osiągniemy ten cel, gdy wysłuchamy twoich ludzi, przetrzymywanych aktualnie w piwnicy.

– Ależ proszę bardzo. Idź sobie do piwnicy, jeśli uważasz, że to ci w czymś pomoże. Ja zostanę tutaj.

Nim zdążyła usiąść, Kit chwycił ją za ramię.

– Nie, mamo. Ty też musisz pójść.

Wezwany przez Kita wzrokiem Godfrey, blady, ale równie zdeterminowany, ujął drugie ramię Lavinii. Bracia odwrócili matkę w stronę drzwi.

– Nie! – Lavinia opierała się, ale trzymali mocno. – Nie chcę.

– Cicho, mamo, zachowujesz się niegodnie. – Stacie stanęła obok Kita i nieznacznie ścisnęła dłoń matki. – Walka nie ma sensu, nie przekonasz nas. A nie chcesz przecież, żeby służba później plotkowała.

Ten argument poskutkował. Lavinia przestała się wyrywać.

– Nie spodziewasz się chyba – dodał Ryder – że spotka cię krzywda w twojej własnej piwnicy, w obecności twoich dzieci.

Jego spokojny ton przyniósł pożądany rezultat; Lavinia raz jeszcze wzięła się w garść, odetchnęła głęboko i uniosła głowę.

– Doskonale. Skoro wszystkim wam tak na tym zależy, zejdźmy na dół i przekonajmy się, co z tego wyniknie.

Ryder i Mary podążyli przodem, Rand i Stacie za nimi. Pochód zamykali Lavinia, Kit i Godfrey, przy czym bracia dyskretnie przytrzymywali matkę między sobą.

W kuchni Ryder przystanął przed wejściem do piwnicy, by przekazać Dukesowi, by powiadomił ludzi, że Potherby, jego lokaj, stangret i pomocnik mogą odjechać, natomiast reszcie tutejszej służby wolno udać się na spoczynek. Następnie ich niewielka procesja zeszła do piwnicy.

U stóp schodów pełnili wartę dwaj ogrodnicy z opactwa. Ryder pochwycił ich wzrok.

– Idźcie do kuchni i zaczekajcie z Dukesem.

Przy schodach pozostawiono jedną latarenkę; kilka innych oświetlało miejsce, gdzie Snickert i jego kompani siedzieli rozparci nonszalancko na workach maskujących klapę w podłodze. Na widok ich zadowolenia z siebie, swobodnej postawy Mary uzmysłowiła sobie, że ponieważ na nią i Rydera nie padało światło, trzej mężczyźni nie zorientowali się jeszcze, że zbliżają się do nich osoby, co do których żywili przekonanie, iż tkwią uwięzione w podziemiach.

I rzeczywiście, kiedy tylko ona i Ryder znaleźli się w kręgu światła, z twarzy mężczyzn spłynęło całe zadowolenie. Jeden z nich – najpewniej Snickert – warknął nagle i skoczył na Rydera. Mary prędko puściła ramię męża i zrobiła krok w tył, podczas gdy Ryder wystąpił naprzód i grzmotnął Snickerta pięścią w twarz. Coś chrupnęło. Snickertowi poleciała z nosa krew, zachwiał się i padł na plecy.

– Ty bydlaku!

Odwróciwszy się, Mary zobaczyła, jak Lavinia wyrywa się Kitowi i Godfreyowi, którzy, zaskoczeni atakiem, poluzowali uchwyt. Ale nie próbowała uciekać; pobiegła, odpychając na bok Stacie i omijając Mary, po czym dopadła do Snickerta.

Pozostali wpatrywali się w nią ze zdumieniem, kiedy kucnęła przy stajennym i nachyliła się nad nim, unosząc mu głowę. Snickert jęknął – a później wrzasnął przeraźliwie. Jego nogi podskoczyły, naprężyły się i zwiotczały.

Dogłębnie zszokowani, wszyscy zamarli, po czym Ryder zaklął. Złapał Lavinię oburącz za nadgarstki i pociągnął do pionu.

– Niech cię diabli – wycedził. – Coś ty zrobiła?

– O Boże! – Rand tymczasem podbiegł bliżej i z przerażeniem wpatrywał się w przedmiot, który Lavinia zaciskała w lewej dłoni. Połyskiwał, coś z niego skapywało.

– To jej szpilka do szala – powiedziała Mary.

Randolph przykucnął obok Snickerta.

– Dźgnęła go w oko – oznajmił sekundę później oszołomiony. – Nie żyje.

Ryder mocniej zacisnął dłonie na nadgarstkach Lavinii. Zdawała się tego nie zauważać. Oddychała ciężko, spoglądając na Snickerta i przykucniętego obok Randolpha.

– Musiałam go zabić, rozumiesz to, prawda?

Odwróciwszy się wolno, Randolph podniósł na nią wzrok.

– Nie, nie rozumiem. – Z twarzą wykrzywioną bólem wskazał nieruchome ciało. – Zamordowałaś go! Mój Boże, jakie według ciebie istnieje usprawiedliwienie?

Pospieszyła z zapewnieniem, jakby przeświadczona, że przekona syna:

– Tylko on wiedział. A teraz, kiedy nie żyje – wzruszyła ramionami – nic się nie da zrobić. Nikt niczego nie udowodni, czyli wszystko jest w porządku.

– W porządku? – Randolph patrzył na nią z dogłębnym niedowierzaniem. – Jak możesz sądzić, że cokolwiek będzie jeszcze w porządku?

Na jego twarzy uwidoczniło się potępienie, absolutne i niewzruszone.

Nadal oddychając z trudem, Lavinia przyjrzała mu się bacznie, a potem zmrużyła oczy.

– Zrobiłam to dla ciebie! – zaskrzeczała znienacka, odrzucając głowę w tył. Szarpała się z Ryderem i powtarzała te słowa, jakby pluła nimi w Randa. – Dla ciebie!!!

Mary widziała, jak słowa uderzają w Randolpha, widziała, jak jego twarz tężeje, lecz natychmiast przeniosła uwagę na męża, który chronił każdego, za kogo czuł się odpowiedzialny. Zobaczyła, jak wzbiera w nim gwałtowność, odciskając się w jego rysach. Jakże łatwo mógłby Lavinię zabić.

Zaczerpnąwszy tchu, Mary podeszła do niego od tyłu, dotknęła jego pleców i potarła je delikatnie.

– Ryderze.

Zadrżał. Nie musiała mówić ani robić nic więcej. Ten dotyk, głos wypowiadający jego imię – tyle wystarczyło. Mimo to trwało kilka sekund i kosztowało go sporo wysiłku, nim cofnął się znad krawędzi. Wolno napełnił płuca powietrzem i otworzył oczy. Nadal trzymał Lavinię za nadgarstki. Kiedy spojrzał na Randa, ten odwrócił się plecami do matki, wyraźnie niezdolny znieść jej widoku, podszedł do ściany i zatrzymał się przed nią, wbijając w nią wzrok.

– Kit, jeśli możesz – zdołał powiedzieć Ryder.

Nie musiał prosić dwa razy. Kit, najbardziej pragmatyczny i praktyczny spośród braci Rydera, zbliżył się i dał znak dwóm pomocnikom stajennym, świadkom całego zdarzenia, którzy zamarli zszokowani na stosie worków.

– Wy dwaj, stańcie tutaj. – Wskazał na bok, niedaleko Randa.

Gwałtownie przywołani do rzeczywistości, mężczyźni wykonali polecenie.

Kit odwrócił się do Lavinii.

– Szanowna pani – rzekł głosem całkowicie wyzutym z emocji i wskazał worki. – Proszę spocząć.

Lavinia roztarła nadgarstki, za które dotąd trzymał ja Ryder. Powiodła spojrzeniem od Kita do Godfreya i Stacie. Ryder obejrzał się za siebie; dwoje najmłodszych z jego rodzeństwa stało ramię w ramię, zagradzając drogę do wyjścia.

Wreszcie Lavinia odwróciła się, podeszła do worków i usiadła.

Ryder wiedział, że dla dobra przyrodniego rodzeństwa musiał w miarę możliwości doprowadzić tę historię do końca. Wbił wzrok w pomocników stajennych.

– Jak zapewne wiecie, na tym terenie reprezentuję prawo. Oznacza to, że mogę przekazać was władzom, ale także sam decydować o waszym losie.

– Widzieliśmy ją. – Starszy z tych dwóch skinął głową ku Lavinii. – Wyraźnieśmy widzieli, jak dźgnęła Snickerta prosto w oko. Zabiła, a juści.

– Tak, wiem – odparł Ryder. – Ale nie to chcę od was usłyszeć. Wczoraj po południu wy dwaj pomogliście Snickertowi uprowadzić moją żonę z ogrodów przy naszym domu.

Jego rozmówca spojrzał na Mary.

– Ona nie może wiedzieć, że to my. Pilnowaliśmy, coby nas nie widziała, no i jeno Snickert gadał.

– Istotnie. – Ryder w duchu pokręcił głową. – Ale jak właśnie przyznaliście, byliście tam. Nie traćcie czasu na zaprzeczanie. Uprowadzenie markizy, uwięzienie jej, strzelanie do nas…

– To Snickert.

– Tak czy owak, pomagając mu, również staliście się winni zbrodni. Już te trzy sprawy wystarczą, żeby zaprowadzić was na szubienicę. Jednakowoż – Ryder uniósł palec – jeśli będziecie współpracować, jako że to mnie oraz moją żonę usiłowaliście skrzywdzić, zgodzę się zmienić wyrok z powieszenia na zesłanie. – Zrobił krótką przerwę. – Ale zdarzy się to tylko wówczas, gdy powiecie mi wszystko, co chcę wiedzieć.

Mężczyźni wymienili przeciągłe spojrzenia, a później popatrzyli na Rydera.

– Co chce pan wiedzieć? – spytał z rezygnacją starszy.

– Podzielcie się ze mną i z obecnymi tu wszystkim, co wiecie, wszystkim, co Snickert wyjawił wam na temat swoich planów zamordowania mnie i mojej żony.

– Niewiele wiem o tem, co się działo w Lundynie, ale Snickert gadał, jak to najął tego sprzedajnego prawnika, co znał jakisi robotników…

Opowieść potoczyła się dalej. Pierwotny plan Lavinii, żeby zabić Rydera, po ślubie objął również Mary.

– Powtarzoł za nią – parobek skinął głową w stronę Lavinii – że tera, jak się pan pożenił, trza się pierwej pozbyć paniusi, bo jeśli zaczniem od pana, to może być, że już jej pan zmajstrował dzieciaka, no a jej rodzina w kaszę nie da se dmuchać, więc zara by ją wzięli i nikomu by się nie udało tknąć jej ani dzieciaka, co z jakiegoś powodu też nie pasowało. Pana i pański przychówek życzyła se zetrzeć z powierzchni ziemi.

Rand posłał Lavinii prawie że nienawistne spojrzenie.

– A potem…

Mężczyzna opisał w szczegółach, jak Snickert, aby podłożyć żmiję, a potem skorpiona, dostał się na miejsce tajnym tunelem prowadzącym z księżej kryjówki w jadalni za kominkiem w domu wdowy do kaplicy na parterze opactwa.

Ryder popatrzył na rodzeństwo.

– Co to za tunel?

– Nie wiedziałeś? – spytał Godfrey.

Kiedy Ryder pokręcił głową, Kit sapnął.

– Chyba założyliśmy wszyscy, że wiesz.

Odwróciwszy się znów do parobków, Ryder dał znak, by kontynuowali. Mary od czasu do czasu wtrącała jakąś wskazówkę, Rand pytania, i tym sposobem uzyskali potwierdzenie wszystkich działań podjętych przez Snickerta na polecenie Lavinii, włącznie z tym, że posłużyli się Mary jako przynętą, by zwabić Rydera w pułapkę i zamknąć oboje w podziemiach.

– Snickert wymyślił zatrutą wodę, a markiza widocznie mu przyklasła. Żeśmy myśleli, że po powrocie markizy otworzym klapę pod workami, a tam na dole będą galantnie leżały trupy. – Mężczyzna spojrzał na niego, pogodzony z losem. – Ale to się nie mogło udać, no nie? Mówiłżem Snickertowi, co to lepiej nie brać się za bary z możnym panem.

– Należało posłuchać własnej rady. – Ryder popatrzył mu w oczy.

Starszy parobek skłonił głowę.

– Ano, należało. – Wyprostował się. – Czyli tera co?

– Teraz przekażę was moim ludziom. Zabiorą was do celi w opactwie. Zostaniecie w niej do czasu, gdy przybędą po was konstable.

– Poczekaj. – Rand podszedł do Lavinii i zatrzymał się bezpośrednio przed nią. Wbił wzrok w jej twarz. – Czy zaprzeczasz ich słowom?

Śmiało odpowiedziała na jego spojrzenie.

– Oczywiście, że nie – odparła, uśmiechając się szyderczo, a potem z nienawiścią popatrzyła na Rydera. – Żałuję tylko, że nie znalazłam bardziej kompetentnych ludzi.

Rand przyglądał się jej przez chwilę, a następnie odwrócił się do Rydera.

– Zaprowadzimy ją z Kitem na górę i zamkniemy w sypialni.

Ryder skinął głową.

– Poczekamy na was w salonie. – Nie zaszczycając Lavinii kolejnym spojrzeniem, podał ramię Mary. – Musimy przedyskutować, co dalej.

Z żoną u boku opuścił piwnicę, a za nimi podążyli Stacie i Godfrey, podczas gdy Rand i Kit zostali, żeby zająć się matką.

Bez wątpienia morderczynią.

*

Herbata była uniwersalnym remedium.

Na sugestię Mary, Caldicott, który nie opuścił stanowiska, przyniósł tacę. Oprócz dwóch dzbanków z herbatą ustawił na niej talerz z kawałkami babki piaskowej.

Obserwując Godfreya, który zamiast jeść, kruszył babkę na talerzyk, Mary skomentowała:

– Widzę, że umierasz z głodu.

Godfrey spojrzał na kopiec okruszków i westchnął.

– W zasadzie tak, ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek jeszcze zdołał coś przełknąć w tym domu.

– Albo na Chapel Street. – Stacie zadrżała.

Mary zerknęła na Rydera, a potem uścisnęła dłoń szwagierki.

– Tym się nie martw. Zamieszkasz z nami, oczywiście. – Popatrzyła na Godfreya. – Ty

także.

Wyraz ulgi połączonej ze szczerą wdzięcznością, jaki przemknął przez ich twarze, chwytał za serce.

Drzwi się otworzyły i wszedł Randolph, a za nim Kit. Mary spojrzała na nich pytająco, unosząc dzbanek. Randolph wstrzymał oddech, lecz potem spostrzegł szklaneczkę brandy w dłoni Rydera.

– Ach, nie, dziękuję. – Odwrócił się do kredensu, gdzie, jak się okazało, Kit nalewał już dwie miarki. – Trzeba mi raczej czegoś mocniejszego.

Kiedy bracia zasiedli w fotelach, każdy ze szklaneczką w ręku, Ryder potoczył wzrokiem po zebranych.

– Co robimy? – spytał.

– Trzeba ją odizolować – oznajmił Randolph. – Pytanie tylko gdzie.

Kit przytaknął i nachylił się do przodu, tuląc w dłoniach szklaneczkę.

– Nie tutaj, z oczywistych względów, ani też w żadnym z rodzinnych majątków: zbyt trudno byłoby utrzymać rzecz w sekrecie. Nie przychodzą mi jednak na myśl inne rozwiązania, nie wiem również, co istotniejsze, czy komukolwiek poza nami można zaufać, że nie da się wciągnąć w jej gierki.

Godfrey ponuro pokiwał głową.

– Mama nie wygląda na kobietę, która zadźgałaby człowieka szpilką do szala.

Ryder oparł się wygodnie.

– Wesprę każdą waszą decyzję, jeśli tylko zagwarantuje, że ja i moi bliscy nie będziemy narażeni na intrygi Lavinii.

– To rozumie się samo przez się. – Randolph zajrzał do swojej szklaneczki. – Pojmuję już, czemu nalegałeś, byśmy usłyszeli o wszystkim od niej. – Jednym haustem osuszył szkło i przyznał: – Gdybyś mi powiedział… nawet gdybym usłyszał zeznania tamtych ludzi, kiedy ona by tam nie siedziała, słuchając obojętnie, a potem nie zaprzeczając… szczerze, nie wydaje mi się, żebym naprawdę uwierzył…

Jego wypowiedź przerwał krzyk. Wszyscy podnieśli wzrok akurat w porę, żeby zobaczyć za oknem jakiś kształt spadający w dół.

– O nie! – Z dłońmi przy twarzy Stacie zerwała się na równe nogi.

Pozostali także się poderwali. Mary przytrzymała Stacie, puszczając mężczyzn przodem, Randolpha i Kita na czele, a Godfreya tuż za nimi. Ryder przystanął w drzwiach, obejrzał się i zobaczył, że Mary nieco wolniej podąża ich śladem ze Stacie; pochwycił jej wzrok, skinął krótko głową i poszedł za braćmi.

Zanim Mary i Stacie dotarły do schodów wejściowych, Randolph i Kit zakryli już ciało matki surdutami.

Mary była im za to wdzięczna; jak na jeden dzień, doznała dostatecznie wielu wstrząsów, a Stacie znajdowała się u kresu wytrzymałości. W ostatnich godzinach dziewczyna i jej bracia musieli przetrwać tyle, że mało kto by sobie z tym poradził.

Ryder ujął siostrę za drugie ramię i pomógł jej zejść po schodach.

We troje podeszli bliżej, ale zatrzymali się, kiedy nogi odmówiły Stacie posłuszeństwa. Bracia widzieli, jak stoi drżąca w objęciach Mary, otoczona ramieniem przez Rydera, i jeden po drugim porzucali ciało matki, żeby dołączyć do nich – żywych.

Mary i Ryder przekazali Stacie w objęcia Kita.

Randolph, nadal z szokiem wypisanym na twarzy, stanął obok Rydera.

– Twoim zdaniem skoczyła czy spadła w trakcie próby ucieczki?

– Nie wyobrażam jej sobie – odparł po krótkim wahaniu Ryder – by choć rozważała

samobójstwo, a wy?

Kolejno pokręcili głowami.

– W takim razie – rzekł Ryder – skoro jesteśmy w tej sprawie zgodni, mogę zgłosić jej śmierć jako wypadek.

– Tego by chciała: ludzie będą jej współczuć. – Randolph obejrzał się na przykryte ciało leżące na żwirze.

Mary odczekała chwilę, nim powiedziała:

– Skoro ta kwestia została rozstrzygnięta, wracajmy do środka. Trzeba wydać stosowne polecenia, a później pojedziecie z nami do opactwa.

Użyła władczego tonu markizy i zupełnie jej nie zdziwiło, że nikt się nie sprzeciwił.

*

Świt malował już na wschodnim niebie pierwsze blade smugi, kiedy Ryder wszedł za Mary do sypialni.

Mary westchnęła.

– Nareszcie po wszystkim.

Ostatnie godziny spędzili, starając się jak najlepiej opanować sytuację. Randem, Kitem, Stacie i Godfreyem zajęła się służba z opactwa pod wodzą samej Mary. Jako że przyrodni bracia i siostra Rydera często tu gościli, mieli własne pokoje; wyczerpani, udali się na spoczynek, kiedy tylko je dla nich przyszykowano.

– Mam nadzieję, że pozostałym uda się zasnąć – rzekł Ryder.

– Przewidujesz jakieś trudności ze strony pomocników stajennych w związku ze śmiercią Snickerta?

Pokręcił głową.

– Za pośrednictwem Snickerta Lavinia zaproponowała im niewielką fortunę w zamian za pomoc w pozbyciu się nas: wiedzą, jak mało brakuje, żeby zawiśli. – Zawahał się krótko. – Gdyby Lavinia nie umarła, śmierć Snickerta stwarzałaby większy problem, ale skoro tamci dwaj wiedzą, że nie żyje… – Wypuścił powietrze z płuc. – Myślę, mam nadzieję, że sprawa ucichnie i nic nie zaszkodzi debiutowi pozostałych w towarzystwie.

– Jak wiele szczegółów musisz podać na temat śmierci Lavinii?

– Oficjalnie wystarczy tyle, że zgon nastąpił wskutek wypadku. Co poniekąd odpowiada prawdzie. Przy założeniu, że służba w domu wdowy już się pozbierała i jutro… nie, dzisiaj… zajmie się ciałem i wezwie przedsiębiorców pogrzebowych, poza samym zorganizowaniem pogrzebu pozostaje niewiele do zrobienia.

– Lavinia spocznie w pokoju, a jej dzieci odzyskają wolność.

– To także. – Ryder opasał Mary ramieniem w talii i pociągnął do okna.

Stali oparci o siebie, obserwując jaśniejące niebo.

W końcu Mary powiedziała:

– Nowy dzień, nowy początek.

Ryder spojrzał na nią.

– Nie tylko dla nas, ale również dla pozostałych Cavanaughów.

Pochwyciwszy jego wzrok, uśmiechnęła się.

– Dla Cavanaughów.

Wspięła się na palce, oplotła ramionami jego szyję i zajrzała mu głęboko w orzechowe oczy.

– Kontynuując w tym samym tonie – powiedziała – powinniśmy chyba iść do łóżka i

zatroszczyć się o przyszłe pokolenia.

Ryder uśmiechnął się, porwał ją w ramiona i pocałował.

Runęli na łóżko.

Mary pisnęła, po czym wybuchnęła śmiechem.

Pospiesznie rozebrali siebie nawzajem, zamarli na moment, kiedy ich nagie ciała się zetknęły i wstrząs-nęło nimi przeszywająco zmysłowe doznanie, a potem oddali się przyjemności, ich ręce pieściły i gładziły, wędrowały z miłością i czcią – doznanie znajome, lecz nigdy wcześniej tak przejmujące.

W ich oczach jarzyły się ta sama wiedza, zrozumienie i kapitulacja, mocna jak skała pewność tego, co pośród natłoku wydarzeń minionej nocy przyjęli, dzielili, do czego się przyznali.

Otwarcie. Bezpośrednio. Nie oszukując.

Nie wznosząc między sobą żadnych murów, złączyli się we wspólnym westchnieniu, olśnieni wstrzymali oddech, a później Mary przyciągnęła jego wargi do swoich, on zaś nachylił się ku niej i namiętność wzniosła się falą, runęła na nich z całą mocą i porwała ze sobą.

Pożądanie i wielkie pragnienie zlewały się w jedno w ogniu, którego nie byli w stanie kontrolować.

Pochłonęła ich nieopisana radość z tego, że wspólnie oszukali śmierć, przetrwali, by połączyć się w ten sposób, w zachwycie i z nadzieją, z oddaniem i czcią.

Zanurzyli się w radości, formowała ich i stapiała, aż stali się jednym.

W miłości i namiętności. W szczęściu i ekstazie.

W nadziei i uległości.

Wobec wszystkiego, co nadejdzie, co wspólnie stworzą.

Rozdział 17

„Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz".

Pogrzeb Lavinii wyznaczał dla Cavanaughów kres pewnej epoki. Ryder z determinacją postanowił, że teraz, gdy zabrakło macochy, która starała się doprowadzić do rozłamu między nim a rodzeństwem, cała ich piątka – pod przewodnictwem Mary – stworzy tego rodzaju rodzinę, za jaką wszyscy od dawna tęsknili.

Wymagało to czasu i zmiany nastawienia, ale czas mieli, chęci także, a do tego była z nimi Mary, która pomoże im przezwyciężyć trudności. Faktycznie objęła już przewodnictwo, przyjęła na siebie rolę markizy, matriarchini rodu, i już jasno zasygnalizowała, że oczekuje, by przychodzono do niej i Rydera z wszelkimi problemami dowolnego rodzaju.

Mąż uwielbiał jej apodyktyczność, aczkolwiek zadziwiało go, w jaki sposób uchodziła jej ona płazem. Przypuszczał, że zwykle ludzie nie tyle się z Mary zgadzali, ile jej ustępowali.

Nie było dnia, żeby jakaś jej wypowiedź lub zachowanie nie wywołały uśmiechu na twarzy Rydera – uśmiechu, który niekiedy ukrywał, choć równie często okazywał swoje rozbawienie, jedynie po to, by zobaczyć, jak Mary prycha i odwraca się od niego z wyższością.

Okoliczność, że miał ją przy sobie w dniach po śmierci Lavinii, że pomagała jemu i pozostałym pokonać rozmaite przeszkody, także natury towarzyskiej, uważał za ogromne błogosławieństwo. Doprawdy nie wiedział, jak poradziłby sobie bez niej.

W sześcioro rozstrzygnęli kwestię żałoby. On i Mary doszli do wniosku, że dla nich stosowny będzie tydzień żałoby i następne trzy – półżałoby; jako że powszechnie wiedziano o antypatii między nim a Lavinią, cokolwiek więcej trąciłoby hipokryzją. Zachęcili Randa, Kita, Stacie i Godfreya, by sami postanowili, jak to ma wyglądać w ich przypadku; ostatecznie dzieci zmarłej zdecydowały się na miesiąc żałoby i kolejne trzy półżałoby. Wszyscy przybyli do Raventhorne na pogrzeb i stypę zaaprobowali taki wybór.

Stypa w opactwie, która nastąpiła po ceremonii pogrzebowej w pobliskim kościele i pochówku, w kategoriach towarzyskich przypominała raczej nowy początek. Przybyli na nią sąsiedzi dawali jasno do zrozumienia, że znaleźli się tu przede wszystkim po to, by okazać wsparcie Ryderowi i Mary. Wyraźnie oczekiwano, że wskażą wszystkim nowy kierunek – i ku nieustającej wdzięczności Rydera jego żona podołała wyzwaniu. Ci, którzy dotąd jej nie poznali, byli pod wrażeniem; ci, których urzekła już wcześniej, z radością ponownie ulegali jej czarowi. Obserwując, jak Mary wszystkich zachwyca i wszystkim sprawnie kieruje, Ryder sam poczuł się pokrzepiony oraz więcej niż rad z tego, że znajdowała się w swoim żywiole, zarządzała jego domem i, na ile się na to godził, nadawała kierunek ich życiu.

Tutaj być powinna, dla jego i jej własnego dobra, jak również dobra tylu innych osób.

Jednym z uczestników pogrzebu i stypy był Claude Potherby. Ze względu na jego długoletnie oddanie Lavinii Ryder wysłał mu osobisty liścik z zaproszeniem. Potherby przyjechał, ale pozostał na stypie jedynie na tyle długo, by uczynić zadość oczekiwaniom towarzystwa; jego rola jako powiernika Lavinii była powszechnie znana.

Wyglądał na rozbitego; przez niespełna tydzień postarzał się o dziesięć lat. Na osobności zapytał Rydera, czy Lavinia targnęła się na swoje życie. Kiedy Ryder zapewnił go, że jej śmierć nastąpiła wskutek wypadku przy próbie ucieczki, pokiwał głową.

– Sama by się na to nie zdecydowała, ale takie zakończenie być może wyszło wszystkim na dobre – skonstatował gorzko. – Jej… i mnie. – Spojrzał na Rydera i dodał: – Pora mi ruszać dalej.

Szczerze życzył szczęścia Ryderowi, Mary i rodzinie Cavanaughów, po czym odjechał.

Wracając myślami do tej wymiany zdań, Ryder musiał się zgodzić z zaleceniem Potherby'ego: w dniu takim jak ten każdy powinien uświadomić sobie, jak wiele spotkało go w życiu szczęścia, i ruszyć dalej.

Spojrzał ponad morzem głów w salonie i poczuł, że wreszcie nieskrępowanie podąża ścieżką, którą ojcu przyrzekł obrać. Dla Cavanaughów jego rządy będą czasem odbudowy. Teraz miał już przewodnika, który pomoże mu zrealizować te pragnienia.

Diabeł i Honoria, jak również lord Arthur i lady Louise, przyjechali z Londynu jako reprezentacja Cynsterów. Mary była zaskoczona, kiedy zagadnął, czy zjawią się również pozostali członkowie jej najbliższej rodziny – pytał o coś oczywistego.

Rzeczywiście, stawiła się cała jej najbliższa rodzina – Simon i Portia, Henrietta i James, Amanda i Martin oraz Amelia i Luc.

Ku niejakiemu zaskoczeniu Rydera z Diabłem i Honorią przyjechały Helena, księżna wdowa St. Ives, starsza matriarchini klanu Cynsterów, oraz jej przyjaciółka Therese, lady Osbaldestone. Ta ostatnia przenikliwie zmierzyła Rydera wzrokiem i poinformowała go, że małżeństwo z Mary mu służy i będą z niego ludzie. Na domiar złego trzy minuty później Helena poklepała go po policzku, pochwaliła, że był grzecznym chłopcem, i zapewniła, że wszystko się ułoży.

Kiedy później wspomniał Mary o tej rozmowie, szukając pocieszenia, powiedziała mu, że Helena słynie z przenikliwości i powinien być rad, że nie okazała się bardziej bezpośrednia.

Jednakże kiedy chodziło o rodzinę, cenił siłę i wrodzoną moc Cynsterów – rezultat tego, że wiele pokoleń trzymało się razem – i zarazem rozumiał, że główna linia rodu Cavanaughów ogranicza się do niego i jego przyrodniego rodzeństwa, toteż jasno widział szlak ku upragnionej przyszłości.

Zegary w całym domu wybiły trzecią, kiedy Mary ujęła go pod ramię i skierowała ku drzwiom.

– Czas wyjść na portyk i żegnać gości.

Z radością się podporządkował.

Naturalnie, wszyscy podążyli za nimi.

Mimo niewesołej przyczyny zgromadzenia goście odjeżdżali uśmiechnięci, machając na pożegnanie. W ciągu półgodziny większość opuściła opactwo, a wtedy Mary i Ryder poszli do biblioteki, gdzie schronili się ci, którzy zostawali na noc.

Przystanęła w westybulu, by naradzić się z Forsythem i panią Pritchard, którzy oczekiwali na jej instrukcje. Lokaje i pokojówki uwijali się już w salonie, doprowadzając wielki pokój do porządku. Pochwaliwszy służbę, Mary potwierdziła ustalenia w związku z obiadem.

– Jak podejrzewałam, przy stole zasiądzie czternaście osób.

– Tak, proszę pani – rzekł Forsythe. – Nakryjemy zatem w jadalni reprezentacyjnej.

– To będzie doskonała sposobność, żeby ten pokój otworzyć.

Odprawiła kamerdynera i gospodynię skinieniem głowy, po czym odwróciła się do

Rydera, który czekał u jej boku. Ujęła go pod ramię.

– Dobrze poszło, nie sądzisz? – spytała.

– Nadzwyczaj dobrze. Koniec i zarazem początek.

– Dokładnie tak. – Nie zaskoczyło jej, że podzielał jej pogląd.

– Kto zostaje? Mówiłaś o czternastu osobach.

– Tak. Diabeł i Honoria zabrali Helenę i lady Osbaldestone z powrotem do Londynu, więc przy stole zasiądą tylko moi rodzice, brat z żoną i siostry z mężami oraz twoje przyrodnie rodzeństwo.

– Świetnie. – Kiedy spojrzała nań pytająco, wyjaśnił: – Musimy przedyskutować, jak rozwiązać kwestię Stacie i Godfreya, a ceniłbym sobie przemyślenia twoich rodziców i rodzeństwa.

– Nie martw się. Nie będziesz nawet musiał pytać, sami podsuną ci swoje opinie.

Z punktu widzenia Rydera byłoby to kolejne błogosławieństwo.

Dołączyli do usadowionych na sofach i w fotelach gości. Mary krótko podsumowała mijający dzień, a następnie skierowała rozmowę na kwestię tego, gdzie zamieszkają Stacie i Godfrey.

– Oczywiście, w każdej chwili jesteście tu mile widziani, ale jak chcielibyście rozwiązać tę sprawę w Londynie?

Rand miał swoją kwaterę, ale niestety brakowało w niej wolnych pokoi. Nie było ich też u Kita, który w dodatku musiał poszukać nowego lokum.

Ryder popatrzył na Kita i Godfreya.

– Jeśli chcecie, możecie wrócić do Raventhorne House. Miejsca jest aż nadto, a Mary i ja będziemy tam zjeżdżać jedynie na sezon i parę tygodni jesienią.

Młodsi bracia porozumieli się wzrokiem, a potem Kit popatrzył na Rydera.

– Może spróbujemy na początek i zobaczymy, jak to się sprawdzi? – Uśmiechnął się do Mary. – Z nadejściem wiosny i nowego sezonu Mary może nas uznać za zbyt kłopotliwych lub irytujących, ale na razie przeprowadzka do Raventhorne House wydaje się niezłym pomysłem.

– Kolejny punkt: dom na Chapel Street – powiedział Ryder, pukając palcem w podłokietnik fotela. – Należy do majątku. Życzycie sobie, żebym go zachował czy sprzedał?

Mimo że dzieci Lavinii prędko zadeklarowały, iż nie chcą mieć z tamtym domem nic wspólnego, wywiązała się dłuższa dyskusja, kiedy to ważono rozmaite rozwiązania, jak wynajęcie budynku, zestawiano koszty jego utrzymania i opłacenia służby z dochodami, ostatecznie wszakże zapadła jednomyślna decyzja o sprzedaży. Ryder był wdzięczny za rzeczowe uwagi lorda Arthura, Louise, bliźniaczek i ich mężów.

– Czyli ustalone. Powiadomię Montague'a.

– Doskonale. – Mary odwróciła się do przyrodniej siostry Rydera. – Pozostaje nam zatem Stacie. – Uśmiechnęła się do niej zachęcająco. – Jak wspomniałam, tutaj zawsze będziesz mile widziana, ale jak mówił Ryder, nie licząc paru tygodni sezonu jesiennego, do kolejnego sezonu my dwoje najprawdopodobniej pozostaniemy na wsi. Wyobrażam sobie, że wolałabyś spędzić w mieście nieco więcej czasu.

Stacie się skrzywiła.

– No cóż, po pierwsze muszę wrócić się spakować, zwłaszcza jeśli dom przy Chapel Street ma zostać sprzedany. A choć potrwa to zapewne jedynie około tygodnia, istotnie obiecałam wziąć udział w kilku ślubach i przyjęłam parę innych zaproszeń… – Urwała, po czym dodała ciszej: – Mogłabym odwołać…

– Jeśli mogę coś zasugerować? – Louise z uśmiechem poczekała, aż zarówno Ryder, jak i Mary skiną głową, po czym spojrzała na Stacie. – Jeżeli zechcesz, chętnie ugościmy cię na Upper Brook Street. Teraz, kiedy Mary i Henrietta opuściły dom, podobnie jak pozostali – wskazała na Amandę, Amelię i Simona – mamy tam z Arthurem aż nadto miejsca, przy czym w zasadzie brałabym udział we wszystkich wydarzeniach towarzyskich, na które cię zaproszono, więc z radością posłużyłabym ci za przyzwoitkę, przynajmniej do czasu aż Mary zjedzie do miasta na jesienny sezon. – Louise spojrzała na najmłodszą córkę i na jej usta wolno wypłynął uśmiech radosnego wyczekiwania. – A wtedy przez jakiś czas trzymałybyśmy się we trzy, żeby Mary obeznała się z rolą przyzwoitki. Dotąd jakoś nikt nie prosił jej o taką przysługę.

Reszta rodziny Mary się roześmiała, posypały się komentarze, obserwacje i historyjki, wiele z nich uszczypliwych, wszystkie zabawne, jak również na wskroś życzliwe – typowe rodzinne przekomarzania.

Ryder słuchał tych radosnych docinków, widział błysk w oczach Mary, kiedy dowcipną ripostą odparowała komentarz Luciena – widział, jak jego rodzeństwo obserwuje, notuje, chłonie to wszystko z tęsknotą, która odzwierciedlała jego własną, pragnieniem, by pojąć, doświadczyć, stać się częścią takich relacji. Ukazała im się owa inna strona rodziny – ciepło, wsparcie, zrozumienie i bezwarunkowa akceptacja cech i słabostek każdego, silnych stron i pasji, jak również trwałe uczucie, łączące wszystkich.

Rodzina – siła, ciepło, wsparcie. Moc.

Kiedy wiele osób kilkakrotnie zapewniło ją, że w najmniejszym stopniu nie sprawi nikomu kłopotu, Stacie przystała na propozycję Louise. Dwie głowy, starsza i młodsza, nachyliły się ku sobie, żeby ułożyć plan.

Resztę dnia i wczesny wieczór spędzili w swoim gronie, gawędząc, odkrywając wspólne zainteresowania i podążając ich tropem, aż w końcu podzielili się na dwie grupy – damy usadowiły się w fotelach w bibliotece, żeby wymienić się opowieściami o modzie i skandalach, podczas gdy dżentelmeni oddalili się do pokoju bilardowego, gdzie zaangażowali się w zaimprowizowany turniej, Cavanaughowie przeciw Cynsterom i ich powinowatym.

Żadna strona nie wygrała.

Obiad, mimo że podany w imponującej jadalni reprezentacyjnej, nie miał szans, w tym towarzystwie, stać się czymkolwiek innym niż swobodną chwilą przyjemności. Kiedy nalano porto i brandy, dżentelmeni dołączyli do dam w salonie; do czasu gdy półtorej godziny później całą grupą ruszyli na piętro, mroczne napięcie pierwszej połowy dnia zostało wymazane i wszyscy bez wyjątku spoglądali ku przyszłości. Ryder gotów był przysiąc, że tak właśnie było.

Z radością wyczekiwali kolejnego dnia, i następnego, i wszystkiego, co przyniesie im życie.

Mary przystanęła na galerii u szczytu głównych schodów, aby życzyć swojej całej rodzinie dobrej nocy, jak również upewnić się, że wszyscy pamiętają drogę do swoich pokoi. Kiedy goście oddalili się właściwymi korytarzami, odwróciła się z uśmiechem do Rydera.

Trzymając się za ręce, przeszli do swych apartamentów. Serce Mary przepełniał optymizm; z chęcią huśtałaby ich złączonymi dłońmi i podskakiwała, ponieważ jednak była teraz markizą, takie zachowanie niestety jej nie przystało. Ale mogła się uśmiechać. Ryder przytrzymał dla niej drzwi bawialni; wchodząc do środka, opromieniła go uśmiechem, a później złapała za rękę i pociągnęła do swojej sypialni. Do pokoju, który

tak wspaniale dla niej urządził, a z którego do tej pory nie korzystali.

Zabierając po drodze z kredensu zapalony kandelabr, Ryder podążył za nią dość ochoczo, kiedy wszakże zatrzymała się i odwróciła ku niemu, zajrzał jej w oczy i spytał:

– Na pewno chcesz tu spać?

– Tak. – Odwzajemniała jego spojrzenie. – Dziś rano pogrzebaliśmy przeszłość, po południu odgrodziliśmy ją grubą kreską, wieczorem zaś wyruszyliśmy w drogę ku przyszłości. Wydaje mi się stosowne, żebyśmy skorzystali z tego pokoju pierwszej nocy naszej nowej podróży.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Jak zawsze, twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Ryder odstawił kandelabr, obserwował przez chwilę, jak Mary wyjmuje z włosów szpilki, a potem zdjął z ramion surdut.

– Mam nadzieję, że rankiem nie wywołamy konsternacji, kiedy Collier i Aggie odkryją nasze zniknięcie – powiedział lekkim tonem.

– Na pewno się zorientują, w czym rzecz. Nikomu by się nie śniło, że uciekniemy. – Stanęła odwrócona do niego plecami. – Pomóż mi rozwiązać sznurówki.

Rzucił surdut w nogi łóżka, spełnił jej prośbę, a potem przeszedł w głąb pokoju, by powiesić surdut na oparciu krzesła. Ściągnął kamizelkę i sięgnął do halsztuka. Właśnie skończył go rozwiązywać, kiedy jego uwagę przyciągnął jakiś szelest – obejrzał się akurat w porę, żeby zobaczyć, jak naga Mary wślizguje się pod prześcieradła.

Uśmiechnął się z uznaniem, nie tylko dla widoku, który mu mignął, ale także w niecierpliwym oczekiwaniu na to, co zaraz nastąpi.

Mary, choć nie mówiła tego głośno, wyraźnie wolała, gdy rozbierali się każde osobno, dopóki nie uzmysłowił sobie, że ona po prostu lubi obserwować go przy tej czynności. W pośpiechu zrzucała ubranie, żeby położyć się w łóżku i przyglądać, jak Ryder zdejmuje swoje – co robiła w tej właśnie chwili.

Bez pośpiechu ściągnął z szyi halsztuk i rzucił go na kamizelkę i surdut, a następnie rozpiął mankiety koszuli, nim wziął się za długi rząd guzików.

Mary poruszyła się pod przykryciami.

Spuścił wzrok, by zamaskować uśmiech, lecz wtedy przypomniał sobie, że chciał jej zadać pewne palące pytanie. Być może ta noc, ta chwila była do tego najwłaściwsza. Zdjął koszulę i spojrzał na żonę.

– Zastanawiałem się… Czy chciałabyś mi coś powiedzieć? Czymś się ze mną podzielić?

Uniosła brew.

– To znaczy?

Nie odpowiedział od razu, zzuł buty, usiadł, żeby zdjąć pończochy, po czym wstał i, znów skupiony na niej, podszedł do łóżka, po drodze rozpinając guziki spodni.

Ukląkł na materacu i dalej zbliżał się do Mary, aż znalazł się nad nią, wsparty na rękach i kolanach. Ich twarze znalazły się naprzeciw siebie.

– Umiem liczyć, wiesz?

Nadal patrzyła mu w oczy. Poruszyła się, chętna i niecierpliwa.

Wolno zaplotła mu ręce wokół karku.

Zaglądał w jej cudownie chabrowe oczy.

– Tak – powiedziała cicho, podciągnęła się i musnęła wargami jego brodę. – Wydaje mi się, że jestem w ciąży. – Krótko pocałowała go w usta, a później cofnęła się minimalnie, żeby wyszeptać: – Noszę twojego dziedzica.

Znów go pocałowała, on zaś odwzajemnił pocałunek, gdy wezbrana nagle emocja

pochwyciła oboje. Potem Mary ułożyła się na plecach z delikatnie opuchniętymi wargami i oczami ciemniejącymi z pożądania, po czym władczym gestem wskazała jego spodnie. Kiedy przesunął się, żeby je zdjąć, powiedziała:

– Oczywiście, może to też być dziewczynka.

– Nieważne.

Nagi wślizgnął się pod przykrycia – i odnalazł jedwabistą skórę i jędrne krągłości. Uniósł się nad nią na łokciach i pocałował ją w koniuszek nosa.

– To naprawdę nieistotne. Chłopiec czy dziewczynka.

Uśmiechnęła się, pociągnęła go w dół ku sobie i ich wargi się spotkały.

Radośnie, otwierając serca, zaangażowani całą duszą, oddali się temu, co na nich czekało – namiętności, silnej, trwałej miłości.

Ich przyszłość rysowała się jasno, wiedzieli, dokąd zmierzają; kiedy kochali się i śmiali, widzieli przed sobą jeden cel, poświęcili się realizacji jednego pragnienia. Odnawiali swe oddanie z każdym westchnieniem, każdym uderzającym do głowy oszołomieniem.

Żadne nie musiało dłużej myśleć o tym pragnieniu, ubierać go w słowa. Zostało wykute w ich duszach, odcisnęło się tam na zawsze.

Stworzą własną rodzinę.

Wypełnią dom dziećmi i będą pracować nad zaangażowaniem swego rodzeństwa, tak by odbudować więzi tworzone przez wujów, ciotki i kuzynów, którzy uformują gałęzie i gałązki zdrowego drzewa rodowego.

Wzmocnią ród Cavanaughów, ożywią go i przywrócą mu świetność.

Unoszeni na fali potężnego doznania, w końcu stoczyli się ze szczytu, wirując pośród ekstazy.

Spod ociężałych powiek popatrzyli sobie w oczy.

Zrealizują ten cel i podążą dalej.

W przyszłość.

Ich oddechy łączyły się, a potem ich wargi się zetknęły, otarły o siebie w pozbawionym słów ślubowaniu.

Razem mieli tyle siły, tyle pasji. Tyle mogli wnieść, poświęcić realizacji wyznaczonego sobie zadania.

Rodzinie. Na zawsze.

Trudno o wspanialszy, bardziej satysfakcjonujący cel.

Epilog

Sierpień 1837
Somersham Place, hrabstwo Cambridgeshire

Cynsterowie zebrali się, jak robili to przez ostatnich siedemnaście lat, aby celebrować dary, jakie przyniósł miniony rok: śluby, więzi, dzieci. Witali je, dziękowali za nie, doceniali błogosławieństwa płynące z faktu, że są tak wielką, mocno zakorzenioną, płodną rodziną.

Honoria, księżna St. Ives, gospodyni i główna inicjatorka zgromadzenia, stała na portyku rozległego dworu swego domu, i z głęboką satysfakcją przyglądała się morzu głów przed budynkiem.

– Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu… chyba od potrójnego ślubu, a to było w dwudziestym dziewiątym… zebraliśmy się tu wszyscy co do jednego.

Stojąca obok niej Patience Cynster uśmiechnęła się.

– Podziękowania za to należą się Henrietcie, a jeszcze bardziej Mary. Wykazały się doprawdy nienagannym wyczuciem chwili. Najpierw dwa śluby, jeden zaraz po drugim, a później śmierć króla i wstąpienie na tron Wiktorii, przez co wszyscy, którzy przybyli z daleka, nie mieli nawet szansy rozważyć powrotu do domu, nim pokusa, by zostać jeszcze i na aktualne wydarzenie, stała się zbyt wielka.

– W rzeczy samej – powiedziała Catriona, wraz z Phyllidą i Alatheą, podchodząc do stojących. – Jako jedna z mieszkających najdalej, choć nie planowałam przebywać tak długo poza domem, cieszę się, że Mary i Ryder nas tu zatrzymali. Gdyby nie oni, zdążylibyśmy wrócić do Doliny, nim dotarłaby do nas wiadomość o chorobie króla, a po jego śmierci Richard znów chciałby jechać na południe, by ocenić sytuację polityczną.

Dołączyła do nich Flick, która zatrzymała się wcześniej, żeby przechylić się przez balustradę i upomnieć jednego z synów.

– Z każdym rokiem nas przybywa – skonstatowała z pełnym zadowolenia westchnieniem, patrząc na tłum gości. – Kto by pomyślał, tamtego pierwszego lata w 1820, że wspólnymi siłami stworzymy takie wielkie i dorodne plemię.

Honoria prychnęła.

– Jestem pewna, że gdyby stali tu teraz nasi mężowie, przypisaliby całą zasługę sobie i oświadczyli, że nie oczekiwali niczego innego.

Pozostałe damy się roześmiały.

– A właściwie gdzie oni się podziewają? – Catriona, podobnie jak jej towarzyszki, instynktownie poszukała tej konkretnej męskiej głowy, która nieuchronnie przyciągała jej wzrok.

– Widziałam, jak szli do stajni – poinformowała z rezygnacją Flick. – Demon uparł się sprawdzić swój najnowszy nabytek, a pozostali, oczywiście, koniecznie chcieli popatrzeć, żeby potem wypytywać o planowane potomstwo.

Damy się uśmiechnęły, pełne zrozumienia dla słabostek mężów. Przez kilka minut stały w milczeniu, dumne matrony przyglądające się krytycznie swym dorastającym dzieciom i pobłażliwie – błazeństwom najmłodszych.

– Muszę powiedzieć – Phyllida oparła się biodrem o balustradę – że chociaż ciągnie mnie z dziatwą do domu w Devon, nie chciałabym, aby ominęło mnie tegoroczne zgromadzenie. – Spojrzała na towarzyszki. – Odnoszę wrażenie, że kończy się pewna epoka, podczas gdy nowa czai się w pobliżu, ale jeszcze nie nastała.

Alathea patrzyła na grupkę maluchów grających w hacele u podnóża schodów.

– Gabriel słyszał, że pałac zapowiada koronację najwcześniej na połowę przyszłego roku, zatem trochę potrwa, nim nowe istotnie nastanie.

– W sensie towarzyskim i politycznym. – Unosząc brew, Honoria zmierzyła wzrokiem damy. – I przypuszczalnie również na froncie rodzinnym.

Patience przytaknęła.

– Kończy się pokolenie, czyż nie? Mary, najmłodsza, była ostatnią panną na wydaniu.

– To prawda – rzekła Catriona. – Ale choć od kolejnej tury ślubów dzieli nas dziesięć albo i więcej lat, narodziny będą następowały i musimy celebrować je tak, jak do tej pory.

– I zawsze będziemy – potwierdziła Alathea. – Monarchowie, politycy, nawet obyczaje towarzyskie będą się pojawiać i znikać, lecz rodzina przetrwa.

– Przynajmniej ta tutaj – oświadczyła Honoria. – Jako że to zadanie nasze i innych dam, by posterować nią naprzód, ani trochę nie wątpię w sukces.

Roześmiały się wszystkie, lecz pod ich wesołością kryły się determinacja i zrozumienie. Kiedy chodziło o rodzinę – tę rodzinę – będą trzymały się razem, radziły sobie wspólnie. Ramię w ramię podążały w przyszłość, bez względu na to, co ona przyniesie.

Jakby rozpoczynając kolejny etap podróży, luźną grupką zeszły po schodach i wmieszały się w tłum.

Honoria, która zeszła ze schodów jako ostatnia, z uśmiechem obserwowała pozostałe damy, kiedy przechadzały się w tłumie, lokalizując swoje liczne potomstwo, żeby mieć na nie oko. Każdy reprezentowany tu tego dnia związek okazał się owocny, o czym zaświadczała pokaźna liczba przedstawicieli kolejnego pokolenia, którzy wałęsali się po trawnikach i zapełniali rozległe ogrody.

Kiedy szła do ławki, gdzie jej teściowa, Helena, uznawana za starszą matriarchinię klanu, siedziała, kołysząc jeden z najnowszych rodowych „nabytków", córeczkę Portii i Simona, Persephone, Honoria poczuła, że uśmiecha się szerzej. Maleństwo, zaledwie kilkumiesięczne, gaworzyło i wymachiwało piąstkami. Helena podniosła wzrok na Honorię, uśmiechnęła się jak zawsze uroczo, a później omiotła spojrzeniem zebranych.

– Ile ich tu jest, orientujesz się?

– Liczyłam. Dobiliśmy do siedemdziesięciu dziewięciu, jeśli dasz temu wiarę.

Therese, lady Osbaldestone, wróciła z krótkiej przechadzki akurat w porę, żeby usłyszeć te słowa.

– Ale wy, Cynsterowie, nie możecie zapisywać ich wszystkich na swoje konto – zaprotestowała, opadając na drugi koniec ławki. – Macie tu parkę Carmarthenów, do tego dzieciaki Kirkpatricków, Anthruster-Whetherbych, Ashfordów, Tallentów, Morwellanów, Caxtonów, że nie wspomnę o Adairach.

– To prawda. – Honoria odwróciła się, żeby spojrzeć na tłum. – Niemniej wszyscy są w ten lub inny sposób powiązani z Cynsterami i… no cóż, tak to właśnie działa, czyż nie? Przyjaźnie, które nasze dzieci nawiążą podczas takich zjazdów, przydadzą im się w życiu.

– Masz zupełną rację – oświadczyła Helena. – Tak to się rozgrywa, a ty i pozostałe panie zasługujecie na pochwałę, że doprowadziłyście Cynsterów do tego etapu. –

Umilkła na chwilę, a potem z niezwykłą u niej melancholią dodała cicho: – Żałuję, że Sebastian nie dożył, by to zobaczyć: byłby taki dumny.

Lady Osbaldestone westchnęła.

– A jakże, tyle że gdyby żył, nie byłoby tak samo, może nawet nic z tego by się nie wydarzyło. Sylvester byłby wówczas St. Earithem, to zaś co innego niż St. Ives, i cała reszta zapewne potoczyłaby się inaczej. Rozumiesz, o co mi chodzi. Los odbiera i daje wedle swego uznania, no i zabrał jego, w zamian ofiarowując ci co innego. Podejrzewam, że Sebastian uznałby taką wymianę za godziwą.

Helena zaśmiała się cicho.

– O tak, w tym masz słuszność. Na pewno uważałby, że tak być powinno: stosowna spuścizna.

Honoria pozostawiła dwie dostojne damy, zajęte wygłaszaniem uwag i wymianą komentarzy na temat przedstawicieli młodszej generacji, i podążyła dalej, by jak każda dobra gospodyni doglądać rozproszonych po ogrodach gości.

Wnuk Heleny, Sebastian, imiennik jej męża i pierworodny syn Honorii lepiej znany jako markiz St. Earith, był najstarszym reprezentantem nowego pokolenia. Osiemnastoletni, na dobrej drodze do tego, by okazać się jeszcze bardziej zabójczo przystojnym niż jego ojciec, stał w grupie innych młodzieńców siedemnasto- i szesnastoletnich, bez wyjątku świetnie się zapowiadających dżentelmenów. W tym gronie znajdowali się Michael, brat Sebastiana, Christopher i Gregory, starsi synowie Vane'a i Patience, Marcus, najstarszy syn Richarda i Catriony, Justin, starszy syn Gabriela i Alathei, oraz Aidan, najstarszy syn Lucyfera i Phyllidy. Honoria podejrzewała, że przerzucają się opowieściami, których wolałaby nie słyszeć.

Mężczyźni niewiele się zmieniali z pokolenia na pokolenie.

Na szczęście komuś udało się przekonać piętnasto-, czternasto- i trzynastolatków, że nadzorowanie młodszych chłopców z animuszem grających w krykieta sprawi im o wiele większą frajdę niż słuchanie, jak starsi nabijają sobie głowy marzeniami okresu dojrzewania. Nicholas, starszy syn Demona i Flick, Evan, średni syn Lucyfera i Phyllidy, Julius, starszy syn Gylesa i Franceski, oraz Gavin i Bryce, wychowankowie Dominika i Angeliki, aktywnie uczestniczyli w hałaśliwej grze między dwiema drużynami utworzonymi przez dziewięcio-, dziesięcio- i jedenastoletnich urwisów, których było w sumie jedenastu.

Grupki doglądała Flick, największa chłopczyca spośród obecnych tu matron i zarazem jedyna, która jako tako rozumiała rządzące grą zasady. Teraz podeszła i stanęła obok Honorii.

Honoria uśmiechnęła się szeroko.

– Dwudziesty szósty obrodził w chłopców: dodaliśmy wtedy do puli ośmiu.

– Nie urodziła się żadna dziewczynka, prawda? – Flick zmarszczyła brwi.

– Tamtego roku nie, ale kolejnego pojawiło się pięć, a rok później jeszcze dwie, za to żadnych chłopców.

– Hm… Jeśli się zastanawiasz, gdzie się podziały młode damy – Flick przekrzywiła złotowłosą głowę w stronę otoczonego murem ogrodu – to chyba wymieniają się sekretami pośród róż.

– To było do przewidzenia. Widziałaś, które tam poszły?

– Tylko Lucilla, moja Prudence i Antonia. Jeśli chodzi o pozostałe, twoja córka najwyraźniej odziedziczyła po tobie zdolności organizacyjne: ostatni raz widziałam ją dowodzącą wszystkimi dziewczętami, które wyrosły już z fazy szalonej zabawy w berka,

usadowionymi w kręgu na trawie za dębami.

Honoria uniosła brwi.

– Znając Louisę, lepiej sprawdzę, czy nadal tam są, a nie wyruszyły na jakąś awanturniczą eskapadę.

Flick ze śmiechem pokiwała głową i się rozstały – ona podjęła przechadzkę pod drzewami, przystając, by pogawędzić z innymi damami, lecz zarazem przez cały czas obserwowała chłopców, natomiast Honoria, także zatrzymując się to tu, to tam na krótką pogawędkę, okrążała zgromadzenie.

Przechodziła na tyle blisko wejścia do ogrodu różanego, by dostrzec trzy młode damy na ławeczce przy końcu głównej alejki. Rude włosy Lucilli w promieniach słońca zdawały się wręcz płonąć. Po jej prawej siedziała blondynka Prudence, starsza córka Demona i Flick, natomiast ciemnowłosa, żywiołowa Antonia, pierworodna Gylesa i Franceski, zajęła miejsce po lewej. Lucilla miała siedemnaście lat, jej towarzyszki po szesnaście. We trzy tworzyły piękny obrazek. Honoria odnotowała ten fakt, jak również pełen ekspresji sposób, w jaki prowadziły rozmowę, gestykulując. Z uśmiechem poszła dalej, nie przeszkadzając dziewczętom.

Zanim dotarła do linii dębów na skraju trawnika, upłynęło ponad dwadzieścia minut. Dlatego nieco jej ulżyło, kiedy zobaczyła, że stadko dziewcząt nadal siedzi na trawie, w sukniach w całym spektrum pastelowych odcieni, przez co przypominały rozsiane po murawie kwiaty.

Honoria policzyła, upewniając się, że jest tu cała dwunastka dziewcząt między dziewiątym a czternastym rokiem życia. Choć siedziały w kręgu, nie ulegało wątpliwości, kto im przewodzi – jej córka, czternastoletnia Louisa, była na najlepszej drodze do tego, by stać się zmorą swego ojca. Pod licznymi względami stanowiła żeńską wersję Diabła. Inteligentna, szybko myśląca, przejawiała niezwykły talent w kierowaniu ludźmi, a za jej jasnozielonymi oczami, niesamowicie podobnymi do oczu Diabła i Heleny, kryła się wyjątkowa niezależność.

Honoria nie cieszyła się aż tak bardzo na najbliższe lata, kiedy to będzie musiała zapanować nad swoim mężem.

Jednakże, jak zwykle, kiedy obserwowała córkę, jej usta drgnęły w uśmiechu, a matczyna duma wezbrała w niej w zupełnie inny sposób, niż to się działo, gdy patrzyła na Sebastiana i Michaela. Odwróciwszy się, opuściła cień pod dębami i znów zagłębiła się w tłum na rozległym południowym trawniku. Potem przystanęła, żeby pogawędzić z Franceską i Priscillą, dołączając do ich zachwytów nad Jordanem, maleństwem Dillona i Priscilli, urodzonym zaledwie przed kilkoma tygodniami i właśnie z miłością kołysanym w ramionach przez mamę, i przeszła dalej, by spędzić kilka minut z Sarą i Charliem, dla odmiany podziwiając ich małą Celię, już prawie siedzącą na rękach dumnego taty. Mężczyźni zaczęli tymczasem niespiesznie wracać ze stajni i dołączali do zgromadzenia, stopniowo odnajdując drogę powrotną do żon.

Jedenaścioro dzieci obu płci w wieku od sześciu do ośmiu lat hałaśliwie bawiło się w berka, lawirując między dorosłymi, którzy nieufnie spoglądali na drobne figurki, przemykające obok nich niczym ryby w strumieniu. Ta zabawa była czymś w rodzaju tradycji; jakim cudem żadnemu z uczestników nie stała się nigdy krzywda, pomimo upływu lat pozostawało dla Honorii zagadką.

Dzieci jeszcze młodsze, poniżej piątego roku życia, przy powszechnej zgodzie oddano w sprawne ręce piastunek. Nianie skupiły się w narożniku trawnika, gdzie z wózków, koszy i toreb na ramię zbudowały zaporę wokół swoich podopiecznych. Na trawie leżały

klocki, obręcze i mnóstwo innych zabawek, podczas gdy maluchy stąpały wokół nich chwiejnie albo raczkowały.

Uznawszy, że tej grupie nic nie grozi, Honoria jedynie omiotła wzrokiem jasne główki. Wliczając maluchy kołysane aktualnie w ramionach rodziców, najmłodszych było dwadzieścioro pięcioro, liczba, w obliczu której każda matriarchini spuchłaby z dumy.

Uśmiechnięta ruszyła dalej przez tłum i spostrzegła dwóch stojących na uboczu mężczyzn, którym najwyraźniej nie udało się odnaleźć żon w narastającym ponownie ścisku. James Glossup i Ryder Cavanaugh sprawiali wrażenie z lekka zagubionych, lecz zaraz nadeszli Luc i Martin, a chwilę później do grupki dołączyła Portia, zostawiwszy małą Persephone pod opieką babki, i bez wątpienia wszystko wyjaśniła.

Na temat tego, którego tu dziś zabrakło. Oraz że Amanda, Amelia, Simon, Henrietta i Mary każdego roku niezawodnie wyślizgiwali się, żeby spędzić kilka cichych minut przy grobie Tolly'ego.

Jedynie oni, rodzeństwo; żadne z nich nie było jeszcze po ślubie, kiedy zginął.

Honoria przystanęła, wspominając – usłyszała znów echo tamtego strzału, które dla niej także nigdy nie zamilkło. Strzału, który odebrał życie Tolly'emu oraz połączył ją i Diabła. W pewnym sensie od tego wszystko się zaczęło.

Rozejrzawszy się, ogarnęła wzrokiem zebranych, i podobnie jak w minionych latach, wzniosła w myślach toast za Tolly'ego. To, czym się stali, po części stanowiło jego zasługę. Wynikło z jego poświęcenia.

Po chwili cichej refleksji znów przywołała na twarz uśmiech i poszła dalej.

Dziesięć minut później Mary zmaterializowała się u boku Rydera. Ujęła go pod ramię i lekko ścisnęła.

– Później ci powiem.

– Nie ma potrzeby – odparł z łagodnym uśmiechem. Ruchem głowy wskazał Portię, do której właśnie dołączył Simon, podczas gdy po stronie Mary do boku Jamesa powróciła Henrietta. – Portia już nam wyjaśniła.

Mary uśmiechnęła się nieco ckliwie, a potem zaczerpnęła tchu i odwróciła się do pozostałych. Jakby się co do tego umówili, podjęli pogawędkę o rodzinie i familijnych wydarzeniach. Podróż poślubna, którą dopiero co zakończyli Henrietta i James, szybko dała początek rozmowie.

– Włochy były po prostu wspaniałe! – zapewniła wszystkich Henrietta.

– Mnóstwo ruin, a ona koniecznie musiała je zobaczyć. – James wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Choć nie powiem, niektóre posągi przykuwały uwagę.

Pozostali się roześmiali, ale dalszą rozmowę przerwało wrzaskliwe zawodzenie. Zaalarmowana Portia się rozejrzała.

– Och, wielkie nieba! – Szturchnęła Simona w ramię. – Idź, ratuj biedną Milly przed twoim synem. Uspokoi się, jeśli trochę go ponosisz.

– Moim synem? – obruszył się Simon, ale już zwracał się w stronę kręgu piastunek. – Dlaczego jest moim synem zawsze wtedy, gdy sprawia trudności?

– Nie odziedziczył tej cechy po mnie, więc kto inny miałby ponosić odpowiedzialność? – Portia popędziła go, pomachała reszcie grupy i ruszyła za mężem.

Czworo pozostałych spoglądało w ślad za nimi, obserwowało… Po chwili każda para wymieniła spojrzenia, po czym Henrietta odwróciła się do Mary, akurat kiedy ta odwróciła się do niej.

– My także… – powiedziały jednocześnie.

Zamrugały obie, a potem na ich twarzach rozkwitły identyczne uśmiechy.

Henrietta wydała okrzyk radości i uściskała siostrę, która podskoczyła i mocno odwzajemniła uścisk.

– Kiedy?

– W marcu! A wy?

– Też jakoś w marcu!

James i Ryder, rozpromienieni, uścisnęli sobie dłonie i poklepali się nawzajem po plecach.

– Nikomu jeszcze nie mówiliśmy – wyznał Ryder.

– My również nie – potwierdził James. Zerknął na tłum wkoło. – Myśleliśmy, żeby zaczekać z tym kilka miesięcy.

– Rozsądny koncept. Doszliśmy do tego samego wniosku.

Mężczyźni stali ramię w ramię i z dumą na twarzach obserwowali swoje żony, które, nachylone ku sobie głowami, bez ustanku paplały.

– Trzeba się do tego przyzwyczaić – powiedział James. – Do wizji, że w twoim życiu pojawi się dziecko.

– Istotnie. – Ryder pokiwał głową. – Niemniej nie przychodzi mi do głowy nic, na co czekałbym z większą radością.

– Fakt. – James zaczerpnął tchu. – Perspektywa przerażająca, lecz zarazem piekielnie cudowna.

Później, kiedy rozstali się z Henriettą i Jamesem, przysięgając sobie nawzajem dochować sekretu, i znowu spacerowali w tłumie, Ryder spojrzał na wspartą na jego ramieniu Mary.

– Chciałabyś także pojechać w podróż poślubną?

Po zastanowieniu spojrzała na niego, z uśmiechem kręcąc głową.

– Zależy mi, żeby przed marcem uporządkować wiele spraw, w opactwie, innych twoich majątkach, jak również w londyńskiej rezydencji. Wolałabym poświęcić się temu oraz wszystkim pozostałym kwestiom, jakie mamy na głowie, zamiast obijać się po obcych miejscach. Może kiedyś, gdy nasze dzieci dorosną… Powinnam zasugerować to mamie. Kiedy zjedziemy do miasta i Stacie zamieszka z nami, mama i papa mogliby zobaczyć kawałek świata.

Wargi Rydera drgnęły w uśmiechu.

– Jedyne zdarzenie, które uznałbym za mniej prawdopodobne od tego, że wasz ojciec zgodzi się opuścić Anglię, kiedy ty i Henrietta albo Portia, albo nawet bliźniaczki możecie się zdecydować na powiększenie rodziny, to że przystanie na to wasza matka.

– Trafiłeś w sedno. – Mary się skrzywiła.

Po chwili pociągnęła go na skraj trawnika.

– Myślałam o tym, żebyśmy jako głowy rodu Cavanaughów, oprócz pikniku dla dzierżawców, który, na marginesie, moim zdaniem powinien się zbiegać ze żniwami, zorganizowali też wydarzenie podobne do tego. Nie tylko dla twojego przyrodniego rodzeństwa, ale także dla dalszych krewnych i osób związanych z rodziną. Tak jak tutaj. – Popatrzyła na niego. – To pomaga.

– Tworzyć więzi – podsunął. – Znaleźć wspólny cel.

– Uwypuklić wspólny cel. – Mary skinęła głową. – Czyli się zgadzasz?

– Organizuj, co tylko zechcesz, żono, masz moje błogosławieństwo.

– Doskonale! – Mary się rozpromieniła, z góry uradowana tą perspektywą.

Kwadrans później ona i Henrietta spotkały się znowu przy wózku z herbatą. Kiedy

Webster podał im pełne filiżanki, wycofały się w cień dębu, żeby się napić.

Wymieniały ciche komentarze na temat tego, czego się spodziewają po nadchodzących miesiącach, kiedy minęła je Lucilla.

Mary zmarszczyła brwi.

– Lucillo!

Dziewczyna się odwróciła, a Mary przywołała ją gestem. Kiedy do nich podeszła, także Henrietta się zafrapowała. Spojrzała na siostrę.

– Przekazałaś naszyjnik, prawda? Na swoim balu zaręczynowym?

– Tak. Oczywiście. – Mary popatrzyła na Lucillę. – Dlaczego go nie nosisz?

– Ponieważ mój czas jeszcze nie nastał i… – Na jej pięknym czole pojawiła się delikatna zmarszczka. – Miejsce najwyraźniej też nie jest odpowiednie. – Wzruszyła ramionami. – No wiecie. Nie znam szczegółów, wiem jedynie, że muszę poczekać.

Ktoś zawołał Lucillę po imieniu; obejrzała się, a potem machnęła dwóm siostrom na pożegnanie i wtopiła się w tłum.

Mary upiła łyk herbaty.

– Dobrze, że nie padło na mnie.

– Bez wątpienia – odparła ze śmiechem Henrietta.

Siostry oddały puste filiżanki Sligowi, czule pocałowały się w policzki i rozstały, by podążyć każda własną ścieżką, u boku mężczyzny, w którego ramiona pokierowała je Lady.

Tymczasem Lucilla dołączyła do brata bliźniaka; to właśnie Marcus ją zawołał. Jego głos, jego wezwanie zawsze by usłyszała, zawsze by na nie odpowiedziała, bez względu na aktualne zajęcia czy dzielącą ich odległość.

Spojrzała mu w oczy, ciemnoniebieskie jak u ich ojca.

– O co chodzi?

Ruchem głowy skierował ją na skraj trawnika. Niegdyś miał włosy rude jak ona, lecz podczas gdy u niej zachowały kolor, jego stopniowo ciemniały, aż stały się niemal czarne.

– My, to znaczy ja i chłopacy, zastanawialiśmy się, czy ty i reszta dziewcząt nie wybrałybyście się z nami na spacer wokół jeziora.

– Dlaczego?

Marcus zerknął na tłum, w którym znajdowali się ich rodzice.

– Sebastian zasugerował, a wszyscy mu przyklasnęli, że powinniśmy ułożyć plany na Boże Narodzenie. Padł pomysł, żeby obchodzić je w Dolinie. Od wieków nikogo nie gościliśmy. Nad dorosłymi trzeba będzie popracować, ale pomyśleliśmy, żeby omówić to z wami, no wiesz, przedyskutować strategię.

Lucilla rozważyła koncept i uznała, że jej się podoba.

– Dobrze. Pójdę znaleźć Prudence i Antonię. Spotkamy się z wami przy altanie; możemy stamtąd wyruszyć.

Marcus przestąpił z nogi na nogę.

– Gdybyś wyciągnęła też inne… przynajmniej Therese i Juliet… no i, oczywiście, jeśli to ma się udać…

– Będziemy potrzebować Louisy. – Lucilla skinęła głową bardziej stanowczo. – Znajdę najpierw ją, ona odszuka pozostałe.

Rozstali się bez dalszych słów – mimo upływu lat jako bliźnięta nadal instynktownie się rozumieli. Lucilla wyruszyła na poszukiwanie Louisy, Marcus zaś poszedł zawołać rówieśników.

Pięć minut później Diabeł znalazł swoją żonę przy schodach na portyk, skąd

obserwowała zbierającą się przy altanie grupkę młodzieży.

– Wiesz, o co chodzi? – wymamrotał, nachylając się do jej ucha.

Zadrżała, rozkosznie rozkojarzona, niemniej po chwili odpowiedziała:

– Nie, ale ponieważ jest tam nasza trójka, a Louisa wszystkim przewodzi, z pewnością wkrótce się dowiemy.

Przyglądali się, jak grupka się formuje, a potem niespiesznie rusza w stronę jeziora.

Diabeł wziął Honorię za rękę.

– Dorastają – powiedział. – Za rok Sebastian ukończy Oksford, za kolejny Michael do niego dołączy, wraz z Christopherem i przypuszczalnie Marcusem.

Honoria spojrzała na wyrazistą twarz męża, oblicze wojownika, które przez lata niewiele się zmieniło. Pomyślała o synach, zwłaszcza o starszym, tak podobnym do ojca.

– Zastanawiałeś się, czym zająć Sebastiana przez ten pierwszy rok, kiedy nie będzie miał wokół siebie pozostałych?

– Zapełnię mu czas bez problemu: musi się jeszcze mnóstwo nauczyć o zarządzaniu księstwem. – Diabeł popatrzył żonie w oczy. – Oraz jaka to praca stać na czele książęcego rodu.

– O to akurat zadba jego żona. A do czasu jego ożenku na miejscu będzie Louisa, aż nazbyt skora przejąć dowodzenie.

– Owszem, ale musi umieć docenić, co takiego robią kobiety. Co ty, i inne damy, wnosicie do rodziny.

Nagle odebrało jej mowę, na kilka sekund wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

Diabeł bez wątpienia to wyczuł – jak również zdał sobie sprawę, że nie pochwaliłaby, gdyby zbyt długo wprawiał ją w zakłopotanie.

Honoria zaczerpnęła tchu, wzięła go pod ramię i razem zagłębili się w tłum gości. Lawirowali między gośćmi, krewnymi i bliskimi przyjaciółmi, wymieniając uwagi oraz, często, prognozy na przyszłość. W końcu zatrzymali się w miejscu, z którego mogli obserwować mecz krykieta na bocznym trawniku oraz grupę dziewcząt wyplatających wianki ze stokrotek. Widzieli też, że młodzież wróciła ze spaceru. Odnotowali ich pewny krok, energię, witalność. Diabeł się uśmiechnął, jak na dumnego patriarchę przystało.

– Oto nasza przyszłość. Przyszłość tego rodu, kolejne pokolenie.

– Istotnie. – Honoria uniosła głowę. – Są zdrowi i silni, znają wartość rodziny oraz przyjaźni, a w dodatku…

Kiedy urwała, Diabeł spojrzał na jej twarz.

– Co?

Honoria z uśmiechem ujęła go za ramię, odwróciła ku sobie i zmierzyła wzrokiem.

– Coś planują.

Ściągnął brwi.

– To dobrze?

Poklepała go po ramieniu i odczekała, aż znów na nią spojrzy, nim wyjaśniła:

– To znaczy, że spoglądają naprzód. Że próbują kształtować własną przyszłość. I tak, to dobrze. Tak właśnie powinno być. Tacy powinni być.

Z lekka zdegustowany, nie protestował, gdy powiodła go z powrotem w tłum.

– A jaka będzie nasza rola w tej przyszłości? – spytał cicho.

Patrząc przed siebie, Honoria uśmiechnęła się łagodnie.

– Naszą rolą – odparła równie cicho – jest utrzymać mocny jak skała, stabilny fundament, a poza tym… pozwolić im odejść.

Wiedziała, że to ostatnie nie spotka się z przychylnością Diabła i mężczyzn z jego

pokolenia. Tego rodzaju postępowanie stało w sprzeczności z ich wrodzonymi instynktami, ale bitwa tak czy inaczej ich czekała.

W końcu książę St. Ives wziął głęboki oddech.

– Czyli wedle twojej oceny sprawy mają się dobrze? – spytał.

– Wedle mojej oceny w naszym świecie i w rodzinie wszystko przebiega dokładnie tak, jak powinno.

Mary Cynster jest już gotowa na miłość
i małżeństwo. Co więcej, znalazła idealnego
kandydata na męża, a dla osóbki tak zdeterminowanej
jak ona podbój wydaje się formalnością.
Na jej drodze pojawia się jednak
poważna przeszkoda – Ryder Cavanaugh,
słynny pogromca niewieścich serc.
Zblazowany markiz jest ostatnim mężczyzną,
którego Mary wybrałaby sobie na męża.
Problem w tym, że on uznał ją
za idealną kandydatkę na żonę dla siebie,
a również przywykł zdobywać wszystko,
czego zapragnie.

bis
www.wydawnictwobis.com.pl